


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Yáckta – Oya

Gwiazda Mohawka

Drogi młody Czytelniku!

Pewno słyszałeś już o Indianach, czytałeś niejedną poświęconą im książkę, a może nawet obejrzałeś jakiś film, w którym występują. Wiesz więc, że żyli niegdyś na wielkich amerykańskich preriach, posiadali całe tabuny koni, polowali na bizona, często walczyli między sobą; nierzadko w obronie swej ziemi przeciwko białym.

Gdy czasem usiłujesz ich sobie wyobrazić, widzisz jak półnagzy lub przybrani we wspaniałe stroje i pióropusze, z tomahawkami w rękach, z głośnym krzykiem na ustach, pędząc przez prerię gonią uciekający dyliżans, atakują obóz białych osadników lub uderzają na oddział amerykańskich żołnierzy przybranych w granatowe mundury i, giną od kul karabinów.

Może również wyobrażasz ich sobie, jak siedzą w zamkniętym kręgu, palą fajkę pokoju, wykonują wojenny taniec lub skradają się do obozowiska białych, by zabrać ich skalpy albo schwytać jeńców i postawić przy palu męczarni.

Niekiedy, być może, przypominasz sobie na chwilę, że podczas wojen, jakie w Ameryce Północnej toczyli z sobą biali, Indianie występowali jako ich zwiadowcy, tropiciele czy szpiedzy.

Spodziewasz się więc, że i w tej książce spotkasz Indian podobnych. Pragnę Cię jednak uprzedzić, że ci będą trochę inni. I mogę Ci powiedzieć dlaczego. Dlatego, że nigdy nie było jednakowych Indian. Zawsze różnili się między sobą i tylko biały człowiek, gdy mówi o nich, używa najczęściej jednego dla wszystkich określenia Indianie, tak jakby mówił na przykład Francuzi. A przecież mówiąc Indianie mówi o zupełnie różnych indiańskich ludach nie stanowiących nigdy jednego narodu.

Indianie dzielili się na plemiona i plemion tych w Ameryce Północnej było około tysiąca pięciuset. Jedne żyły na wielkich preriach, inne w wysokich górach, jeszcze inne w nieprzebranych północno-wschodnich puszczach. Wiele osiedliło się na wybrzeżach Oceanu Atlantyckiego, inne po przeciwnej stronie kontynentu – nad Pacyfikiem. Jedne żyły w rejonach ciepłych na południu, inne w bardzo zimnych na północy kraju.

Indianie różnili się wyglądem. Daleko na południu, nad granicą z Meksykiem i w puszczach Florydy, ich skóra była ciemna i kolor jej wpadał w odcień brązu. Plemiona środkowej części północno-amerykańskiego kontynentu miały nieco jaśniejszą skórę, a te, które zasiedlały rejony północne, jeszcze jaśniejszą, prawie taką jak biali ludzie.

Jedni byli wysocy, szczupli, dobrze zbudowani i mieli regularne rysy twarzy. Inni byli niscy, krępi, mieli twarze płaskie, krótkie, niekiedy bardzo nieregularne.

Ci, którzy mieszkali na prerii, polowali na bizona. Mieszkańcy puszczy na łosie, karibu i inne leśne zwierzęta. Ci, którzy zajmowali tereny nad Atlantykiem czy Pacyfikiem nie tylko polowali, ale również łowili ryby i byli bardzo dobrymi rybakami. Jeszcze inni, w co pewnie będzie Ci trudno uwierzyć, zajmowali się uprawą roli, hodowali kukurydzę, niektórzy zbierali dziki ryż, uprawiali dynie, fasolę, ziemniaki i warzywa, a nawet owoce.

Inaczej odbywali podróże. O ile mieszkańcy prerii korzystali początkowo z psów, które niosły bagaż, a potem z koni, o tyle plemiona północnych puszczy nawet najdalsze wyprawy odbywały drogami wodnymi, korzystając z bardzo lekkich łódek, które nazywały się kanu.

W zależności od tego czy mieszkali w ciepłym czy zimnym rejonie, budowali inne mieszkania. Na południu wznosili przewiewne szałaszy z lekkim dachem dla ochrony przed deszczem i słońcem. Na południowym zachodzie mieszkali w dużych budowlach z gliny zwanych pueblami. Na środkowych preriach, gdzie klimat był nieco ostrzejszy, ze skór bizona szyli spiczaste tipi podobne do naszych namiotów, a na północy, gdzie zimy były bardzo mroźne, budowali solidne wigwamy pokryte korą brzoźową lub świerkową, często uszczelniane od wewnątrz i ocieplane dodatkowo skórą i futrami zwierząt. Zimą wiele

plemion preryjnych oraz plemiona zachodnich gór kopało ziemianki i chroniło się w nich na długie miesiące.

Oczywiście, ze względu na warunki klimatyczne, ale i ze względu na różne zwyczaje, różnie się ubierali. Przygotowując się do walki, wojownicy wielu plemion pozostawiali na sobie jedynie przepaski wokół bioder, inni przywdziewali najwspanialsze szaty, jeszcze inni chronili ciała w specjalnych zbrojach wykonanych czasem ze skóry, czasem z kory drzew lub nawet wyschniętych pędów wikliny, takiej jakiej my używamy do wyplatania koszy.

Ale to przecież nie wszystko. Prawdopodobnie nie wiesz, że prawie każde plemię posługiwało się swoim własnym językiem, czasem trochę podobnym do innych, częstokroć jednak zupełnie odmiennym. I języków tych było około tysiąca. Toteż niektóre plemiona, nawet sąsiadujące z sobą, nie mogąc się porozumiewać – nie utrzymywały z sobą żadnych stosunków i każde żyło własnym życiem. A ponieważ trwało to długo, czasem setki lat, każdy indiański lud, każda wioska czy plemię tworzyły własne zwyczaje, niepodobne do innych.

Zwyczajów w związku z tym było bardzo dużo. Inaczej wyprawiano skóry, inaczej wykonywano broń, inne były sposoby prowadzenia wojen, inaczej zawierano małżeństwa, inne ceremonie towarzyszyły chowaniu zmarłych. Inaczej wreszcie rozumiano takie słowa, jak sprawiedliwość, uczciwość, obowiązek, dzielność czy odwaga. W różnych plemionach inne znaczenie przywiązywano do sporządzania, posiadania czy palenia fajki pokoju i były to zupełnie różne fajki.

W wielu plemionach szacunek zdobywało się dzięki zupełnie innym czynom. Na przykład u większości plemion preryjnych uznanie i sławę zdobywał nie ten, kto zabił największą ilość nieprzyjaciół, lecz głównie ten, kto nieuzbrojoną ręką zdołał dotknąć uzbrojonego wroga i nie odnieść przy tym żadnej rany. U innych najwyżej ceniono odwagę i oddanie okazywane w czasie walki w obronie własnej wioski. Jeszcze w innym, dzielnym był tylko ten, kto skutecznie bronił słabszych współbraci.

Większość indiańskich plemion nie znała w ogóle niewolnictwa, ale u części sławę i szacunek zyskiwali ci, którzy posiadali wielu niewolników. Różne były zwyczaje związane z torturowaniem jeńców lub pozbawianiem ich życia.

Tym jednak, co najbardziej różniło Indian od siebie, były ich wierzenia. Nie używam tu słowa religia, gdyż Indianie Ameryki Północnej nie mieli nigdy jednej wspólnej religii i nie znali słowa Bóg. Wierzyli w duchy. Każde niemal plemię wierzyło w duchy inne. Każde miało własne duchy nieba i gwiazd, słońca i księżyca, duchy burzy, deszczu i grzmotu, błyskawic lub ognia, duchy rzek, strumieni i skał, wreszcie duchy zwierząt i ptaków, różnych drzew i roślin. Wierzono w duchy przodków i duchy świata podziemnego oraz tysiące innych.

Ale nie dziw się temu. Indianie nie chodzili przecież do szkoły, nie czytali książek, nie wiedzieli dlaczego świecą słońce i gwiazdy, dlaczego jest noc i dzień. Nie rozumieli dlaczego pada deszcz lub o ziemię uderzają pioruny. Nie rozumieli w jaki sposób powstały góry i doliny, rzeki i jeziora, skąd wziął się ogień. Usiłowali to sobie jakoś wytłumaczyć i uważali, że wszystko, co dzieje się na ziemi, dzieje się za sprawą duchów. Byli w związku z tym przekonani, że i każdy człowiek zależny jest od duchów i że powinien postępować zgodnie z ich wolą.

Spytasz może skąd znali wolę duchów i skąd wiedzieli, czego duchy od nich oczekują? Wiedzieli, ponieważ wierzyli, że wola ta objawiana jest każdemu w czasie snów lub długotrwałych postów. Oczywiście sny wyjaśniali sobie sami, a jeżeli nie potrafili, zwracali się o pomoc do ludzi starszych, mądrzejszych, często do czarowników. Ci tłumaczyli im, czego duchy spodziewają się. Ale każdy czarownik tłumaczył sny tylko tak jak umiał. Stąd w różnych plemionach wola duchów wyjaśniana była w zupełnie różny sposób. Nie myśl, że czarownicy ograniczali się tylko do wyjaśniania snów. Czynili to nie tak często. Zajmowali się bowiem głównie leczeniem najrozmaitszych chorób i muszę Ci powiedzieć, że czynili to bardzo dobrze. Zнали zresztą wiele ziół leczniczych, wiedzieli jak je przyrządzać i stosowali je

bardzo skutecznie przy wielu dolegliwościach. Czasami dokonywali nawet operacji: usuwali bolące zęby, nastawiali kości, potrafili usunąć strzałę czy kulę z rany. Oczywiście w różnych okolicach stosowano różne sposoby leczenia. Po to, by zostać czarownikiem należało się bardzo dużo uczyć. W niektórych plemionach, na przykład u Nawahów, nauka trwała siedem lat, a dobry czarownik u Odżybuejów uczył się w specjalnej organizacji czarowników jeszcze dłużej.

Musisz więc przyznać, że słowo Indianin ma zupełnie różne znaczenie w zależności od tego, do jakiego plemienia chcesz go dopasować, z jakimi zwyczajami, językiem, jakimi wierzeniami i duchami chciałbyś go związać.

Jeśli przeczytałeś kilka indiańskich książek, pewno myślisz, że najważniejszym zajęciem Indian była walka. Nie jest to jednak prawdą, a w każdym razie nie jest prawdą jedyną. Indianie podobnie do innych ludzi walczyli, ale przede wszystkim polowali i uprawiali ziemię, łowili ryby, zbierali różne jagody leśne, jadalne korzenie, zajmowali się garncarstwem, wyplataniem koszy, i wyrobem naczyń kuchennych z gliny, kory drzew i łyka.

Czasami bawili się i na różne zabawy poświęcali sporo czasu. Zнали wiele gier i bardzo dobrze grali w piłkę. Ulubioną zabawą wielu plemion była gra w piłkę przez białych zwana lacrosse. Była ona bardzo podobna do naszej gry w palanta, chociaż w tamtej udział brało często po kilkuset zawodników z każdej strony. Indianie lubili tańczyć i śpiewać, ale tym dwom zajęciom oddawali się głównie po to, by usposobić do siebie przychylnie różne duchy.

Domyślasz się już pewnie dlaczego mówiłem, że ta książka będzie inna od tych, które znasz. Tak. Piszę w niej o innych Indianach oraz o takich zwyczajach, z którymi pewnie jeszcze nie zetknąłeś się. O Indianach tych pisano dotąd bardzo mało. Różnią się od innych. Nie posiadają, wspaniałych pióropuszy ani mustangów i nie polują na bizony. Nie toczą ani między sobą, ani z białymi krwawych wojen. Zaczynają ich dopiero poznawać. Wierzą w swoje własne duchy, kierują się prawami ustanowionymi przez swych praojców i postępują zgodnie z własnymi, nie znanymi Ci jeszcze, zwyczajami.

Żyją w głębokiej kanadyjskiej puszczy, nad brzegami jezior i rzek, mieszkają w półokrągłych lub stożkowych, pokrytych korą brzożową wigwamach, są myśliwymi i wiodą zupełnie inne życie niż Indianie wielkiej amerykańskiej prerii. Stanowią największy indiański naród na północ i zachód od wielkich amerykańskich jezior. Biali nadali im nazwę Odżybueje.

Oni sami dzielą się na kilka dużych plemion i każde nosi inną nazwę. Plemiona z kolei dzielą się na mniejsze grupy liczące po kilkaset osób i każda z nich zajmuje własne tereny łowieckie.

Zgodnie z ich wierzeniami lud każdej wioski pochodzi od innego przodka, ale, jak są przekonani, zawsze od jakiegoś zwierzęcia lub ptaka, niekiedy także od stworzenia wodnego na przykład wydry, piżmoszczura lub bobra. Toteż niech nie dziwi Cię, że już na pierwszych stronach tej książki spotkasz lud Łosi, młodych wojowników z plemienia Wilków, a zaraz potem wioskę Wahboosoog – Królików. Niech nie dziwią Cię ich zwyczaje, zachowanie czy sposób mówienia.

Niech nie dziwi Cię również, że wieczorami, kiedy duchy układają się do snu, Indianie zbierają się przy obozowych ogniskach, a najstarsi z nich opowiadają legendy, baśnie, przedziwne opowieści i niesamowite historie. Wszyscy Odżybueje znają ich jeszcze dzisiaj tysiące i wierzą w nie. Zresztą nie tylko oni. Jaguar, który przywędrował do nich z dalekiego kraju Mohawków, wierzy również, że cała nasza ziemia pływa na grzbiecie Wielkiego Żółwia, a gwiazdy na niebie umieścił Mały Żółw.

Gdyby Czarny Wąż zechciał Ci opowiedzieć, skąd na ziemi wzięli się Nawahowie, usłyszałbyś piękną legendę o tym, że stworzyła ich Estanatlehi, cudowna, dobra dziewczyna, która jeszcze do dzisiaj czczona jest przez nich jako ich matka i bogini Ludu Zachodzącego Słońca.

Jaguar, młody bohater tej książki, jego dwaj przyjaciele Sasay'ga i Czarny Wąż nie są ani sławnymi wojownikami, ani wielkimi wodzami i nie noszą we włosach orlich piór. Są jeszcze młodzi. Pragną dopiero wkroczyć na ścieżkę życia dorosłych. Czy ta ścieżka, jest prosta, czy przebędą ją bez kłopotów i trudności? Czy droga, którą podążają do świętych kamieniołomów po czerwony kamień na główkę fajki pokoju, jest łatwa i pozbawiona niebezpieczeństw? Wszak spotykają na niej różnych ludzi, wojowników różnych indiańskich narodów i plemion, a także białych nie uznających praw Wielkiego Ducha Indian.

Co z tego wyniknie? W jakich kłopotach i tarapatach znajdują się młodzi bohaterowie, ile będą musieli pokonać trudności i niebezpieczeństw? Czy poradzą sobie z nimi, czy zdołają ocalić swych najbliższych przed groźnym niebezpieczeństwem, czy pokonają swych śmiertelnych wrogów?

Jeżeli przeczytasz tę książkę, dowiesz się. Nie wiem, czy będzie Ci się podobała, czy polubisz jej bohaterów. Ale bardzo chciałbym.

Autor

Rozdział pierwszy

Jaguar

Shóamin¹, trzymając w ręku długą leszczynową wędkę, patrzyła uważnie na spływającego między kamieniami żywego zielonego konika, którego przymocowała starannie do niewielkiego haczyka sporządzonego z kości.

Potok w tym miejscu snuł się leniwie, toteż owad niesiony prądem spływał niezbyt szybko. Minął jedną przeszkodę, drugą; woda wyniosła go pod przeciwległy brzeg, gdzie nagły uskok dna tworzył kilkustopowej szerokości wir. Było tam głęboko, a pod wykrotem nierzadko znajdował kryjówkę duży pstrąg.

Puszczony na przynętę owad trzepotał się tak, jakby za chwilę miał wzlecieć w powietrze. Zataczał coraz mniejsze kręgi, coraz szybsze. Linka i haczyk trzymały go jednak mocno, w miarę więc jak zbliżał się do lejkowatego wiru – słabł, ruchy jego stawały się coraz bardziej nieporadne, wir wciągał go z nieodpartą siłą w głąb swej toni. Jeszcze chwila i zniknął pod powierzchnią wody.

Wzrok dziewczyny posmutniał. Spodziewała się w tym miejscu dużej ryby. Pstrąga widocznie nie było, skoro nie chwycił zielonego skoczka na powierzchni. Uniosła lekko koniec wędki, by wyjąć przynętę. Korzenie tkwiące w głębi nieraz już sprawiły jej brzydką niespodziankę. Nie miała zamiaru tracić tym razem ostatniego haczyka. Uniosła kij jeszcze wyżej. Niewidoczny od paru chwil owad ponownie wynurzył się na powierzchnię i w tym właśnie momencie ciemny, smukły kształt dużej ryby wyprysnął niemal nad wodę.

Odruchowo szarpnęła wędziskiem. Na jego końcu czuła duży ciężar. Trzymała, mocno, po czym spróbowała podciągnąć do góry. Pstrąg jednak musiał być wyjątkowo wielki. Nie dał się podnieść z dna. W zasięgu trzymającej go linki krążył początkowo w głębi, potem zdecydowanie ruszył pod prąd.

Lękając się, że straci tak dużą rybę, dziewczyna uczyniła również kilka kroków brzegiem. Wypuściła już cały zapas linki i wiedziała, że jedno gwałtowniejsze szarpnięcie może ją zerwać. Wędzisko trzymała mocno, ale tak, by móc reagować na każdy ruch ryby. Nie była jednak pewna, czy linka zdoła utrzymać tak duży ciężar. Wołała nie ryzykować. Przesunęła się kilka kroków wzdłuż strumienia i wypatrzywszy miejsce, gdzie brzeg łagodnie schodził nad wodę, przez parę chwil jeszcze trzymała rybę w miejscu, pragnąc ją zmęczyć, po czym ostrożnie zaczęła holować na wypatrzoną płyciznę. Jednocześnie sama wycofywała się równie ostrożnie coraz dalej od brzegu. Wiedziała, że gdyby pstrąg dostrzegł nad wodą najmniejszy ruch, rozpocząłby walkę na nowo.

Kryjąc się w cieniu pobliskiego krzewu ujrzała najpierw płetwę i długi oliwkowy grzbiet, czarne cętki i czerwone kółka i za chwilę ryba znalazła się na zielonej murawie.

Dziewczyna rzuciła wędkę i kilkoma skokami znalazła się nad wodą. Drobnymi, chociaż silnymi rękoma ujęła swą zdobycz i szybko przeniosła kilkanaście kroków od brzegu.

Widocznie pstrąg oprzytomniał w tej chwili, bo rozpoczął na trawie dziki taniec. Nie miał już jednak szans. Shóamin, roześmianymi ze szczęścia oczyma, patrzyła na niego z zachwytem. Po raz pierwszy udało jej się złowić tak dużą piękną sztukę. Przyklekła obok i próbując usunąć ukryty w paszczy haczyk, przycisnęła rybę do ziemi. Haczyk tkwił jednak

¹ Shóamin (czyt. Szo-a-min) – Czarna Jagoda

bardzo głęboko. Nie mogła wyjąć go palcami. Przytrzymując dalej swą zdobycz rozglądała się pilnie wokół w poszukiwaniu jakiegoś patyka, którym mogłaby sobie pomóc. Jak na złość, w pobliżu nie było najmniejszej nawet gałązki. Puściła rybę, wyprostowała plecy i... znieruchomiała.

Z gęstwiny wysokich splątanych krzewów na skraj nadrzecznej łąki wysuwało się długie cielsko wielkiego, dzikiego kota. Zwierz sunął tuż przy ziemi, wyciągając przed siebie miękkimi ruchami potężne łapy. Wyprężony grzbiet wraz z wlokącym się po ziemi puszystym ogonem tworzył jedną bardzo długą i prostą linię. Wzrok zwierzęcia utkwiony był w dziewczynie. W zmrużonych ślepiach grały niebezpieczne żółte ogniki. Sunął wolno, cal za cal, nieprzerwanie i pewnie jak przeznaczenie.

Patrząc w jego szeroko rozstawione, błyszczące ślepia wiedziała, że to sam Duch Śmierci stanął na jej ścieżce. Uniosła się z kolan. W blaskach nisko stojącego słońca zaśniły jej czarne długie włosy. Na murawie położył się smukły cień wiotkiej dziewczęcej postaci.

Nie bała się. Była dzieckiem puszczy i wiedziała, że za parę chwil powędruje ścieżką swoich przodków. Wiedziała, że dziewczyna nie oprze się groźnym pazurom ni ostrym kłom drapieżcy. O ucieczce, nawet na drzewo, nie miała co myśleć. Myśliwi mówili, że zwierzęta te wspinały się podobno nawet na najwyższe sosny. Nie знаła zaklęć, które mogłyby odstraszyć sunącego po ziemi kota. Zaklęcia znali tylko mężczyźni. Czekala więc, czekała odważnie i liczyła chwile, które dzieliły ją od śmierci.

Zwierz tymczasem pełznął coraz wolniej. Zbliżył się na piętnaście, potem na dziesięć kroków i przywarował. Jego długi ogon drgnął, uniósł ku górze i zachwiał złowieszczym ruchem; rozwarł szczęki odsłaniając pożółkłe, mocne kły. Z gardzieli wydobył się groźny, przerywany pomruk przypominający odgłos dalekiego grzmotu. Podciągnął pod siebie tylne łapy, potworną paszczę wysunął ku przodowi. Pod futrem zagrały naraz wszystkie ścięgna, napięły się mięśnie. Zwierz znieruchomiał na moment i skoczył...

W tej samej chwili za plecami dziewczyny coś gwałtownie zaszeleściło. Silne ramię odsunęło ją do tyłu, śmigła postać przemknęła obok niej. Ręka uzbrojona w błyszczący nóż węzowym ruchem wysunęła się do przodu. Mężczyzna pchnął zwierza prosto w pierś, zwinął się między jego łapami i za chwilę po zielonej murawie tarzały się w śmiertelnej walce dwa splecione z sobą ciała. Ruchy zwierzęcia i człowieka były szybkie jak myśl. Patrząca na nich dziewczyna widziała raz obnażone kły, to znów błyszczące ostrze stalowego noża. W pewnej chwili człowiek, który cudem znalazł się na wierzchu, pchnął szybko i głęboko. Widocznie broń jego dotarła do źródła życia, bo zwierz znieruchomiał. Jeszcze parę razy ostrymi pazurami szarpał ziemię i zmarł.

Dzika, gwałtowna walka trwała krótko, tak krótko, że dziewczyna nie zdołała wykonać jednego ruchu, a z ust jej nie uleciało najmniejsze tchnienie. Dopiero teraz, gdy niespodziewany obrońca uwolnił stopę spod przyciskającego ją swym ciężarem zwierza, gdy wyszarpnął z jego boku zboczony krwią nóż, pierś patrzącej uniosło głębokie westchnienie. Na z lekka przybladłą twarz wystąpił rumieniec, a ręce ściśnięte dotąd kurczowo na piersi, opadły wzdłuż boków.

Patrzyła bez słowa, ale z jej oczu tchnęło coś takiego, że mężczyzna poczuł, jak krew w jego żyłach popłynęła szybciej niż w chwili, gdy tylko z nożem w ręku skoczył na atakujące dziewczynę zwierzę. Nie odezwał się jednak. Odwrócił wzrok, wytarł o trawę swą broń i zatknął ją za prosty skórzany pas. Ominął stojącą nieruchomo dziewczynę i wszedł do strumienia. Czystą chłodną wodą obmył ciało i wyszedł na brzeg.

Shóamin, która zdążyła uspokoić się nieco, patrzyła teraz na jego szerokie ramiona, silną pierś i mocne nogi, poorane ostrymi pazurami. Widziała, jak z poszarpanych na piersiach i rękach ran sączą się strużki krwi. Dostrzegła też, że jej obrońca to jeszcze młodzieniec. A on nie zdawał się zwracać uwagi na swe rany. Nie patrzył również na pokonanego drapieżnika. Spojrzał na leżącego u stóp dziewczyny dorodnego pstrąga i coś na kształt uśmiechu

przemknęło po jego twarzy. Nie mówił nic. Wiedział, że młodemu mężczyźnie, zwłaszcza obcemu, nie wypada rozmawiać z samotną dziewczyną. Gdyby ktoś z jej wioski usłyszał taką rozmowę, chociażby najbardziej błahą, on i ona mogliby mieć z tego powodu kłopoty. Toteż cofnął się o kilka kroków, podniósł z ziemi niewielkie zawiniątko oraz drewniany cybuch fajki umocowany na dwu rzemieniach, które widocznie złożył gotując się do walki, i zawiesił na swych piersiach.

Dziewczyna zrozumiała. Młodzieniec, który pojawił się tak niespodziewanie i tak odważnie stanął w jej obronie, odbywał daleką drogę. Zawieszony na piersiach, starannie wykonany cybuch mówił, że jego posiadacz podąża długą ścieżką Ducha po czerwony kamień na główkę fajki pokoju. Patrząc na jego pokrwawione ciało i leżącego bez życia zwierza była przekonana, że przejdzie swą ścieżkę i w powrotnej drodze na jego piersi znajdzie się fajka o główce z czerwonej gliny. Raz jeszcze spojrzała na niego i na zniżające się słońce. Młodzieniec stał nieporuszenie, jakby na coś czekał. Domyśliła się, że wobec nadciągającej nocy nie zamierzał wędrować dalej. Cekał widocznie na to, co ona postanowi. Mogła wrócić sama do wioski; mogła poprosić, by podążył za nią. Nie zastanawiała się. Szybko pobiegła nad strumień, gdzie pozostawiła wiklinowy koszyk z wcześniej złowionymi rybami, oderwała kawałek linki przytrzymującej haczyk tkwiący w paszczy żywego jeszcze pstrąga, wrzuciła rybę do koszyka i skinęła na nieznajomego.

Prowadziła go wąską, ledwo widoczną ścieżką. I chociaż sama szła cicho, nie słyszała jego kroków. Wiedziała jednak, że podąża za nią. Przez moment zastanawiała się kim był, do jakiego należał narodu, jak długo mógł znajdować się w podróży. Nie usiłowała jednak tego odgadnąć. Przyśpieszyła kroku. Do wigwamu ojca pragnęła wrócić jeszcze przed zmierzchem, a słońce chyliło się już nad wierzchołkami boru. Przecięła niewielką polankę, przeskoczyła wąski strumyk, na moment zagłębiła się w modrzewiowy zagajnik i wychynęła na niewielkim, trawiastym wzniesieniu. U jego stóp, o jakieś dwieście kroków w dół, tuż nad brzegiem jeziora jaśniały ustawione w szerokim kręgu wigwamy. Pokryte były dużymi płatami kory brzozy. Stały także szałas pełniące prawdopodobnie rolę schowków.

Mimo ciężaru koszyka dziewczyna pobiegła szybko po zboczu. Podążający za nią mężczyzna zatrzymał się jednak i usiadł na skrzyżowanych, podkurczonych nogach. Swym gestem, tam nad potokiem, zaprosiła go wprawdzie, ale rozumiał, że nie wypada, by nie zaproszony przez kogoś ze starszych wkraczał w obręb świętego kręgu obozowych wigwamów. Patrzył jednak uważnie. Było ich wiele. Wioska musiała być liczna. Miał doskonały wzrok, toteż mimo znacznej odległości widział, że większość stanowią wigwamy stożkowe. Były najpewniej zamieszkane przez najbardziej liczących się w wiosce wojowników. Niektóre były zupełnie nowe – błyszczały bielą kory. Inne, te bardziej szare, musiały być wzniesione dawniej. Pociemniały od deszczu i słońca.

Pośrodku, na niewielkim placu, obok białego pomalowanego słupa, na znak, że wioska nie prowadzi z nikim wojny, stał o wiele większy od innych wigwam, w którym musiały odbywać się narady. Nad większością stożków i półokrągłych dachów, poprzez specjalne otwory, snuły się wprost ku niebu wąskie strużki błękitnego dymu. W wiosce panował przedwieczorny ruch. Grupa malców, naśladując dorosłych, wykonywała wojenny taniec wokół białego słupa.

Siedzący na wzgórku obserwował tę scenę. W jego wiosce mali chłopcy również często tak się właśnie bawili. Z placu przeniósł wzrok na wbiegającą do wioski dziewczynę. Nawet z tej odległości mógł podziwiać jeszcze jej wdzięczne, młodzieńcze ruchy. I koszyk – chociaż jak wiedział ciężki – nie wydawał się jej zbyt przeszkadzać. Musiała być silna. Patrzył z przyjemnością na jej sylwetkę i opadające na plecy grube warkocze.

Weszła do trzeciego z kolei wigwamu. Nad jego górnym otworem unosił się również dym. Niemal namacalnie czuł miłą woń palonych w ognisku suchych gałęzi brzozy. Tylko one dawały taki zapach.

Młodzieniec popadł w zadumę. Dziewczyna była piękna. Gdy tam nad potokiem zarzucała wędkę, patrzył na nią z odległości kilkunastu kroków. Widział radość i rumieniec na twarzy, gdy unosiła swą zdobycz znad wody. I widział, jak twarz jej poszarzała na widok cętkowanego drapieżcy. Drgnęło coś wtedy w jego sercu i zrozumiał, że stoczy walkę, że musi ją stoczyć. Chociaż pierwszy raz w życiu spotkał jaguara², nie obawiał się. Nie miał wprawdzie pod ręką swego oszczepu o twardym żelaznym grocie. W daleką podróż nie zabierał również ostrego tomahawka. Nie był wszak na wojennej wyprawie. Posiadał tylko nóż, broń, którą otrzymał niegdyś od czarownika. Pamiętał jednak słowa z jakimi kilkunastoletniemu wówczas chłopcu, ten mądry, rozmawiający z duchami mężczyzna, wręczał ową broń: „W śnie swoim, synu, słyszałeś głos opiekuńczego ducha, który mówił ci, iż nóż twój pożre największego drapieżnika puszczy, a gdy to nastąpi, serce twoje stanie się sercem mężczyzny. Na dźwięk twego imienia drzeć będą ze strachu wrogowie, a niedźwiedź, puma i ryś będą znikły ze ścieżki, po której przejdą twoje mokasyny. Nazywam cię imieniem Jaguar i daję ci ten nóż. Nie rozstawaj się z nim nigdy, a stanie się twoim najwierniejszym przyjacielem”.

I od tamtego czasu młodzieniec nie rozstawiał się z tą bronią. Nie zdarzyło mu się jednak do tego popołudnia stanąć oko w oko z najsłynniejszym, chociaż bardzo rzadko tak daleko na północy widywanym drapieżnikiem, który w te odległe strony zapuszczał się jedynie podczas wyjątkowo upalnego lata lub może wtedy, gdy tak jak dzisiaj miał wypełnić wolę samego Wielkiego Ducha. Gdy młodzieniec ujrzał go niespodziewanie, jak czołga się ku bezbronnej dziewczynie, zrozumiał, że nadeszła chwila, kiedy ma się spełnić przeżyty przed wieloma Zimami³ sen i słowa nieżyjącego już czarownika.

Teraz, jak na mężczyznę przystało, siedział spokojnie i nieporuszenie, lecz fala radości i dumy przepełniała jego serce. Dokonał czynu, jakim nie mógł się poszczycić żaden mężczyzna jego wioski, a świadkiem tego czynu był ktoś, czyj wzrok jaśniał niczym płomień wielkiego ogniska. I chociaż z dziewczyną nie zamienił nawet jednego słowa, oczy jej, gdy patrzyła na niego, powiedziały mu więcej, niż mógł powiedzieć język jakiegokolwiek innej dziewczyny na świecie.

Jasnoczerwona tarcza słońca kryła się za wierzchołkami jodłowego boru, gdy posłyszał szelest kroków. To nadchodzili wysłannicy wioski. Było ich pięciu. Podeszli do miejsca, w którym oczekiwał i dopiero wtedy przystanęli. Nie poruszył się. Patrzyli na niego kilka chwil, po czym trzej z zatkniętymi we włosach orlimi piórami usiedli przed nim z godnością. Dwaj towarzyszący im młodzieńcy stali w dalszym ciągu nieporuszenie.

Po dłuższej chwili milczenia najstarszy z przybyłych wyprostował pochyloną z lekka postać i powiedział przyjaźnie:

– Shóamin, córka Kamiennego Tomahawka – tu wskazał na jednego ze swych towarzyszy – opowiedziała przygodę, jaka spotkała ją nad potokiem. Powiedziała też, czyje ramię stanęło w obronie jej życia. Ludzie Moose⁴ z radością witają tego, w którego piersi mieszka serce szarego niedźwiedzia, a ręka jest szybsza i pewniejsza od lotu strzały. Kimkolwiek jest i skądkolwiek przybywa, witają go w swej wiosce z przyjaźnią, a jeśli przyjmie zaproszenie i zechce zająć miejsce przy wielkim ognisku, lud Łosi na zawsze zachowa w pamięci zaszczyt

² Jaguar – najgroźniejszy i największy drapieżnik amerykański należący do rodziny kotów. Ślady obecności jaguara w XVII w. w rejonie obecnej północnej granicy Stanów Zjednoczonych potwierdzają kupcy futrzani, którzy dotarłszy do krainy Huronów przed 1649 r. spotkali między jeziorami Huron, Ontario i Erie indiańskie plemię, którego mężczyźni odziewali się w skóry jaguarów.

³ Zima – słowo to w języku Odżybuejów – oznacza cały rok.

⁴ Moose (czyt. Mu-us) – Łoś. Wszystkie plemiona odżybuejskie dzieliły się na liczne odrębne grupy, z których każda zajmowała własne tereny łowieckie i żyła niezależnym od innych grup życiem. Zgodnie z pieczołowicie przechowywaną tradycją wchodzący w skład takiej grupy wierzyli, że pochodzą od bardzo dawnego, wspólnego przodka, którym najczęściej miało być jakieś zwierzę, ptak lub ryba. Stąd wśród Odżybuejów większość takich grup lub wiosek nosiła nazwy: Łosie, Lisy, Wilki, Kruki, Wydry, Piżmoszczury, Jelenie itp.

jaki go spotkał. Czy nasz młody brat rozumie mowę Ostrego Noża?

– Jaguar rozumie mowę ludu Łosi i cieszy się, że jego czyn zyskał uznanie doświadczonych mężczyzn. Zaproszenie wodza przyjmuje z wdzięcznością tym bardziej, że na swej długiej ścieżce będzie mógł poznać lud, o którym, gdy był jeszcze małym chłopcem, opowiadała mu jego matka.

Trzej wodzowie popatrzyli na niego z sympatią. Ostry Nóż, usłyszawszy imię młodzieńca, z wyraźnym zaciekawieniem wpatrywał się w jego twarz i chociaż nie chciał okazać się niedyskretny, spytał:

– Nasz brat wymienił swoje imię. Czy mówi ono, że już kiedyś walczył z tym zwierzęciem i pokonał je? Jest jeszcze bardzo młody?

– Nie, imię to nadał mu dawno temu czarownik narodu Mohawk⁵, ale zwierzę, którego imię nosi, Jaguar spotkał na swej ścieżce pierwszy raz w życiu.

Wódz z uznaniem pokiwał głową.

– W takim razie Jaguar zasługuje na jeszcze większe uznanie, niż myśleliśmy. Prosimy, by udał się z nami teraz do wioski, a młodzi myśliwi, którzy towarzyszą wodzowi, pójdą nad potok i przyniosą zwierzę. Ostry Nóż, Kamienny Tomahawk i Dzielne Serce – tu wskazał drugiego z wodzów – zapraszają go serdecznie w imieniu wioski. – Z tymi słowy wstał, a towarzyszący wodzom młodzieńcy udali się bez słowa nad potok.

Wkraczając do wioski Jaguar czuł, że obserwuje go wiele par oczu, ale obserwuje dyskretnie, tak by nie urazić go zbytnią ciekawością. Szedł więc nie rozglądając się, nie dając poznać po sobie uczucia skrępowania. Wodzowie prowadzili go przez środek placu obok białego pomalowanego słupa.

Przed wigwamem większym od innych układano w duży stos pęki chrustu i suchych, grubych gałęzi. Wigwam stał w środkowej części kręgu i należał niewątpliwie do Ostrego Noża. Obok stał drugi, znacznie mniejszy. Okrywające go płyty kory nie były nowe, ale jeszcze bardzo solidne. Do niego właśnie wprowadzono gościa wioski.

Wnętrze było skromne. W głębi leżało kilka skór pokrytych gęstym futrem. Na środku złożono sporą wiązkę chrustu. Na kilku płatach kory leżał tłusty kawał mięsa. Widocznie gościnni gospodarze sądzili, że wędrowiec może być głodny.

– Tutaj – powiedział Ostry Nóż – zamieszka Jaguar tak długo, aż nabierze sił do dalszej podróży. Myśliwi ludu Moose zaopatrzą go w mięso, a kobiety ugotują mu zawsze gorącej zupy. Teraz niech ich młody brat odpocznie chwilę. Przyjdzie czarownik i opatrzy jego rany. Gdy rozlegnie się pierwszy głos puszczyka, Jaguar przy blasku obozowego ogniska zobaczy, jak mężczyźni Łosi wykonują taniec na cześć dzielnego myśliwego.

Młodzieniec skinął w milczeniu głową. Wodzowie wyszli na zewnątrz. Przy skąpym świetle wieczoru rozejrzał się po wnętrzu swego schronienia. Musiało być od dawna nie zamieszkane. Usiadł na skórah i czekał. Ale niezbyt długo. W odsłoniętym otworze wejściowym pojawiła się postać czarownika. Całą jego głowę okrywał wilczy łeb ze stojącymi uszami i pyskiem, z którego wystawały prawdziwe kły. Z ramion zwisała ogromna skóra wilka, której ogon opadał prawie do ziemi. Na tle szarego nieba czarownik wyglądał jak wysłannik wilczej hordy.

Wszedłszy do wnętrza przez chwilę oswajał się z gęstniejącym mrokiem, w końcu dostrzegł postać młodzieńca, bo podszedł do niego i pozdrowił go uprzejmie:

– Krzywy Róg, czarownik Łosi, wita syna odważnego narodu Mohawk. Przyszedł opatrzyć rany, jakie Jaguar odniósł w walce z dzikim zwierzem. Niektóre z nich, jak mówili wodzowie, są głębokie. Niech Jaguar rozpali ogień, bym mógł zobaczyć ślady pazurów zwierzęcia.

⁵ Mohawk – dosłownie „zjadacz ludzi”. Nazwa jednego z pięciu plemion żyjących na południe i wschód od jeziora Ontario, tworzących Ligę Irokezów. Irokezi często walczyli z plemionami odżybuejskimi i innymi algonkińskimi. Ich wojenne wyprawy docierały na zachód aż do Gór Skalistych, a na południu, jak podają kroniki, do Północnej, a nawet Południowej Karoliny.

Młodzieniec podniósł się i za pomocą dwu ostrych kamieni skrzesał ogień. W kilkanaście chwil później na środku wigwamu zapłonęło niewielkie ognisko. Czarownik z przyniesionego przez siebie skórzanego worka szybko wyjmował i układał na ziemi oznaczone różnymi barwami i tajemniczymi znakami mniejsze woreczki. Następnie począł badać rany. Suchymi kościstymi palcami uciskał wokół nich ciało, ostrzem sporządzonym z dużej rzecznej muszli odcinał zwisające strzępki skóry, rozdrapywał najmniejsze skaleczenia, pozwalając, by wypłynęła z nich krew. Niektóre rany obwachiwał, zakrzepłą na nich krew rozcierał na języku i badał jej smak. Wypowiadał jakieś niezrozumiałe, dziwne słowa. Co jakiś czas zanurzał w naczyniu z brunatnym płynem pomazane krwią palce i obmywał je. Wreszcie skończył oględziny, wytarł ręce i powiedział:

– Zwierz nie zdołał uczynić wielkiej krzywdy swemu pogromcy. Rany, chociaż głębokie, nie są niebezpieczne. Krzywy Róg zaraz je opatrzy – z tymi słowy sięgnął po przyniesione woreczki. Zawartość kilku z nich wysypał do sporego drewnianego naczynia, rozcieńczył wodą i starannie wymieszał. Tak sporządzonym lekiem nasączył rany i owinał je przyniesionym z sobą świeżo zdartym z drzewa wierzbowym łykiem. Teraz z woreczka zawieszonego u pasa wydobyl sporą garść ziół i rzucił w ogień. Nad płomieniami uniósł się delikatny obłok pachnącego dymu. Czarownik zanurzył w nim obydwie ręce i wyrzucił z siebie kilka chrapliwych okrzyków. Spod gęstych, krzacastych brwi spojrzał ostro na swego pacjenta i powiedział groźnie:

– Krzywy Róg wypędził z ran złe duchy i spalił je, ale niech Jaguar wystrzega się, by nie weszły tam inne i nie spowodowały złej gorączki. By się przed tym zabezpieczyć, Mohawk, do czasu aż rany nie zasklepią się dobrze, będzie je przemywał codziennie płynem z tej małej tytkwy. Gdyby zaniechał tego obowiązku, złe duchy ukarzą go.

Młodzieniec skinął ze zrozumieniem głową i powiedział:

– Jaguar zastosuje się do poleceń Krzywego Roga. Nie ma nic, by mu się odwdzińczyć za pomoc, ale gdy będzie wracał ze świętych kamieniołomów, przyjdzie podziękować raz jeszcze.

Noc uczyniła się czarna. Gdzieś z głębi puszczy dobiegło dalekie pohukiwanie szarej sowy. Czarownik zapakował swoje leki i powiedział:

– Chodźmy!

Gdy wyszli przed wigwam, ujrzeni, że na obszernej polanie zebrali się wszyscy mieszkańcy wioski. Było ich przynajmniej cztery razy po stu. Ostry Nóż, widząc nadchodzących, podpalił wielki stos drzewa. Podeszedł do gościa wioski, oparł dłoń na jego ramieniu i zwrócił się do zebranych:

– Zwołałem dziś mych braci i siostry, by poznali dzielnego myśliwego ze wschodu, myśliwego, który chociaż nie jest nazywany jeszcze wojownikiem, gdyż nie posiada fajki pokoju, ma dzielność i odwagę niedźwiedzia, jest szybki jak jaskółka w locie, mocny jak stuletni dąb, w sercu jego nie ma lęku – mieszka tam dobroć i szlachetność. Znajdując się na świętej ścieżce pokoju, ujrzał nad potokiem najdziksze zwierzę puszczy. Zwierzę to chciało rozszarpać naszą młodą siostrę. Myśliwy, który stoi tu przed wami, mógł odejść i pozostawić ją samą, mógł zostawić zwierzę i pójść swoją ścieżką przeznaczenia. Mógł wreszcie pamiętać o tym, że jego i nasi ojcowie nieraz walczyli między sobą i do dzisiaj pozostają wrogami, a więc nie musiał ratować córki wrogiego mu ludu. On jednak nie odszedł. Nie zostawił jej kłom i pazurom jaguara. Naraził swoje życie, by uratować życie jej. Naraził swoje życie, bo wiedział przecież, że nawet najbardziej dzielny i silny myśliwy nie jest w stanie samotnie, samym tylko nożem pokonać jaguara. Jaguara może pokonać tylko drugi jaguar. Młodzieniec, który darował dziś życie córce Kamiennego Tomahawka, nosi właśnie imię Jaguar. Mimo iż Jaguar pochodzi z wrogiego nam ludu, zasługuje na naszą wdzięczność i szacunek. Niech w wiosce Łosi czuje się jak ich brat, dzisiaj i zawsze wtedy, gdy mokasyny jego przyprowadzą go w te odległe dla niego strony. Czy nasz młody brat chciałby może coś powiedzieć ludziom

Moose?

Jaguar skinął głową i wysunął się nieco do przodu.

– Mohawk nie umie mówić tak pięknie jak Ostry Nóż, toteż to, co pragnie powiedzieć, powie prostymi słowami. Chociaż na piersiach nie nosi jeszcze fajki pokoju, czuje się już mężczyzną. Jak każdy mężczyzna kocha walkę i łowy, ale walkę sprawiedliwą, w której przeciwnicy są sobie równi. Dziś nad potokiem ujrzał, jak jaguar chce zabrać życie młodej dziewczynie. Zwierz był znacznie silniejszy i nie miał prawa jej atakować. Mohawk zrozumiał, że jego obowiązkiem jest dziewczynie pomóc. Dlatego zabił zwierzę. Cieszy się, że Moose pochwalają ten czyn i dlatego jest z niego dumny. Walkę tę rozumiał jako swój obowiązek wobec słabszej siostry. W sercu Jaguara nie gościła nigdy nienawiść do żadnego ludu. Jego myśli są czyste. O ludziach Moose będzie pamiętać zawsze jak o swych braciach i nie wstąpi przeciwko nim nigdy na ścieżkę wojny.

Ostatnie jego słowa powitał głośny szmer uznania. Wódz ujął go ponownie pod rękę, podprowadził do środkowej części kręgu najstarszych mężczyzn i wskazał miejsce obok siebie. Ognisko rozbłysło jasnym płomieniem.

Jaguar rozejrzał się ciekawie. Przed wejściem do wigwamu wodza, na grubych niedźwiedzych skórach zasiedli starsi wojownicy plemienia, wśród których znajdowało się również jego miejsce. Obok starszyny, po obydwu jej stronach, usadowili się mężczyźni młodszy; jeszcze dalej kilku- i kilkunastoletni chłopcy. Krąg po przeciwnej stronie zajmowały kobiety i starsze dziewczęta. Wśród tych ostatnich bez trudu dostrzegł dziewczynę, której uratował życie. Stała w gronie innych dziewcząt, lecz wyróżniała się wśród nich. Była wyższa, smuklejsza. Dwa grube warkocze spływały jej luźno przez piersi i sięgały krańca jasnej spódniczki, zakrywającej kolana. Miała delikatne rysy twarzy, na której refleksy światła kładły teraz przedziwne barwy. We włosy, tuż nad skronią, wpięła małą krzewinkę czarnej jagody. I znów, jak tam nad potokiem, poczuł przyspieszone krążenie krwi. Z trudem oderwał wzrok od dziewczyny.

W tym momencie czterech mężczyzn, posuwając się tanecznym krokiem, wniosło na plac zwierzę obleczone w skórę podobną do skóry jaguara. Tancerze, których prowadził Kamienny Tomahawk, złożyli je o kilka kroków od ogniska. Ułożyli na brzuchu z wyciągniętymi przednimi i podkurczonymi tylnymi łapami, z pyskiem zwróconym w stronę kręgu starszych. Zwierz sprawiał wrażenie, jak gdyby w tej pozycji gotował się do skoku. Był ogromny i groźny.

Odezwał się głos grzechotek. Tańczący drobnymi krokami zatoczyli wokół martwego zwierza duży krąg. Udawali, że go nie dostrzegają. Ręce ich zwisały swobodnie wzdłuż ciała. Nisko spuszczone głowy zdawały się wskazywać, iż poszukują tropów zwierzyny. W rytm grzechotek pochylali ciała ku ziemi dotykając jej lekko palcami, jak gdyby badali ślady, to znów prostowali przygięte plecy. W miarę upływu czasu rytm stawał się szybszy, tancerze poczynali wykazywać coraz większe podniecenie. Ich ruchy, mimo iż płynne jak poprzednio, poczęły zdradzać coraz większą nerwowość.

Nagle, na znak dany przez prowadzącego, przypadli do ziemi; ich dłonie badały każde źdźbło trawy, każdą nierówność gruntu. Poderwali się, ręce sięgnęły po zatkniętą za pasem broń, ruchy stały się szybsze. Skręty czujnych, gotowych do walki postaci znamionowała zręczność i szybkość.

Na skraju kręgu widzów pojawił się długi, wysmukły cień. Sunął tuż przy ziemi. Gdy znalazł się w zasięgu światła, patrzący ujrzeli piątego tancerza przybranego w skórę jaguara. Zwierz pełznął po ziemi wlokąc za sobą długi, wyprostowany ogon. Do złudzenia przypominał żywe zwierzę. Dotarłszy w środek tańczących rozwarł uzbrojoną w rząd wielkich kłów paszczę. Groźny pomruk wydobył się z jego gardzieli.

W rękach tańczących błysnęły noże, postacie pochylili się do przodu, spięły mięśnie.

Piąty tancerz, naśladujący zwierzę, jeszcze szerzej rozwarł paszczę i skoczył na

najbliższego z myśliwych. Zawrzała walka. W mgnieniu oka zwierz i tancerze utworzyli kłębowisko ciał. Błyskały noże; myśliwi skakali w kierunku zwierza, zadając mu ciosy i odskakiwali ponownie. Zwierz miotał się wysuwając i cofając swoje pazury. W końcu ugodzony śmiertelnie, padł z podkurczonymi łapami. Z jego paszczy wydobył się ostatni rozpaczliwy pomruk. Zwycięzca oparł na pokonanej bestii stopę, wznosił do góry rękę zbrojną w błyszczące ostrze i wydał zwycięski okrzyk.

Na ten znak tancerze zatoczyli wokół martwego jaguara szeroki krąg. Zbliżali się do niego, oddalali, lecz w ruchach ich nie znać już było poprzedniej czujności i ostrożności. Wirowali szybko, płynnie, wybijając stopami swobodny rytm tańca myśliwych. W końcu podbiegli do leżącego zwierza, podnieśli go z ziemi i zdarli z niego skórę.

Taniec skończył się. Przed oczyma zebranych ukazał się prawie nagi młodzieniec okryty jedynie przepaską biodrową. Oddychał szybko, był zmęczony tańcem i pozorowaną walką. Podeszedł do Jaguara i spytał miękko, młodzieńczym głosem:

– Czy prawdziwy zwierz bronił się dzielniej i atakował lepiej niż Sasay’ga⁶?

Jaguar uśmiechnął się i zachwycony tańcem młodzieńca, przypominającym do złudzenia ruchy prawdziwego drapieżnika, pokręcił przecząco głową:

– Gdyby zwierz walczył tak jak Sasay’ga, Jaguar nie mógłby zachwycać się tańcem swego brata – nie żyłby już. Sasay’ga pokazał, że umie naśladować ruchy zwierzęcia i jego głos oraz sposób walki tak, jakby urodził się w jego skórze.

Młody Moose, słysząc pochwałę wygłoszoną w obecności innych i to przez tak dzielnego myśliwego, uśmiechnął się szeroko, lecz odparł skromnie:

– Siostra jego, Shóamin, pokazała mu jak zachowywał się zwierz. Sasay’ga starał się tylko naśladować jego ruchy, tak jak pokazała mu je siostra, ale cieszy się, że taniec podobał się jego bratu. Był to taniec na jego cześć.

Nadszedł Kamienny Tomahawk, który obydwu pozostałych wodzów, Jaguara i wszystkich starszych mężczyzn zaprosił na ucztę do swego obszernego wigwamu.

Gdy każdy z obecnych zaspokoił głód, gospodarz wstał i zwrócił się do Jaguara:

– Brat nasz wspominał już wodzom, że przybywa z dalekiego kraju Mohawków, którzy żyją za pięcioma Wielkimi Wodami tam, gdzie codziennie słońce wylania się znad wierzchołków drzew. Mężczyźni Moose są ciekawi, czy lud Mohawków żyje i mieszka tam od dawna, czy przywędrował z innych stron, skąd pochodzą przodkowie przodków tego ludu i jakiemu duchowi składają ofiary. Kamienny Tomahawk pyta o to również dlatego, gdyż chce wiedzieć, jaki duch kierował krokami jego młodego brata, że przywiodły go w miejsce, gdzie jego silne ramię odsunęło nieszczęście, jakie mogło spaść na siwe włosy ojca i matki Shóamin. Zgodnie ze zwyczajami Moose, ojciec pragnąłby duchowi temu, chociaż go nie zna, złożyć w podzięcie ofiarę, jaką jego bracia składają swym duchom opiekuńczym i najwyższemu duchowi Keezhá-muhnedoo⁷. Czy nasz młody brat, który przyniósł dziś szczęście i radość do wioski, spełni prośbę ojca?

Jaguar na znak szacunku dla siwych włosów wodza i jego prośby schylił głowę i odparł:

– Mohawk rozumie uczucia ojca i matki oraz ciekawość zebranych tu mężczyzn i chętnie opowie o tym, skąd na ziemi wzięli się Mohawkowie i inni Uhnishenáhbog⁸. – Chwilę milczał, jakby przypominając sobie najdawniejsze dzieje swego ludu, które czasem opowiadali starcy. Twarz jego stała się poważna. Gdy przemówił, głos brzmiał jak echo zamierzchłej przeszłości: – Kiedyś, bardzo dawno temu, Wielki Duch rządzący wysoką krainą zawieszoną między gwiazdami, zesłał na dół piękną dziewczynę. Dziewczyna była brzemienna i wkrótce na wyspie spoczywającej na grzbiecie Wielkiego Żółwia urodziła bliźnięta – dwu synów. Obydwaj, mimo że podobni do dzisiejszych ludzi, byli duchami.

⁶ Sasay’ga (czyt. Sa-sa-y-ga) – Przystojny, Ładny

⁷ Keezhá-muhnedoo (czyt. Ki-że ma-ni-du) – Wielki Duch

⁸ Uhnishenáhbog (czyt. A-ni-szi-na-beg) – Indianie

Pierwszy z nich, Tsentsa, był Duchem Dobra; drugi, Taweskare, Duchem Zła.

Taweskare natychmiast po swym urodzeniu zabił matkę. Wychowywała ich więc babka, którą Wielki Duch zesłał także na wyspę. Wyspa ta dzięki magicznej sile ziemi, z jakiej została ulepiona, stała się wkrótce tak wielka jak cały obecny świat i nadal spoczywa na grzbiecie Wielkiego Żółwia.

Tsentsa i Taweskare rośli szybko i zdrowo, różnili się jednak między sobą. Tsentsa tworzył rzeczy piękne i dobre; Taweskare – rzeczy brzydkie i złe.

Tsentsa, widząc od dzieciństwa wokół siebie nagą, smutną ziemię, gdy stał się dorosły, stworzył na niej wiecznie zielone puszcze, łagodne wzgórza, czyste, o przezroczystej wodzie rzeki i jeziora, szemrzące strumyki, drzewa o smacznych, soczystych owocach i różne jagody. Kiedy praca zmęczyła go – odpoczywał. Wtedy Taweskare – Duch Zła, podnosił pagórki i czynił z nich nagie surowe skały; w miejsce trawiastych dolin rył głębokie ponure jary i parowy, na rzekach i strumieniach budował przeszkody, huczące wodospady i zdradliwe wiry. W zielonych puszczach miękkie mech zamieniał w grząskie bagna i cuchnące topieliska.

Gdy Tsentsa stworzył łagodne tłuste zwierzęta, różne piękne ptaki, barwiąc je cudownymi kolorami i obdarowując pięknymi głosami, Taweskare wiele z ptaków uczynił brzydkimi, odebrał im ich cudowne kolory i pięknie brzmiące głosy. Stworzył zwierzęta brzydkie, drapieżne i nauczył je pożerać słabsze.

Tsentsa wszystkie wody napełnił smaczными, tłustymi, pokrytymi delikatną skórką rybami; jego brat pokrył wtedy ryby twardą kłującą łuską, a ciała ich wypełnił ostrymi ościami. W soczystych owocach poumieszczał twarde pestki, w ukwieconych krzewach poukrywał trujące kolce. Z nienawiści do wszystkiego co dobre i piękne stworzył na ziemi choroby, ból i cierpienia oraz wszelkie nieszczęścia, lecz pokonany wreszcie przez Tsentsę wycofał się daleko na zachód. I tam, szalejąc z wściekłości po doznanej porażce, powywracał ziemię, tworząc z niej potężne góry, najeżone ostrymi głazami, pocięte głębokimi wąwozami, przepaściami oraz niewidocznymi, zdradliwymi szczelinami.

Wreszcie Tsentsa stworzył ludzi dobrych, dzielnych i mądrych. Wtedy brat jego w wielu sercach posiał uczucia zazdrości i nienawiści, pychy i chciwości, które skłaniały ich do walki między sobą oraz do bezrozumnego tępienia zwierząt i ptaków. Pragnąc za wszystkie doznane porażki i klęski zemścić się na swym bliźniaczym bracie – do wielkiej krainy, w której Tsentsa stworzył wiele szczęśliwych wolnych narodów – Taweskare przywiódł strasznego białego człowieka.

Bracia Jaguara wierzą, że na wyspie Ziemi, unoszonej nadal na grzbiecie Wielkiego Żółwia, walczą do dzisiaj Tsentsa i Taweskare, a w miejscu gdzie dała im życie, unosi się duch ich matki – Hanaghgwayenden, uśmierconej przez własnego syna, Ducha Zła.

Naród Jaguara, podobnie jak wszystkie narody zamieszkujące puszcze na wschód od pięciu Wielkich Jezior, został stworzony przez Tsentsę z woli Wielkiego Ducha, ale w sercach niektórych Uhnishenáhbag Taweskare posiał również ziarna zła, z których rodzą się niedobre owoce.

Mohawkowie czczą Wielkiego Ducha; a lud Jaguara, gdy spotyka się na wielkich uroczystościach, składa mu ofiary. Czczą i kochają Tsentsę i jego matkę Hanaghgwayenden i często modlą się do nich. Składają ofiary Słońcu i Księżycowi oraz gwiazdom, które jeszcze przed urodzeniem się Tsentsy i Taweskare zawiesił, na niebie Mały Żółw.

Każdy Mohawk posiada także swego ducha opiekuńczego, którym pomaga mu w codziennych kłopotach, osłania w walce i chroni przed różnymi nieszczęściami. Jaguar wierzy w to, w co wierzą jego bracia oraz lud matki i stara się przestrzegać praw ustanowionych przez Tsentsę. – Młodzieniec zamilkł, wpatrzył się w płonący ogień.

Gdy późno w nocy wracał do siebie, księżyc przesunął się znacznie na zachodnią stronę nieba. Przechodząc koło wigwamu czarownika drgnął w pewnej chwili i zatrzymał się. Z wnętrza dobiegały jakieś podejrzane odgłosy. Zamierzał już pójść dalej, gdy dobiegł go

wyraźniejszy głos. Mówił czarownik, niezbyt głośno, ale stanowczo, tak jakby przekonywał kogoś o czymś. Jaguar jednak nie mógł zrozumieć jego słów. Były wypowiedane w jakimś dziwnym, obcym, i zupełnie nieznanym mu języku. I nie czuć było w nich gniewu.

Chwilę stał jeszcze, w końcu wycofał się bezszelestnie. Krzywy Róg nie powinien spostrzec, że znajdował się w pobliżu i słuchał. Mógłby się wtedy obrazić i kto wie, jakie nieszczęście sprowadzić na niego. Ciekaw był jednak, z kim Krzywy Róg rozmawiał tak późno w noc.

Rozdział drugi

Tajemnica Krzywego Roga

Nim poranny świt rozproszył gęste ciemności nocy, przebudził się. Spojrzał odruchowo w górę, lecz nad znajdującym się powyżej otworem nie dostrzegł odległego, błyszczącego światelka gwiazdy, która patrzyła na jego sen. Nadchodził dzień.

Mimo chłodu podążył nad brzeg jeziora i w czystej wodzie umył twarz. Wioska nie przebudziła się jeszcze. Powrócił do siebie, odkroił spory kawał nienaruszonego do tej pory mięsa – resztę zawiesił na sęku jednego ze słupów podtrzymujących okrycie wigwamu. Odcięty kawałek zawinał w szeroki liść i nie budząc mieszkańców, lekkim krokiem poszedł ścieżyną, którą ubiegłego dnia Shóamin prowadziła go do wioski.

Gdy dotarł nad potok, w przezroczystej wodzie odbiły się pierwsze promienie słońca. Przystanął w miejscu, gdzie stoczył walkę i z ciekawością patrzył na pogniecioną trawę i porozrywaną gdzieniegdzie ziemię. W kilku miejscach szerokie zielone żdźbła przybarwiła czerń zakrzepłej krwi. Mogła to być jego krew lub krew pokonanego zwierzęcia. Niewielka polanka, będąca jeszcze wczoraj widownią gwałtownej walki, tchnęła dziś spokojem i ciszą.

Pierś młodzieńca wypełniła duma i radość. Trwał chwilę w bezruchu, dziękując swemu opiekuńczemu duchowi za zwycięstwo, po czym ruszył w górę potoku. Nie spieszył się. Tu i ówdzie przystawał, zatrzymywał nad wykrotami, pod którymi woda była nieco głębsza. Przy samym dnie, wśród wartkiego nurtu, widział uwijające się pstragi, a dwukrotnie ułowił srebrzystą smugę łososia. W miejscach, gdzie woda była spokojniejsza, a ukształtowanie brzegu tworzyło zaciszne kryjówki, w ciepłych promieniach słońca wygrzewały się duże szczupaki i stadka niewielkich okoni. Gdzieniegdzie spod kamieni wysuwały swe ostre szczypcy duże brunatnoczerwone raki. Przez chwilę żałował, że nie zabrał z sobą ościenia lub łuku. Mógłby bez trudu nałowić wiele ryb. Żal ten trwał jednak krótko. Pożywienia wszak nie potrzebował – miał je z sobą.

Na widok dużego pstrąga, który w pogoni za nisko przelatującym owadem wyskoczył nad wodę, uśmiechnął się. Owad nie był tak szybki jak ryba. W jednej chwili zniknął w jej paszczy. Przystanął i skrył się za kępą wikliny. Ciekaw był drugiego ataku ryby. Mijały chwile; powierzchnia wody uspokoiła się. Opadł na nią łagodnie jeden owad, drugi. Pstrąg jednak nie atakował. Może nasycił głód – pomyślał młodzieniec, a może coś go zaniepokoiło?

Rozejrzał się ostrożnie i ponownie uśmiechnął. Ryba była mądra i widziała lepiej niż on. O kilka kroków od miejsca, w którym polowała, wychynał zza kamienia spiczasty, wąski nos wydry. Nekeek⁹ musiała czaić się tam od dłuższej chwili, widząc jednak, że pstrąg skrył się przed jej ostrymi zębami, zrezygnowała ze zdobyczy i dała się spokojnie unieść prądowi. I dla niej polowanie w pobliżu czającego się człowieka nie było widocznie zbyt bezpieczne. Wkrótce skryła się za niewielkim zakrętem i w chwili, gdy jej smukły, długi cień zniknął z pola widzenia, pstrąg uderzył ponownie. Tym razem łupem jego padł duży zielony skoczek, który niebacznie dostał się do wody.

Jaguar uśmiechnął się ponownie. Mądra ryba – stwierdził w duchu i zamierzał opuścić już swą kryjówkę, gdy nagle znieruchomiał. Z niewielkiej odległości dobiegł go jakiś odgłos, jakby szmer potrąconego kamienia. Rozejrzał się szybko wokół i dostrzegłszy wysokie

⁹ Nekeek (czyt. ni-ki:k) – wydra

liściaste drzewo dopadł go kilkoma susami. Po prawie gładkim pniu wdrapał się w górę, wypatrzył dwa grube konary i wcisnął między nie tak, że z dołu nie mogło go dostrzec oko najbardziej doświadczonego tropiciela.

W niewielkiej już odległości posłyszał przytłumione głosy i wkrótce poprzez gęstwą liści dostrzegł wyłaniające się zza pobliskich, nadrzecznych zarośli, dwie postacie ludzkie.

Słyszając nie ściszone wcale głosy rozmawiających i poznawszy, że nadchodzący to chłopak i dziewczyna, zawstydził się swej przedwczesnej i niepotrzebnej ostrożności. Nie kryli się. Rozmawiali głośno. Nie mogli mieć wobec wioski żadnych nieprzyjaznych zamiarów. Sami na pewno w niej mieszkali. Już, już zamierzał uczynić jakiś ruch, by dać im znać, że ktoś trzeci jest w pobliżu, gdy nagle usłyszał wymówione wyraźnie swoje imię. Rozmawiali o nim. Nie mógł ujawnić swej obecności dopiero teraz, nie mógł zdradzić, że z rozmowy tej słyszał chociażby jedno słowo. Przytaił oddech i zamarł w bezruchu. Mówiła właśnie dziewczyna:

– Mój brat wzbrania się przed tym, by pójść do świętych kamieniołomów, tłumacząc to koniecznością polowania dla zgromadzenia zapasów mięsa na zimę. Mówi, że ojciec jest coraz starszy i potrzebuje pomocy syna. To prawda, Kamienny Tomahawk nie ma już lekkiego kroku i pod ciężarem upolowanego zwierza barki jego uginają się bardziej niż kiedyś. Shóamin widzi to równie dobrze jak Sasay'ga. Ale Shóamin wie, że ojcu w polowaniach od wielu już Księżyców¹⁰ pomagają głównie dwaj młodszy synowie. Sasay'ga wychodzi na polowania, wychodzi dosyć często, ale jako jedyną broń zabiera z sobą flet, którego głosem wabi zwierzynę w pobliżu wigwamu Dzielnego Serca – dziewczyna wyrzuciwszy te złośliwe słowa sama parsknęła śmiechem. Jej towarzysz, któremu do żywego dopiekiły kpiny siostry, zawołał z oburzeniem:

– Shóamin jest niesprawiedliwa! Czyż mężczyzna nie ma prawa grać przed wigwamem jakiegokolwiek dziewczyny, jeśli chce i jeśli dziewczynie się to podoba?

– Siostra nie jest niesprawiedliwa względem brata. Mówi mu może gorzkie, ale prawdziwe słowa. Nie wypowiadałaby ich, gdyby Sasay'ga był mężczyzną. Ale nie jest nim jeszcze i nie może przy swym własnym ognisku posadzić Młodej Sosenki. Na jego piersi nie ma jeszcze świętej fajki z czerwonego kamienia¹¹. Jeśli nie chce, by mężczyźni zaczęli się z niego śmiać i jeśli nie chce, by Młoda Sosenka odwróciła od niego swe myśli i serce, nie powinien czekać zbyt długo. Nim nie stanie się wojownikiem, córka Dzielnego Serca nie wyjdzie na głos jego fletu, nawet gdyby bardzo chciała.

Młodzieniec, do którego zwrócone były te słowa, przystanął, zatrzymała się także jego siostra. Milczeli dłuższą chwilę, wreszcie Sasay'ga obrócił się ku dziewczynie i przyznał z rezygnacją:

– Shóamin ma rację, ale czemu właśnie dziś mówi mi o tym wszystkim? Nigdy dotąd nie radziła mi, bym udał się po święty kamień.

Dziewczyna uniosła lekko głowę i spojrzała bratu prosto w oczy.

– Shóamin rozumie dziś to, co może czuć Młoda Sosenka, słysząc pieśń graną przez Sasay'gę przy świetle księżyca.

– Siostra moja rozumie to dziś? Nie rozumiała nigdy wcześniej? – był wyraźnie zdziwiony. Dziewczyna opuściła nisko głowę. – A więc dopiero od chwili gdy siostra Sasay'gi ujrzała Jaguara, zrozumiała mowę swego serca? Dlaczego jednak pragnie, by właśnie jej brat udał się z Jaguarem po święty kamień? Mohawk opuści nas pewnie wkrótce. Może się śpieszy? Może i on pragnie jak najszybciej zostać mężczyzną dlatego, że serce swe i myśli podarował jakiejś

¹⁰ Księżyc – słowo to w języku Odzybuejów oznacza cały miesiąc.

¹¹ Czerwony kamień – czerwona glina wydobywana w kamieniołomie Pipestone znajdującym się na terytoriach Dakotów w południowo-zachodniej części dzisiejszego stanu Minnesota. Glina ta charakteryzuje się tym, że po wydobyciu jest miękka i łatwo daje się obrabiać. Po wyschnięciu na powietrzu staje się twarda jak kamień. Fajka pokoju, której główka została wykonana z czerwonego kamienia była szczególnie ceniona przez Indian.

dziewczynie i pragnie, by jak najszybciej zasiadła przy ognisku w jego Długim Domu?

– Nie, to nieprawda – wybuchnęła gwałtownie.

– Skąd to wie moja siostra? Nie rozmawiała z nim przecież.

– Shóamin nie rozmawiała z nim, ale widziała jego oczy, gdy patrzył na nią tam, gdzie złowiła dużą rybę. I widziała jego wzrok później, w wigwamie ojca. Wie, że nie oddał myśli innej dziewczynie.

– Ale brat nie pomoże przecież siostrze i na długiej, dalekiej ścieżce nie ustrzeże serca Jaguara.

– Siostra to wie. Każda dziewczyna, poza Młodą Sosenką – dodała przezornie – obróci za nim swe oczy i Shóamin nie lęka się tego. Jeśli Jaguar podaruje serce innej dziewczynie, siostra nie powie nawet jednego słowa skargi i każe na zawsze zamilknąć swemu sercu. Córka Kamiennego Tomahawka wie jednak, że droga do świętych kamieniołomów jest długa i wiele na niej niebezpieczeństw. Rozumie, że dwu dzielnych i rozważnych mężczyzn przemierzy ją łatwiej i bezpieczniej niż jeden. Nie chce, by się stało coś Jaguarowi. Niech brat spełni prośbę siostry, a Shóamin będzie prosiła ojca, by gość wioski pozostał w niej tak długo, aż Sasay'ga zdąży przygotować się do podróży.

Brat dziewczyny podczas całej tej długiej przemowy, jakiej nigdy dotąd nie słyszał z ust swej młodszej siostry, stał jak skamieniały. Gdy skończyła, z ust jego wydobyło się tylko jedno długie, przeciągłe – uff... – Otoczył siostrę ramieniem. Jego młodzieńcza twarz złagodniała, powiedział miękko:

– Chodźmy! Sasay'ga jeszcze dziś porozmawia z ojcem i poprosi czarownika o radę i pomoc w przygotowaniu cybucha do fajki.

Dziewczyna rzuciła mu się na szyję, po czym z radości fuknęła koziółka. Gdy ponownie stanęła przed bratem, powiedziała jakoś tak trochę nieśmiało.

– Obie z Młodą Sosenką będziemy niecierpliwie czekały na powrót Sasay'gi i... Jaguara. – Wypowiedziawszy te słowa, szybko podążyła w dół potoku; brat poszedł za nią.

Jaguar długo jeszcze tkwił wciśnięty między dwa konary. Wstydził się tego, że wysłuchał słów, które nie były przeznaczone dla jego uszu, ale jednocześnie czuł w sercu coś dotąd nieznanego, coś, co powodowało, że zapachniały liście drzewa, a głosy śpiewających ptaków wydały mu się nagle piękniejsze i cieplejsze niż kiedykolwiek. – A więc Shóamin pragnęła, by wrócił, pragnęła tego nie z wdzięczności za uratowanie jej życia, lecz dlatego, że przebudził jej serce.

Zsunął się ostrożnie z drzewa i rozejrzał wokół. Nie zostawił tu nigdzie żadnych śladów. Był pewien, że również w dole potoku mokasyny jego w żadnym miejscu nie dotknęły gołej ziemi.

Skierował się w przeciwną stronę niż rodzeństwo. Nim słońce minęło pierwszą ćwiartkę nieba, po drugiej stronie jeziora, do którego przylegała wioska, nad niewielkim ogniskiem piekł zabrane z sobą mięso. Był już spokojny o to, że nikt nigdy nie dowie się, że tego właśnie ranka przebywał nad potokiem. Gdy wkładał do ust ostatni kęs pieczeni, na wąskiej ścieżynie wijącej się brzegiem jeziora spostrzegł czarownika. Krzywy Róg zbliżał się spokojnie, bez pośpiechu. Nie miał na sobie wczorajszego stroju z wilczej skóry. Wczoraj, w blasku obozowego ogniska, odziany w tę skórę, obwieszony kołatkami i grzechotkami, z twarzą wymalowaną ciemnymi farbami wydawał się nieco starszy. Dziś bez tych wszystkich ozdób i uroczystego stroju wyglądał znacznie młodziej. Liczył nie więcej jak czterdzieści parę Zim.

Na odsłoniętej piersi i ramionach widniały blizny po dawno otrzymanych ranach. W młodości musiał stoczyć niejedną walkę i musiał być groźnym wojownikiem. Muskularne ręce i nogi wskazywały na nie byle jaką siłę i wytrzymałość. Gdy podszedł bliżej, Jaguar uniósł się z kolan i gestem zaprosił go do ogniska – jednocześnie utkwiał wzrok w niewielkim rysunku zdobiącym lewą pierś przybyłego i przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać wzroku

od tego znaku. W końcu uniósł głowę i spojrzał w twarz swego gościa. Wpatrywał się w jego surowe, ostre rysy, mocno wystające kości policzkowe, szeroki podbródek, głęboko osadzone, lekko skośne oczy, orli nos – rysy tak różne od tych, jakie na swych twarzach mieli wyryte ludzie Moose.

Krzywy Róg, obserwując badawczy wzrok młodzieńca i widząc zdumienie w jego oczach, uśmiechnął się i powiedział w języku Mohawk:

– Mój młody brat nie myli się. Jego oczy widzą dobrze. Krzywy Róg pochodzi również z rodu Ohkwaho¹² i dlatego na jego piersi znajduje się znak czarnego wilka, taki sam, jak na ramieniu Jaguara.

Młodzieniec spojrzał uważnie w twarz czarownika i wzruszony dźwiękiem dawno nie słyszanej ojczystej mowy zniżył swój głos niemal do szeptu.

– A więc Krzywy Róg pochodzi z rodu mej matki. W jaki sposób znalazł się tutaj tak daleko od rodzinnego domu, w odległych stronach i czemu przywdział strój czarownika?

Krzywy Róg przymknął powieki i milczał dłuższy czas. Postawione tak bezpośrednio pytanie zaskoczyło go. Dał się ponieść wzruszeniu wywołanemu niespodziewanym pojawieniem się Jaguara w wiosce Moose i przyznał, że należy do tego samego rodu co młody gość wioski. Zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd, i że nie będzie go już mógł naprawić. A może jednak? Spojrzał na pochyloną ku niemu sylwetkę młodzieńca i jego ufne spojrzenie. Nie! Nie miał prawa... Tamten był młody, żywy, impulsywny. Mógł nie zrozumieć, a to groziło wieloma rozlicznymi konsekwencjami. Lepiej, by nie wiedział. Opanował się i uspokoił twarz. Z woreczka zawieszonego u pasa wyjął krótką fajkę, nabił ją starannie i na wierzchu kinni-kinnicku¹³ położył rozżarzony węgielek. Wypuścił kilka kłębow dymu, po czym pozornie obojętnym tonem powiedział:

– Krzywy Róg wypełnia polecenie samego Wielkiego Ducha. Jaguar nie ujawni nikomu w wiosce, że czarownik Moose jest Mohawkiem i że rozumie mowę Jaguara. Gdyby Jaguar nie zastosował się do życzenia swego starszego brata, Wielki Duch mógłby się na niego rozgniewać. I może zechciałby go ukarać. Lepiej nie narażać się na gniew duchów. – Przy słowach tych, w których kryła się niewypowiedziana groźba, patrzył przenikliwie na swego młodego rozmówcę.

I chyba pod wpływem tego spojrzenia, a może ukrytego sensu wypowiedzianych słów, młodzieniec poczuł zimny dreszcz spływający mu po plecach. Zdawał sobie sprawę z tego jak niebezpiecznym było rozgniewanie duchów, ale wiedział też, że częstokroć o wiele bardziej niebezpiecznym było postępowanie wbrew woli czarowników. Przekonał się o tym już niejedną raz. Pochylił więc tylko głowę i starając się nadać głosowi przekonujące brzmienie powiedział:

– Krzywy Róg może być zupełnie spokojny. Jaguar nie interesuje się jego życiem i zadaniem, jakie wypełnia z woli Wielkiego Ducha. Spytał tylko odruchowo, bez żadnej złej intencji. Nie ujawni przed nikim jego świętej tajemnicy i nie przyzna się, że są braćmi. Krzywy Róg może na nim polegać.

Twarc czarownika straciła swój poprzedni surowy wyraz. Krzywy Róg spojrzał na młodzieńca nieco łagodniej, ale powtórzył prawie tym samym co poprzednio groźnym głosem:

– Niech Jaguar o swej obietnicy nie zapomni nawet wtedy, gdy ciało Krzywego Roga

¹² Ohkwaho (czyt. Ou-kua-o) - w języku irokeskim „Wilk”. Plemię Mohawków, podobnie jak inne plemiona Ligi Irokezów, dzieliło się na klany i rody których pochodzenie wywodzono zawsze od mitycznego przodka będącego najczęściej zwierzęciem, ptakiem lub rybą. Najbardziej znane rody istniejące we wszystkich pięciu plemionach Ligi noszą nazwy: Żółw, Niedźwiedź, Wilk, Jeleń, Sokół, Wielki Bekas. Dzieci należały zawsze do rodu matki.

¹³ Kinni-kinnick – indiański tytoń. Mieszanina liści i ziół oraz drobno sproszkowanej kory cedru. Niekiedy zawierała również domieszkę prawdziwego tytoniu. Indianie prerii wzbogacali ją dodatkiem bizoniego, wysuszonego łajna.

zostanie już złożone w ofierze Matce Ziemi, a jego duch powędruje ścieżką praojców. – Zamilkł i przez parę chwil wpatrywał się jeszcze w żar dogasającego ogniska. Po pewnym czasie przerwał milczenie i spokojnym już głosem spytał:

– Czemu Jaguar odbywa swą podróż pieszo i dlaczego oddalił się tak znacznie od szlaku, który wiedzie północnym skrajem Wielkiej Wody? Podróż czółnem jest łatwiejsza i szybsza niż pieszo.

Młodzieniec dorzucił parę gałązek do ognia i odparł po krótkim namyśle:

– Początkowo Jaguar korzystał z kanu, ale gdy przemierzył połowę Wielkiego Jeziora Indiańskiego, które biali przezwali Jeziorem Górnym i przepłynął rzekę Alemipigon¹⁴, zostawił kanu. Na południowy zachód od tego jeziora znajduje się wioska, z której pochodzi matka Jaguara. Syn pragnął odwiedzić braci matki i groby jej przodków. W tamtej stronie kanu nieprzydatne. Powędrował więc pieszo. Później nie chciało mu się budować. Teraz, gdy na grobach przodków złożył świętą ofiarę, ponownie zbuduje kanu i wróci na swą właściwą ścieżkę.

Czarownik pokiwał ze zrozumieniem głową. Cień zadumy przemknął po jego twarzy. Nie zadawał dalszych pytań. Wysypał resztki popiołu ze zgasłej fajki i powiedział:

– Gdy słońce przejdzie swój najwyższy punkt, Krzywy Róg i Sasay’ga udadzą się na jesionowe wzgórza, by sporządzić cybuch świętej fajki dla syna Kamiennego Tomahawka. Jaguar jeśli chce, może pójść z nimi. W swej dalszej podróży będzie miał dzielnego i oddanego mu towarzysza. Do świętych kamieniołomów pójdzie z nim Sasay’ga.

Młodzieniec z łatwością domyślił się, że brat Shóamin zdążył już uzyskać nie tylko zgodę ojca, ale zapewnił sobie także pomoc czarownika. Skinął więc głową i odparł:

– Jaguar pójdzie ze swymi braćmi na wzgórza. Cieszy się też, że w dalszej podróży nie będzie sam.

Krzywy Róg oparł mu rękę na ramieniu i spytał:

– Czy mój młody brat pragnie tylko zyskać miano mężczyzny, czy też podróż po święty kamień podjął z powodu jakiejś dziewczyny?

– Jaguar przestał być młodzieńcem. Czuje się mężczyzną. Nie zostawił jeszcze za sobą serca. Może zostawi je tu – dodał z nieznacznym wahaniem.

Czarownik pokiwał ze zrozumieniem głową i powiedział jakby do siebie:

– To dobrze. Wracajmy.

Wczesnym popołudniem, do wigwamu przed którym siedział Mohawk, przyszedł Sasay’ga. Widocznie Krzywy Róg powiedział mu, że młody gość wioski chce towarzyszyć im na jesionowe wzgórza, bo pozdrowiwszy go, powiedział bez wstępu:

– Syn Kamiennego Tomahawka i Krzywy Róg są gotowi. Czy ich brat może już iść?

Mohawk uniósł się szybko, poprawił nóż i skinął na znak potwierdzenia. Wkrótce maszerowali szybko północnym skrajem jeziora.

Prowadził czarownik. Początkowo szli nad samym brzegiem wody; nieco dalej, minawszy skraj jeziora, zagłębili się w stary brzozyowy las, przecięli jakiś zagajnik i ujrzeni przed sobą długą, ciągnącą się po krańce horyzontu dolinę. Środkiem płynęła rzeka. Nad jej brzegami rosły kępy olch i topoli; wyraźnie ciemniejszą barwą odcinały się kępy leszczyn. W szuwarach niewielkich bajorek buszowały gromady dzikich kaczek. Niezbyt daleko odkrytą przestrzeń doliny przeciął potężny łoś; z gąszczu łoziny wychynał na chwilę bury łeb wilka. Krzywy Róg nie zwracał jednak na nic uwagi. Młodzieńcy nie zatrzymywali się również.

Gdzieś w połowie doliny przewodnik skręcił w wąziutką, leśną ścieżkę i skierował się nieco bardziej na zachód. Dolina pozostała za nimi. Las stawał się coraz rzadszy. Równinny dotąd teren pofałdowały łagodne wzgórza. Olchy, wierzby i klony zastąpił wysoki dębowy bór, a tuż u szczytu wyższego od innych wzniesienia – rzadszy las jesionowy.

Na skraju niewielkiej polany przewodnik zatrzymał się i wydał młodzieńcom odpowiednie

¹⁴ Alemipigon – pierwotna, indiańska nazwa jeziora Nipigon i rzeki o tej samej nazwie w Kanadzie

polecenia.

Obrzęd sporządzania cybucha trwał długo i wiązał się z koniecznością wykonania licznych pieśni i tańców oraz odmówienia właściwych modlitw. Na koniec czarownik ująwszy w ręce gotowy już cybuch zwrócił się do Sasay'gi:

– Nim cybuch ten zawieszę na piersi mego brata chciałbym, by posłuchał uważnie tego, co powinien wiedzieć. – Tu chwilę milczał, złożył cybuch na kolanach i zaczął mówić: – W bardzo dawnych czasach sam Wielki Duch podarował naszemu ludowi pierwszą świętą fajkę. W czasach tych indiańskie narody prowadziły między sobą wiele krwawych wojen na ziemiach, na których znajdują się dzisiaj święte kamieniołomy. Przelana w wielu bitwach krew zabitych i rannych przez długie wieki barwiła skały na kolor czerwony, wsiąkała w nie i pozostała tam na zawsze. Wielkiemu Duchowi nie podobało się postępowanie jego dzieci, toteż polecił wszystkim ludom, by zaprzestały walki, by uszanowały miejsce, które było widownią tyłu waśni i bezrozumnych wojen. Nakazał wszystkim, by miejsce to stało się wolne od wszelkiej przemocy i żeby nigdy nie polała się na nim więcej krew. Pragnąc, by ludzie po wsze czasy pamiętali, iż właśnie tam naruszyli prawa przyjaźni i pokoju, polecił im, aby ze świętych skał wszystkie narody brały kamień na główki swych fajek obrzędowych i fajek pokoju i by dym z takiej fajki przypominał im, że niegdyś nie byli posłuszni prawom ustanowionym przez Wielkiego Ducha. Polecił, aby dym ten składali duchom jako ofiarę podczas każdej ważnej czynności swego życia. Wielki Duch powiedział wtedy, że każdy podążający do kamieniołomów i niosący na piersiach wykonany przez siebie cybuch ma być wolny od wszelkiej napaści ze strony ludzi, nawet ze strony swych największych wrogów. – Czarownik przerwał na chwilę, po czym podnosząc w górę cybuch, mówił dalej:

– Sasay'ga posiada teraz ważną część fajki i zabierze ją z sobą w daleką drogę. Zanim jednak uda się do kamieniołomów po święty kamień, oczyści swe ciało z wszelkiego brudu, a następnie będzie pościł i modlił się w samotności, prosząc o opiekę i pomoc swego opiekuńczego ducha. W czasie postu wolno mu pić tylko czystą wodę ze źródła, które znajduje się na zachodnich stokach jesionowych wzgórz. Wyruszy tam jutro przed świtem.

Obaj młodzieńcy starannie wygasili ognisko i przed zachodem słońca, wraz ze swym przewodnikiem, wrócili do wioski.

Sasay'ga udał się do wigwamu ojca, by poczynić niezbędne przygotowania do odbycia postu; Krzywy Róg zaprosił Jaguara do siebie.

Tuż przed zmrokiem do wigwamu czarownika przybył Sasay'ga, który swemu młodemu przyjacielowi przyniósł w darze długi mocny łuk z drzewa hikory i kołczan pełen strzał. Wręczając upominek powiedział:

– Łuk ten przed wieloma Zimami wykonał ojciec Shóamin – przybranej siostry Sasay'gi. Wyruszył wtedy wraz z czterema innymi młodymi myśliwymi daleko na zachód do wielkich gór. Z podróży tej nie wrócił ani on, ani żaden z jego towarzyszy. Gdy minęło wiele Zim, Kamienny Tomahawk wziął do swego wigwamu matkę Shóamin i jej córkę, która była córką jego rodzzonego brata. Łuk, który darowuję Jaguarowi, nie był nigdy używany i jest bardzo suchy. Mój brat nasaczy go tłuszczem, wtedy stanie się bardziej elastyczny i nie pęknie. Strzały wykonał Sasay'ga. Lot ich jest cichy jak lot białej sowy. Jaguar – dodał – może przyjąć ten upominek od swego brata, który prosi go o to nie tylko w imieniu własnym, ale także w imieniu swej przyrodniej siostry i swego ojca.

Jaguar wziął łuk i pomalowane kolorem niebieskim i zielonym strzały i powiedział cicho:

– Mohawk wdzięcznym sercem przyjmuje ten dar i zapewnia swego brata, iż broni tej będzie używał zgodnie z nakazami i prawami ustanowionymi przez Wielkiego Ducha.

Przedpołudniowa rozmowa z czarownikiem, mimo iż nie pokazywał tego po sobie, pozostawiła w jego umyśle sporo zamieszania. W swej rodzinnej wiosce nigdy nie widział Krzywego Roga. Nigdy również o nim nie słyszał. Czarownik musiał więc wioskę opuścić bardzo dawno temu. Z jakich powodów? Czym zajmował się przez tak długi czas? Gdzie żył?

Od jak dawna znajdował się w wiosce Moose? Pytania mnożyły się. Nie znajdował na nie jednak żadnej odpowiedzi. Jediną wskazówkę stanowiły liczne blizny na ciele niemłodego już przecież mężczyzny. Wskazywały, że w młodości i u progu wieku dojrzałego był wojownikiem i stoczył niejedną walkę. Nie odpowiadały jednak na pytania, z kim i przeciwko komu walczył, kiedy i z jakich powodów przywdział strój czarownika? Jaką tajemnicę ukrywał pod maską surowej twarzy?

Jaguar zdawał sobie sprawę z tego, że sachem¹⁵ wioski i wodzowie rodów ukrywali wiele tajemnic. Jedną z nich poznał zupełnie przypadkowo. Wiele Zim temu dowiedział się, że Mohawkowie do niektórych wrogich plemion wysyłali swych szpiegów. Może właśnie jednym z takich był Krzywy Róg? Tylko czego miałby szukać w wiosce Moose. Jakie zadania mógłby wypełniać dla swych tak bardzo oddalonych od tej wioski braci? A może nie był szpiegiem Mohawków, lecz jakiegoś innego ludu? Tajemniczy gość, z którym rozmawiał wczoraj tak późno w nocy, nie mógł pochodzić z wioski Jaguara, ani z żadnej innej irokeskiej wioski. Krzywy Róg zwracał się do niego językiem zupełnie innym. I czemu przyszedł tak późno?

Młodzieniec po raz nie wiadomo który przewrócił się na swym posłaniu. A może wszystkie jego domysły nie miały żadnych podstaw. Przecież Krzywy Róg nie ukrywał się ze swą wczorajszą głośną nocną rozmową. Zdawał sobie przecież sprawę, że ktoś zupełnie przypadkowo mógł przechodzić koło jego wigwamu. Słyszałby wtedy tak samo jak Jaguar. Nie. Ta rozmowa nie miała chyba żadnego znaczenia. Jedyne ważne było to, że czarownik ukrywał przed mieszkańcami wioski Moose, że był Mohawkim i że wypełniał wolę Wielkiego Ducha. O czym mówiła ta wola...?

Nie mogąc zasnąć, Jaguar wyszedł przed wigwam i znaną już sobie ścieżką podążył na drugą stronę jeziora w miejsce, gdzie przed południem piekł mięso. Mimo ciemności odnalazł je bez trudu.

Nie wiedział czemu tu przyszedł. Jakaś wewnętrzna siła ciągnęła go właśnie tu nieodparcie. Usiadł pod drzewem i słuchał głosów nocy. Było cicho. Jedyne od czasu do czasu w pobliżu plusnęła głośniejsza ryba, odezwał się pisk wodnego szczura, zatrzepotała w szuwarach kaczka.

Myśli popłynęły wstecz do Długiego Domu matki, lat dziecinnych, beztroskich pierwszych zabaw, pierwszych smutków i radości. Pamiętał jak bardzo był dumny z pierwszej upolowanej samodzielnie zwierzyny. Mała wiewiórka, którą z gałęzi strąciła jego dziecinna, jeszcze nie opatrzona grotem strzała. Chwalili go wtedy wszyscy. Dumna była matka, a ojciec za parę dni podarował mu kilka strzał z kamiennymi grotami. O ileż były celniejsze. Zazdrościli mu wszyscy rówieśnicy, a najbardziej Oghnéga – syn wodza.

Wspomnienia popłynęły szybciej, obrazy, stawały się coraz bardziej bliskie, coraz wyraźniejsze...

Nagle drgnął. W jednej chwili leżał płasko, na ziemi i usiłował wzrokiem przebić otaczające go ciemności. Lecz wokół było cicho. Trwał jednak w bezruchu. Minęło sporo czasu nim wyłowił jakiś odległy szelest. Przytaił oddech i sięgnął po nóż. Czekał. Szelest narastał, zbliżał się. Po pewnym czasie mógł już rozpoznać jego źródło.

To byli ludzie. Nadchodzili ostrożnie i cicho, ale wiedział, że było ich kilku. Po chwili widział już. Szli od strony południowej jeziora, a ponieważ zbliżali się ścieżką tuż nad brzegiem, na nieco jaśniejszym tle wody mógł ich zobaczyć i policzyć ze swego miejsca.

Było ich siedmiu. Znajdowali się od niego jakieś dwadzieścia kroków, gdy wycofał się ostrożnie pod osłonę gęstych drzew. Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej, idący w przdzie przystanął i począł się pilnie rozglądać, po czym rzucił szeptem:

¹⁵ Sachem – w plemionach Irokezów nazwa nadawana wodzowi wioski w czasie pokoju. Prócz sachemów, którzy byli wodzami wiosek, godność tę otrzymywali także inni najbardziej poważani mężczyźni irokeskich plemion. Sachemowie w liczbie pięćdziesięciu tworzyli Radę Ligi Irokezów.

– Ognisko! Nie takie stare! Palilo się w dzień. Wioska blisko. Trzeba się zatrzymać.
 – A może podejść jeszcze bliżej – zaproponował któryś z pozostałych. – Nocą łatwiej obejrzeć wszystko. Nikt nie pilnuje.

Przewodnik pokręcił przecząco głową i powiedział stanowczo:

– Nie można iść dalej. W wiosce psy. Zwęszą i narobią hałasu. Uprzedzą nieprzyjaciół. A nocą i tak ciemno. Wojownik nie odróżni dziewczyny brzydkiej od ładnej. Trzeba poczekać. Przed świtem Anim¹⁶ pójdzie na zwiady. Wtedy dziewczyny chodzą do jeziora po wodę. Obejrzy wszystkie dokładnie, wróci i powie swym braciom. Mogą teraz posiedzieć i odpocząć. – Widocznie przekonał ich, bo w milczeniu rozkładali się na ziemi.

Jaguar, badając przed sobą każdą najmniejszą gałązkę i liść, które mogłyby go zdradzić, wycofywał się ostrożnie. Znajdując się już w znacznej odległości podniósł się z ziemi i wrócił szybko do wioski.

Idąc w cieniu trzciny śmiał się w duchu z podsłuchanej przed chwilą rozmowy, z której wynikało, że siedmiu młodych wojowników przybyło do wioski Moose, by porwać dziewczyny. Widocznie w ich własnej wiosce brakowało kobiet i tu przyszli szukać dla siebie żon. Musieli przybyć z zachodu. Poznał to po ich mowie. Różniła się trochę od tej, jakiej używali Moose, ale rozumiał ją. Przyspieszył kroku. Należało natychmiast uprzedzić Ostrego Noża.

Tymczasem pozostawieni nad brzegiem jeziora tajemniczy porywacze prowadzili nadal przyciszoną rozmowę. W tej właśnie chwili jeden z nich ponownie zwrócił się do przewodnika:

– Dlaczego Anim chce zabrać z wioski same najładniejsze dziewczyny? Czy nie wystarczyłoby, gdyby on i jego bracia zabrali po prostu młode?

– Nie, nie wystarczyłoby. Potrzebne są ładne. Przyjaciele Anima prosili go, by przyprowadził tylko najładniejsze, a jedna musi być bardzo młoda i piękniejsza od innych.

– Tego nam poprzednio Anim nie mówił.

– Bo ta jedna nie jest dla tych przyjaciół co pozostałe. Dla innych.

– A czy Anim jest pewien, że właśnie w tej wiosce są najładniejsze?

– On to wie.

– Czy może powiedzieć skąd?

Zapytany milczał chwilę, w końcu odparł wykrętnie:

– Dowiedział się kiedyś. Dawno temu. Ktoś mu mówił, ktoś kto widział wioskę. Ale Anim nie pamięta jego imienia. Tamten pewno umarł.

Znów zaległa cisza. Po jakimś czasie ponownie ktoś się odezwał:

– Anim jest pewien, że przyjaciele, o których mówi, nie zawiodą go?

– Nie, zna ich dobrze. Nie zawodzili go dotąd. Ale niech jego bracia odpoczywają. W pobliżu obcej wioski niedobrze dużo mówić. Wrogowie mogą usłyszeć. Bracia Anima mogą pozostać w tym miejscu tylko do świtu. Potem muszą przenieść się dalej, na skraj doliny. Tam ukryją się w modrzewiowym zagajniku, a Anim pójdzie na zwiady.

Jaguar znajdujący się właśnie w wigwamie Ostrego Noża i opowiadający wodzom i czarownikowi o tym, czego dowiedział się podsłuchując porywaczy, niestety nie wiedział nic o drugiej części rozmowy. Toteż ani on, ani wodzowie nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad wioską, niebezpieczeństwa, którego skutki miały okazać się tak poważne, a nawet tragiczne dla przyszłych losów niektórych bohaterów tej opowieści. Nie wiedzieli, że Zły Duch zaczął rozsnuwać nad ich głowami swą złowrogą czarną sieć.

¹⁶ Anim (czyt. Anim) – Pies

Rozdział trzeci

Próba porwania

W wiosce panowała poranna krzątanina. Mali chłopcy jak zwykle wyprawiali dzikie harce. Część, udając dorosłych, siedziała w zamkniętym kręgu i paliła fajkę wykonaną przez któregoś z kawałka trzciny. Część rzucała drewnianym tomahawkiem w pień wysokiej sosny. Kilku strzelało z dziecinnych łuków do wymalowanego na pniu czerwonego koła. Jeszcze inni przywiązywali do pąka męczarni jakiegoś malca, którego w toku walki poturbowano nieco, bo na puciołowatej buzi ochlapanej błotem widniało kilka zadrapań. Mimo to maluch trzymał się dzielnie i ani jedna łza nie spłynęła z jego oczu.

W ciepłym lipcowym słońcu kobiety wyprawiały skóry, szyły odzież; niektóre dla swych mężczyzn kolorowymi paciorkami, różnobarwnymi niciami i kolcami jeżozwierz ozdabiały mokasyny. Grupa starszych dziewcząt, brodząc w przybrzeżnej, płytkiej wodzie jeziora zbierała z dna korzenie i ślimaki. Kilkunastu starców siedząc przed jednym z wigwamów kurzyło fajki i rozmawiało leniwie o dawnych czasach.

Stadko psów biegało po wiosce węsząc za resztkami mięsa i porzuconymi kośćmi. Jeden, podobny trochę do wilka, wznosił łeb do góry i wył bez powodu.

Wioska sprawiała wrażenie spokojnej, a panujący w niej ruch był swojski, tak jak w każdej innej, w której o tej porze dnia zdążyło się już obudzić życie.

Oczywiście, był to pozorny spokój, bowiem na długo przed świtem oddział wojowników, poprzedzany przez zwiadowców, wymknął się niepostrzeżenie poza obręb wioski i zapadł w pobliską puszcę. Miał pilnować każdego kroku obcych, którzy przyszli porwać dziewczęta.

Jaguar nie brał udziału w tej wyprawie. Siedmiu młodych porywaczy nie przedstawiało niebezpieczeństwa dla wioski liczącej przeszło stu dorosłych mężczyzn. Siedział więc spokojnie i rozgrzanym wilczym sadłem starannie nacierał łuk. Pozornie zajęty swą pracą obserwował jednak otoczenie i czujnie nasłuchiwał wszelkich odgłosów. Wiedział, że mężczyźni z wioski, mimo że został na miejscu, nie będą go uważali za mniej dzielnego. Odwagę swoją udowodnił już przecież w walce z jaguarem.

W pewnej chwili, gdzieś po zachodniej stronie jeziora, rozległ się krzyk żurawia. W jakiś czas potem pojawiły się Shóamin i Młoda Sosenka. Dziewczęta idąc paplały o czymś bez troski. Pogonił za nimi wzrokiem. Szły w stronę brzegu – widomy znak, że nieprzyjacielski wywiadowca znajdował się właśnie w tamtej stronie.

Jaguar uśmiechnął się w duchu. Krzyk ptaka mówił, że zwiadowca wrogów znajduje się w pobliżu wioski, gdzieś niedaleko brodzących dziewcząt i słucha ich rozmowy. Młodzieniec wiedział czego dowie się wróg. Usłyszy mianowicie, że kilka dziewcząt wczesnym popołudniem wybierze się w pobliże modrzewiowego zagajnika na jagody. Taki właśnie plan ustalił Ostry Nóż. Było oczywiste, że gdy zwiadowca dowie się o tym, pospieszy do oczekującej go szóstki porywaczy i przekaże im to, czego dowie się z rozmowy dziewcząt.

Jakoż nie pomylił się. Po pewnym czasie dziewczęta nazbierawszy ślimaków opuściły brzeg i wróciły do wioski.

Kilku starszych chłopców, wtajemniczonych w plany wodza, rozpoczęło zabawę w podchody i poczęło zbliżać się coraz bardziej w stronę brzegu. A ponieważ zabawa ta mogła spowodować odkrycie zwiadowcy, leżącego pewnie gdzieś w sitowiu, musiał się teraz wycofywać w pośpiechu. Ponowny krzyk ptaka potwierdził to przypuszczenie. Jaguar

dokończył wcieranie tłuszczu i położył łuk na słońcu. Kołczan odniósł do wigwamu i zawiesił na kołku.

Zbliżało się południe, gdy ujrzał Dużą Stopę – jednego z wywiadowców wioski, który jako pierwszy, jeszcze nocą, wyruszył na zwiady. Teraz wracał spokojnie z przewieszonym przez ramię niewielkim jelonkiem. Zdobywcę złożył przed wigwamem, z którego wyszły dwie kobiety i zabrały się za oprawianie zwierzęcia. Na zewnątrz wyszedł również Duża Stopa i spacerując pozornie bez celu zbliżył się do ćmiącego leniwie fajkę Dzielnego Serca. Następnie przysiadł obok niego. W jakiś czas potem kilkunastoletni chłopiec, który pogonił za strzałą spadającą tuż u stóp Jaguara, podnosząc ją z ziemi rzucił półgłosem:

– Dzielne Serce powiedział, by Jaguar przyszedł do niego i do Dużej Stopy naradzić się. – Podniósł strzałę i popędził w kierunku pozostałych chłopców.

Jaguar odczekał parę chwil, po czym nie spiesząc się podszedł do obydwu palących mężczyzn. Dzielne Serce wskazał mu miejsce obok siebie i powiedział głębokim głosem:

– Mój młody brat interesuje się pewno tym, co zamierzają uczynić obcy wojownicy ukryci teraz w modrzewiowym zagajniku. Niech więc posłucha tego, czego dowiedział się Duża Stopa.

Młodzieniec usiadł i zamienił się w słuch. Relacja Dużej Stopy była zwięzła. Wynikało z niej, że ukryta po drugiej stronie jeziora siódemka nieprzyjaciół opuściła dotychczasową kryjówkę i przeniosła się na skraj modrzewiowego zagajnika leżącego obok ścieżki wiodącej w stronę jesionowych wzgórz. Zwiadowca wysłany przez Ostrego Noża widział ich w świetle poranka i poznał, że to sami młodzi mężczyźni. Wtedy jednakże nie podsłuchiwał niczego, gdyż znajdował się od nich zbyt daleko. Wyszukał więc tylko odpowiednie ukrycie i czekał.

Gdy wywiadowca wrócił do wrogów, Duża Stopa znajdował się tak blisko, że słyszał każde słowo jego sprawozdania i narady jaką zaraz potem odbyli porywacze. Otóż ten z nich, który był na zwiadach chęłpił się, że niepostrzeżenie dotarł do skraju wioski i zobaczył tam grupę dorosłych dziewcząt brodzących w wodzie w pobliżu wysokiego sitowia i trzciny. Wczołgał się w sitowie tak blisko paplających, że słyszał każde ich słowo, ale wtedy nie rozmawiały jeszcze o niczym ważnym. Po pewnym czasie przyszły dwie inne i z ich rozmowy dowiedział się, że zaraz po południu wybierają się, by nazrywać jagód z krzewów rosnących na skraju dużej łąki. Anim, gdyż takie imię nosił wywiadowca, domyślił się, że ta łąka, to właśnie dolina, na skraju której są obecnie ukryci. Więcej nie słyszał, gdyż chłopcy zaczęli bawić się w podchody i obawiał się, że mogą go wykryć. Usłyszał jeszcze tylko, że razem z tymi dwiema, chcą pójść na jagody trzy lub cztery inne. Wrócił więc, by zastanowić się wspólnie nad planem napadu i porwania.

W czasie narady, jaka natychmiast się odbyła, wszyscy wrogowie uznali, że Anim postąpił chytrze i postanowili, że dziewczyny trzeba porwać zaraz po tym, jak przybędą nad łąkę zrywać jagody.

Z dalszej opowieści Dużej Stopy wynikało, że podsłuchawszy wrogów, oddalił się od nich niepostrzeżenie na znaczną odległość, odszukał Ostrego Noża i opowiedział mu to wszystko, co usłyszał na zwiadach.

Wysłuchawszy całej relacji, Dzielne Serce popatrzył na Jaguara i spytał:

– Co nasz brat o tym myśli?

Młodzieniec zastanowił się chwilę.

– Dzielne Serce wybaczy, ale zanim mu odpowiem, chciałbym jeszcze o coś spytać Dużą Stopę.

Obaj wojownicy spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

– Niech Jaguar pyta – odparł stary wódz.

– Czy w czasie, gdy Duża Stopa podsłuchiwał wrogów, nie mówili o tym, ile dziewcząt pragną porwać?

– Nie, nie mówili, ale czemu Jaguar pyta o to?

– Kiedy Jaguar podsłuchiwał ich nocą, nie mówili tego również. Nocą mówili, że chcą porwać najładniejsze. Teraz postanowili ukraść tylko te, które przyjdą zbierać jagody. Nie wiadomo więc nawet, po ile dziewcząt przyszli. Nie wiadomo również, czy pragną popełnić kradzież, by uczynić je swoimi kobietami, czy też czynu swego zamierzają dokonać z jakichś innych, nieznanych powodów. Mohawk nie rozumie ich postępowania. Podejrzewa, że nie przyszli tu z własnej woli, że wypełniają czyjeś polecenie, ale nie wie na pewno. Może się myli.

Sędziwy wódz rozważał przez chwilę jego słowa. Tak... W zachowaniu wrogów było coś niezrozumiałego, ale w napadzie nie kryło się żadne dla dziewcząt niebezpieczeństwo. Uśmiechnął się więc do Jaguara i powiedział:

– Dzielne Serce też nie rozumie tego, ale nie niepokoi się. Powie swej córce, by zabrała pięć dziewcząt i kiedy tylko słońce przechyli się na stronę zachodnią, poszła z nimi na jagody. Gdy nastąpi napad, wojownicy schwytają porywaczy i dowiedzą się prawdy.

– A czemu Dzielne Serce nie chce schwycić ich teraz? – Jaguar wydawał się trochę zdziwiony. – Po co narażać dziewczęta na niebezpieczeństwo?

– Wojownicy Moose nie mogą tak postąpić. Porywacze nie dopuścili się jeszcze żadnego złego czynu. Gdyby po schwytaniu nie przyznali się do swych zamiarów, nie mogliby być ukarani. Gdy dokonają napadu, вина ich będzie udowodniona. A dziewczęta są bezpieczne. – Z tymi słowy zniknął we wnętrzu swego wigwamu.

Jaguar chwilę jeszcze gawędził z Dużą Stopą, po czym również oddalił się do siebie. Obejrzał łuk wystawiony na działanie słońca i stwierdziwszy, że tłuszcz, którym go smarował rano, zniknął już z całej powierzchni, ponownie zabrał się do wcierania nowej jego porcji.

Po pewnym czasie ujrzał, jak grupka dziewcząt z koszykami w rękach opuszcza wioskę. Pogonił wzrokiem za Shóamin i przez chwilę pomyślał, że w czasie napadu powinien znajdować się właśnie tam. Odrzucił jednak tę myśl. Przewaga Moose była tak wielka, że nawet gdyby doszło do walki, siedmiu porywaczy nie miało w niej żadnych szans. Pracował więc dalej spokojnie.

W wiosce panował nadal taki ruch, jakby się nic nie działo. Dopiero gdy słońce przeszło trzecią część nieba, zauważył jakieś poruszenie. Dzieci porzuciły zabawy i pobiegły ścieżką wokół północnego skraju jeziora; za nimi szczekając biegły psy. Z wigwamów wyszły chyba wszystkie kobiety i dziewczęta. Pozostający dotąd w ukryciu mężczyźni ukazali się na zewnątrz. O kilkaset kroków od wioski podniósł się gwar.

Wkrótce na wąskiej ścieżce zamajaczyły gromadki głośno krzyczących wyrostków, a tuż za nimi pojawiła się liczna grupa wojowników, prowadząca niedoszłych porywaczy.

Wracały dziewczęta, co prawda z pustymi koszykami, za to wesoło śmiejące się i paplające bez przerwy. Wśród nich znajdowała się Shóamin. Nie zauważył, by doznała jakichkolwiek obrażeń. Była równie wesoła i rozbawiona jak pozostałe.

Jaguar, mimo że pilnie przeszukiwał wzrokiem całą zbliżającą się grupę, nie dostrzegł nigdzie Sasay'gi. Widocznie syn, Kamiennego Tomahawka, zgodnie z zaleceniem czarownika, udał się gdzieś w samotne, nie uczęszczane miejsce dla odbycia postu.

Plac pośrodku wioski wypełnił się tłumem krzyczących kobiet i dzieci. Gwar uczynił się tak wielki, że Jaguar nie mógł odróżnić ani jednego słowa. Widział tylko, że wojownicy usunęli z drogi kobiety i wprowadzili jeńców do nieco odosobnionego wigwamu. Wszystkich starszych wojowników wódz poprowadził do wielkiego wigwamu narad, stojącego w środkowej części placu.

Narada trwała długo; wreszcie obradujący wyszli na zewnątrz i wokół słupa utworzyli szeroki, milczący krąg. Zebrała się prawie cała wioska. Starsi mężczyźni, którzy poprzednio obradowali, zajęli miejsca siedzące – wszyscy inni stali.

Na znak dany przez wodza, strażnicy przyprowadzili jeńców. Dopiero teraz mógł im się przyjrzeć dokładniej. Popatrzył na krąg wojowników i wzrokiem poszukał czarownika.

Zajmował miejsce obok Ostrego Noża, który właśnie zwracał się do jeńców:

– Pojmani przez naszych mężczyzn wrogowie, którzy przybyli do wioski Moose, by porwać dziewczęta, źle czynią nie chcąc odpowiadać na zadawane im pytania. Mogą nie odpowiadać nadal, ale wtedy rada starszych pomyśli, że w ich głowach poza czynem, którego już się dopuścili, kryją się inne złe zamiary i w takim wypadku ukarze ich zgodnie z prawami swego narodu. Niech więc zastanowią się jeszcze. Wódz daje im tyle czasu, aż cień białego słupa pokoju dotknie pierwszego wigwamu wioski.

Po tych słowach zapadło wokół milczenie. Jedynie niedoszli porywacze poczęli szeptać między sobą. Zdawali sobie sprawę, że w razie dalszego milczenia czeka ich najwyższa kara. Nie uśmiechało im się to. Toteż nim minęła połowa czasu wyznaczonego przez wodza, najstarszy z nich – przywódca, a zarazem przewodnik, zwrócił się do Ostrego Noża:

– Niech wódz pyta. Oni będą mówić.

Ostry Nóż popatrzył na niego przenikliwie i spytał:

– Do jakiego narodu należą jeńcy i gdzie znajduje się ich wioska?

Widocznie ten, który odezwał się pierwszy, uzyskał zgodę pozostałych, by występował w ich imieniu, bo odparł bez wahania:

– Jeńcy należą do ludu Mahéengunug¹⁷, który jest częścią wielkiego narodu Ojebwag¹⁸. Ich wioska znajduje się o dwadzieścia dni stąd w kierunku, gdzie słońce chowa się pod ziemię.

– Jakie imię nosi ten, który odpowiada w imieniu pozostałych?

– Uhnemoosh¹⁹, co w języku Moose znaczy Anim – Pies.

Ostry Nóż patrzył cały czas pilnie w twarz mówiącego.

– Dlaczego Mahéengunug chcieli porwać nasze dziewczęta?

– Mahéengunug nie mają w wiosce dziewcząt – rodzą się prawie sami chłopcy. Chcieli poszukać dziewcząt w innej wiosce, by pilnowały ich ogniska.

– Więc – kontynuował wódz – Mahéengunug przyszli ukraść siedem dziewcząt?

– Tak. Nie – poprawił się jeniec. – Oni przyszli tylko po sześć.

– A gdyby po jagody poszło tylko pięć lub cztery, czy Mahéengunug też by je porwali?

– Tak. Najpierw porwaliby te, a później jeszcze brakujące. Wódz zdawał się być zadowolony z odpowiedzi, bo nie poruszał więcej tej sprawy, zadał natomiast inne pytanie:

– Anim powiedział, że jego wioska znajduje się o dwadzieścia dni stąd na zachód. Czy rada starszych ma rozumieć, że wojownicy Mahéengunug wędrowali na wschód przez dwadzieścia dni?

– Tak, oni szli przez pełne dwadzieścia dni.

– A jak zamierzali uciekać z dziewczętami? Czy też idąc tyle czasu do swej wioski?

– Mahéengunug zamierzali tak właśnie wracać – stwierdził jeniec stanowczo.

– I nie obawiali się pogoni?

– Nie, oni zatarliby dokładnie swoje ślady i wojownicy Moose nie wiedzieliby w jakim kierunku ich szukać.

Wódz uśmiechnął się i zadał następne pytanie:

– Czy w czasie swej drogi Mahéengunug nie spotkali innych wiosek? Musieli przecież mijać wioski Nekeek, Awashkesh²⁰ i inne. Jest tam przecież dużo dziewcząt. Dlaczego nie zatrzymali się tam i nie próbowali porwać dziewcząt w tych wioskach?

Jeniec poruszył się niespokojnie, chwilę wahał, w końcu odparł chytrze:

– Mahéengunug widzieli te wioski i przechodzili koło nich, ale wioski te znajdują się zbyt blisko ich własnych siedzib. Nie chcieli swego ludu narażać na zemstę i odwet sąsiadów oraz

¹⁷ Mahéengunug (czyt. Ma-in-gan-nag) – Wilki

¹⁸ Ojebwag (czyt. O-dży-bu-eg) – Odżybueje

¹⁹ Uhnemoosh (czyt. A-ni-musz) – Pies

²⁰ Awashkesh (czyt. A-ua-sz-kesz) – Jeleń

wojnę z nimi.

Krąg wojowników mimo iż odpowiedź ta wywarła na nich widoczne wrażenie, zachowywał nadal kamienne milczenie. Ostry Nóż z trudem opanował cisnący mu się na twarz uśmiech i kontynuował przesłuchanie.

– Mahéengunug należą do wielkiego narodu Ojebwag i znają jego zwyczaje. Wiedzą więc, że jeśli młody mężczyzna chce, by jakaś dziewczyna, pochodząca z innego ludu, pilnowała jego ogniska, to albo on sam albo jego rodzice lub krewni, przybywają do wioski dziewczyny i z jej rodzicami ustalają cenę. Czasami ofiarowują skóry, futra, broń i inne przedmioty; czasami taki młody mężczyzna przez oznaczony czas pracuje u rodziców dziewczyny. W ten sposób zdobywa do niej prawo. Czy w wiosce Anima nie przestrzega się tych zwyczajów?

Jeniec zmieszał się po raz drugi.

– Lud Mahéengunug zna ten zwyczaj, ale teraz jest biedny. W czasie Księżyca Śniegu²¹ jakaś choroba zabiła wielu mężczyzn i wiele kobiet, a przedtem jeszcze, w porze Księżyca Opadających Liści²², stada... jeleni nie pokazały się w okolicach wioski i dlatego młodzi mężczyźni nie mając czym zapłacić, postanowili porwać dziewczęta. Nie mieli prezentów.

Wódz Moose uśmiechnął się tym razem zupełnie, otwarcie, jednakże zwrócił się do pozostałych jeńców:

– Czy wszyscy Mahéengunug potwierdzają słowa swego przywódcy?

Cała pozostała szóstka skinęła skwapliwie na znak potwierdzenia. Ostry Nóż chwilę patrzył na nich w zadumie, po czym zadał jeszcze jedno pytanie:

– Anim mówi, że w czasie Księżyca Opadających Liści nie pojawiły się w pobliżu wioski stada jeleni – wódz specjalnie podkreślił te słowa. – Moose pierwszy raz słyszą, by jelenie chodziły w stadach. Czy w miejscu, gdzie leży wioska Anima, nie ma łosi, czy nie mieszka tam niedźwiedź ni bóbr, nie ma jezior i rzek, w których żyją ryby? Są przecież kaczki i gęsi. Są pardwy i indyki i wiele innych zwierząt. Czy z tamtejszych puszczy i rzek zniknęły wszystkie?

Jeniec, który prawdopodobnie dopiero teraz zorientował się, że wódz kpi z niego, odparł powściągliwie:

– Anim bardzo dobrze wie, że jelenie nie chodzą w stadach. Używając słowa jelenie miał na myśli łanie. Inne zwierzęta wymienione przez Ostrego Noża istnieją tam i Mahéengunug polują na nie, ale zwierząt tych w czasie ostatnich Zim jest coraz mniej i nie wystarcza na wyżywienie i ubranie ludzi w wiosce.

– A inne zwierzęta nadające się na pokarm i ubranie nie występują?

– Występują. Są wiewiórki i lisy, kuny i skunksy, a także inne, ale nie ma ich wiele.

– A ze skóry jakiego zwierzęcia uszyte są legginy Anima? Jeniec zmieszał się jeszcze bardziej, ale raz jeszcze spróbował odpowiedzieć spokojnie:

– Legginy zrobione są ze skór karibu, tylko że nasze kobiety wyprawiają je w specjalny sposób, dlatego różnią się trochę od tych, jakie noszą mężczyźni Moose.

Po tej odpowiedzi, z kręgu starszych w kierunku jeńca pobiegły wyraźne szydercze śmiechy. Wódz Moose roześmiał się również pogardliwie, lecz po chwili twarz jego zastygła w maskę surowego spokoju. Swoboda i pozorna dobroduszość, z jaką zadawał pytania znacznie od niego młodszemu i widocznie mniej doświadczonemu jeńcowi, zniknęły całkowicie. Gdy przemówił, głos jego brzmiał surowo:

– Gdy w wigwamie narad święta fajka obeszła krąg wojowników, wielu z nich myślało i mówiło, że jeńcy to jeszcze młodzi mężczyźni, którzy próbując porwać dziewczęta wazyli się na czyn zuchwały, młodzieńczy i tylko lekkomyślny. Nikt, poza Dzielnym Sercem, nie podejrzewał niczego więcej. Lekkomyślność i chęć dokonania śmiałego czynu są właściwe młodemu wiekowi i zasługują na naganę, niekiedy nawet na naganę surową. Nie zasługują

²¹ Księżyc Śniegu – grudzień

²² Księżyc Opadających Liści – listopad

jednak na zbyt dużą karę. I rada starszych nie chciała karać zbyt surowo braku rozważli. Postanowiła, że jeśli jeńcy powiedzą szczerze prawdę, niczego nie zatają i zrozumieją swój błąd, zostaną potraktowani łagodnie. Teraz jednak okazało się, że rada popełniła pomyłkę. Jeńcy, którzy podają się za Mahéengunug, nie skorzystali z szansy i próbowali oszukać mężczyzn Moose.

– To nieprawda! – zawołał Anim.

– Milcz! Teraz mówi Ostry Nóż. Powiedziałeś już swoje. Posłuchaj teraz, co ma ci do powiedzenia wódz Moose. Odpowiadając na jego pytania, myślałeś, że jesteś chytry i mądry, ale nie zauważyłeś, że każde pytanie Ostrego Noża stanowiło pułapkę, a odpowiadając na nie kłamałeś za każdym razem. Kłamałeś nieudolnie jak dziecko. Powiedziałeś, że ty i twoi ludzie należą do ludu Mahéengunug. I to jest twoje pierwsze kłamstwo. Wojownicy Moose znają ten lud i jeszcze niecałe dwa Księżyce temu kilku z nich było jego gośćmi. Nie widzieli tam chorób, ani nieszczęść, o jakich mówiłeś, ani braku zwierzyny. Mówiłeś, że twoja wioska znajduje się o dwadzieścia dni drogi na zachód. To też kłamstwo. Tereny, na których ma rzekomo leżeć, od najdawniejszych czasów są łowieckimi terenami myśliwych Moose. Przyznałeś, że przechodziliście obok wiosek Nekeek i Awashkesh. Język twój ma mniej doświadczenia niż język chłopca, który nie przekroczył jeszcze dziesięciu Zim. Tam nie ma żadnej z tych wiosek, więc nie mogłeś obok nich przechodzić. Droga, którą, jak mówisz, odbyłeś na własnych nogach, nie istnieje. Dokąd bagna, jeziora i rzeki nie są pokryte grubym lodem, nie przejdzie po niej żaden mężczyzna. Zresztą twoje mokasyny nie są zniszczone. Wasza ścieżka to ścieżka kanu. Zwiadowcy poszli o świcie tropem, który zostawiliście nocą i znaleźli wasze łodzie o pół dnia drogi stąd. Przybyliście więc wodą. Mówisz, że twoje legginy uszyte są ze skóry karibu. Jesteś śmieszny, jeśli myślisz, że mężczyźni i kobiety Moose nie znają skóry tego zwierzęcia. Wasze legginy wykonane są ze skóry innego, o wiele większego od karibu zwierzęcia. Zwierzę to nazywa się bizon. Żyje na wielkich łąkach daleko na zachodzie. Na te zwierzęta polujecie. I one chodzą w stadach, a nie jelenie. Ponieważ wszystko, co powiedziałeś mi o sobie, jest kłamstwem, kłamstwem jest także to, że chcieliście porwać dziewczęta, by posadzić je przy własnym ognisku. Nie będę cię pytał o nic więcej, bo twój język nie zna prawdy. Rada wojowników zbierze się jeszcze raz, a potem ukarze porywaczy i kłamców, tak jak na to zasługują. – Wódz skończył. Wokół rozległ się pochwalny szmer. Jeńcy stali z zacisniętymi ustami. Zrozumieli, że dobroduszenie wyglądający i nieomal pobłażliwie zachowujący się wobec nich wódz nie dał się oszukać.

Znów, jak poprzednio, odprowadzono ich do wigwamu i ustawiono straż. Ponownie odbyła się narada – tym razem bardzo krótka. Widocznie wszyscy byli zgodni co do kary, jaką trzeba zastosować. Gdy późnym popołudniem jeńców postawiono ponownie na placu, Ostry Nóż bez żadnych wstępów powiedział, że rankiem następnego dnia wszystkim porywaczom zostaną obcięte uszy na znak wiecznej hańby w oczach wszystkich indiańskich narodów.

Karę wykonano o wschodzie słońca i natychmiast potem kilkunastu wojowników popędziło ukaranych do ich czółen. Tuż przed odejściem Ostry Nóż stanął przed nimi i powiedział groźnie:

– Jeżeli kiedykolwiek któryś z ukaranych zostanie schwytany bliżej niż dwadzieścia dni drogi od wioski Moose, będzie miał tylko prawo odśpiewać pieśń śmierci.

Dotychczasowi jeńcy zostali popędzeni własną niedawną drogą na południe. Pozostawiono im jedynie noże, by mogli bronić się przed dzikim zwierzem; łuki ze strzałami i żelazne tomahawki zatrzymano. Stanowiły – szczególnie te ostatnie – cenny łup.

Jaguar, który po raz kolejny sprawdzał giętkość swojego łuku, uśmiechnął się z zadowoleniem. Broń straciła poprzednią sztywność. Dawła się napinać elastycznie. Nie mając innego zajęcia, postanowił ją wypróbować. Sprawdzenia wymagały też strzały. Zabrał więc łuk, zarzucił na ramię kołczan i po chwilowym zastanowieniu wybrał kierunek

wschodni, potem postanowił skrócić na północ ku rzece, którą widział idąc na jesionowe wzgórza. W jakimś momencie wychynął na niewielki pagórek i rozejrzał się po okolicy. Poprzez prześwit między gałęziami ujrzał wierzchołki liściastych drzew – widomy znak, że dalej teren był znacznie niższy. Zresztą właśnie gdzieś w tamtej stronie musiała biec rzeka.

Zsunął się ostrożnie po pochyłości; minął ostatnie drzewa i zszedł jeszcze niżej. Przed oczyma, w kierunku rzeki, miał rozległy bagienny teren porośnięty wysoką trawą. W suchszych, wystających nad bagnem kępach, rosły młode niskie brzoźki i cienkie leszczyny; gdzieś tam tkwiła samotna olcha. Między nimi czerniły się kępy gęstych, splątanych zarośli. Bagienne, ledwo widoczne oczka otaczały wysokie trzciny, między którymi buszowały kaczki. Uśmiechnął się z zadowoleniem i bez wahania ruszył przez grzęzawisko. Nim zdołał przebyć kilkadziesiąt kroków, przed oczyma zamajaczyła mu ruda kita. Pogonił za nią obojętnym spojrzeniem i znieruchomiał.

Niezbędnie daleko, odwrócony bokiem, w cieniu gęstego krzewu, stał wspaniały łos. Łeb ukrył za zaroślami, ponad które wystawały jedynie jego wielkie łopaty.

Młody myśliwy nałożył strzałę, napiął z całej siły cięciwę i wymierzył starannie. Przed zwolnieniem cięciwy poczuł przyjemny dreszczyk emocji. Strzały jednak nie wypuścił. W ostatniej chwili uprzytomnił sobie, że jest przecież gościem ludu Łosi. Zwierzę to, od którego wywodzili się ich przodkowie, mogło być tabu. Nie mógł zabić jednego z przodków ludu wioski. Czynem takim mógłby spowodować na swych nowych braci straszne nieszczęście, a kto wie, czy skutki tego nieszczęścia nie obróciłyby się również przeciwko niemu. Opuścił łuk, zwolnił cięciwę i zdjął strzałę. Jeszcze raz popatrzył na wspaniałe zwierzę i cicho ruszył dalej.

Gdy znalazł się w pewnej odległości, postyszał trzask łamanych gałązek. Widocznie dopiero w tej chwili woń człowieka wraz z wiatrem dotarła do czułych chrapów zwierzęcia. Jaguar nie obejrzał się jednak. Byстрыm spojrzeniem przeczesywał każdą kępę trzin, każdy większy krzew, niskie zarośla. Jeszcze raz, gdzieś z boku, doleciało go ciężkie stąpnięcie i chrapliwy oddech. W pobliżu przemknął piękny jelen, by w następnej chwili zniknąć w sporej kępie brzoź. Niezbędnie daleko zamajaczyła rzeka.

Skręcił w prawo i podążył zgodnie z jej biegiem. Pod stopami raz i drugi ugięło się niebezpiecznie bagno; widok coraz częściej przesłaniały gęste trzciny i kolczaste krzewy. Nie było sensu iść dalej. Przystanął w cieniu wysokiego jałowca. Przeczesywał wzrokiem teren i w pewnej chwili znieruchomiał. O kilkadziesiąt kroków, prawie nad samą wodą, poruszyła się gałązka pochylonej ku ziemi wierzb. Zza nisko zwisających gałęzi wysunęła smukłą, zgrabną szyję łania. Stała nieruchomo, czujnie strzygąc uszami i nie dowierzając panującej wokół ciszy. W końcu postąpiła dwa kroki do przodu. Rudoczerwone futro zaśniło w promieniach słońca. Ciemna smuga śmignęła w powietrzu, jęknęła puszczone cięciwa, zwierzę usiłowało poderwać się do ucieczki. Pierzasta śmierć była jednak szybsza. Długa myśliwska strzała wniknęła głęboko tuż za lewą łopatkę. Złamały się nagle gotowe do skoku nogi, łeb pięknego zwierzęcia zarył w ziemię.

Jaguar nie musiał już zachowywać niepotrzebnej ostrożności. Nie zamierzał polować dalej. Zdobycz i tak była ciężka. Zarzucił ją na ramiona i uczynił kilka kroków. Podmokły grunt ugiął się niebezpiecznie pod podwójnym ciężarem. Mimo starannego wyboru drogi przez otaczające go oczerety, kilkakrotnie po pas zapadał w grząskie bagno. Raz musiał swój łup przeciągać po trawie kilkadziesiąt kroków.

Wreszcie wydostał się na twardszy grunt i tu odszukawszy ścieżkę, którą szedł poprzednio, szybciej podążył do wioski.

Upolowane zwierzę złożył przed wigwamem wodza. Wiedział, że Ostry Nóż podzieli mięso sprawiedliwie między najbardziej potrzebujących, że zaopatrzy tych, którzy z jakichś powodów nie mogli polować ostatnio, samotne kobiety i starców.

Zostawiwszy zdobycz udał się najpierw nad jezioro, by zmyć oblepiające go błoto i

bagienny brud, a następnie poszedł do swego wigwamu, gdzie rozpałił ogień i w jego pobliżu rozwiesił przemoczone legginy oraz mokasyny. Ogarnęło go przyjemne ciepło i rozleniwienie. Zdrzemnął się.

Gdy na powrót uniósł powieki, ogień przygasł nieco; skąpe części ubrania były jednak suche. Zaledwie ponownie nałożył je na siebie, gdy na zewnątrz posłyszał lekkie kroki i w odsłoniętym otworze wejściowym zamajaczyła postać Młodej Sosenki.

Weszła nieśmiało. Chwilę patrzył na nią, lecz widząc, że dziewczyna milczy, pozdrowił ją uprzejmie:

– Witam córkę Dzielnego Serca. Czy przyszła pogawędzić, czy też może jedynie chciałaby mi coś przekazać?

– Młoda Sosenka przyszła z polecenia swego ojca. Dzielne Serce prosi, by Jaguar, jeśli ma trochę czasu, przyszedł posiedzieć przy naszym ognisku.

– Jaguar chętnie zajmie miejsce przy ognisku ojca Młodej Sosenki i – tu dodał z uśmiechem – będzie mógł cieszyć swe oczy widokiem pięknej dziewczyny ludu Moose.

Widać mieszały ją te słowa, bo powiedziała nieśmiało:

– Młoda Sosenka wie, że Jaguar tylko żartuje. W wiosce jest wiele ładnych dziewcząt, lecz Jaguar nie spogląda na żadną. Serce Jaguara pozostało pewno daleko w jego kraju przy innej dziewczynie.

Roześmiał się swobodnie.

– Córką Dzielnego Serca nie zgadła. Mohawk nie interesował się dotąd dziewczętami i pewno nadal nie będzie mógł. Nie może stracić przyjaciela, z którym ma podążyć do świętych kamieniołomów. Na Sosenkę będzie więc patrzeć tylko jak na własną młodszą siostrę.

Dziewczyna mieszała się jeszcze bardziej, lecz widocznie tylko na chwilę, bo zaraz rozległ się jej wdzięczny śmiech.

– Jaguar ma rację. Młodzi mężczyźni z ludu Moose są bardzo zazdrośni, ale Mohawk nie musi obawiać się zazdrości Sasay’gi. Będzie w nim miał dzielnego towarzysza i wiernego przyjaciela. A Młoda Sosenka będzie patrzyła na Jaguara również jak na swego brata – i po chwilowym wahaniu dodała nieco poważniej: – Inaczej niż na Sasay’gę. A teraz chodźmy już.

Wigwam Dzielnego Serca był przestronny i ciepły. Poza dobrze przesyconymi tłuszczem płatami kory, od wewnątrz wyłożono go ciepłymi futrami niedźwiedzia i wilków. Na wygiętych półkolistych żerdziach podtrzymujących okrycie gospodarz przymocował wiele kołków, na których wisały różne przedmioty i broń. Między żerdziami rozciągnięto kilka mocnych rzemieni służących prawdopodobnie do suszenia mokrej odzieży. Na jednym z nich wisała skóra, przedzielająca wigwam na dwa pomieszczenia. Obecnie zasłona została odsunięta, przez co całe wnętrze wydawało się wygodne i obszerne. Pośrodku płonęło ognisko roztaczając miłe ciepło. Z zawieszonego nad płomieniami kociołka rozchodził się smakowity zapach mięsnej potrawy, przyprawionej korzeniami.

Gospodarz, który powitał gościa przed wejściem i serdecznie zaprosił do środka, powiedział teraz:

– Dzielne Serce oraz jego żona Neecark²³ i Młoda Sosenka cieszą się, że syn narodu Náhduwa²⁴ nie odmówił przyjęcia zaproszenia. Niech spocznie na skórach i czuje się jak w Długim Domu swej matki.

Jaguar przysunął stopy obute w lekko jeszcze wilgotne mokasyny w pobliże ognia i odpowiedział równie uprzejmie:

– To wielki zaszczyt dla młodego Mohawka być gościem wodza, który przez wiele Zim, mając mniej niż Mohawkowie wojowników, bronił tak dzielnie swego ludu, że jego dawni wrogowie, nawet ci, których włosy przyprószył już śnieg wielu Zim, do dzisiaj jeszcze z szacunkiem i uznaniem wymawiają jego imię. Jaguar czuje się wyróżniony zaproszeniem

²³ Neecark (czyt. Ni-ka:k) – Dzika Gąska

²⁴ Náhduwa (czyt. Na-da-u-ej) - Mohawk w języku Odżybuejów

wodza tym bardziej, że wie, iż Dzielne Serce nie traktuje go jak syna niegdyś wrogiego narodu, lecz jak przyjaciela ludu Moose. Dzisiaj jednak o mało nie nadużył tej przyjaźni i praw gościnności, nie ze złej woli wszakże, a jedynie przez chwilowe zapomnienie tego, kim byli przodkowie wioski.

Gospodarz, który z przyjemnością słuchał słów młodzieńca, wyraźnie zainteresował się jego ostatnim zdaniem.

– Niech Jaguar powie, co mu się przydarzyło?

Młodzieniec opisał spotkanie z łosiem i zakończył prosto:

– Mohawk nie chciał sprowadzać nieszczęścia na lud Moose i dlatego nie wypuścił swej strzały.

Wódz patrzył na niego z coraz wyraźniejszą sympatią.

– Mój młody brat miał szlachetne i uczciwe intencje. Postąpił tak, bo pewno nie wiedział, że myśliwi wioski polują także na łosie i zabijają je.

– Ale jak to możliwe?

– Jaguar to zaraz zrozumie. To prawda, że lud Moose wie, że jego przodkami były łosie. Przez wiele Zim nie polował na nie i z tego powodu często cierpiał głód, szczególnie wtedy, gdy padał wielki śnieg lub długo trwał mróz. Z głodu umierało wtedy w wiosce wielu starców i wielu słabszych braci i sióstr. W czasach, kiedy Dzielne Serce nie urodził się jeszcze, śnieg padał tak długo i był tak gęsty, że przykrył wierzchołki wszystkich wigwamów. Myśliwi przez wiele Księżyców nie mogli wychodzić na polowania, a ci którzy odważyli się na to, nie powrócili nigdy do swego ogniska. Nie odnaleziono nawet ich kości. Żył wtedy w wiosce pewien stary Moose o imieniu Nebwáhkahwenene²⁵. Gdy przyszedł wielki śnieg, starzec, mimo że był bardzo słaby, pościł i modlił się długo do Wielkiego Ducha o radę i pomoc. Wielki Duch wysłuchał Nebwáhkahwenene i w czasie jego snu przysłał ducha jednego z łosi. Duch ten, wysłuchawszy starca, zmartwił się bardzo kłopotami w jakich znalazł się lud Moose. Udał się więc do swych braci – łosi i zwołał je wszystkie na wielką naradę. Na naradzie tej, która trwała bardzo długo, zwierzęta zrozumiały, że ich dzieci i bracia-ludzie umrą z braku pożywienia. Porozumiały się więc między sobą i zgodziły się, by ludzie mogli na nie polować. Postawiły jednak jeden warunek. Myśliwi Moose mogą je zabijać w razie niezbędnej potrzeby, ale ten myśliwy, który zabije łosia, na znak szacunku dla niego jako swego przodka, nie może spożyć mięsa z własnoręcznie upolowanej sztuki.

Od tego czasu ludzie wioski polują na łosie. Mój młody brat mógł więc zabić to zwierzę bez obawy, że narazi wioskę na gniew jej przodków. Ale jak wiem, upolował piękną łanię. Spożyje więc razem z nami, specjalnie dla niego przeznaczoną najsmaczniejszą część miękkiego mięsa, które to zwierzę nosi po obydwu stronach swego grzbietu.

²⁵ Nebwáhkahwenene (czyt. Ne-bua-ka-uyn-nin-ni) – Mądry Stary Mężczyzna

Rozdział czwarty

Dziewczyna z gwiazd

Zaledwie ukończyli posiłek, gdy do wigwamu Dzielnego Serca zaczęli napływać goście. Przybył Ostry Nóż i Krzywy Róg, Duża Stopa i kilku innych starszych mężczyzn.

Do żony gospodarza i jego córki przyszło w odwiedziny na wieczorną pogawędkę kilka przyjaciółek.

Wnętrze wypełniało się stopniowo. Mężczyźni obsiedli ognisko, kobiety zebrały się w dalszej części pomieszczenia. Jako jeden z ostatnich zjawił się Kamienny Tomahawk, który tego właśnie dnia, z grupą kilkunastu wojowników, odprowadzał fałszywych Mahéengunug do ich kanu, pozostawionych o pół dnia drogi od wioski.

Z relacji, jaką składał obecnie, wynikało, że nie przyprowadził z powrotem wszystkich wojowników Moose. Pozorując odejście całego oddziału, w dogodnym miejscu pozostawił trzech zwiadowców z zadaniem dalszego śledzenia porywaczy. Mówiąc o tym podał powody, które nim kierowały.

– Fałszywi Mahéengunug nie mieli w swych kanu żadnych zapasów żywności. Gdyby udało im się porwanie dziewcząt, musieliby uciekać szybko przed pościgiem mężczyzn Moose i nie mieliby czasu na upolowanie jakiejkolwiek zwierzyny. Nie mieliby więc pożywienia ani dla siebie, ani dla swych branek. Ich droga, jak domyśla się Kamienny Tomahawk, nie może być zatem drogą długą. Pochodzą z daleka. To prawda, ale bez pokarmu, pod bystry prąd Czarnej Rzeki, nie mogą wioślować długo. Może jeden, może półtora dnia. W tej odległości musieli pozostawić żywność, a może nie tylko żywność; może także pomocników. Dlatego Kamienny Tomahawk uznał, że zwiadowcy Moose muszą ustalić, co zrobią uwolnieni wrogowie. Wtedy wrócą.

Przezorność tę pochwalili Ostry Nóż oraz Dzielne Serce. Jaguar, chociaż jako gość nie wyrażał swego zdania, przekonany był również, że wódz postąpił słusznie.

Ponieważ uwaga starszych skupiała się na słowach Kamiennego Tomahawka, bez specjalnych przeszkód mógł parę razy spojrzeć ku grupce dziewcząt, wśród których znajdowała się Shóamin. Z ułowionych kilkakrotnie jej spojrzeń oraz spojrzeń innych dziewcząt domyślił się, że rozmawiają właśnie o nim. Chętnie posłuchałby chociaż parę chwil tej rozmowy, ale nie było to możliwe, wiedział jednak, że to co mówiły, nie musiało być złe. Nie śmiały się z niego; z przelotnych spojrzeń, jakie padały w jego stronę, mógł wyczytać zaciekawienie, niekiedy coś bardziej życzliwego.

W pewnym momencie, gdy rozmowa mężczyzn skupiła się na innych już zupełnie sprawach, usłyszał pytanie zwrócone do siebie. Pytał Dzielne Serce:

– Na przepasce, którą Jaguar nosi wokół bioder, przymocowany jest wąski pasek, na którym widać jakieś kolorowe rysunki. Dzielne Serce i inni mężczyźni pragnęliby wiedzieć, czy wszyscy młodzi Náhduwag²⁶ noszą takie pasy i dlaczego to czynią? Jeśli mają one jakieś znaczenie, to czy nasz młody brat mógłby nam powiedzieć jakie?

– Náhduwa chętnie odpowie na pytanie Dzielnego Serca. – Tu chwilę zastanawiał się, po czym odwiązał cienkie rzemienie, którymi pasek był przymocowany i uniósł go tak, aby wszyscy mogli mu się przyjrzeć. – Jest to mówiąca skóra – powiedział. – Ten kawałek skóry

²⁶ Náhduwag (czyt. Na-da-u-eg) – Mohawkowie w języku Odżybuejów

nazywa się wampum – megisahpekun²⁷. Mówi on, że jego posiadacz odbywa świętą podróż. Jak widzą moi bracia, ma tylko trzy kolory: niebieski, biały i czerwony. Biały mówi o tym, że ścieżka Jaguara jest ścieżką pokoju i że jego myśli nie kryją zdrady. Niebieski pokazuje, że ścieżka ta jest ścieżką nieba, gdzie rządzi Wielki Duch. Czerwony oznacza, że mokasyny Jaguara prowadzą go do świętych kamieniołomów. I taki wampum nosi się tylko w szczególnych okolicznościach.

– A czy Mohawkowie posiadają również inne wampumy? – pytał dalej stary wódz, zaciekawiony widocznie tą sprawą.

– Tak. Posiadają wiele różnych wampumów i prawie każdy oznacza coś zupełnie innego. Są takie, które można zamienić na różne przedmioty potrzebne wojownikowi lub jego żonie oraz takie, które wymienia się przy zawieraniu ważnych porozumień z sąsiednimi plemionami albo nawet z białymi. I wtedy są tak samo ważne jak mówiący papier bladych twarzy. Ale są i inne – takie, na których bracia Jaguara spisują ważniejsze wydarzenia z dziejów swego plemienia lub dziejów innych narodów.

Ostry Nóż, który od paru chwil przysłuchiwał się uważnie słowom młodzieńca, spojrzał na niego przenikliwie i spytał: – Jaguar wspomniał, że wampumy, które wymienia się przy zawieraniu porozumień, są tak samo ważne jak mówiący papier bladych twarzy. Moose wiedzą, że taki papier nazywa się traktatem, ale wiedzą też, że biali nie szanują tego papieru i nigdy nie postępują według tego, co na nim zapisali. Co wtedy czynią Mohawkowie?

Młodzieniec stropił się. Sam wiedział, że biali nie dotrzymują swych przyrzeczeń, a gdy je złamią, tracą ważność również postanowienia potwierdzone wampumem. Toteż powiedział niepewnie:

– Jaguar wie, że nie wszystkie postanowienia są dotrzymywane. Najczęściej nie są dotrzymywane w czasie wojen, ale gdy nastaje czas pokoju zawierane są nowe porozumienia i znów wymienia się wampumy na znak, że tym razem będą dotrzymane. I tak jest od dawna.

– A czy Mohawkowie wymieniają wampumy jedynie wtedy, gdy zawierają traktat z białymi? Czy nie wymieniają ich przy ważnych porozumieniach z innymi narodami indiańskimi? Czy wtedy dotrzymują takich porozumień? – pytał dalej Ostry Nóż.

Czarownik widząc, że na to niewątpliwie trudne pytanie młodzieniec może nie znaleźć właściwej odpowiedzi, wyręczył go mówiąc:

– Mohawkowie oraz inne narody irokeskie wymieniają również wampumy z innymi narodami. Ale również nie zawsze ich dotrzymują. Od bardzo dawna związani są sojuszami z białymi, żyjącymi na południe od ich terenów. Od białych tych otrzymują broń i różne towary, toteż czasem stają u ich boku przeciwko innym indiańskim narodom, nawet jeśli wymieniły kiedyś z nimi wampumy pokoju. Czasem inne indiańskie narody sprzymierzają się przeciwko Mohawkom lub wszystkim pięciu narodom irokeskim z Francuzami. I wtedy również zapomina się o starych przyrzeczeniach i zobowiązaniach. Gdy nadchodzi czas rozważ i opamiętania, zawiera się nowe porozumienia i uświęca je dymem fajki pokoju i wymianą wampumów, do czasu, aż porozumienia te zostaną ponownie naruszone przez którąś ze stron. Toteż wampumy nie mają już takiego znaczenia jak dawniej.

Po słowach tych w wigwamie zapadła dłuższa cisza. Pogawędkę przerwały kobiety. Przycichły dziewczęta. Ostry Nóż pragnący przerwać rozmowę, która ich młodemu gościowi musiała sprawiać pewną przykrość, zagadnął go życzliwie:

– Nasz młody brat bardzo dobrze posługuje się mową ludu Moose. Wódz wie, że mowa ta jest zupełnie inna od rodzinnego języka Jaguara. Skąd Jaguar zna ją tak dobrze? Musiał chyba długo przebywać wśród ludów posługujących się nią? Wprawdzie Jaguar wspominał już pierwszego dnia, że mowę ludu Moose zna od swej matki, ale wodzowie pragnęliby dowiedzieć się o tym czegoś więcej od swego młodego brata.

Młodzieniec skinął głową.

²⁷ Megisahpekun (czyt. me-gi-sa-pi-kan) – wampum

– Jeśli Ostry Nóż życzy sobie tego, Jaguar chętnie zaspokoi jego ciekawość. Jaguar nie przebywał nigdy między żadnym ludem Ojebwag. Mowę ich jednak zna od swej matki. Matka jego nie pochodzi z ludu Ohkwaho. Dawno temu, w czasie jednej z wojen, jakie Mohawkowie prowadzili ze swymi zachodnimi sąsiadami, została przez ojca Jaguara zabrana ludowi Nekeek, który o kilkanaście dni drogi na wschód sąsiaduje z ludem Moose i mówi tym samym co Moose językiem. Mową swego ludu rozmawiała zawsze z Jaguarem, gdy był jeszcze małym quewezans²⁸, a także wielokrotnie później. Łatwiej jej było wobec syna używać własnego języka niż języka Mohawk, którego musiała się dopiero uczyć. Toteż Jaguar może śmiało powiedzieć, że mowę Ojebwag wyssał z mlekiem matki. Podczas długich, zimowych wieczorów, dowiedział się od niej wiele o swych przodkach z ludu Nekeek, ich zwyczajach i prawach; słyszał wiele o ludzie Moose. Poznał wtedy wiele dobrych i złych duchów tych ludów, a także wiele pięknych legend i opowieści. Wiele z nich pamięta do dzisiaj; inne zatarł w jego pamięci czas. Żałuje tego. Nie wie, czy wolno mu mieć prośbę do wodza – tu zamilkł z lekka zakłopotany...

Ostry Nóż popatrzył na niego z uśmiechem.

– Jaguar nie potrzebuje wstydić się niczego. Każdy z obecnych tu mężczyzn był kiedyś małym chłopcem i każdy zachował jakieś szczególnie drogie jego sercu wspomnienia z dzieciństwa i wspomnienia te nieraz wkradają się w jego myśli. Nie trzeba się ich wstydić. Zresztą Ostry Nóż i inni posłuchają również chętnie, a wszyscy wiedzą, że legendy najlepiej pamięta Dzielne Serce.

Gospodarz nie dał się prosić i po krótkim namyśle, swym głębokim, przytłumionym nieco głosem rozpoczął opowieść. A brzmiała ona tak:

– W dawnych, dawnych czasach ludzie i zwierzęta żyli z sobą w pokoju i przyjaźni, rozumieli się i mówili wspólnym językiem. Wędrowali swobodnie między naszą pływającą wielką wyspą umieszczoną na grzbiecie Wielkiego Żółwia, a ziemią zawieszoną wysoko tam, gdzie rządził Mały Żółw. Schodzili w dół i wspinali się w górę po moście, który ma kształt łuku i został stworzony z wielu najpiękniejszych kolorów – po moście nazywanym tęczą. Na naszej wielkiej wyspie oraz tam wysoko, na Ziemi Małego Żółwia, ludzie nie czynili zwierzętom, a zwierzęta ludziom żadnej krzywdy. Wspólnie spędzali czas i cieszyli się pokojem i pięknem otaczającego ich świata. Wielki Duch sprawił, że nigdy nie odczuwali pragnienia ni głodu, nie trapiły ich choroby ani nieszczęścia. W sercach ich nie gościła pycha, ni zawiść, ni pragnienie walki i zabijania. Wielki Duch sprawił również, że ciepłe Księżycy były bardzo długie i trwały bez końca, toteż ludzie nie potrzebowali zwierzęcych skór, by chronić swe ciała przed chłódami Księżyców zimna i nie musieli zabierać zwierzętom ich futer.

Na Ziemi Małego Żółwia i na wyspie Wielkiego Żółwia życie toczyło się spokojnie i szczęśliwie przez wiele niezliczonych Księżyców...

W tym miejscu Dzielne Serce przypalił zgasłą fajkę, przysunął się bliżej ogniska i podjął dalszy ciąg długiej, pięknej opowieści, z której słuchacze dowiedzieli się, jak to za sprawą złego ducha, ukrytego pod postacią Szczura, zostały najpierw skłócone ptaki i zwierzęta, a później ludzie. Jak zaczęły między sobą rywalizować zwierzęta i jak przyjaźń między nimi a ludźmi przekształciła się w nienawiść. Stary wódz żywymi słowami malował pierwsze nieporozumienia i pierwsze waśnie, powstający wówczas świat ludzkiej pychy, zawiści, żądzę panowania nad wszystkim co ich otaczało. Mówił o gniewie Wielkiego Ducha i karze jaką musiał wymierzyć wszystkim żywym istotom zamieszkującym wyspę Wielkiego Żółwia; jak musiał im odebrać długie ciepłe księżycy i most utkany z najpiękniejszych kolorów łączący ludzką krainę z krainą gwiazd: wreszcie wypędzić wszystkie żywe istoty z Ziemi Małego Żółwia.

Do ogniska dorzucono suchego chrustu. Płomienie strzeliły w górę. W wigwamie uczyniło

²⁸ Quewezans (czyt. ke-ue-zans) – chłopiec

się jaśniej i cieplej. Mężczyźni zachęcani przykładem gospodarza do późnej nocy snuli legendy i opowieści swego ludu oraz innych ludów i narodów sąsiadujących z nimi, a nawet takie, które słyszeli na dalekich, myśliwskich wyprawach. Opowiadali o znanym wszystkim duchu o imieniu Nanabozho²⁹.

Ucichły dziewczęta i kobiety zasluchane w słowa opowiadających. Gdy opowieść była zabawna, wigwam rozbrzmiewał śmiechem. Gdy poważna, tragiczna, czasem pełna grozy i straszliwych scen, zapadała głęboka cisza.

Jaguar, który wielu z tych opowieści dotąd nie słyszał, teraz odkrywał nowy dla siebie świat, świat pełen nowych duchów dobrych i złych, groźnych, potężnych, niekiedy przerażających, innym razem zabawnych, pomagających ludziom, lecz także często płatających im przeróżne figle. Był to świat duchów innych niż te, które znał naród Mohawków.

I znów, jak pierwszej nocy, leżąc na wznak na swym posłaniu, widział, jak zawieszona w górze, gdzieś na czarnym niebie, mruga do niego gwiazda... jego własna gwiazda. Jeśli miała nadprzyrodzoną moc przenikania ludzkich najskrytszych myśli, musiała wiedzieć, że tej właśnie nocy obdarował ją imieniem zakwitłym jak szkarłatny kwiat w jego sercu.

Gdy w czerni nocy wpatrywał się w nią uporczywie, rozdzieliła się na dwie odrębne gwiazdy, między którymi zrazu nieśmiało, potem coraz wyraźniej, poczęła rysować się twarz dziewczyny o czarnych, wielkich oczach i długich, grubych warkoczach. I twarz tę bielejącą w otchłani nocy, mimo iż sen zamknął jego powieki, widział do chwili, kiedy jasność słońca łagodnym światłem rozproszyła ciemność przedświt.

Nie zbudził się jednak sam. Ducha jego przywołał cichy szelest kroków. Otwarł oczy i zupełnie blisko ujrzał... Shóamin. Stała bez ruchu wpatrzona w niego, tak jak tamta nocna Shóamin – najcudowniejsza z wszystkich widzianych dotąd gwiazd. Pod jego spojrzeniem spuściła powieki, przycupnęła obok wygasłego paleniska, obłożyła je drobnymi suchymi gałązkami i zaczęła rozpalać ogień.

Młodzieniec wstał, wyszedł obmyć twarz i ręce. Gdy wrócił, w wigwamie płonął jasny ogień. Dziewczyna na zręcznie zmontowanym z grubych patyków trójnożu zawieszała właśnie kociołek.

Usiadł obok ognia i powiedział cicho:

– Shóamin dba o gościa ludu Moose. Czy zawsze dziewczęta Moose dbają o to, by goście jej braci byli syci?

Dziewczyna uniosła pochyloną nad ogniem głowę i odparła spokojnie:

– Wczoraj Jaguar upolował jelenia i podarował go ludziom wioski. Sobie nie zostawił nawet kawałka. Shóamin widziała to, a ponieważ wie, że ciało silnego mężczyzny potrzebuje dużo pożywienia, przyniosła mięso. Zaraz je ugotuje, chyba że Jaguar wolałby, by zupełnie ugotowała mu inna dziewczyna? Niech powie która, a Shóamin poprosi ją, by tu przyszła. Każda chętnie spełni życzenie gościa.

Młodzieniec poruszył przecząco głową.

– Jaguar nie chce, by córkę Kamiennej Tomahawki zastąpiła inna dziewczyna. Cieszy się, że to właśnie wejście siostry Sasay'gi otwarło jego powieki. Nie wie tylko, czy wolno mu rozmawiać w swym wigwamie z młodą dziewczyną?

Shóamin odsłaniając rząd białych zębów, uśmiechnęła się leciutko.

– Jaguar zdobył szacunek i zaufanie ludu Moose. W obrębie wioski może rozmawiać nawet bez świadków z każdą dziewczyną, szczególnie z tą, która przygotowuje mu posiłek. Shóamin, za zgodą, swego drugiego ojca, przyszła nieco wcześniej, bo nie chciała, by uprzedził ją ktoś inny. – Przy tych słowach patrzyła śmiało i szczerze w twarz młodzieńca.

²⁹ Nanabozho (czyt. Nej-nej-bo-žo) – jeden z najbardziej znanych i lubianych duchów w plemionach Odżybuejów. Często pomagał ludziom, ale też często płatał im różne psoty. Z powodu roztargnienia sam wpadał w rozliczne kłopoty. Stanowił przedmiot żartobliwych opowieści.

Jaguar patrzył również prosto w jej oczy, gdy odpowiadał:

– Nocą, gdy nad górnym otworem wigwamu świeciła jasna gwiazda, w jej promieniach Mohawk widział twarz Shóamin, jej oczy i zaplecione warkocze. Wejście córki Kamiennego Tomahawka i jej żywa postać zastąpiły w oczach Jaguara tamtą dziewczynę z gwiazd. Mohawk cieszy się, że Shóamin pragnęła powitać wschód słońca w tym właśnie wigwamie. Będzie teraz mógł patrzeć na nią, nie obawiając się, że jego spojrzenie może być jej niemiłe.

Cichutkie westchnienie, niczym powiew wiosennego wiatru dotarło do jego uszu wraz z miękko, nieomal szeptem wymówionymi słowami:

– Dziewczyna z gwiazd... Shóamin pragnęłaby kiedyś, gdy Jaguar wróci z czerwonym kamieniem, popatrzeć wraz z nim na tę dobrą, może szczęśliwą dla dziewczyny gwiazdę.

Oboje umilkli na pewien czas. Dziewczyna drewnianą łyżką mieszała zupę. Od czasu do czasu rzucała nieśmiało spojrzenia na swego towarzysza. Wesóło trzaskał ogień, cichutko bulgotała w kociołku zupa.

Jaguar patrzył na dziewczynę z błyskiem radości w oczach. Jednak, gdy przerwał milczenie, głos jego brzmiał jak zwykle poważnie:

– Czy brat Shóamin prędko wróci?

– Sasay’ga wrócił dziś przed świtem i przyniósł ważne wiadomości – odparła. Spojrzał na nią pytająco. A dziewczyna zrozumiałwszy to nieme spojrzenie, wyjaśniła: – Sasay’ga napotkał przypadkowo ślady białych twarzy. Zakończył więc post i postanowił zbadać kim są. Naliczył ich pięciu. Nie wiedząc jakie mogą mieć zamiary, nie pokazywał się im, lecz podsłuchiwał ich rozmowę. Dowiedział się, że oczekują na powrót siedmiu wojowników, którzy udali się do wioski Moose, by porwać dziewczęta. Sasay’ga nie zrozumiał wszystkiego, ale z tego co udało mu się domyśleć wie, że biali obiecali dać porywaczom za każdą dziewczynę po dwie strzelby i po dwa noże. Ale w rzeczywistości wcale nie zamierzają dotrzymać tej obietnicy. Mówili, że gdy tylko wojownicy przyprowadzą dziewczyny, zostaną zaraz zabici. Sasay’ga pozacierał swoje ślady i szybko wrócił do wioski. Ostry Nóż wysłał od razu dalszych zwiadowców, by śledzili białych.

– A więc dopóki zwiadowcy nie powrócą lub nie ustalą dokładnie, jakie zamiary mają biali, Sasay’ga nie będzie mógł wyruszyć do świętych kamieniółomów?

– Nie, Shóamin słyszała, że Ostry Nóż i Kamienny Tomahawk mówili, iż Sasay’ga wyruszy z Jaguarem. Białych jest tylko pięciu. Jeśli będą mieli złe zamiary, to mężczyźni Moose zabiją ich bez pomocy Sasay’gi. Jaguar może być spokojny o to, że żadnej dziewczynie w wiosce nie stanie się nic złego. – Shóamin powiedziała to z pełnym przekonaniem i zdjęła kociołek z ogniska. W gęstej zupie pływały kawałki tłustego mięsa. Dziewczyna podała młodzieńcowi drewnianą łyżkę i spytała: – Kiedy Jaguar chce wyruszyć w dalszą drogę?

– Mohawk jest gotów. Chciałby wyruszyć jak najszybciej, by prędko wrócić, ale może poczekać tak długo, aż Sasay’ga odzyska siły. Wie, że w wiosce jest wielu mądrych, dzielnych wojowników, ale zna także dobrze białych; w sercu jego pozostanie więc niepokój o Shóamin. Prosi, by do czasu, aż biali odejdą lub umrą, nie wychodziła sama do lasu ani na ryby.

– Shóamin cieszy się słowami Jaguara i spełni jego życzenie. Teraz musi już iść do swego wigwamu. – Z tymi słowy wyszła cicho i nie oglądając się za siebie pobiegła przez obszerny plac.

Gdy słońce stało wysoko na niebie, a młodzieniec na ostatniej strzale malował złotą gwiazdę, nadeszli Kamienny Tomahawk i Sasay’ga. Ten ostatni niósł starannie wyprawione futro jaguara, tego właśnie, którego Mohawk zabił nad potokiem. Wódz przywitał serdecznie młodzieńca i wskazując na futro powiedział:

– Jest miękkie i ciepłe. W chłodne noce będzie chroniło ciało Jaguara przed zimnem i wilgocią. Będzie również oznaką dzielności, jaką wykazał mężczyzna z ludu Ohkwaho. Skórę

dla swego wybawcy wyprawiła Shóamin. Natarła ją niedźwiedzim tłuszczem, by nie przepuszczała wilgoci. Naszyjnik z kłów i pazurów zwierzęcia wykonał Krzywy Róg. Niech nasz młody brat ozdobę tę nosi na swych piersiach, by jej widok u wrogów budził strach, a u przyjaciół szacunek i uznanie. – To mówiąc na szyi Jaguara zawiesił naszyjnik, a Sasay'ga wręczył swemu przyjacielowi skórę zwierzęcia, dodając:

– Syn Kamiennego Tomahawka gotów jest do drogi. Ponieważ znaczny jej odcinek biegnie wodą, Sasay'ga przygotował lekkie kanu. Kiedy mogą wyruszyć?

– Jaguar również gotów jest do drogi. Nim jednak odpłynie, pragnie podziękować wodzom za serdeczne i gościnne przyjęcie w wiosce, a czarownikowi za naszyjnik. Prosi Kamiennego Tomahawka, by podziękował swej córce za piękne okrycie, jakie sporządziła dla niego. Będzie ono przypominało mu ją na całej długiej ścieżce prowadzącej do kamieniołomów i w drodze powrotnej.

Nim słońce osiągnęło na niebie swój najwyższy punkt, obaj młodzieńcy wsiadali do kanu.

Sasay'ga zadbał o to, by w łodzi znalazł się niewielki kociołek i spory skórzany worek suszonego mięsa. W kilku innych woreczkach zabierał sól i różne zioła. Otrzymał je od czarownika. Były dobre na rany, ból brzucha i gorączkę.

Jaguar, niestety, nie mógł podziękować Krzywemu Rogowi. Czarownik, jako najlepiej w wiosce znający mowę białych, jeszcze przed świtem wyruszył ze zwiadowcami.

Mimo niepewności co do zamiarów białych, a także świadomości, że wioska może być narażona na jakieś niebezpieczeństwo, obaj młodzieńcy nie odczuwali wyrzutów sumienia opuszczając ją. Odwieczny obyczaj i prawo szanowane przez wszystkich mówiło, iż mężczyzna krocący ścieżką Ducha, nie musi przerywać swej podróży lub jej odkładać, nie musi także brać udziału w żadnej walce, nawet wtedy, gdy walkę taką przeciwko jakiemuś wrogowi prowadzą jego bracia; i nikt wtedy nie rzuci za nim zły myśli czy niedobrego spojrzenia. Toteż młodzieńcy oddalali się od wioski nie budząc niczyjego zdziwienia. Jedynie za Jaguarem pobiegło kilka ciekawych spojrzeń. Skóra, jaką niósł na swych plecach, i naszyjnik czyniły na patrzących pewne wrażenie. Niknące obecnie za lesistym cyplem jeziora wąskie kanu odprowadzały jedynie dwie pary dziewczęcych spojrzeń.

Opuszczając rodzinną wioskę Sasay'ga był poważny i milczący. W czasie samotnego postu zrozumiał, że jego beztroskie do tej pory i swobodne życie wkracza w nową długą ścieżkę dojrzałości wieku męskiego, na której nie wystarczy już tylko silne ramię wspomagające mężczyzn w łowach czy walce. Zrozumiał, że jego głos będzie brany pod uwagę w radzie, że starsi towarzysze będą liczyli na jego rozwagę, mądrość, chytrość i przebiegłość wobec wrogów, że przestaną słuchać pobłażliwie fletu młodzieńca przed wigwamem Dzielnego Serca. Będą rozumieli, że to mężczyzna pragnie, by przy jego ognisku zajęła miejsce Młoda Sosenka. Uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie tego imienia i głębiej zanurzył wiosło.

Płynęli w górę potoku. Czółno popychane silnymi ruchami ramion dość szybko posuwało się do przodu. Początkowo potok wił się łagodnymi zakolami na południowy zachód; przed wieczorem skręcił na południe. O zachodzie słońca dotarli do rzeki. Na niewielkim pagórku zbudowali szybko szałas i rozniecili ognisko.

Po jakimś czasie siedzący blisko płomieni Sasay'ga spytał:

– Jak sądzi Jaguar, co uczynią biali, gdy dowiedzą się, że porywacze zostali schwytani i wypędzeni z wioski?

– Mohawk tego nie wie, ale nie będą zadowoleni. Czy Sasay'ga dobrze ich widział? Czy może ich opisać?

– Tak, widział ich dobrze. Był blisko. Są to dorośli mężczyźni, ale żaden nie przekroczył jeszcze czterdziestu Zim. Noszą legginy sięgające do pasa i długie mokasyny do samych kolan, takie jak wszystkie blade twarze. Każdy z nich ma grubą koszulę i łosiowy kaftan. Posiadają długie strzelby, noże i toporki; na głowie mają okrycia z szopa i bobra. Cztorej mają

włosy jasne, a jeden czarne. Ten jeden ma także brodę. Nad prawym okiem nosi długą bliznę wyglądającą jak ślad po kuli. On jest przywódcą i pozostali słuchają go. Obóz białych znajduje się nad rzeką, którą popłyniemy jutro.

– Czy właśnie tędy wiedzie nasza ścieżka?

– Tak, ale Sasay’ga wie, że przed nami są zwiadowcy Moose, którzy obserwują białych. Po wschodzie słońca otrzymamy od nich wiadomości. Kamienny Tomahawk obiecał to swemu synowi.

Jaguar nie pytał więcej o białych. Zwrócił wzrok na swego młodego towarzysza, chwilę obserwował go w milczeniu, w końcu spytał:

– Czy Sasay’ga był już kiedyś w kamieniołomach i czy może zna ludy, przez tereny których będziemy przechodzili?

– Nie, nie był tam jeszcze. Drogę zna tylko w kierunku zachodnim tak daleko, jak daleko sięgają łowieckie tereny jego ludu. Zna też kilka wiosek leżących poza tymi terenami, tam skąd wieje południowo-zachodni wiatr. Bywał tam ze swym ojcem jeszcze jako chłopiec. Odwiedzał te wioski również jako młody myśliwy gdy wyruszał zastawiać pułapki na bobry, których w tamtych okolicach jest jeszcze bardzo dużo. Poznał wtedy kilku mężczyzn z tych wiosek. Moose nigdy nie walczyli z nimi.

– Czy Sasay’ga rozumie ich mowę?

– Tak, oni mówią tak samo jak Moose, a niektóre wioski położone bardziej na północy mówią językiem trochę innym. Wamete-goshewug³⁰ nazwali ich Cree³¹, lecz Sasay’ga nie wie, co oznacza ta nazwa. Język jednak rozumie. Tamtejsi ludzie mówią na siebie Kenishtenog.

– Czy żyją w lasach, tak jak Moose – pytał dalej Mohawk – i czy ich prawa i zwyczaje są podobne do tych, jakie mają Moose?

– Wiele wiosek jest jeszcze w lasach, ale niektóre leżą już poza lasami na wielkich łąkach, które biali nazywają prerią i gdzie nie ma już wielkich lasów. Są tylko mniejsze.

– Czym się zajmują tamtejsze ludy? Ostry Nóż rozmawiając z porywaczami mówił, że polują na bizona. Czy Sasay’ga widział może te zwierzęta?

– Tak. Sasay’ga wie, że wódz miał rację. Tamtejsze ludy polują właśnie na te zwierzęta. W okresie ciepłych Księżyców na prerii jest ich bardzo dużo, całe stada liczące czasem setki sztuk. Karmią się trawą. Tamtejsi Ojebwag i Kenishtenog polują na nie i zjadają ich mięso. Ze skór robią okrycia na wigwamy i całą swoją odzież, a nawet wiele różnych narzędzi. To dla nich bardzo pożyteczne zwierzęta.

– Czy to są duże zwierzęta?

– Bardzo. Trzy lub cztery razy większe od łosia i niedźwiedzia.

Mohawk, zaciekawiony słowami swego towarzysza, spytał z niedowierzaniem:

– Jeżeli, jak mówi mój młody brat, zwierzęta te są tak wielkie, to przecież na jedno takie zwierzę musi polować chyba cała wioska?

Sasay’ga, który z natury miał żywe usposobienie, roześmiał się dźwięcznie.

– Mój brat myli się. Jest to zwierzę bardzo duże, ale nie jest groźniejsze ani od niedźwiedzia, ani nawet od wilka. Przed myśliwym ucieka tak samo jak jeleń czy łось, chociaż czasem usiłuje się bronić i wtedy potrafi wyrządzić krzywdę myśliwemu.

– Czy Sasay’ga widział może takie polowanie? Czy może opowiedzieć o nim swemu bratu?

– Tak. Sasay’ga widział. Widział jak tamtejsi myśliwi polują na bizona przy pomocy wielkich psów, zwanych tam ogashy³².

³⁰ Wametegoshewug (czyt. Uo-mi-ti-gou-szi-ueg) – Francuzi.

³¹ Cree (czyt. Kri:) – nazwa wielkiego plemienia sąsiadującego na północy z Odżybuejami. Sama nazwa jest pochodzenia francuskiego, ale znaczenie tego słowa nie jest dzisiaj znane.

³² Ogashy (czyt. ou-gej-szi) – koń

– Jaguar widział te psy. Biali w kraju Mohawków posiadają je również, ale nie widział, by przy ich pomocy polowali. Jak wygląda takie polowanie?

Młody Moose zmrużył lekko oczy; gdy je rozszerzył, zaśniły w nich iskierki, znak podniecenia dawno widzianymi obrazami.

– Wiele Zim temu syn Kamiennego Tomahawka udał się ze swym ojcem daleko na zachód po bardzo twardy kamień, z którego myśliwi Moose sprządzają groty do swych strzał i oszczepów.

Na skraju wielkiej równiny, pokrytej wysoką trawą, natrafili na obóz myśliwych posiadających dużo ogashy. Myśliwi ci wytropili duże stado bizonów i ruszali na polowanie. Sasay'ga wraz z ojcem stali na wzniesieniu i widzieli z dala, że zwierząt tych było mnóstwo. Pasły się spokojnie. Myśliwi pojechali daleko poza stado, otoczyli je półkolem i wtedy z krzykiem ruszyli w kierunku Kamiennego Tomahawka i jego syna.

Gdy stado spłoszone ukazaniem się myśliwych zaczęło uciekać w kierunku wzgórza, rozległ się tak potężny łoskot, jakby Tarbishar³³ toczył się po ziemi. Każdy myśliwy pędził na swym ogashy u boku stada, o krok od upatrzonego przez siebie zwierzęcia i raził go swoimi strzałami. Gdy zabijał jedno, zbliżał się do drugiego, potem do następnego. Niektórzy myśliwi zabili wtedy po kilkanaście bizonów, ale i jeden z nich został zabity także. Stado stratowało dwa ogashy.

Po przebiegnięciu stada długą linią leżały martwe zwierzęta. Sasay'ga nigdy nie zapomni tego widoku.

– Czy tamtejsi myśliwi nie znają innych rodzajów polowania na te zwierzęta? Nie zawsze przecież mogą polować razem i nie zawsze potrzebują aż tak dużo mięsa i skór. Czy polują również pojedynczo?

– Polują. Jaguar ma rację. Ale wtedy nie używają ogashy. Przywdziewają na siebie skórę białego wilka i udając to zwierzę czołgają się w kierunku stada czy upatrzonej sztuki. Ponieważ białe wilki zawsze włóczą się w pobliżu stada, bizony są do nich przyzwyczajone i nie obawiają się ich. Toteż gdy myśliwy podczołga się na dostatecznie bliską odległość, a zachowując się tak jak biały wilk, z łatwością może upolować z łuku jedno lub nawet dwa czy więcej zwierząt. Nic mu wtedy nie grozi, a stado zachowuje się zupełnie zwyczajnie i spokojnie.

Jaguar chwilę milczał.

– A czy Sasay'ga zna może jakiś inny rodzaj polowania na bizony?

– Nie zna go osobiście, ale tamtejsi ludzie opowiadali, że stosują wiele sposobów. Mówili na przykład, że bizony są bardzo płochliwe. Gdy stado spłoszy się ogniem lub krzykiem, można je popędzić na skraj jakiegoś parowu lub przepaści i wtedy, zwalając się w dół, setki zwierząt ponosi śmierć lub łamie nogi. Mogą być wtedy łatwo dobite przez myśliwych. Ale przy takim polowaniu ginie również wiele cieląt. Indianie prerii starają się oszczędzać cielęta, toteż nieczęsto stosują ten sposób.

Przez dłuższy czas przy ognisku panowało milczenie. W końcu pieczeń wisząca nad płomieniami przyrumieniła się, wokół rozszedł się smakowity zapach. Młodzieńcy zabrali się za wieczorny posiłek.

³³ Tarbishar (czyt. Ta:-bi-szar) – Grzmot, Duch Grzmotu

Rozdział piąty

Biali kupcy

Rankiem następnego dnia, zgodnie z zapowiedzią Sasay'gi, przybył zwiadowca z wiadomością, że schwytani i ukarani w wiosce Moose porywacze wrócili do białych i opowiedzieli o tym, co ich spotkało. Mówili też, że w wiosce jest wielu zdrowych i silnych mężczyzn. Opowiadali o rzekomej walce, jaką stoczyli z wojownikami Moose, oraz o tym, że zabili wielu wrogów. Żądali zapłaty za odniesione rany i trudy na jakie się narazili oraz za stracone uszy.

Biali stwierdziwszy jednak, iż poza utratą uszu i nielicznymi śladami batów pomocnikom ich nic się nie stało, wyśmiali ich tylko. O żadnej zapłacie nie chcieli słyszeć. Doszło wprawdzie do gwałtownej kłótni, ale walki nie było. Biali posiadali strzelby i Mahéengunug odeszli z nienawiścią w sercu. Skierowali się na zachód. Błade twarze odpłynęły również w tym samym kierunku.

Zwiadowcy Moose, którzy znają dobrze wszystkie ścieżki w tej części puszczy i mogą poruszać się szybciej niż biali wiosłujący pod prąd, będą ich jeszcze śledzić przez kilka dni.

Młodzieńcy przyjęli tę relację jako rzecz najzupełniej naturalną i normalną i po wysłuchaniu posłańca ruszyli w dalszą drogę. Zwiadowca podążył do wioski, by zdać sprawę Ostremu Nożowi. Jasnym było, że biali poniechali napadu na wioskę.

Sasay'ga i Jaguar zagłębili się w nie tknięte stopą białego człowieka puszcze i bagna oraz setki rzek, strumieni i jezior leżących nieco na północ od głównej drogi wodnej białych kupców, wiodącej z Grand Portage do Jeziora Leśnego i jeziora Winnipeg.

Brat Shóamin, z pozoru beztroski wesoły młodzieniec, w rzeczywistości z każdym dniem podróży ujawniał coraz to nowe zalety mieszkańca wielkiej puszczy. Mimo braku jakichkolwiek śladów czy znaków uczynionych ręką człowieka, siedząc w tyle kierował kanu z niezachwianą i nieomylną pewnością i znajomością szlaku, którym podążali. Wśród dzikich bagien i trzęsawisk, poprzecinanych wąskimi, mulistymi strumieniami, odnajdywał z łatwością ledwo widoczne lub czasem pokryte zupełnie oczeretami i pnączami różnych krzewów, wąskie przesmyki wiodące z jednego jeziora w drugie, z jednego strumienia w inny, czy z jednej rzeki w drugą. Nie zawahał się ani razu. Mimo iż wielokrotnie wydawało się to niemożliwością – na nisko położonym, wilgotnym terenie – zawsze przed zmierzchem wyprowadzał łódź w miejsce, gdzie wypiętrzenia nawet niewielkich wzniesień pozwalały zbudować szałas na suchym, nie podmokłym gruncie.

Z wytrawnością doświadczonego myśliwego odnajdywał ścieżki leśnego zwierza, siedliska dzikich kaczek i gęsi, zbiorowiska wielkich indyków, stada pardw, piaszczyste łąchy, na których w letnim słońcu wygrzewały się żółwie. I strzała jego nie chybiała celu.

Ze względu na wyjątkowy upał nie polowali na zwierzęta większe. Mięsa nie można było przetrzymywać dłużej niż dwa dni. Psuło się bardzo szybko. Zadowalali się więc ptactwem i rybami, które z reguły nie uciekały przed sunącym bez szmeru lekkim kanu. Przeważały tłuste szczupaki. Nie łowili jednak tych największych. Obydwaj wiedzieli, że stary duży szczupak posiada suche niesmaczne mięso.

Wieczorami, przy obozowych ogniskach, Sasay'ga, który lubił mówić, snuł nie kończące się opowieści o przodkach ludu Moose, wierzeniach, zwyczajach, o różnych duchach dobrych i złych, o prawach, jakimi kierują się ludzie jego rodzinnej wioski. Nie unikał wspomnień o

swych najbliższych; o ojcu – Kamiennym Tomahawku, o Shóamin, i wtedy przed oczyma jego towarzysza pojawiała się postać ślicznej dziewczyny. Nocą, wśród milionów innych gwiazd odnajdywał tę swoją jedyną i długo rozmawiał z nią słowami serca. A gwiazda musiała rozumieć tę mowę, gdyż co noc świeciła jaśniej, wyraźniej. Błyszczała przecudnie gdzieś na podniebnej Ziemi Małego Żółwia.

Początkowo płynęli w kierunku zachodnim, stopniowo jednak dziób lekkiej łódki coraz częściej kierował się ku południowi. Bystre, płytkie potoki poczęły rozlewać się coraz szerzej. W miejsce małych, śródleśnych, wodnych oczek spotykali jeziora większe, a niekiedy tak duże, że trzeba było całego jednego dnia, by przepłynąć z jednego końca w drugi.

Pewnego popołudnia, gdy omijali właśnie jakąś lesistą większą wyspę, Sasay'ga przyhamował nagle bieg kanu i skierował je pod osłonę przybrzeżnych drzew.

Jaguar, który w pierwszej chwili nie zorientował się w sytuacji, spojrzawszy w kierunku, którym płynęli jeszcze przed chwilą, w lot pojął zachowanie swego towarzysza. Na przeciwległym brzegu jeziora, odległym o kilkadziesiąt lotów strzały, wiła się pod niebo szeroka smuga ciemnego dymu.

Młodzieńcy przybili do brzegu wyspy, ostrożnie wynieśli czołno i złożyli je pod osłoną nadbrzeżnych drzew. Sami, bez jednego słowa, przesunęli się na skraj lasu i wpatrzyli w majaczącą daleko linię ciemnych drzew. Stali długo, patrząc bez słowa na unoszący się dym. Ze względu na odległość nie byli jednak w stanie dojrzeć czegokolwiek więcej.

W końcu Mohawk zwrócił się do swego towarzysza:

– Co mój brat sądzi o tym?

Sasay'ga jeszcze przez chwilę patrzył na odległy brzeg jeziora, wreszcie wyrzekł tylko jedno słowo.

– Wahbishkewa!³⁴

– Czemu brat mój myśli, że to biali ludzie?

– Biali – powtórzył Sasay'ga z przekonaniem. – Uhnishenáh-bag nie palą nigdy mokrego drzewa na dużym ognisku. Mokre drzewo – tłusty czarny dym. Widać daleko. Ci tam – wskazał wyciągniętą ręką – nie mają doświadczenia.

Jaguar kiwnął głową:

– Mohawk też tak myśli. Tu zostaniemy do zmroku, potem popłyniemy.

– Czy po zmroku Jaguar chce zobaczyć, co to za biali?

– Tak, Mohawk pragnie ich widzieć i policzyć. Teraz słońce udaje się na spoczynek. Gdy schowa się w swym wigwamie i zamknie oczy, popłyniemy. Czy Sasay'ga był już kiedyś w miejscu, gdzie teraz znajdują się biali?

– Tak! Ognisko płonie tam, gdzie seebee³⁵ wlewa swe wody do jeziora. Jest tam mały kuhkáhbekeh³⁶, a obok niego miejsce bez drzew. Dobre miejsce na nocny obóz. Biali ludzie tam właśnie palą ognisko. Sasay'ga oraz jego bracia, gdy polują na łosie podczas Księżyca Opadających Liści, często tam właśnie rozbijają swój obóz.

Mohawk jeszcze raz skinął głową:

– To dobrze, że mój brat zna to miejsce. Pójdziemy razem posłuchać i zobaczyć białych, a Sasay'ga poprowadzi.

Bez dalszych słów wrócili do kanu i ponownie znieśli je na wodę. Za ledwie ostatnie promienie słońca skryły się za korony drzew, a pierwsze cienie przykryły gładkie i spokojne lustro wody, gdy lekkie czołno drgnęło i poczęło sunąć w stronę brzegu.

Sasay'ga kierował nim jednak nieco bardziej w prawo od miejsca, z którego coraz wyraźniej rozchodził się blask ognia. Po pewnym czasie wpłynęli do maleńkiej, okolonej sitowiem zatoczki i nie mocząc mokasynów stanęli na twardym gruncie.

³⁴ Wahbishkewa (czyt. uo-bi-sz-ki-uej) – biały człowiek

³⁵ Seebee (czyt. si:-bi:) – rzeka

³⁶ Kuhkáhbekeh (czyt. ka-ka-bi-ka) – wodospad

Kanu wepchnęli w sitowie. Sasay'ga bez słowa ruszył przodem. Stapał ostrożnie, cicho, czasami zatrzymywał się – nasłuchiwał, przykładął głowę do ziemi, po czym sunął dalej. Minąwszy jakiś występ skalny ujrzeni ognisko. Znajdowało się od nich nie dalej, niż dwieście kroków. Wtedy Moose przybliżył usta do ucha Mohawka i szepnął:

– Pójdziemy teraz trochę bardziej w prawo i wejdziemy na skałę nad polaną. Ogień i ludzie są u podnóża skały. Trzeba uważać, żeby nie stoczył się kamień. Zobaczymy i usłyszymy wszystko. – I nie czekając odpowiedzi przypadł do ziemi i począł czołgać się jak wąż. Mohawk poszedł za jego przykładem.

Gdy po niedługim czasie wychylili głowy znad krawędzi skały, zaledwie o kilkanaście stóp niżej ujrzeni rzeczywiście duże ognisko, wokół którego w niedbałych pozach odpoczywało pięciu białych mężczyzn. Mimo iż wieczór był ciepły, siedzieli blisko ognia i opędzali się od chmury komarów unoszących się nad ich głowami.

Mohawk uśmiechnął się w myśli. Rozumiał teraz przyczynę, dla której biali palili ognisko z dużą ilością dymu. Chcieli za jego pomocą odstraszyć komary, lecz małe owady nie dawały się odpędzić zbyt łatwo. Widocznie smakowała im krew bladych twarzy. Były napastliwe i atakowały zawzięcie każdą odsłoniętą część jasnej skóry. Młodzieniec z satysfakcją obserwował nieporadne odruchy białych, pragnących pozbyć się małych, napastliwych intruzów. Jednocześnie bacznie rozglądał się po całym otoczeniu.

Nad ogniskiem piekła się cała łania, lecz, jak widział, wisiała zbyt nisko i języki ognia często dotykały mięsa. Wiedział, że w tych miejscach mięso będzie spalone i będzie miało, smak popiołu. Na wschodzie biali nauczyli się już piec zwierzynę nie przypalając jej i nie powodując, by twardniała i wysychała nad ogniem. Ci tutaj widocznie tego nie potrafili. Nie mieli jeszcze doświadczenia. Dowodziło tego w sposób wyraźny wielkie ognisko, hałaśliwe swobodne zachowanie, głośnie rozmowa. Byli Sháuguhnaushug³⁷. Jaguar znał ich język od dzieciństwa. Często przebywali w jego wiosce; często wojownicy Mohawków brali udział w ich wyprawach przeciwko Wametegooshowug, Algonkinom, Huronom, Tionontati, których biali nazywali również Tobacco, czy też przeciw Ottawom.

Wojownicy Mohawków otrzymywali wtedy dużo dobrych podarków, w tym strzelby, i dużo wody ognistej. Toteż teraz rozumiał każde wypowiedziane słowo. Przelotnie tylko spojrzał jeszcze na dwa leżące nad brzegiem czółna i skupił uwagę na tym, o czym mówili siedzący przy ognisku. Właśnie teraz jeden z nich, nie czekając aż mięso upiecze się dobrze, odkroił spory nadwęglony kawałek z grzbietu i trzymając go na długim nożu zwrócił się do najstarszego spośród całej piątki.

– A ja ci mówię Bart, że cała nasza włóczęga po tej diabelskiej puszczy nie zda się psu na budę. W dodatku, jeśli natrafimy na jakąś bandę dzikich, którym przypadną do gustu nasze skalpy, pozostawimy tu wszyscy swoje kości i pies z kulawą nogą nie będzie wiedział, gdzie ich szukać. Czy chociaż wiesz, gdzie się znajdujemy?

Nazwany Bartem pogładził swą czarną gęstą brodę i odparł niedbale:

– Mówisz Alf, że niepotrzebnie włóczymy się po puszczy. Przypomnij sobie, co robiłeś jeszcze rok temu. Siedziałeś dziewięć miesięcy w budzie nad Obongo, żarłeś całą zimę kukurydzę i fasolę z robakami, a na noc barykadowałeś drzwi, by nie stracić skalpu, po który w każdej chwili mogli przyjść Wasses lub jakieś inne dzikusy, nie lubiące tam białych, a latem odstawiałeś futra do Michillimackinac i napełniałeś kabzę właściciela montrealskiej kompanii. Nie miałeś z tego nic. Skalp było łatwiej stracić niż tutaj. Tutejsi dzicy nie znają jeszcze białych zbyt dobrze, a kupców potrzebują. Za wodę ognistą i broń dostaniemy wszystko. To prawda, że nie wyszło z tymi paroma Czarnostopymi. No, ale co się stało? Stracili uszy i to wszystko. Znajdą się inni. Mówię ci, gdy wrócimy do kraju pana Carletona³⁸, będziemy bogaci. Może nawet sami założymy jakąś spółkę. Za dziewczyny i

³⁷ Sháuguhnaushug (czyt. Sza-ga-na-szag) – Anglicy

³⁸ Guy Carleton – angielski gubernator Kanady w latach 1786–1796

futra dostaniemy więcej, niż byś zarobił w kompanii przez piętnaście Zim – jak mówią dzicy. Żyry więc swoje mięso. Jest lepsze niż fasola z robakami i nie narzekaj, a moskity – tu wybuchnął śmiechem – nie są bardziej jadowite w tej okolicy niż w innej. O drogę nie martw się. Jutro przed wieczorem powinniśmy odnaleźć wioskę Wahboosoog³⁹, jeśli oczywiście ci bez uszu nie nakłamali. Może tych uda się namówić na jakiś mały wypadzik po dziewczyny, a może coś im sprzedamy za skóry?

Pozostała trójka, chociaż słyszała niewątpliwie co mówił szef, pozornie na jego słowa nie zwracała uwagi. Zabrali się do kolacji – dłuższą chwilę panowała cisza. W końcu jednak Alf, widać nie do końca przekonany słowami szefa, spojrzał na niego spod zmrużonych powiek i powiedział z pewnym powątpiewaniem:

– No, dobrze! Nawet jeśli uda nam się zdobyć dziewczyny, to nie będziesz ich przecież włókł do Montrealu. Każda banda Indian nam je odbije, a z nami zrobi porządek.

Czarnobrody znów się roześmiał.

– Nie martw się. Nikt nam dziewczyn nie odbierze. Za parę dni będzie nas więcej i nie będziemy musieli wyręczać się dzikimi. Sami zdobędziemy to, co nam trzeba i dowieziemy tam, gdzie należy. Tutejsi Ojebwag nie są zbyt waleczni, a wśród innych, bardziej na południu, mam trochę przyjaciół. Mówiłeś, że ognisko jest za duże i z dala widać dym. Miałeś rację. Właśnie o to chodziło. Na pewno ze dwa tuziny dzikich zobaczyło już ten dym. Wiedzą, że tylko biali są tak nieostrożni, ale wiedzą też, że tutaj mogą być tylko biali kupcy. Rozpalając duży ogień zabezpieczyłem się przed niespodziankami. Zwiadowcy go wypatrzą. Doniosą do pierwszej wioski i możemy być pewni dobrego przyjęcia. Radzę nażreć się i iść spać; nic nam nie grozi.

Mohawk raz jeszcze przyjrzał się białym i dotknął ramienia Sasay'gi. Wycofywali się ostrożnie. Dotarłszy do swego kanu wzięli je lekko na barki i zagłębili się w las. Prowadził znów brat Shoamin. Gdy po dłuższym marszu wychynęli na niewielką łączkę, znajdowali się daleko w górze rzeki, w odległości wielu strzał od obozowiska białych.

– Czy Sasay'ga trafi do wioski Wahboosoog?

– Tak, jeśli popłyniemy całą noc, będziemy tam o świcie i uprzedzimy wodza o tym, kim są faktycznie kupcy. Blade twarze przybędą tam wieczorem. Sasay'ga zna wodza i kilku mężczyzn. Trzeba ich ostrzec.

– Mój brat ma rację – potwierdził Mohawk – płynmy.

Przed północą pojawiła się na niebie jasna twarz księżyca. Światło jego rozjaśniało rzekę. Młodzieńcy silniej popchnęli czółno. Tuż po nadejściu świtu nad brzegiem wody spostrzegli małe kanu. Na jego dziobie, lekko pochylony do przodu, z cienką dzidą gotową do pchnięcia, stał prawie nagi chłopak. Ujrawszy niespodziewanie obcych, którzy wychynęli zza zakrętu, wykonał ruch, jakby ostrze zamierzał obrócić w ich kierunku. Ujrawszy jednak wiszące na ich piersiach cybuchy fajek opuścił rękę i popatrzył bez niepokoju na obcych, po czym przysunął do nich swą maleńką łódeczkę. Uważnie wpatrywał się w twarz Sasay'gi; w końcu uśmiechnął się szeroko.

– Syn Kamiennego Tomahawka, wodza Moose – szepnął. – Kenóozha⁴⁰ uprzedzi swego ojca Peshéwha⁴¹, wodza wioski, że wkrótce przybędą goście. – Z tymi słowami pchnął szybko swe kanu pod prąd.

Młodzieńcy stracili go wkrótce z oczu. Nie musieli się spieszyć, toteż nim przybyli do wioski Wahboosoog, słońce wychyliło się ponad korony drzew.

Wioska była duża. Kilkadziesiąt wigwamów o zaokrąglonych szczytach rozciągało się długą linią na niewielkim wzniesieniu między ścianą boru, a prostym w tym miejscu odcinkiem spokojnie płynącej rzeki. Zwyczajem większości grup wchodzących w skład

³⁹ Wahboosoog (czyt. Uo-bu-sug) – Króliki

⁴⁰ Kenóozha (czyt. Ki-nu-żej) – Szczupak

⁴¹ Peshéwh (czyt. Pe-szeu) – Dzikie Kot lub Rys

wielkiej rodziny tworzącej potężny naród Ojebwag, jednorodzinne wigwamy pokrywały starannie dopasowane i zachodzące na siebie szerokie płyty kory brzozonej. Widać w tym ciepłym dosyć regionie brzoza występowała w znacznych ilościach.

Chociaż sporo osób zgromadziło się już na skraju wioski, Sasay'ga nie skierował tam łodzi do brzegu; uczynił to dopiero mniej więcej w połowie linii wigwamów, gdzie tuż nad brzegiem zgromadziło się kilkunastu starszych mężczyzn, a wśród nich niższy znacznie od pozostałych, bardziej krępy, odziany w skóry dzikiego kota wódz.

Gdy młodzieńcy wysiedli na brzeg, posunął się ku nim prawdziwie kocim, miękkim krokiem i położywszy dłonie na barkach Sasay'gi powiedział serdecznie:

– Peshéwh oraz wszyscy Wahboosoog witają z radością syna Kamiennego Tomahawka i jego przyjaciela i proszą ich, by w wiosce Wahboosoog czuli się tak jak w wiosce Moose. Peshéwh ma nadzieję, że Sasay'ga oraz jego towarzysz pozostaną tu i odpoczną kilka dni. Sasay'ga oparł swe dłonie na dłoniach wodza i odparł równie serdecznie:

– Syn Kamiennego Tomahawka cieszy się, że ścieżka przywiodła go do obozu jego braci Wahboosoog i że we włosach Peshéwha nie dostrzega żadnej jasnej nitki. Jak jego starszy brat widzi, na piersiach Sasay'gi zawieszony jest święty okij⁴², na znak, iż Sasay'ga udaje się po glinę na główkę swej fajki pokoju. Nie zatrzyma się więc dłużej w wiosce Peshéwha, ale wraz ze swym przyjacielem pozostanie chętnie dwa lub trzy dni. Do świętych kamieniołomów Sasay'ga podąży wraz z Jaguarem, synem ludu Ohkwaho, należącym do dzielnego narodu Náhdwa. Sasay'ga dla swego towarzysza ma serce brata, gdyż Náhdwa tylko z nożem w ręku, w obronie życia Shóamin – córki Kamiennego Tomahawka – rzucił się na jaguara, zabrał mu jego futro, kły i pazury, z których Krzywy Róg sporządził dla niego naszyjnik. W sercu i myślach Náhdwa nie mieszka fałsz. Sasay'ga pragnąłby, by Peshéwh w swym sercu znalazł miejsce również dla Mohawka.

Wódz obrócił się teraz ku drugiemu młodzieńcowi i również złożył ręce na jego ramionach:

– Młodzieniec, który przez wiele Księżyców podąży samotną ścieżką ku świętym kamieniołomom i nie wahając się, życie stawia za życie dziewczyny obcego mu ludu; który tylko z nożem w ręku staje przed najbardziej niebezpiecznym drapieżnikiem puszczy, nie tylko zamieszkał w sercu Peshéwha, ale zyskał także jego wielkie uznanie. Ludzie Wahboosoog będą dumni, jeśli zechce uważać ich za swych braci. Niech więc pójdzie wraz z Sasay'gą do wigwamu, który przygotował już dla nich Kenóozha.

Jaguar, podobnie jak Sasay'ga, oparł swe dłonie na dłoniach wodza i odparł:

– Mohawk, chociaż pochodzi z dalekiego kraju na wschodzie, z ludu, który prowadził wiele walk i wojen, umie cenić pokój i przyjaźń i jego serce również otwarte jest dla tych wszystkich, których Sasay'ga uważa za swych braci. Nim jednak zostanie gościem ludu Wahboosoog, pragnąłby wodzowi oraz starszym mężczyznom wioski przekazać w wigwamie narad ważne i pilne wieści, jakie przywiózł wraz z synem Kamiennego Tomahawka.

– Życzenie Jaguara zostanie spełnione. Wysłuchamy go natychmiast.

Obaj młodzieńcy, nie troszcząc się o pozostawione przy brzegu kanu oraz złożoną w nim broń i swe święte cybuchy, podążyli za wodzem. Wiedzieli, iż nikt, nawet małe dzieci, nie tknie ich własności.

W obszernym wnętrzu, wobec dwunastu starszych wioski i wszystkich dorosłych mężczyzn, najpierw Sasay'ga opowiedział wszystkie szczegóły nieudanej próby porwania dziewcząt z wioski Moose, a następnie Jaguar powtórzył wiernie podsłuchaną w nocy rozmowę, jaką biali prowadzili między sobą. Gdy skończył, wódz spytał poważnie:

– Czy nasi młodzi bracia pewni są, że pięciu białych, których podsłuchali i widzieli tej nocy, są tymi samymi, którzy wysłali fałszywych Mahéengunug w celu porwania dziewcząt z wioski Moose?

⁴² Okij (czyt. ou-kiż) – cybuch do fajki

– Syn Kamiennego Tomahawka jest tego pewien. Widział ich po raz pierwszy, gdy pościł przed wyruszeniem po święty kamień. Wczoraj widział ich po raz drugi. Nie myli się.

Słowa jego potwierdził Mohawk:

– Jaguar zna mowę Shauguhnaushug od dziecka. Słyszał dobrze i rozumiał każde słowo, które teraz powtórzył. Jest również pewien, że to te same blade twarze.

Wódz skinął głową.

– Peshéwh dziękuje swym młodym braciom za ostrzeżenie. Mogą udać się teraz do przygotowanego dla nich wigwamu, posilić się i odpocząć, a mężczyźni Wahboosoog zastanowią się jak przyjąć białych.

Obaj młodzieńcy skinęli głowami i wyszli na zewnątrz. O kilkanaście kroków od wejścia czekał na nich Kenóozha – syn wodza. W obydwu rękach trzymał rzeczy należące do młodzieńców, zabrane z ich kanu. Gdy ujrzał wychodzących, podszedł do nich i patrząc z zachwytem na naszyjnik Jaguara powiedział:

– Zabrałem z kanu rzeczy mych braci i zaniósę je do ich wigwamu. Niech pójdą ze mną – wskażę im drogę – i nie czekając na odpowiedź poszedł przodem. Mimo młodego wieku był wysoki i muskularny, a sądząc po imieniu, musiał dobrze pływać. Świadczyły zresztą o tym muskularne barki, szeroka i mocno umięśniona klatka piersiowa. Obydwu gości zaprowadził na skraj wioski i wskazał niewielki wigwam wyglądem przypominający kopiec usypany przez kreta. Weszli przez niski otwór wejściowy zasłonięty skórą jelenia.

W tym samym czasie w wigwamie narad Peshéwh uniósł opartą o drewniany trójnóg fajkę pokoju – nabił ją starannie i na wierzchu położył wyjęty z ogniska niewielki żarzący się węgielek. Po rozpaleniu fajki pociągnął z niej kilka głębokich haustów i w cztery strony świata oraz ku niebu i ziemi wypuścił kłęb dymu. Następnie podał fajkę wojownikowi siedzącemu po jego lewej ręce. Ten pociągnął tylko raz, wypuścił dym przed siebie i podał siedzącemu również po jego lewej ręce. Każdy następny powtarzał ten ceremoniał, przy czym przekazując fajkę sąsiadowi starał się, by główkę trzymać z dala od siebie, natomiast ustnik blisko piersi.

Gdy zakończono ceremonię i fajka wróciła do wodza, ten podniósł ją do góry, następnie oparł ponownie o wysoki drewniany trójnóg, główką do dołu. Kilkanaście chwil trwało milczenie, wreszcie wódz wstał i przemówił poważnym głosem:

– Wszyscy obecni tu mężczyźni słyszeli słowa Moose i Mohawka i wiedzą, że obydwaj młodzieńcy mówili prawdę. Z tego co mówili, Peshéwh zrozumiał, że pięciu białych, podających się za kupców, którym przewodzi czarnobrody zwany Bartem, pod pozorem handlu z Uhnishenáhbag pragnie kupić futra, porwać ładne dziewczęta, a może także zdobyć skalpy, by je sprzedać w swych wschodnich miastach.

Peshéwh oraz wszyscy tu obecni wiedzą, że biali sprzedają dziewczęta w niewolę. Czy mężczyźni Wahboosoog zgadzają się z tym zdaniem?

Zgromadzeni w wigwamie potwierdzili słowa wodza jednym przeciągłym – howgh!

– Jeśli moi bracia myślą tak samo, Peshéwh prosi ich o radę. Niech namyślą się i powiedzą, co ich zdaniem należy uczynić, by uchronić nasze dziewczęta przed niebezpieczeństwem. Ponieważ Czarnobrody spodziewa się, jak to wynika z jego słów, które usłyszeli Mohawk i Sasay’ga, że do tych pięciu białych dołączą wkrótce inni, nie wiadomo jak liczni i z jakimi zamiarami, Peshéwh uważa, że może zaistnieć niebezpieczeństwo walki z tak połączonymi białymi. Prosi więc swych braci, by powiedzieli, jakie według nich należałoby podjąć kroki, by nie powstało niebezpieczeństwo dla całej wioski. Niech bracia Peshéwha ujawnią swe myśli.

Wódz usiadł i uważnie obserwował twarze zebranych. Cisza powagi i zastanowienia trwała długo. Wreszcie wstał najstarszy wiekiem wojownik, o twarzy i piersiach pooranych bliznami, o włosach przykrytych bielą wielu przeżytych Zim i zabrał głos:

– Kata Ahtik⁴³ zgadza się ze zdaniem Peshéwha, że pojawienie się tych fałszywych białych kupców zapowiada niebezpieczeństwo dla wioski Wahboosoog. Zawsze, gdy pojawiają się biali, wraz z nimi przychodzi woda ognista, kłamstwo, a często zdrada, nawet wtedy, gdy spotkanie kończy się wypaleniem fajki pokoju, której świętego dymu moi bracia nie zapominają, a który dla białych nie jest obowiązujący. Dlatego Kata Ahtik sądzi, że nie należy wiązać się z białymi dymem świętej fajki pokoju, by nie urazić Kezhamuhnedoo. Trzeba ich jednak w wiosce przyjąć. Mają wiele pożytecznych rzeczy potrzebnych myśliwym Wahboosoog.

Z tego co powiedzieli nam Mohawk i Moose, a Kata Ahtik podobnie jak wódz wierzy ich słowom, wynika, że biali mają nieuczciwe zamiary. Sądzi, że będą chcieli zobaczyć wszystkie młode ładne dziewczęta; dlatego radzi, by pod opieką kilku doświadczonych wojowników ukryć je dobrze – najlepiej w pieczarze Czarnego Niedźwiedzia. Biali ich tam nie znajdą, bo trzęsawiska nie przepuszczą nikogo, kto nie zna ścieżki. Kata Ahtik nie obawia się więc tego niebezpieczeństwa; nie obawia się także walki, gdyż pięciu, a nawet trochę więcej białych, nie podejmie jej z wioską, w której przebywa przeszło dwustu dorosłych wojowników. Obawia się czego innego.

Wie, że biali kupcy przywożą zwykle z sobą wodę ognistą. I ona stanowi największe niebezpieczeństwo. Jeśli nasi młodzi wojownicy jej spróbują, rozwiążą się im języki, opadnie z nich pieczęć ostrożności i milczenia, i na pewno wtedy opowiedzą o dziewczętach, a gdy wody ognistej wypiją więcej, dobry duch odejdzie ich i jak zawsze będą walczyli między sobą.

Kata Ahtik radzi więc, by białych pozbawić wody ognistej. Wtedy będą jak grzechotnik, któremu wyrwano jadowite zęby. Wahboosoog nie mogą napaść ich jednak w wiosce i tu użyć swej siły dla zniszczenia wody ognistej. Biali, którzy przybywają tu dobrowolnie, z chwilą gdy znajdą się wśród dymów obozowych wigwamów, staną się dla moich braci nietykalni. Nie, tu nie mogą napaść ich i pozbawić ishkootá-wahboo⁴⁴. Powinniśmy to uczynić w innym miejscu – z dala od wioski.

Kata Ahtik myśli, że najlepiej będzie, gdy kilkunastu najdzielniejszych wojowników uda się przeciw białym; napadnie ich niespodziewanie i nie czyniąc krzywdy, od razu, w miejscu napadu, zniszczy wodę ognistą, a białych weźmie do niewoli i wraz z towarami sprowadzi do wioski.

Tutaj kupcy będą się tłumaczyć, że są uhdahwawenenewug⁴⁵, a moi bracia po jakimś czasie dadzą się przekonać, uwolnią ich i zwrócą wszystkie należące do nich rzeczy. Wahboosoog staną się wobec nich bardziej przyjacielscy i jeśli biali posiadają przedmioty potrzebne mężczyznom i kobietom, to pewno zaproponują wymianę tych przedmiotów na futra i skóry, które posiada wioska.

Wahboosoog nie będą ukrywali tych kobiet, które pozostały na miejscu. Powinni dowiedzieć się jedynie, co będą mówili i co będą zamierzali uczynić biali. – I znów jak po słowach wodza, we wnętrzu rozległo się głośnie howgh...

Następni mówcy poparli słowa starca. Jeden z nich radził, by wysłać posłańców z ostrzeżeniem do sąsiednich wiosek i kilku zwiadowców, by śledzili, czy nie zbliża się jakaś druga grupa białych. Narada trwała krótko, a ponieważ wszyscy zgadzali się z radami Kata Ahtika, jej postanowienia bezzwłocznie wprowadzono w czyn.

Do wigwamu, w którym przebywali Jaguar i Sasay'ga, przybył wkrótce wódz Wahboosoog. Usiadł na uprzejmie wskazanym mu miejscu i krótko powiedział o tym, co postanowiła rada:

– Posłańcy z ostrzeżeniem zostali już wysłani do innych wiosek. Na spotkanie białych

⁴³ Kata Ahtik (czyt. Ke-tej A:-tik) – Stary Karibu

⁴⁴ Ishkootá-wahboo (czyt. isz-ku-tej u-o-bu) – alkohol, whiskey

⁴⁵ Uhdahwawenenewug (czyt. a-da-ua-uin-nin-ni-uag) – kupcy

wyruszyli wojownicy i tropiciele. Dziewczęta, te, na które biali mogliby zwrócić uwagę, zostały ukryte i są dobrze strzeżone. Wahboosoog są silni i liczni i nie obawiają się żadnych wrogów. Mają jednak poważny kłopot i dlatego Peshéwh przyszedł z prośbą – a widząc zdziwienie obu młodzieńców, którym przedsięwzięte środki ostrożności wydawały się wystarczające i naturalne, dodał wyjaśniająco. – Pośród mężczyzn wioski nie ma nikogo, kto rozumie mowę Shauguhnaushug. Mowę tę, jak wiemy, zna i rozumie dobrze tylko Jaguar, lecz Peshéwh nie chce prosić, by Mohawk tłumaczył mowę białych. Pragnie jedynie, by słyszał, co mówią między sobą. Nie powinni wiedzieć, że Jaguar ich rozumie. Peshéwh wie, że syn ludu Ohkwaho jest na świętej ścieżce i nie musi pomagać ludowi Wahboosoog, ale wódz pragnie go zapewnić, że mężczyźni z wioski nie zamierzają skrzywdzić żadnego z tych pięciu białych; nie chcą tylko, by krzywda spotkała kogokolwiek z wioski lub kogoś z innych wiossek. – Tu zamilkł zakłopotany trochę prośbą z jaką zwracał się do młodzieńca.

Jaguar myślał chwilę, po czym odpowiedział po prostu:

– Mohawk pomoże swym braciom. Ponieważ jednak nie jest pewny, czy na swej dalszej drodze nie spotka jeszcze kiedyś tych białych, zmieni teraz swój wygląd tak, by go nigdy potem nie poznali.

Wódz odetchnął lżej i skinął głową z zadowoleniem.

– Peshéwh cieszy się postanowieniem swego młodego brata. Zaraz przyśle Wahbe-kookookuhoo⁴⁶, który zmieni twarz Jaguara tak, że stanie się mężczyzną wioski Wahboosoog. Podobnie zmieni wygląd Sasay'gi.

W jakiś czas potem do wigwamu wsunął się długi chudy cień starszego już mężczyzny. Starzec przyniósł z sobą wykonane z kory obszerne pudełko, wypełnione maleńkimi miseczkami różnokolorowych farb. Poprosił, by Mohawk rozebrał się do pasa; obejrzał go starannie, po czym czarnym węgielkiem wymalował na jego piersi kontur jakiegoś zwierzęcia i wypełnił go brązową i czarną farbą. Pędzelkiem wykonanym ze szczeciny bobra, farbą czarną pociągnął kilka promieniście rozchodzących się pasów od barków na plecy, piersi i wzdłuż ramion. Na lewym ramieniu jaśniejszym kolorem zmieszonym z tłuszczem i żywicą położył znak wyglądający jak niedawno zabliźniona, duża poszarpana rana.

Prawie na całej twarzy – od podbródka, aż po oczy oraz nad oczami, czarną farbą wymalował szerokie na grubość palca pasy – wyglądające jak kształt dłoni przyłożonej z obydwu stron nosa – dłoni obróconej palcami ku górze. Do uszu przywiązał paski futerka kuny ze zwisającymi długimi kośćmi skokowymi królika, a na szyi – w miejsce sznura z kłów i pazurów jaguara – zawiesił kilkanaście sznurków długich rzecznych muszelek. Odpiął ostrożnie pasek wampumu i błyszczący nóż, mocując w ich miejsce pas ze skóry jelenia i szeroki wyszczerbiony nóż z czerwonego metalu. Następnie wskazał na mokasyny i legginy. Młodzieniec zdjął je posłusznie, wkładając na stopy trochę szersze i o nieco innym kształcie mokasyny i innym kroju legginy, jakich używali Wahboosoog. Na koniec, na prawe ramię Jaguara narzucił prostą skórzaną derkę. Chwilę myślał; wreszcie kilkoma zręcznymi ruchami pędzelka, umoczonego w miseczce zawierającej żółto-brązową farbę, sprawił, że lewe oko młodzieńca jak gdyby skrzywiło się, nadając całej twarzy znamię kalectwa.

Sasay'ga, który na te wszystkie zabiegi spoglądał początkowo z pewnym niedowierzaniem, patrzył teraz na twarz i postać przyjaciela z prawdziwym podziwem i zdumieniem, które pozwoliły mu wypowiedzieć zaledwie kilka słów:

– Gdyby Sasay'ga nie wiedział na pewno, że to jego brat Jaguar, nigdy nie poznałby go w tym przebraniu.

Wahbe-kookookuhoo uśmiechnął się i odparł:

– Zaraz zmienimy podobnie Sasay'gę – i z tymi słowy przystąpił do zmiany wyglądu drugiego młodzieńca.

Gdy ukończył pracę i obaj przyjaciele spojrzeli na siebie, wybuchnęli jednoczesnym

⁴⁶ Wahbe-kookookuhoo (czyt. Uo-bi ku-ku-ka-u) – Biała Sowa

śmiechem.

Teraz Wahbe-kookookuhoo zaprosił ich gestem do wyjścia i dwukrotnie przeprowadził wzdłuż rzędu wigwamów, tak, by wszyscy mieszkańcy wioski mogli dokładnie zapamiętać ich wygląd.

Zbliżało się późne popołudnie, gdy zza zakrętu wynurzyło się pięć kanu.

W trzech pierwszych znajdowało się po ośmiu wojowników wioski; w dwu następnych mniejszych, ciągnionych na długiej linie, na dnie łodzi siedziało pięciu białych ze związanymi na plecach rękami.

Głośny okrzyk z kanu wywabił nad rzekę prawie wszystkich mieszkańców wioski. Utworzył się podwójny szpaler od rzeki do środka linii wigwamów, składający się z kobiet, dzieci i mężczyzn w różnym wieku.

Groźne okrzyki, wycie psów i pisk kobiet nie wróżyły białym nic dobrego. Słyszeli już o strasznych torturach zadawanych jeńcom przed śmiercią. Zaskoczeni niespodziewanym napadem i niezrozumiałym uwięzieniem wychodzili niepewni z kanu. Zarzucono im pętle na szyje i tak na długich rzemieniach prowadzono wzdłuż szpaleru w głąb wioski. Kobiety powstrzymywano siłą, by paznokciami nie pokaleczyły jeńców. Chłopcy ze swych dziecinnych łuków razili ramiona i plecy białych. Nawet półdzikie psy z wyszczerzonymi kłami skakały na jeńców.

Żaden z białych nie wymówił nawet jednego słowa. Mieli tyle doświadczenia, że zdawali sobie sprawę, iż opór był sprawą beznadziejną. Prośba wyglądałaby jak prośba ofiary wobec wilka trzymającego ją za gardło.

Gdy doprowadzono ich do środka wioski, zdolali zauważyć jeszcze, że ich kanu zostały wyrócone, a cała zawartość porozrzucana w koło.

Nastała cisza. Nawet psy zamilkły i przepędzone przez mężczyzn zaszyły się w pobliskich krzakach. Z największego wigwamu wyszedł Peshéwh i spytał:

– Która z białych twarzy jest wodzem?

Czarnobrody zbliżył się do małego Indianina i siląc się na spokój odparł pewnie:

– Ja jestem.

– Czy biała twarz może powiedzieć, co robiła w pobliżu wioski Wahboosoog?

– Jesteśmy Sháuguhnaushug – uhdahwawenenewug – łamanym językiem odparł biały.

– Nie jesteście kupcami. Jesteście psami i przysłał was Mújje-muhnedoo⁴⁷, który kazał wam wytruć wszystkich Wahboosoog. Peshéwh postawi was przy palu męczarni, a jego wojownicy i kobiety rozszarpią wasze ciała, spalą je, a prochy rzucają na pożarcie Czterem Wiatrom.

Czarnobrody spojrzał nienawistnie na małego wodza, lecz odpowiedział z pozornym spokojem, z trudem przywołując na pamięć wszystkie znane mu słowa z języka Ojebwag:

– Peshéwh myli się. Nie przysłał nas Zły Duch i nie po to przybyliśmy do wioski Wahboosoog, by zabić jego braci. Przybyliśmy z polecenia Dobrego Ducha, który powiedział nam, że jego dzieci potrzebują wielu przedmiotów: strzelb, prochu, kul, noży, żelaznych grotów i toporków, by łatwiej polować w czasie Księżyców zimna i głodu. Chcieliśmy rzeczy te podarować wodzowi i mężczyznom wioski za skóry i futra zwierząt, na które polują. Ale mężczyźni Wahboosoog złamali prawa gościnności i gości swoich podstępnie napadli i związali, a teraz grożą im. Gdy Wielki Dobry Duch dowie się, jak jego dzieci łamią ustanowione przez niego prawa, które zabraniają napadać na przyjaciół, ześle na lud Peshéwha straszne nieszczęścia, choroby, głód i śmierć i tak ukarze przelaną podstępnie i zdradziecko krew.

Wódz poruszył się niespokojnie i już nieco mniej stanowczym i groźnym tonem bardziej pytał niż twierdził:

– Dobry Duch kocha swoje dzieci i gdy każe im rozpalać ogień, to sprawia, że dym

⁴⁷ Mújje-muhnedoo (czyt. Ma-że ma-ni-du) – Zły Duch

ulatujący z niego jest lekki i jasny. Z ogniska białych unosił się wczoraj wielki czarny dym, a kolor czarny oznacza, że ci którzy go czynią, niosą śmierć i nieszczęście. Wahboosoog oraz wszyscy Ojebwag wiedzą to. Powinni wiedzieć i biali. Wielki Duch nie kocha ich, skoro im tego nie powiedział.

Czarnobrody, co przemawia na korzyść jego zimnej krwi i oswojenia z niebezpieczeństwem, parsknął pogardliwie:

– Peshéwh mówi jak dziecko. Wielki Duch każe swym dzieciom malować twarze na czarno i rozdrapywać je po śmierci kogoś bliskiego – ojca, męża lub dziecka. Nic jednak nie mówi o czarnym dymie. Czy wtedy, kiedy podczas Księżyca Kielkowania Zielonej Trawy⁴⁸ nad wioską pojawia się gruba czarna chmura, z której padają krople wody użyźniające ziemię, Wahboosoog wierzą, że przysłał ją Zły Duch?

– Nie, Wahboosoog wiedzą, że przysłał ją Dobry Duch.

– To dlaczego uważają, że czarny dym przysłał Zły Duch? Biali uczynili go wczoraj właśnie po to, by Peshéwh i myśliwi z jego wioski ujrzeni go z daleka. Czy wrogowie, którzy chcą napaść na wioskę, robią przy tym w jej pobliżu duży czarny dym, by ostrzec wojowników o niebezpieczeństwie?

Wódz wydawał się coraz bardziej zmieszany, ale jeszcze nie ustępował:

– To dlaczego biali przywieźli z sobą tyle baryłek trucizny?

– To nie była trucizna! Biali dla swych czerwonoskórych braci przywieźli ishkootá-wahboo. Ktoś wprowadził w błąd wodza Wahboosoog, jeśli mu powiedział, że w baryłkach mieszka trucizna.

Peshéwh pokręcił przecząco głową.

– Nie, wodza Wahboosoog nikt nie wprowadził w błąd. To złe duchy w czasie snu weszły do głowy czarownika i pokazały mu białych, którzy przybywają do wioski i dają braciom Peshéwha napój przywieziony w baryłkach, który powoduje, że umierają wszyscy mężczyźni. Dlatego, gdy Peshéwh dowiedział się od zwiadowców, że w pobliżu są biali, był pewien, że to właśnie oni są tymi, których wysłał Zły Duch, i dlatego polecił, by wojownicy pojмали białych i pozbawili ich trucizny. Teraz rozumie swój błąd i żałuje, że jego mężczyźni nie będą pili wody ognistej, która rozgrzewa krew i wlewa siłę w żyły wojowników. Myśli, że biali mu to wybaczą. Nie odda ich na pożarcie Ducha Śmierci i zaraz każe rozwiązać. – To mówiąc skinął na kilku wojowników, którzy szybko uwolnili kupców i zaczęli pośpiesznie wrzucać do łodzi wyrzucone poprzednio przedmioty.

Ponieważ poza Czarnobrodym nikt z pozostałej czwórki nie rozumiał ani słowa z tej całej długiej rozmowy, zasypali teraz swego przywódcę gradem pytań. Batson, gdyż takie nazwisko nosił Czarnobrody, machnął niecierpliwie ręką.

– Dajcie mi na razie spokój. Wyciągnąłem was i siebie z łap śmierci, to dość. Potem wam wszystko opowiem. Zachowywać się spokojnie i nie okazywać strachu. Dzicy pogardzają tymi, którzy się boją. – Zwracając się zaś do wodza powiedział:

– Moi przyjaciele mówią, że wojownicy wioski, wylewając do rzeki całą wodę ognistą, narazili białych na wielkie straty i zapytują, jak wódz zamierza te straty wynagrodzić?

Peshéwh zastanawiał się kilka chwil.

– Tak, biali ponieśli straty. Wioska je wynagrodzi. Da dużo pięknych futer za przedmioty, jakie przywieźli z sobą kupcy i doda jeszcze dodatkowe skóry i futra za wodę ognistą. Biali nic nie tracą. Wojownicy kupią wszystko, ale później. Teraz wiedzą, że biali, którzy długo wiosłowali pod prąd, muszą być zmęczeni; pozwolą im więc odpocząć i posilić się, a jutro wymienią futra na towary. Jeśli kupcy chcą, mogą zająć ostatni wigwam nad brzegiem rzeki i tam umieścić rzeczy, które przywieźli z sobą, by Zły Duch nie ukrył ich gdzieś – dodał złośliwie – a jutro Wahboosoog towary obejrzą i każdy wybierze to, co jest mu potrzebne.

Mężczyźni stopniowo rozchodzili się do swych zwykłych zajęć; nad rzeką pozostała spora

⁴⁸ Księżyc Kielkowania Zielonej Trawy – kwiecień

grupka dzieci ciekawa widoku obcych białych twarzy, które widziała być może pierwszy raz w życiu.

Czarnobrody polecił, by jego pomocnicy przeprowadzili obydwu członów w pobliże wskazanego przez wodza wigwamu i wnieśli do niego towary. Nie zamierzał zostawić ich nad rzeką. Złego Ducha nie obawiał się, ale masa wartościowych rzeczy mogła wszak zniknąć i bez jego pomocy. Nie miał wątpliwości, że nie udałoby się odnaleźć ich nigdy w wiosce liczącej kilkaset osób. Lepiej było nie ryzykować.

Wydawszy polecenia, sam usiadł na zwałonej kłodzie drzewa, wyjął krótką fajkę, nabił ją starannie i zapalił. Wigwam, który wódz oddał do ich dyspozycji, stał między trzema grubymi sosnami na skraju rzadkiego wysokiego lasu. Koryto rzeki ciągnęło się tu prosto z zachodu na wschód. Wigwam był ostatnim od strony wschodniej i opierał się o leśne zarośla. Między nim a następnym, rozciągało się kilkadziesiąt jardów wolnej, płaskiej dosyć ziemi.

Ponieważ łodzie przybiły tuż obok niego, zgasił fajkę i poszedł pomagać przy przenoszeniu ładunku. Kiedy wreszcie towary znalazły się w wigwamie, milcząca dotąd kompania zarzuciła go ponownie pytaniami. Wytrzymał ten atak z zimną krwią i krótko wyjaśnił przyczyny takiego właśnie zachowania Wahboosoog:

– Indianie, szczególnie Ojebwag – mówił – są jak dzieci. Wierzą w sny i wizje, różne duchy dobre i złe i zawsze postępują zgodnie z ich nakazami. Nie wierzę, że temu czarownikowi śnili się biali z trucizną. Myślę, że nieraz już spotkał białych kupców i wie, co dzicy wyprawiają po wypiciu rumu. Wymyślił więc bajeczkę o truciźnie i osiągnął zamierzony skutek. Zabobonni dzicy pozbawili nas całego zapasu wody ognistej, a bez tego nie ma z nimi dobrego handlu; zresztą właściwie to tak naprawdę nie zamierzaliśmy handlować. Towary, a szczególnie broń, potrzebne będą w innym celu. Toteż trzeba będzie zażądać takiej ceny, że dzicy niewiele będą mogli kupić za to, co posiadają. Zróbcie teraz coś do żarcia.

W tym momencie na zewnątrz rozległ się szmer; jakiś dziki wetknął głowę do wnętrza wigwamu i kiwnął na mówiącego. Gdy ten wyszedł na zewnątrz, dzikus wskazał pięknego jelenia złożonego tuż obok wejścia:

– Peshéwh nie wie, czy biali kupcy mają pożywienie, dlatego przysyła im świeże mięso. Jeleń młody – dodał – mięso zdrowe. – Już zamierzał oddalić się, gdy biały zatrzymał go słowami:

– Mój czerwonoskóry brat wie zapewne, że gdy biali przybywają do wioski, palą ze swymi czerwonoskórymi braćmi, na znak przyjaźni, fajkę pokoju. Czy wódz zapomniał o tym obyczaju?

Dziki spojrzał na niego zdziwiony, jakby nie zrozumiał pytania, odparł jednakże spokojnie.

– Białych nie było nigdy w wiosce i Indianin nie wie, czy wobec nich taki jest właśnie zwyczaj. Wódz nie mówił. Niech go Czarnobrody sam spyta. – Z tymi słowy, wraz z drugim myśliwym, z którym przynieśli jelenia, oddalił się w kierunku dalszych wigwamów.

Batson zmełł w ustach brzydkie przekleństwo, lecz cofnął się do wnętrza i wskazując leżące przed wejściem zwierzę powiedział rozkazująco:

– Alf i Eben, oprawcie jelenia i poćwiartujcie go. Chris i Bob niech tymczasem sprawdzą, czy w tym całym zamieszaniu dzicy czegoś nie ukradli i niech oczyszczą strzelby. Mogły się zapiaszczyć.

Gdy wyszedł ponownie, nikt na niego nie zwracał uwagi. Skierował się wzdłuż brzegu. Po prawej stronie stały rzędem wigwamy. Szedł pozornie bez celu, jednak wzrok jego czujnie i bacznie obserwował przedwieczorną krzątanicę. O tej właśnie porze wiele kobiet szło do rzeki po wodę, wyprawiało skóry, udawało się do sąsiadek na wieczorne plotki. Biały patrzył. Z pozoru niewidocznym spojrzeniem taksował każdą młodszą kobiecą postać. Szukał dziewczyn, dziewczyn takich, które warto byłoby dostać w ręce i zawieźć na wschód. Przeszedł tak do końca wioski i wrócił ponownie w stronę swego wigwamu. Po drodze nie

spozregł nic godnego uwagi. Indianie zajęci swą codzienną pracą nie zwracali pozornie na niego najmniejszej uwagi. Ale były to tylko pozory. Ich bystrych oczu nie uszło nawet jedno mimowolne spojrzenie białego. Wiedzieli, czego szukają jego oczy i pozwalali mu na to.

Pochmurny wrócił do ogniska, które zdążyli rozpać jego pomocnicy. Jeleń był już oprawiony i poćwiartowany. Kilka większych kawałków wisiało nad płomieniami. Z wigwamu wyszli Chris i Bob i przysiedli przy ognisku.

Nie wiadomo, czy teren w tym miejscu był wyższy niż ten, na którym obozowali ubiegłej nocy, czy też jakaś inna przyczyna spowodowała to, że moskity nie pojawiły się prawie w ogóle.

Przed rzędem wigwamów zapalały się niewielkie ogniska. Widać całą wioska przygotowywała wieczorny posiłek.

Bob, który z Chrisem porządkował towary, zwrócił się teraz do szefa.

– Poza rumem cały ładunek w porządku. Nic nie zginęło.

– Przecież dzicy nie kradną – wyrwał się Alf. – Nigdy nie spotkałem takiego, który okradalby przyjaciół. A skoro ci stwierdzili, że nie jesteśmy wrogami, nie ruszyli niczego.

Bart roześmiał się bezgłośnie:

– Dzicy nie kradną... Krótko jeszcze żyjesz, chłopie. Kradną i zabijają. Są tylko diabelnie chytry. Chyba nie wierzysz w ich bajeczkę o truciźnie?

– Dlaczego nie? Przecież sam mówiłeś, że są cholernie przesądni i wierzą w każdy sen. Mogło się czarownikowi właśnie tak przyśnić.

Bart splunął w ogień.

– Nie, bracie. Nic mu się nie przyśniło. To tylko bajeczka wodza. Uważaj! Wczoraj wieczorem, byliśmy o dobre piętnaście mil stąd. Dziś w południe spotkaliśmy już myśliwych i to kilkunastu... Dziki, który w tych lasach do południa nic nie upoluje, nie jest myśliwym. To byli zwiadowcy i wojownicy. Wyjechali specjalnie na nasze spotkanie. Wiedzieli więc, że nadchodzą kupcy, a nie wysłannicy Złego Ducha. Gdyby tak myśleli, już byś gryzł ziemię. Cała wioska wyszłaby przeciwko nam. Oni wiedzieli, że Zły Duch mieszka tylko w baryłkach z rumem. Ktoś z nich i to ktoś, kto ma tu mir – może nawet czarownik – ostrzegł ich przed działaniem wody ognistej i dlatego właśnie ją zniszczyli. Nas nie zamierzali zabić, tylko nastraszyć. Cała heca, jaką z nami wyprawili, to ich szatański podstęp. I nie to mnie martwi – tu umilkł na chwilę. Kompani patrzyli na niego wyczekująco. – Tak, to mnie nie martwi. Martwi i niepokoi mnie coś innego.

– A czegoż możemy się obawiać? Przynieśli nam za darmo jelenia – Alf znów nie wytrzymał.

Czarnobrody spojrział na niego w zadumie.

– Młody jesteś, Cleaver. Nie znasz jeszcze zwyczajów dzikich. Zamiast jelenia wolałbym, aby mi zaproponowali dym z fajki pokoju. Wtedy czułbym się bezpiecznie. Dzicy, spotykając obcych, albo palą z nimi fajkę pokoju na znak, że uważają ich za przyjaciół, albo nie palą i znaczy to, że przybyszom albo nie wierzą, albo uważają ich za wrogów. Obie te możliwości są dla nas niedobre. Może wypalą jutro. Jeśli nie, to trzeba będzie szybko brać nogi za pas. Wódz, chociaż wygląda śmiesznie, jest cwany i chytry. By zatrzeć wrażenie pierwszego zetknięcia, kazał nam przynieść całego jelenia. Myśli, że Bart Batson zapomni o fajce. Jutro mu o niej przypomnę.

– Ale w takim razie – przerwał mu Bob, wysoki żylasty blondyn – trzeba się pilnować w nocy.

– Nie sędzę. Gdyby zamierzali coś, nie uwolniliby nas z więzów i zabraliby natychmiast wszystkie towary. Oni nie planują żadnego napadu – przynajmniej nie w wiosce. Nie wierzą nam tylko. Może kiedyś jacyś biali już ich oszukali – dodał z ociąganiem – i dlatego nie chcą się wiązać dymem przyjaźni i pokoju. Szkoda, że nie ma tu Wrighta z chłopakami. Nie stracilibyśmy wtedy rumu i to dzicy, nie my, musieliby się obawiać.

– Kiedy spotkamy tego twojego Wrighta? – spytał Eben.

Batson uczynił niewyraźny ruch ręką.

– Myślę, że za parę dni. Powinien zresztą być już na umówionym miejscu. To jakieś trzy, może cztery dni stąd.

– Dużo ludzi ma Wright? – dopytywał Eben.

– W każdym razie na pewno kilkunastu – może nawet dwudziestu. To stary backwoodsman⁴⁹. Z nim robota pójdzie szybciej.

Czterej mężczyźni spojrzeli na swego przywódcę z zaciekawieniem i Bob, najdłużej chyba znający Batsona i najbardziej wobec niego bezpośredni, spytał leniwie:

– Co kombinujesz Bart naprawdę i kto to jest ten Wright? Włóczysz nas od wioski do wioski już prawie półtora miesiąca. Te diabelskie moskity wyżłopały już chyba kwartę mojej krwi, a tu ani futer, ani niczego innego. Jeśli pójdzie tak dalej, to do Michillimackinac wrócimy z pustymi rękoma. Chyba możesz bąknąć coś jaśniej, żebyśmy wiedzieli, czego się trzymać.

Batson zmrużył oczy, przyglądał swą pełną igliwia i trawy zmierzwioną brodę; rysy jego stwardniały.

– Może masz rację, Bob. Wszyscy zresztą jedziemy na tym samym wózku, a właściwie na tym samym kanu – sprostował z nieszczerym uśmiechem. – Nie włóczymy się jednak niepotrzebnie. Tu się mylisz. Z tej włóczęgi coś tam wynika, ale o tym powiem później.

Jak wiecie, na wschodzie, w pobliżu Jezior i jeszcze dalej za Michillimackinac, zrobiło się ciasno. Przy każdym większym jeziorze i rzece są posterunki handlowe albo z Hudson Bay Company albo inne – z Montrealu czy Quebecu. W każdej wiosce indiańskiej w tamtych stronach siedzą agenci z Albany i przez Fort Oswego ściągają kanadyjskie futra do Plymouth i Bostonu. Handel futrzany przestaje tam być dobrym interesem. Jest konkurencja. Władze patrzą wszystkim na palce. Tutaj, i jeszcze dalej na zachód, faktorii jest mało, pojedynczy kupiec nie zapuszcza się zbyt często. Dzicy nie obawiają się jeszcze białych. Bardziej niż tam potrzebują towarów – szczególnie broni. Płacą lepiej. Łatwiej więc z nimi handlować. I to jest jeden powód, dla którego wlekliśmy się tak daleko i powlecemy jeszcze dalej.

Ale jest i drugi. Na południowym wschodzie potrzebują ludzi na plantacje i do posług domowych. W dużych gospodarstwach potrzebna jest cała masa służby. Indianki są zdrowe, silne i mogą pracować, stąd cena za każdą jest spora. Warto więc zgarnąć ich tu trochę. Słyszałem, że są takie plemiona, które sprzedają i własne. Zarobek bardzo dobry; lepszy jeszcze niż na futrach, które tu kupimy taniej niż gdzie indziej. I to jest powód drugi. Jest jeszcze i trzeci.

Spojrzeli na niego zdziwieni.

– Skalpy – powiedział krótko. – Za skalpy Indian władze w Stanach płacą dużo. Warto ryzykować, ale nie w pięciu. Zdobędziemy je po spotkaniu z Wrightem. Skalpy, dziewczyny i futra... No, teraz wiecie wszystko. Dawajcie żreć. – Czwórka słuchających dotąd w napięciu poruszyła się.

Za najbliższym drzewem niedosłyszalnie ugięło się igliwie, zaszemrała cichutko trawa. Niewidoczny prawie cień przemknął bezszelestnie w głąb lasu, by po zatoczeniu wielkiego koła dotrzeć do wioski od strony zachodniej. Tej samej jeszcze nocy odbyła się cicho kolejna narada w wigwamie Peshéwha, po której kilku niewidzialnych wysłańców, w tajemnicy przed białymi, opuściło wioskę udając się w różnych kierunkach.

⁴⁹ Backwoodsman – osadnik mieszkający głęboko w puszczy i znający ją. Znał także Indian, często żył tak jak oni. Zajmował się myślistwem

Rozdział szósty

W wiosce Wahboosoog

Od samego rana wokół wigwamu białych zbierał się tłum. Wszyscy byli ciekawi rzeczy, jakie przywieźli z sobą kupcy. Batson jednak nie spieszył się. Przez nieznacznie odchyloną zaslonę otworu wejściowego obserwował uważnie zachowanie mieszkańców wioski. Chciał poznać nastrój i postawę dzikich. Chciał, zanim rozłoży towary, obejrzeć ich sobie, podniecić ciekawość i chęć kupna. Ale miał na celu i coś poważniejszego. Dzicy nie zaproponowali fajki pokoju i to niepokoiło go coraz bardziej. Toteż czekał.

W końcu, gdy już chyba wszyscy mieszkańcy zgromadzili się przed wejściem, gdy przybył wódz kołyszając się śmiesznie na swych krótkich grubych nogach, Batson odchylił zaslonę i wyszedł na zewnątrz. Dłuższą chwilę patrzył na zgromadzonych; postąpił parę kroków do przodu i wsparł się na lufie długiej strzelby. Gdy przemówił, głos jego brzmiał donośnie i musiał być słyszany przez wszystkich. Zwrócił się najpierw do wodza i spytał:

– Czy ktoś z ludzi Wahboosoog rozumie mowę białych? Jeśli rozumie, niech wystąpi i tłumaczy to, co biały będzie mówił.

Wódz pokręcił przecząco głową.

– Niektórzy rozumieją trochę mowę, jakiej używali Wamete-gooshe-wug, ale nikt nie zna języka Shauguhnaushug. Wahboosoog spotykali czasami białych na myśliwskich ścieżkach, ale tylko kilka razy i widzieli ich krótko. Nie mogli się więc nauczyć ich mowy. Kupiec zna język Ojebwag, niech więc nim mówi. Wahboosoog postarają się go zrozumieć. Wysłuchają go uważnie, a potem kupią towary, które z sobą przywiózł.

– Dobrze! Biały będzie mówił słowami języka Ojebwag. Nim jednak powie o towarach, ma do wodza jedno pytanie. Czy Peshéwh przyjmując w wiosce przyjaciół, nie oferuje im nigdy dymu ze świętej fajki pokoju?

Wódz również postąpił krok do przodu i wyprostował nieco pochyloną postać.

– Peshéwh, gdy przyjmuje w wiosce swych czerwonoskórych braci oferuje im, zgodnie z nakazem Wielkiego Ducha, święty dym. Ale Wielki Duch dając ludom Uhnishenáhbag świętą opwáhgun⁵⁰, kazał dzielić się jej dymem tylko z jego dziećmi – czerwono-skórymi braćmi Peshéwha. Wielki Duch nie jest duchem białych. Oni mają innego. Duch białych nie zawiesił na ich piersiach ani woreczka z lekami, ani świętej fajki pokoju. Indianie nie chcą go obrażać, dając jego dzieciom pić dym ustanowiony przez Keezhá-muhnedoo. Peshéwh z białymi nie pali więc fajki pokoju.

Batson przygryzł wargi. Zrozumiał, że mały, z pozoru śmieszny i pewnie zabobonny dzikus, musi wiedzieć sporo o zachowaniu się i postępowaniu białych i nie myśli wiązać się z nimi bardziej, niż wymaga tego interes jego wioski. Komplikowało to nieco sprawę, ale przynajmniej wiedział, czego się trzymać. Odchrząknął więc, wsparł się mocniej na strzelbie, prawą nogę wysunął nieco do przodu, przyjmując dumną postawę i powiedział:

– Wódz Wahboosoog nie był pewno nigdy za pięcioma wielkimi wodami i dlatego nie zna swych białych braci ani ich Wielkiego Ducha. Może postąpić tak jak zechce, chociaż odmową wypalenia fajki pokoju wzbudza, podejrzenia u swych białych braci, którzy podróżowali długo, by przywieźć wiele pięknych i dobrych rzeczy do wioski.

⁵⁰ Opwáhgun (czyt. ou-pua-gan) – fajka

Niech ludzie Wahboosoog posłuchają, co przywieźli biali! W swych kanu mają dla myśliwych żelazne groty do strzał i oszczepów, długie noże, które z łatwością dochodzą do serca niedźwiedzia, łosia i jelenia, ostrza na wojenne topory, żelazne i miedziane kociołki do gotowania strawy. Dla dziewcząt i kobiet mają igły i nici i dużo różnych koralików, by mogły wojownikom wyszywać piękne stroje i mokasyny.

Wszystkie te przedmioty zostaną zaraz wyniesione przed wigwam, tak, by każdy mógł je obejrzeć i wybrać to, co jest mu potrzebne. – W tym miejscu skinął ręką i na ten znak biali rozłożyli na ziemi kawał płótna, a następnie wysypali na nie zawartość kilku worków.

Batson odsunął się na bok, by nie przeszkadzać dzikim w wyborze. Nie tłoczyli się zresztą. Podchodzili pojedynczo, bez pośpiechu, najpierw mężczyźni, potem kobiety. Każdy odkładał na bok te przedmioty, które go interesowały. Mężczyźni – noże, toporki, żelazne groty; kobiety – igły, nici, różnobarwne koraliki, kociołki.

Wódz i kilkunastu starszych wojowników, stojących w oddzielnej grupie, nie oglądali wyłożonych towarów. Stali obojętnie, zdając nie interesować się tym, co leżało na ziemi.

Widząc to Batson zbliżył się i spytał:

– Czy Peshéwh nie zamierza nic wybrać dla siebie?

– A czy kupcy nie zamierzają sprzedać strzelb, prochu i kul mężczyznom Wahboosoog? Peshéwh nie widzi tych przedmiotów, a wczoraj widział je w czółnach białych?

– Rzeczy, o które pyta wódz, są bardzo drogie. Biali nie wie, czy mężczyźni z wioski będą mieli tyle futer, by za nie zapłacić?

– Peshéwh zna cenę. Niech biali wyjmie strzelby; wódz wypróbuje i wybierze. – W głosie jego brzmiała pewność i stanowczość, toteż Czarnobrody wołał nie odmawiać. Wokół kręciła się ponad setka dzikich, a on miał tylko czterech kompanów do pomocy. W razie czego nie mogli marzyć nawet o ucieczce. Odwrócił się do swych pomocników i warknął ze złością:

– Wyciągnijcie parę strzelb, ale tych krótkich.

Jakiś szkaradnie wyglądający dzikus, z oszpeconym okiem i szramą na ramieniu, nachylił się do ucha wodza i coś mu szeptał. Dwaj biali wynieśli kilka strzelb i położyli obok innych rzeczy.

Wódz wybrał jedną z nich, nabił z wprawą świadczącą o tym, że posługiwał się nieraz taką bronią i rozejrzał się za odpowiednim celem. Na rzece, w odległości około stu kroków, wystawał z wody kawałek pnia zatopionego drzewa.

Dziki przyłożył strzelbę do ramienia, wymierzył starannie i delikatnie nacisnął spust. Z lufy błysnął język ognia, wokół rozszedł się zapach spalonego prochu; okrągły pocisk piasnął na powierzchni wody o kilkanaście stóp od celu.

Peshéwh odrzucił strzelbę z pogardą i powiedział ostro:

– Te strzelby możesz sprzedawać Długim Nożom⁵¹ lub Czerwonym Kubrakom⁵². Każ swoim ludziom wyjąć wszystkie długie strzelby jakie przywiozłeś!

Przez kilka chwil obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, jednak biali w spojrzeniu wodza musiał wyczytać nie tylko zdecydowanie, ale być może i groźbę, bo rzucił krótko:

– Przynieście!

Na rozłożonym płótnie pojawiło się kilkanaście nowych strzelb, o długich wysmukłych lufach.

Wódz sięgnął ponownie po pierwszą z brzegu, wsypał do lufy podaną mu miarkę prochu, filcową przybitkę, wpuścił kulę i jeszcze jedną przybitkę cieńszą. Następnie ubił to starannie długim, przytwierdzonym u spodu lufy stemplem. Na panewkę wsypał parę ziarenek jasnego suchego proszku.

⁵¹ Długie Noże – w taki sposób Indianie często nazywali żołnierzy amerykańskich oddziałów konnych wyposażonych w szable

⁵² Czerwone Kubraki – nazwa nadawana przez Indian kanadyjskich angielskim żołnierzom noszącym czerwone mundury

Na poprzedni cel, do którego strzelał, nie spojrzał nawet tym razem. Szukał innego, trudniejszego. W końcu wzrok jego zatrzymał się na starej, suchej sośnie, odległej o około sto pięćdziesiąt kroków, na konarze której ktoś zawiesił tykwę wielkości głowy dziecka.

Cel był odległy. Nowa, nieznana i nie wypróbowana broń znajdowała się pierwszy raz w rękach strzelca. Umilkły rozmowy. Nawet biali, by lepiej widzieć, wysunęli się nieco bardziej do przodu. Mimo iż broń była dobra, nie wierzyli, że wódz trafi.

Ten jednakże nie wydawał się speszony ani nową bronią, ani tym, że patrzą na niego biali; ani tym, że próbę wykonuje na oczach całej wioski. Broń zważył w rękę, kilkakrotnie przyłożył do ramienia, w końcu płynnym ruchem uniósł do góry. Na moment znieruchomiał. Powietrze przeszył ostry trzask wystrzału, któremu zawtórował podobny trzask rozłupanej tykwy. Z wielu ust wybiegło pełne uznania uff...

Tym razem nie rzucił strzelby. Złożył ją ostrożnie obok pozostałych, spojrzał na Batsona i skrzywił twarz w uśmiechu pełnym zadowolenia.

– Peshéwh widzi, że Czarnobrody i jego mężczyźni przywieźli również dobrą broń. Wahboosoog kupią te strzelby, proch i kule oraz te przedmioty, które wybrali bracia wodza.

Biały miał zaciśnięte szczęki. Nie zamierzał tutaj sprzedawać tej broni. No, może jedną, dwie sztuki, ale nie wszystkie. Zresztą nie wierzył, by dzicy mieli tyle futer. Odpowiedział jednak spokojnie:

– Biali cieszą się, że ich czerwonoskórym braciom podobają się towary i broń, ale wątpią, czy wioska ma tyle futer, by mogła kupić wszystkie długie strzelby. Są bardzo drogie.

Wódz przerwał mu.

– Niech biały będzie spokojny i niech każe wyjąć worek prochu na każdą strzelbę, po dwa kawałki ołowiu i dodatkowo na wszystkie strzelby dwie formy do odlewania kul. Niech jego mężczyźni położą to przy długich strzelbach. Strzelby krótkie oraz te przedmioty, których nie wybrali Wahboosoog, niech biali zabiorą z powrotem do swojego wigwamu. – Gdy jego kategoryczne polecenie, poparte obecnością w tej chwili już więcej niż stu dorosłych mężczyzn, zostało wykonane, wódz usiadł na ziemi, zapraszając białego, by uczynił to samo i spytał z uśmiechem:

– Teraz niech biały powie, ile futer żąda za jedną strzelbę?

Kupiec zdusił cisnące mu się na usta przekleństwo, lecz odparł dyplomatycznie:

– Kupcy sprzedają długie strzelby tylko za futra bobrowe.

Dziki skinął głową.

– Peshéwh właśnie o takich futrach mówił.

Batson nie spodziewał się chyba takiej odpowiedzi, bo po chwilowym wahaniu oświadczył:

– Gdyby jego czerwonoskórzy bracia chcieli kupić krótkie i długie strzelby razem, byłoby to dla nich korzystniejsze, bo wtedy cena za jedną sztukę byłaby mniejsza. Za same długie jest większa, ale w sprawie ceny biali muszą się najpierw naradzić.

– Dobrze, niech się naradzają. Peshéwh poczeka.

– Ale biali będą się naradzać długo. Muszą długo liczyć, a zbliża się deszcz. Wiedzą, co wybrali ich czerwonoskórzy bracia, więc złożą to razem w swoim wigwamie, żeby nie zmokło, a jak naradzą się i policzą, to powiedzą wodzowi.

Indianin uśmiechnął się ponownie i spytał na pozór niewinnie:

– Czy kupcy liczą na mówiącym papierze?

– Tak – podchwycił skwapliwie Batson – i trwa to bardzo długo. Może nawet cały jeden dzień.

– Ale biali posiadają mówiący papier? – pytał nadal wódz nie zrażony tą odpowiedzią.

– Tak, posiadają.

– To niech go teraz przyniosą i niech przyniosą przedmiot, którym stawiają znaki na tym papierze.

– Ale po co? Nie rozumiem mego brata – handlarz przez cały czas używał słowa brat dla zaakcentowania przyjaznych wobec dzikich uczuć. Na tamtym nie czyniło to jednak widocznie wrażenia, bo ponowił swą prośbę.

– Niech biali przyniosą to, o co prosi Peshéwh.

Biały, który wiedział, że w jego całym ładunku nie znajduje się nawet najmniejszy skrawek papieru, przybrał na twarz tajemniczy i poważny wyraz i pokręcił przecząco głową.

– Biali nie mogą spełnić życzenia wodza, ponieważ papier, który posiadają, jest ich lekiem i nikt obcy nie może go oglądać tak samo, jak nikomu nie wolno zaglądać do woreczka z lekami, który Peshéwh nosi na swej piersi.

Wódz nie wydawał się zmartwiony odpowiedzią kupca. Skinął na jednego ze stojących z tyłu swych ludzi i szepnął mu parę słów.

W kilka minut potem w jego ręku znalazły się trzy zatłuszczone trochę kartki papieru i ołówek. Indianin wręczył to zdumionemu kupcowi ze słowami:

– Ten papier nie jest święty. Biali mogą go wykorzystać tu na zewnątrz.

– Ale po co? I tak muszą naradzić się i policzyć wszystko dokładnie. – Kupiec zaczął pojmować, do czego zmierza dziki.

– Będą liczyć tak długo, jak zechcą, ale Peshéwh prosi, by najpierw spełnili jego życzenie.

Batson z ociąganiem ujął w rękę ołówek i spojrzał pytająco na wodza.

– Niech biały pisze: dziewiętnaście długich strzelb, dziewiętnaście baryłek czarnego prochu i dwa rogi prochu żółtego, trzydzieści osiem kawałków ołowiu, dwadzieścia pięć noży, sto grotów do strzał, dziesięć kociołków z czerwonego żelaza i dwanaście z białego, dziesięć razy po dwadzieścia igieł, nici – pięćdziesiąt szpilek, koralików trzy worki – tu popatrzył chwilę na rozłożone przedmioty i dodał – sto ostrzy do toporków, trzy bele czerwonego i dwie zielonego sukna, jedna – niebieskiego. Dwie formy do odlewania kul.

Kupiec spociał się pisząc to wszystko ręką niezbyt wprawną w trzymaniu ołówka i wyjął:

– Ale Peshéwh nie zdążył przecież policzyć tych wszystkich przedmiotów?

Wódz uśmiechnął się z wyższością.

– Peshéwh nie musiał liczyć wszystkiego. Wahboosoog jeszcze wczoraj ustalili co kupią. Policzył więc tylko strzelby.

– Ale po co? Biali i tak muszą to zabrać do wigwamu i policzyć dokładnie jeszcze raz.

Indianin wstał i powiedział stanowczo:

– Biali, jeśli nie wierzą słowom wodza, policzą to teraz, ale przedmiotów tych do swego wigwamu nie zabiorą... Wezmą je Wahboosoog, a jak kupcy policzą na papierze i ustalą cenę, Peshéwh przyjdzie do nich ponownie, by o tej cenie porozmawiać.

Na twarzy białego, gdy czwórce swych kompanów relacjonował postanowienie wodza, wykwitł ognisty rumieniec.

– Dzikusy! Gdyby zostawili nam czas do jutra, to w nocy moglibyśmy podnieść kotwicę po cichu i byłoby po wszystkim. Co robić?

Eben wskazał głową tkwiący nieruchomo tłum i powiedział wzruszając ramionami:

– Nie mamy wobec nich żadnych szans. Nie próbuj nawet dyskutować, Bart. Oni są zdecydowani. Będzie dobrze, jeśli dadzą futra i pozwolą nam odpłynąć. Nie podoba mi się ta wioska. Nie masz co liczyć teraz igieł, grotów i innych rzeczy. Wódz się pewno nie pomylił, a tak obrazisz go tylko dodatkowo, okazując brak zaufania. – Pozostali trzej przytaknęli. Byli również tego samego zdania.

Batson obrócił się ku oczekującemu wodzowi i skinął głową.

– Biali wierzą, że wódz się nie pomylił i nie będą niczego liczyli ponownie. Niech Peshéwh każe zabrać wybrane przedmioty, a kupiec zatrzyma tylko papier, by nie pomylić się w rachunkach.

Indianin skinął na znak zrozumienia i mężczyznom wioski polecił, by zabrali zakupione towary, a zwróciwszy się do białego powiedział przed odejściem:

– Peshéwh przyjdzie do białych jak tylko skończy się deszcz. Burza nie będzie trwała długo i słońce nie zdąży przejść na zachodnią stronę nieba, gdy deszcz ustanie.

Pierwsze krople spadły ciężko na ziemię; w oddali zabrzmiał głos grzmotu. Szarooolowane niebo przecięła wąska wstęga błyskawicy. Mieszkańcy wioski chronili się szybko w wigwamach. Przed czasową siedzibą białych mała grupka chłopców uganiała się prawie nago w strugach coraz gęstszego deszczu.

Ulewa przybierała na sile; błyskawica ponownie przecięła niebo. Ze wschodu nadleciał kolejny, daleki pomruk grzmotu.

Batson pierwszy wszedł do wigwamu; za nim kolejno wsunęła się cała czwórka.

– No i co teraz? – Pytanie to jednak skierował chyba bardziej do siebie, niż do pozostałych, bo nie czekając odpowiedzi stwierdził: – Zdaje się, że tym razem udało się dzikim, nie nam. Króliki!... Potulne jak króliki, co? Ślepią im się tylko świeciły, gdy patrzyli na tego swego wodza. Wystarczyło żeby kiwnął palcem, a żywcem obdarliby nas ze skóry. No, ale nie ma co! Rozejrzeliście się po wiosce? Jak myślicie, warto tu wrócić, by wybrać coś z tego wcale pokaźnego stadka kobiet? Ty Alf jesteś najmłodszy – masz najlepsze oko. Wypatrzyłeś coś?

Zagadnięty wzruszył pogardliwie ramionami.

– Urodą nie grzeszą. Dzieciaki, chociaż brudne, są fajne, ale ze starszych nie widziałem nic ciekawego, chociaż im na pewno podobają się. Jeśli i w poprzedniej wiosce były tak samo piękne, to trzeba zmienić okolicę.

Zapadło milczenie. O płyty kory pokrywającej wigwam biły grube strugi ciepłego ulewnego deszczu. Batson patrzył w zamyśleniu na swych kompanów i coś rozważał. W końcu przerwał milczenie:

– Dobrze, zobaczymy jeszcze. Dzicy i tak zapłacą. Ty Eben jesteś biegły w rachunkach. Ile wiązek skór bobrowych dzicy muszą dać za to co wzięli?

Ebenezer wziął z rąk szefa zapisaną kartkę i ołówek, podrapał swą ryżą głowę i mruknął:

– Będzie tego sporo. Za każdą strzelbę oraz proch i ołów do niej należące, wiązkę o takiej grubości, jaka jest długość strzelby. Za pozostałe rzeczy – drugie tyle. Razem trzydzieści osiem wiązek. Jeśli tyle zapłacą, to zrobimy dobry interes.

– Nie – warknął Batson. – Zapłacą dwa razy tyle.

Wyznaczony na rachmistrza wahał się chwilę, jednak pewnie doszedł do wniosku, że nie powinien ukrywać swych myśli, bo pokręcił przecząco głową.

– Nie wydaje mi się, Bart. Oni nie są tacy głupi. Wódz powiedział, że już wczoraj ustalili, ile czego kupią od nas. Widocznie znają dobrze cenę i wiedzą na co ich stać, a poza tym nie zapominaj, że nas jest tylko pięciu; ich przynajmniej ze dwie setki. Nie podoba mi się ta wioska. Weźmy cenę, jaką biorą zwykle kupcy i wiejmy z tych okolic. One nie są bardziej bezpieczne niż na wschodzie.

Bart roześmiał się.

– Widzę, że Ebenezera Row obleciał strach. Nie, bracie! Zapłacą podwójną cenę albo się stąd nie ruszę. Jeśli nie zapłacą, ściągnę tu Wrighta i wtedy pogadamy z nimi inaczej.

– Rób jak uważasz. Jesteś szefem, ale pamiętaj co ci mówię. Oni są dzicy, ale nie głupi i nawet po ściągnięciu Wrighta będą od nas dziesięć razy silniejsi. A strzelają, jak sam widziałeś, nie gorzej, a może znacznie lepiej od ciebie... Zresztą sam się przekonasz wkrótce. Deszcz przestaje padać. – Rzeczywiście, groźnie wyglądająca chmura i gwałtowna ulewa szybko przesunęły się nad wioską. Od wschodu zaświtał pas jasnego nieba; poprzez strugi deszczu wykwitł ze środka rzeki kolorowy łuk tęczy. Zza chmur wyłoniło się słońce. W kilkanaście minut potem deszcz ustał.

Odchyliły się zasłony wigwamów. Z wnętrza wybiegły bose, nagie dzieci i rozpoczęły ponownie harce w kałużach deszczowej wody. Nad szczytami wigwamów zaczęły ukazywać się pasemka dymu.

W godzinę później nadszedł wódz. Towarzyszyło mu dziesięciu mężczyzn. Nie byli

uzbrojeni. Nadeszli spokojnie i w milczeniu stanęli przed wigwamem białych. Nie rozmawiali z sobą. Czekali. Czekali bez zniecierpliwienia dosyć długo, bo Batson nie zamierzał okazywać pośpiechu.

Ani on, ani żaden z białych nie pokazywał się na zewnątrz. Przez szpary wigwamu obserwowali dzikich. Ci jednak stali nieruchomo, pełni godności i powagi.

Jednakże Eben, który znał ich widać nieco lepiej, niż mogło to się wydawać na pierwszy rzut oka, szepnął:

– Bart, dzicy się niecierpliwią. Wódz uprzedzał cię, że przyjdzie po ustaniu deszczu – jeszcze przed południem. Nie obrażaj go, każąc mu czekać zbyt długo, bo narobisz biedy.

Batson spojrzał na niego pogardliwie.

– Znów cię tchórz oblatuje. Niech czekają. Zmiękną.

W tym momencie wódz bez jednego słowa odwrócił się i począł oddalać w stronę swego wigwamu. Za nim, również bez słowa, odeszła cała dziesiątka towarzyszących mu Indian.

Czarnobrody spojrzał na czwórkę swych kompanów ze zdumieniem.

– O co im chodzi? – Nikt mu jednak nie odpowiedział. Odpowiedź nadeszła z zupełnie innej strony, w sposób najmniej oczekiwany.

Oto ze znacznie większego od innych wigwamu wysunął się długi wąż dzikich niosących duże wiązki futer. Kierowali się wprost w stronę siedziby białych.

Pierwszy, który zbliżył się, rzucił swą wiązkę w kałużę stojącej wody. Inni szli za jego przykładem. Wkrótce stos urósł do pokaźnych rozmiarów.

Biali, patrząc ze zdumieniem na rozgrywającą się scenę, wyszli na zewnątrz. Kiedy została rzucona ostatnia wiązka, dziki, który ją przyniósł, zwrócił się do Batsona.

– Ponieważ biały kupiec nie chciał z wodzem rozmawiać o cenie i obraził go każąc mu czekać, Peshéwh ustalił cenę sam, taką jaką płaci innym kupcom. Przekazuje ci trzy razy po dziesięć dużych wiązek futer i nakazuje opuścić wioskę w czasie, który biali nazywają dwie godziny. – Nie czekając na odpowiedź, miękким, elastycznym krokiem podążył za swymi towarzyszami.

Batson, który chciał coś odpowiedzieć, widząc oddalające się plecy dzikiego zacisnął tylko szczęki.

– No i co ci powiedział dziki? – spytał Eben.

– Powiedział... powiedział, że wódz przesyła zapłatę i każe nam się wynosić w ciągu dwu godzin. Bydle...! Ja mu pokażę.

Eben przytrzymał go za ramię.

– Nie próbuj teraz nic mu pokazywać. Zastanów się lepiej, jak tych trzydzieści wiązek skór umieścić w naszych dwu czółnach?

– Jak to trzydzieści? Miało być trzydzieści osiem. Sam mówiłeś.

– A ty twierdziłeś, że dwa razy tyle, ale nie chciałeś rozmawiać z wodzem. Dzicy się łatwo obrażają. Obraziłeś go, to sam ustalił cenę, nie dając ci szans na potargowanie się, no i każe nam się wynosić. Ale nie możemy tego zrobić, bo nie zmieścimy tylu futer w naszych dwu czółnach.

– To dzicy muszą nam dać dwa czółna dodatkowo.

– Albo sprzedać, jeżeli zechcą! – na twarzy ryżego widniał wyraz powątpiewania, gdy stwierdził: – Trzeba pogadać z wodzem. Chodźmy!

Batson patrzył na niego z wściekłością.

– Co tu się rządźisz? To moja sprawa. Sięgnął po strzelbę; za pas zatknął dwa długie pistolety i nóż.

W tym momencie podniósł się Chris i swą żylastą rękę oparł na ramieniu szefa.

– Nie rób głupstw, Bart. Eben ma rację. Spróbujmy dostać lub jeśli trzeba – kupić ze dwie łódki i wiejmy, dokąd dzicy nie rozmyślą się i nie zaczną żałować tego stosu futer.

Bart zatrzymał się w pół kroku. Wściekłość opadała z niego powoli.

– Więc co radzisz, Eben?

– Iść do wodza, ale bez broni i spróbować zdobyć czółna. Może je da, a może trzeba będzie zapłacić. Najlepiej chodźmy wszyscy. Okażemy mu szacunek.

Bart nic już nie powiedział. Odrzucił broń i skierował się w stronę wigwamu wodza.

Podobnie jak poprzednio wódz i starszyzna wioski, tak oni teraz stanęli o parę kroków od wejścia przygotowani na to, że będą musieli wykazać sporo cierpliwości.

Wódz jednakże i jego asysta pojawili się w parę minut po nadejściu białych. Nie kazali im czekać.

Stanąwszy przed Batsonem, Peshéwh oparł dłonie o wylot długiej lufy nowiutkiej strzelby i spytał:

– Czego biali sobie życzą? Wódz zapłacił tak jak obiecał. Czy chcą mu jeszcze coś powiedzieć?

Batson wysunął się nieco do przodu.

– Tak, biali chcą powiedzieć, że wódz zapłacił za mało. Broń i inne rzeczy, które wzięli Wahboosoog, kosztują o osiem wiązek futer więcej, niż zapłaciła wioska. Kupcy dali dobry towar, a więc należy im się dobra zapłata.

Wódz obrócił się do swych mężczyzn i parę chwil szeptał coś z nimi. Uzyskawszy aprobatę dla tego co mówił, kiwnął głową.

– Dobrze! Wahboosoog nie chcą się targować. Zaraz przyniosą białym jeszcze osiem wiązek futer. Czy biali są zadowoleni?

Batson z trudem opanował grymas chciwości wypełzający na jego twarz i odparł:

– Tak, biali uważają, że Peshéwh jest mądry i sprawiedliwy i dotrzymuje danego słowa. Czy biali nie mylą się?

– Nie, Czarnobrody nie myli się. Peshéwh zawsze dotrzymuje słowa.

Kupiec wyprostował się dumnie i twardo spojrzał na wodza.

– W takim razie Peshéwh pamięta, że wczoraj obiecał zapłacić za wylaną do rzeki wodę ognistą.

– Tak, Peshéwh pamięta o tym. Ile wiązek futer biali żądają za ishkootá-wahboo?

– Pięć!

– Osiem i pięć to jest razem trzynaście. Mężczyźni Wahboosoog zaraz dostarczą je białym.

– Kupcy dziękują wodzowi za to, że jest sprawiedliwy i nie chce ich oszukać. Będą o tym pamiętali.

Teraz wódz wysunął się o krok do przodu.

– Tak, biali są mądrzy. Wahboosoog są zadowoleni z handlu z nimi. Kupili potrzebne im przedmioty i będą mieli czym polować przez wiele Księżyców. I upolują dużo zwierząt. Mają długie, dobre strzelby, mogą więc bronić się także przeciwko swym wrogom i zabić ich. Peshéwh jest zadowolony. A skoro i biali są zadowoleni, mogą zabrać futra i odpłynąć. Peshéwh dotrzymuje słowa. Biali mają tylko połowę czasu, jaki wyznaczył im na opuszczenie wioski. Niech się więc spieszą.

Batson przygryzł lekko wargi, nie zważając jednak na szyderczy wyraz twarzy dzikiego, brnął dalej.

– Biali pospieszą się. Nie chcą nadużywać gościnności wioski, ale tylu futer nie zdołają załadować do dwu posiadanych kanu. Odjadą chętnie, jeśli wódz podaruje im jeszcze trzy duże czółna.

Wódz uśmiechnął się.

– Peshéwh może sprzedać białym trzy kanu. Nie musi im darować. Oni nic mu nie podarowali, chociaż w handlu taki jest zwyczaj. Za wszystko musiał zapłacić. Może więc sprzedać kanu, jeśli biali zechcą je kupić.

– Czego wódz żąda za trzy czółna? Może chce coś dla kobiet, a może weźmie jeszcze noże lub żelazne toporki albo groty?

Indianin zaprzeczył. Uśmiechał się w dalszym ciągu.

– Nie, Peshéwh tego nie potrzebuje. Za każde kanu biali zapłacą po pięć wiązek futer bobrowych.

Batson zbladł. Zrozumiał wreszcie grę dzikiego.

– To niemożliwe. Kanu nie są tyle warte.

– Dla dzikich są właśnie tyle warte. Jeśli biali nie chcą, mogą nie kupować. Peshéwh ich nie zmusza.

– W takim razie biali sami zbudują potrzebne im kanu.

– Nie zbudują – odparł stanowczo mały wódz. – Mają za mało czasu. Ale nawet gdyby czasu mieli dosyć, to musieliby zapłacić za korę na czołna. Wszystkie drzewa wokół należą do ludu Wahboosoog. Niech więc Czarnobrody decyduje się szybko i powie czy kupuje kanu, czy nie. Peshéwh nie ma czasu. Stracił go poprzednio za dużo przed wigwamem białych.

Z dużego wigwamu mężczyźni wynosili następne wiązki futer i układali na stosie należącym do kupca. Biały z wściekłością w oczach patrzył to na szydyczko uśmiechniętą twarz małego wodza, to na bogactwo futer, które nieuchronnie wymykało mu się z rąk. Zmełł w ustach brzydkie przekleństwo i kiwnął głową.

– Dobrze, biali tyle zapłacą. Niech mężczyźni Wahboosoog zabiorą z powrotem piętnaście wiązek.

W momencie, gdy kończył się czas wyznaczony przez wodza, biali odpływali w górę rzeki. Na brzegu stała cała wioska śmiejąc się z nieporadnych wioślarzy usiłujących manewrować pod prąd przeładowanymi niewielkimi łódkami z kory brzozonej.

Piętnaście wiązek lśniących pięknych futer, pozostałych przed wigwamem białych, tworzyło całkiem pokaźny stos. Wódz patrzył na niego z wyraźnym zadowoleniem na twarzy, odwrócił od niego wzrok, spojrzał na skromnie stojącego myśliwego z blizną na ramieniu i oszpeconym okiem i wyciągnął ku niemu serdecznie obie ręce.

– Peshéwh i cała wioska wdzięczna jest swemu bratu Jaguarowi za jego wielką pomoc, bez której biali oszukaliby ludzi Wahboosoog. Teraz Peshéwh, mając dużo dobrej broni nie obawia się ani Czarnobrodego, ani tych białych, z którymi Czarnobrody ma się spotkać. Zwiadowcy wioski nie tracą tropu białych i będą nim szli tak długo, aż nie poznają tych, którymi dowodzi Wright i nie upewnią się, jakie ma zamiary. Niech Jaguar i Sasay’ga powrócą teraz do swego zwyczajnego wyglądu, a mężczyźni przygotowują na ich cześć wielką ucztę, która odbędzie się przy blasku obozowego ogniska.

Młodzieniec, do którego zwrócone były te słowa, skrzywił twarz w odrażającym, oszpeconym uśmiechu i nie odpowiadając na słowa wodza skoczył w nurt rzeki. W parę chwil potem, na oczach całej wioski, dwaj stojący po pas w wodzie młodzieńcy, zgarnianym pełnymi garściami piaskiem szorowali dokładnie swe ciała.

Tłum rozproszył się. Kilkunastu mężczyzn zabrało z powrotem wiązki futer pozostawione przez białych, kobiety pospieszyły do swych zajęć. Nad brzegiem pozostała spora grupka dzieci.

Jaguar i Sasay’ga musieli spędzić dużo czasu w wodzie, nim skóra ich przybrała ponownie naturalny wygląd i zniknęły z niej ślady farby położonej pędzelkiem Wahbe-kookookuhoo. Szczególnie dużo czasu Mohawk musiał poświęcić na zmycie rysunku wymalowanego na twarzy. Gdy w końcu wyskoczył na brzeg i strząsnął z ciała kropelki wody, czuł, że skóra pali go jak ogień.

W jakiś czas potem przechodząc przez wioskę spostrzegł siedzącego przed swym wigwamem Białą Sowę i pozdrowił go uprzejmie. Na zapraszający gest starca przysiadł obok patrząc z zainteresowaniem, jak ten cienkim patyczkiem miesza czerwony płyn bulgocący w glinianym naczyniu zawieszonym nad malutkim ogniskiem.

Nie odzywał się jednak. Był młody i grzeczność nie pozwalała, by pierwszy rozpoczynał rozmowę. Wahbe-kookookuhoo nie pozwolił mu jednak czuć się skrepowanym i spytał z

życzliwą troską:

– Czy Mohawk musiał zużyć wiele piasku, nim udało mu się zetrzeć ze swej skóry farby nałożone przez Białą Sowę?

Młodzieniec uśmiechnął się.

– Wahbe-kookookuhoo robi bardzo dobre farby. Nie chce zmyć ich ani deszcz, ani woda, ani nawet piasek z dna rzeki. Czy teraz też sporządza taką farbę?

– Tak, to farba czerwona zrobiona z soku jagód. Jutro Biała Sowa przygotuje z niej proszek. Będzie bardzo czerwona.

– A z czego moi bracia otrzymują farbę białą? – spytał młodzieniec.

– W pobliżu wioski jest duża pieczara, wyłobiona przez wodę podziemnego strumienia. Ściany jej pokrywa biały miękki kamień. Wahboosoog rozpuszczają kawałek tego kamienia w zimnej wodzie i mają białą farbę. – Starzec podniósł się. Jego ciemna postać zdała się znacznie wyższa niż w rzeczywistości. Widząc ruch młodzieńca, który również chciał powstać, dotknął jego ramienia.

– Niech Jaguar pozostanie jeszcze trochę. Kookookuhoo zaraz wróci. – Powiedziawszy to wszedł do wnętrza swego wigwamu. Gdy w jakiś czas potem ukazał się na zewnątrz, w obydwu rękach niósł kilkanaście małych woreczków, które podał młodzieńcowi. – To farby dla Jaguara i Sasay’gi. Na każdym woreczku jest małe kółko zrobione taką farbą, jaka znajduje się wewnątrz. W woreczkach, nie oznaczonych żadnym kolorem, znajdują się pędzelki i miseczki do mieszania farb. – Chwilę milczał i jak gdyby ujawniając swe myśli, dodał: – Mężczyzna nigdy nie pokazuje wrogowi swej prawdziwej twarzy. W dalekiej podróży farby mogą się przydać.

Wzruszony troską i radą starca, młodzieniec położył dłoń na sercu i powiedział cicho:

– Mohawk dziękuje swemu ojcu za jego lekcję i dar oraz dobrą radę. Zapamięta ją, a gdy będzie wracał odwiedzi ponownie Białą Sowę. Może na swej ścieżce nauczy się również jeszcze innych sposobów robienia dobrych kolorów. Opowie wtedy o nich swemu bratu.

Wahbe-kookookuhoo popatrzył na mówiącego z lekką zadumą w oczach i powiedział cicho:

– Biała Sowa przeżył wiele Zim. Włosy jego pokryła biel czasu. Ręka nie udźwignie kamiennego topora, a wypuszczona strzała nie przebije skóry łosia ani jelenia. Krewni zbierają się i pytają Wielkiego Ducha o radę, a serce Wahbe-kookookuhoo czuje, że Wielki Duch pragnie widzieć go w swej dalekiej krainie. Nie wie więc, czy doczeka powrotu Jaguara. Może wcześniej sam wstąpi na inną, długą ścieżkę, którą przed nim przebywali jego przodkowie, ale jest już gotów do tej drogi. Cieszy się, bo wie, że Mohawk pragnąłby go jeszcze ujrzyć wśród mieszkańców wioski. On też pragnąłby doczekać jeszcze powrotu Jaguara, lecz nie będzie sprzeciwiał się woli Wielkiego Ducha.

Młodzieniec wstał i z uczuciem żalu patrzył w pomarszczoną twarz starca. Wiedział, wiedział jeszcze od swej matki, że gdy krewni pytają Wielkiego Ducha o radę, znaczy to, iż ten o kogo pytają, musi wyruszyć wkrótce w daleką nieskończoną drogę. Powiedział więc tylko cicho:

– Mohawk przed opuszczeniem wioski przyjdzie pożegnać Wahbe-kookookuhoo. – Starzec skinął głową i do tłącego się ogniska dorzucił małą suchą gałązkę modrzewiowego pachnącego krzewu.

Jaguar przymocowawszy woreczki do pasa szedł powoli wzdłuż brzegu rzeki, lecz myśli jego krążyły nadal wokół pozostawionego przy dogasającym ognisku starca.

Nie wiedział, kiedy minął ostatni wigwam i niespodziewanie znalazł się pośrodku niewielkiej polany, na której ze dwudziestu paru kilkunastoletnich chłopców, pod okiem doświadczonego nauczyciela, ćwiczyło strzelanie do wykonanych przez siebie tarcz.

Na widok Mohawka przerwali swe zajęcia i skupili się wokół kościstego nauczyciela. Nie byli jednak speszeni. Prawdopodobnie najstarszy z nich, liczący około czternastu Zim

przysunął się do starca i coś szepnął w jego długie odstające ucho. I widocznie prośba lub słowa jego zostały wysłuchane przychylnie, bo nauczyciel zwrócił się do Mohawka i powiedział:

– Quewezansug proszą, by Náhduwa spróbował, czy strzała wypuszczona jego ręką przebije tarczę.

Mohawk podszedł bliżej i skinął głową.

– Náhduwa długo uczył się trudnej sztuki robienia dobrej tarczy i wie jak trudna jest to sztuka. Wczoraj widział, jak przyszli wojownicy uczą się robienia tarczy. Widział, ile popełnili przy tym błędów i wie, że tarcze ich przebije każda strzała. Nie są jeszcze dobre. Nauczyciel pewno im to już powiedział. Jaguar może spróbować przebić jedną. Niech mu wskażą, do której ma zostać skierowana jego strzała.

Ten, który poprzednio szeptał coś nauczycielowi, wysunął się teraz odważnie do przodu i wskazał pierwszą z lewej strony tarczę opartą o niewysoką skarpe.

– Niech nasz starszy brat wypróbuje wytrzymałość tej tarczy. Wykonał ją tu wskazał na siebie – Ooshke kakháhge⁵³.

Nauczyciel bez słowa podał Jaguarowi swój mocny łuk wykonany z dębowego drzewa. Wręczył mu również długą strzałę zakończoną kamiennym grotem.

Odległość od tarczy była niewielka. Wynosiła około trzydziestu kroków. Jaguar uniósł łuk i napiął cięciwę. Strzała ze świstem przecięła powietrze, przebiła tarczę i utkwiała głęboko w ziemi.

Chłopiec podszedł wolno do trafionego celu. Wyjął ostrożnie strzałę, zwrócił ją nauczycielowi i powiedział ze smutkiem:

– Ooshke kakháhge nie nauczył się jeszcze robienia tarczy.

Nauczyciel dotknął łagodnie jego długich czarnych włosów.

– Niech syn Wahbe-kookookuhoo nie martwi się. To była pierwsza tarcza w jego życiu. Nie mogła być dobra. Inne będą coraz lepsze. Gdy stanie się mężczyzną, będzie umiał sporządzać tarczę, której nie przebije żadna strzała. Teraz niech posłucha, skąd Jaguar wiedział, że tarcza jest niedobra. Czy Náhduwa zechce powiedzieć to chłopcom?

– Tak – młodzieniec potwierdził żywo. – Gdy wczoraj patrzył, jak quewezansug sporządzają tarczę i zobaczył, że na bardzo gorące kamienie, leżące pod skórą przeznaczoną na tarczę, wylewają bardzo dużo zimnej wody, widział, że skóra kurczy się bardzo szybko. Taka skóra kurczy się zbyt szybko, chociaż trochę grubiej. Aby była bardzo ścisła i bardzo twarda, musi kurczyć się powoli. W zależności od tego, z jakiego zwierzęcia pochodzi – czasem pół, a czasem nawet jeden lub dwa dni. Czasami po wyschnięciu trzeba ją na powrót umieścić nad gorącymi kamieniami i ponownie rozłożyć na ziemi, by wyschła. Wtedy może być twarda. Ale nie zawsze udaje się to nawet dorosłym mężczyznom i Jaguar zepsuł również wiele skór, zanim udało mu się sporządzić dobrą tarczę.

Ooshke kakháhge nie ma się co martwić. Najpierw wiele tarcz robi złych, a potem, gdy pozna wszystkie tajemnice robienia dobrej tarczy, wykona taką, której nie przebije ani strzała, ani nóż, ani kula wystrzelona z najdłuższej strzelby. Ooshke kakháhge patrzył z podziwem, a jednocześnie z wdzięcznością na mówiącego. W jego chłopięcej głowie nie mieściło się, że tak wielki myśliwy, który tylko nożem zabija najgroźniejsze zwierzęta, też nie od razu potrafił zrobić dobrą tarczę i nie wstydził się przyznać do tego przed nimi – młodymi przecież jeszcze quewezansug. Toteż mimo onieśmienia wyjąkał:

– Czy naprawdę pierwsza tarcza, którą zrobił Jaguar, nie była dobra?

Młodzieniec poklepał go po ramieniu.

– Ani pierwsza tarcza Jaguara nie była dobra, ani pierwsza przez niego wypuszczona strzała nie trafiła w cel. Ooshke kakháhge może w to wierzyć i nie martwić się niepotrzebnie. Jaguar mówi prawdę.

⁵³ Ooshke kakháhge (czyt. Usz-ki ka-ka-gi) – Młody Kruk

Chłopak spojrzał na niego ponownie z wdzięcznością. Pucółowata trochę buzia poweselała. Rozjaśniły się chłopięce twarze pozostałych uczniów... Nauczyciel patrzył na młodzieńca z życzliwym uznaniem. Szczerść i bezpośredniość z jaką syn dumnego, jak wiedział, narodu Mohawków, przyznaje się wobec kilkunastoletnich chłopców do swych pierwszych błędów, wzbudziły w starym nauczycielu sympatię i szacunek.

Sposób, w jaki Náhduwa mówił, nie podrywał autorytetu nauczyciela – powiększał go, bo właśnie tuż przed nadejściem młodzieńca starzec mówił swym podopiecznym o błędach, jakie popełnili wspólnie przy wykonywaniu pierwszych tarcz. Młody Náhduwa powiedział teraz to samo. Nie okazując nic po sobie cieszył się w głębi serca, że to właśnie Ooshke kahkáhge wskazał swoją tarczę i że głównie do niego skierowane były słowa Mohawka; przecież nie słowa nagany, a zachęty do jeszcze pilniejszej nauki. Wiedział, tak jak wiedzieli prawie wszyscy starsi wioski, że ojciec chłopca – Wahbe-kookookuhoo w najbliższym czasie opuści swego syna, że ten nie będzie mógł naśladować ojca, ale w starszym o kilka Zim Mohawku może znaleźć wzór godny do naśladowania.

Popatrzył raz jeszcze na Jaguara i uśmiechnął się do niego. Młodzieniec odwzajemnił uśmiech i zwrócił nauczycielowi jego łuk. Rozumieli się.

– Jaguar już pójdzie. Nie będzie przeszkadzał w nauce.

Starzec kiwnął głową i powiedział:

– Ale jeśli Náhduwa pozostanie jeszcze w wiosce jakiś czas, niech przyjdzie, ilekroć zechce.

Mohawk skinął głową na znak zgody i oddalił się w stronę swego wigwamu.

W połowie drogi spotkał go Sasay'ga, a widząc poważną twarz przyjaciela spytał z niepokojem:

– Czy brata mego spotkała jakaś przykrość?

– Nie, ale serce Jaguara nie może się cieszyć. Rozmawiał z Wahbe-kookookuhoo i otrzymał od niego woreczki z farbami i przybory do malowania. W czasie rozmowy dowiedział się jednak, że krewni Białej Sowy pytają Wielkiego Ducha, czy nie zechce widzieć w swej krainie starego wojownika. Sasay'ga wie, co to znaczy. Mohawkowi jest smutno.

Brat Shóamin spowaźniał.

– Tak, Sasay'ga wie to. Wielki Duch w takich przypadkach zawsze pragnie widzieć jedno ze swych dzieci żyjących tu na ziemi. – Chwilę milczał, po czym spytał otwarcie: – Czy w kraju skąd pochodzi Jaguar, krewni nie pytają Wielkiego Ducha o jego wolę, gdy starzec nie ma sił, by polować i przynosić pożywienie do swego wigwamu?

Mohawk zaprzeczył.

– Nie, ani Mohawkowie, ani inne narody mieszkające w cieniu Wielkiego Drzewa Pokoju, nie pytają o to Wielkiego Ducha. Wierzą, że każdego z nich przywoła sam wtedy, kiedy tylko zapagnie go ujrzyć. Gdy taka chwila nadchodzi, długą kamienistą ścieżką podążają z radością, ale dopóki to nie nastąpi, troszczą się o każdego, nawet najstarszego i niedołężnego mężczyznę czy kobietę. Zapewniają im najcieplejsze miejsce w swym długim domu i najdelikatniejsze skóry i okazują im najwyższy szacunek, a gdy Wielki Duch przywoła kogoś do siebie, kobiety oplakują go tak, jak czynią to u innych ludów.

Sasay'ga spowaźniał jeszcze bardziej. Gdy odezwał się po jakimś czasie, głos jego brzmiał smutniej niż zwykle:

– Lud Moose i Wahboosoog oraz inne ludy Ojebwag mają inne zwyczaje i kierują się innymi prawami ustanowionymi przez praojców lub nadanymi przez Wielkiego Ducha. Sasay'ga jest młody, więc nie myśli jeszcze o śmierci, chociaż nie obawia się jej, ale nie wie, czy zwyczaje ludu Ohkwaho, z którego pochodzi Mohawk, są bardziej sprawiedliwe niż zwyczaje Moose czy Wahboosoog. Nie wie tego, ale po tym co powiedział mu Jaguar również czuje ciężar w swym sercu i szkoda mu, że Wahbe-kookookuhoo odejdzie niebawem

z wioski Wahboosoog. Przed wyruszeniem w dalszą podróż Sasay'ga i Jaguar pójda go pożegnać.

Rozdział siódmy

W drodze do świętego kamieniolołu

Opuściwszy rzekę, która doprowadziła ich do wioski Wahboosoog, posuwając się ciągle w kierunku zachodzącego słońca, młodzieńcy znaleźli się na szlaku bardziej uczęszczanym. Co kilka dni spotykali płynące na zachód długie mocne łodzie zbudowane z kory brzoźowej, wypełnione towarami i prowadzone przez białych wioślarzy często śpiewających pieśni w nieznanym młodemu Moose języku; wioślarzy, mimo letniej pory, ubranych w skóry lub futra, kolorowe bluzy uszyte z miękkiego materiału, wytwarzanego daleko na wschodzie.

Biali nosili długie włosy przepasane na czole kolorową przepaską i mieli zarost na twarzach. Zachowywali się swobodnie i hałaśliwie. Byli dobrze uzbrojeni i liczni. Rzadko kiedy płynęli jedną łodzią. Zwykle prowadzili ich po kilka a w każdej znajdowało się kilku lub kilkunastu wioślarzy.

W przeciwnym kierunku – na wschód – płynęły również kanu, lecz w nieporównanie większej ilości. Towarzyszyło im z reguły nieco mniej białych, za to więcej Indian i łodzie były mniejsze. Wiozły ogromne stopy skór i futer różnych zwierząt w ilości tak wielkiej, jakiej Sasay'ga nigdy jeszcze w życiu nie oglądał. Dziwił się coraz bardziej aż pewnego dnia patrząc na długi wąż kanu nie wytrzymał i spytał swego towarzysza:

– Czemu biali kupują od Indian aż tyle futer? Czy w kraju gdzie mieszka Jaguar jest ich tak wielu i czy nie mają się w co ubierać?

Mohawk przez chwilę jeszcze obserwował mijający ich właśnie transport, po czym odwracając się od swego przyjaciela zaprzeczył.

– Nie, nie ma ich zbyt wielu i sami nie potrzebują tylu futer. Prawie wszystkie, które skupują od Indian, wysyłają daleko za Wielką Słoną Wschodnią Wodę do swego kraju.

– A czy wszyscy biali są braćmi dla siebie i czy walczą tylko przeciwko Indianom?

– Też nie. Podobnie jak Uhnishenáhbag dzieli się na wiele narodów mówiących różnymi językami. Walczą przeciwko Indianom, ale walczą przeciw sobie. I bardzo często są dla siebie wrogami.

– Czy brat Sasay'gi walczył już kiedyś z białymi?

– Tak. Jaguar walczył z nimi wiele razy i wiele razy przyprowadzał do swej wioski jeńców, ale walczył także ze swymi czerwonoskórymi braćmi. Jest synem swego ludu i w czasie wojny nie może odmówić udziału w walce. Nie może być mniej dzielny niż jego bracia. Nie szanowaliby go wtedy. Ale nie zabijał nigdy, gdy nie musiał.

– Co naród Mohawków czyni z jeńcami, których pojmie na wojennej ścieżce?

– Przyprowadza do wioski i oddaje kobietom. One decydują o losie jeńców. Jeśli jeniec podczas walki wykazał odwagę, najczęściej proponują mu, by został wśród Mohawków, zamieszkał w ich wiosce i posadził przy swym ognisku jakąś dziewczynę lub kobietę, której brat czy mąż zginął w walce. Jeśli jeniec nie chce pozostać, wtedy musi pokazać, jak umiera prawdziwy wojownik, śpiewając swoją pieśń śmierci podczas zadawanych mu tortur.

– A czemu Mohawkowie męczą swych jeńców, zanim odbiorą im życie? Ojebwag nie czynią tego.

Jaguar zamyślił się i milczał przez dłuższy czas, w końcu odłożył wiosło i obrócił się do Sasay'gi.

– Mohawk nie wie, czy potrafi wytłumaczyć to dobrze swemu bratu. Spróbuje jednak. –

Tu zamilkł na moment po czym kontynuował: – Mohawkowie wierzą, że do krainy Wielkiego Ducha Orenda mogą wejść tylko najdzielniejsi. Wierzą, że im wojownik jest bardziej dzielny, tym większym szacunkiem w krainie Ducha cieszy się po śmierci. Zabierając jeńcom życie nie chcą pozbawiać ich prawa wejścia do tej krainy. Dlatego właśnie zadają im jak największe tortury. Torturowany wojownik, jeśli nie okaże lęku i słabości, jeśli lży swych wrogów i wyśmiewa ich, jeśli kpi i wyszydza tych, którzy go torturują, zyskuje ich wielki szacunek. Zyskuje też szacunek samego Wielkiego Ducha i w ten sposób wchodzi do jego pośmiertnej krainy.

– Niech Jaguar wybaczy swemu bratu, ale Sasay’ga słyszał, że naród Mohawków zjada swych wrogów. Jeśli to prawda, niech Jaguar powie, dlaczego jego bracia to czynią?

– Wrogowie Mohawków każą wierzyć wszystkim, że bracia Jaguara zjadają ludzi. Ale to nie jest prawda. Bracia Jaguara nie są ludożercami. Wierzą jedynie, że spożycie kawałka ciała bardzo dzielnego wroga doda im samym więcej odwagi i dzielności i dlatego czasami spożywają kawałek jego serca, ale tylko wtedy, kiedy rzeczywiście za życia wróg ten był bardzo dzielny.

Młody Moose nie pytał więcej. Mohawk ujął ponownie wiosło i zanurzył je w wodzie. Jakiś czas obydwaj milczeli.

Dosyć szeroka początkowo rzeka w miarę posuwania się na zachód poczęła się szybko zwężać. Wreszcie któregoś dnia utworzyła wąski potok. Płynęli coraz wolniej. W końcu dno kanu zaszemrało po piasku. Wynieśli je na brzeg, wzięli na ramiona i podążyli mocno udeptaną ścieżką w kierunku zniżającego się nad ziemią słońca.

Szlak był kręty, wąski. Między jednym strumieniem a drugim spotykali odcinki mulistego, podmokłego gruntu. Tego dnia odcinków takich musieli pokonać kilka. Teraz przebywali kolejny. Na szczęście ich lekkie kanu nie nastęczało wiele kłopotów. Mimo iż słońce szybko zniżało się ku zachodowi, nie przerywali marszu. Ścieżka nie była wystarczająco szeroka, by rozłożyć na niej nocny obóz. Grunt był podmokły; wokół rozpościerały się grząskie bagna. Wszędzie unosiły się chmury moskitów. Musieli poszukać lepszego miejsca.

Jakoż tuż przed wieczorem wiejący z zachodu wiatr przyniósł im najpierw dosyć słabą, potem coraz bardziej wyraźną woń dymu – znak, że w pobliżu obozują ludzie.

Jaguar, który szedł przodem, raczej z przyzwyczajenia niż istotnej potrzeby, przeczesywał bez przerwy uważnym spojrzeniem ścieżkę oraz okoliczne zarośla. W pewnym momencie zatrzymał się nagle i poprosił:

– Niech Sasay’ga położy kanu i zbliży się.

Gdy idący z tyłu stanął obok, wskazał mu coś pod nogami. Pośrodku ścieżki leżał kilkucalowej długości wąski pasek wyprawionej skóry. Sasay’ga przykucnął i nie dotykając go przyglądał mu się uważnie. Po paru chwilach uniósł nieco głowę. W twarzy jego malowało się zdziwienie.

– To znak Moose – stwierdził z przekonaniem.

– Znak Moose? – zdziwienie Jaguara było nie mniejsze. O czym mówi ten znak?

Sasay’ga dotknął palcami kawałka skóry i wskazał na zdobiące ją dwie proste czarne strzały, wyrysowane drewnianym węgielkiem.

– Jaguar widzi te dwie strzały – prawda? Ich groty skierowane są tak jak biegnie ścieżka – w kierunku w którym podążamy. Mówią one, że na Sasay’gę i Jaguara czyha tam niebezpieczeństwo. Moose zawsze w ten sposób przestrzegają się nawzajem, gdy wiedzą, że na ścieżce, którą zdążają ich bliscy, jest takie niebezpieczeństwo.

W tym momencie, z odległej o kilkadziesiąt kroków kępy zarośli wychynęła na moment dziko wyglądająca twarz. Para czarnych błyszczących oczu spoczęła na sylwetkach pochylonych młodzieńców. Cień zadowolenia przemknął po umalowanej twarzy. Gałązki zsunęły się bezszelestnie z powrotem. Niewyraźna postać skryła się za zakrętem ścieżki i zniknęła szybko w gąszczu.

Młodzieńcy wpatrzeni w kawałek skórki nie dostrzegli niczego. Jaguar położył rękę na tajemniczym znaku i stwierdził po chwili:

– Skóra zupełnie sucha. Znajduje się tu od niedawna.

– Tak, Sasay’ga myśli podobnie. Niech Jaguar popatrzy. Przeszło tędy wielu mężczyzn i odcisnęło swe mokasyny na ziemi. Znak Moose leży na wgłębieniu, które pozostawiła stopa bladej twarzy – nie dalej niż ćwierć dnia temu.

Jaguar dłuższą chwilę przyglądał się dwom czarnym strzałom. Podniósł ostrożnie pasek skóry, umieścił go w jednym ze swych woreczków i powiedział cicho:

– Jeśli Sasay’ga nie myli się, to Mohawk rozumie dwie rzeczy: że niebezpieczeństwem tym są ludzie, znajdujący się tam, skąd dobiega aż tu dym ogniska, i że wśród nich jest ktoś z wioski Moose, ktoś kto wie o nadejściu Sasay’gi i Jaguara, ale ktoś, kto nie chce, by Sasay’ga i Jaguar zdradzili się że go znają. – Tu dłuższą chwilę nad czymś myślał, w końcu dodał z przekonaniem.

– Ale ten ktoś mówi, by Jaguar i Sasay’ga również nie dali się poznać wrogom. I oni tak uczynią. Dobrze, że posłuchali rady Wahbe-kookookuhoo i przed wyruszeniem w drogę zmienili swój wygląd. Zmieniają teraz jeszcze imiona i wioski, z których pochodzą.

Dla ludzi, którzy znajdują się przed nimi będą: Assinbo⁵⁴ – tu wskazał na Sasay’gę i Kenárbo⁵⁵ – dotknął palcem swej piersi. – Obydwaj pochodzą z ludu Neegigwug⁵⁶ mieszkającego na północy, tam, gdzie zaczynają się łowieckie tereny Kenishtenog. Mohawk zna trochę ich mowę a wie, że Sasay’ga zna ją również. Czy Sasay’ga zgadza się ze swym bratem, że właśnie tak należy postąpić?

Moose skinął głową i uśmiechnął się.

– Sasay’ga cieszy się, że został chytrym Assinbo. Nie zawiedzie swego brata. Cieszy się też, że futro Jaguara i jego naszyjnik leżą dobrze zawinięte w starą derkę, a jego wampum ukryty jest w woreczku. Obydwaj na piersiach mają święte okij. Nie potrzebują się niczego obawiać. Mogą iść śmiało tam, gdzie są ludzie.

Młodzieńcy podnieśli łódkę i ruszyli wzdłuż ścieżki. Po przejściu kilkuset kroków ujrzeni niewielkie wzniesienie. Po drugiej stronie, wzdłuż łagodnie opadającego stoku, płonęło kilkanaście ognisk. Wokół kręciła się grupa białych oraz Indian. W dole, w połowie wyciągnięte na brzeg, czerniły się smukłe, zgrabne cienie kilkudziesięciu kanu wypełnionych stosami futer. Nieco dalej kołysały się na wodzie cięższe łodzie białych wypełnione towarami.

Białych było około trzydziestu; Indian, jak zorientowali się, około setki, lecz wśród tych ostatnich znajdowało się również kilkanaście kobiet i trochę dzieci.

Stojący powyżej obozowiska młodzieńcy dostrzegli nieco, większe od innych ognisko, wokół którego siedziało kilku białych i kilkunastu Indian. Wśród białych z niemałym zdziwieniem rozpoznali dowódcę bladych twarzy, które niedawno przebywały w wiosce Wahboosoog. Czarnobrody siedział teraz obok innego, nieznanego białego i mówił coś głośno do grupy spoczywających wokół ogniska Indian. W rękę trzymał spory żelazny kubek, który właśnie przed chwilą napełnił jakimś płynem ze stojącej obok baryłki.

– Ishkootá-wahboo – szepnął Mohawk.

Na oczach białych i swych czerwonoskórych braci zeszli w dół, w pobliże wody i swe lekkie kanu złożyli u stóp jakiegoś drzewa. Od najbliższego, niewielkiego ogniska podniósł się starszy już mężczyzna, przyjrzał się im uważnie, trochę dłużej zatrzymał wzrok na świętych cybuchach i obu wędrowców pozdrowił uprzejmie. Mówił językiem Chippewa, którym na szlaku od Jeziora Oswego do dalekiego jeziora leżącego na skraju prerii mówili wszyscy Indianie i większość białych. Znaczna część tego szlaku biegła właśnie przez kraj

⁵⁴ Assinbo (czyt. As-sin-bou) – Lis

⁵⁵ Kenárbo (czyt. Ki-na:-bou) – Wielka Chmura

⁵⁶ Neegigwug (czyt. Ni:-gig-uag) – Wydry

Chippewa.

– Mężczyźni ludu Kakagi pozdrawiają swych młodych braci – powiedział – i proszą, by zechcieli zająć miejsce przy ich ognisku. Nie potrzebują rozniecać własnego.

Sasay’ga, który językiem Chippewa posługiwał się równie swobodnie jak językiem Moose, odpowiedział grzecznie:

– Assinbo i Kenárbo chętnie przyjmują zaproszenie ludu Kakagi.

Gdy usiedli w gronie kilkunastu mężczyzn i przysunęli ku ciepłu płomieni wwe przemoczone mokasyny, ten, który ich zaprosił, zdjął znad ogniska dwa spore kawałki niezbyt dobrze przypieczonego mięsa piżmoszczura i podał młodzieńcom.

– Hawoyzask⁵⁷ dobry i zdrowy. Niech młodzi bracia posilą się. Są pewno zdrożeni i głodni. Kakagi już jedli.

Zaledwie zdolali przełknąć pierwsze kęsy tłustego mięsa, gdy od dużego ogniska podniosło się trzech mężczyzn. Dwu białych i wysoki Indianin. Jednym z białych był kupiec, który właśnie niedawno odwiedzał wioskę Wahboosoog. Drugiego nie znali, ale właśnie on zdawał się być tu przywódcą. Podeszedł swobodnie do ogniska, przy którym siedzieli i przemówił językiem białych. Towarzyszący mu Indianin, w którego zachowaniu dawały się zauważyć już pierwsze oznaki spożycia wody ognistej, widząc, że młodzieńcy nie rozumieją języka bladych twarzy, podjął się roli tłumacza i szybko przełożył mowę białego na język Chippewa:

– Wódz bladych twarzy, którzy są kupcami, pozdrawia swych dwu czerwonoskórych młodych braci i pyta, skąd i dokąd prowadzi ścieżka, którą podążają, a na której znajdują się również kupcy? Wódz białych nosi imię Wright, a ten drugi biały, który też jest wodzem, nazywa się Batson. Obaj pytają, czy młodzi czerwonoskórzy bracia nie mają w swym kanu skór lub futer, które biali chętnie kupią, tak jak chcą je kupić od Osúhwe-oninjemaha⁵⁸ – tu wskazał na siebie który jest wodzem Kakagi?

Widząc, że obaj biali oraz wódz Kakagi stoją, wstał także Sasay’ga, otarł ręką usta i odpowiedział, udając nieśmiałość.

– Assinbo, który zrozumiał słowa wielkiego wodza ludu Kakagi, odpowie w imieniu własnym i swego brata Kenárbo, który niezbyt dobrze rozumie język Chippewa. – Chwilę jakby się zastanawiał, po czym podjął ponownie przerwana myśl. – Assinbo i Kenárbo należą do ludu Neegigwug, który żyje daleko na północy na skraju łowieckich ziem Kenishtenog. Obydwaj Neegigwug są już dorośli i znajdują się w drodze po święty kamień na główki do swych fajek pokoju. Nie posiadają skór ni futer, gdyż polują tylko na małe zwierzęta. I nie polują dla futer, bo o tej porze roku futro nie jest dobre. Dziękują białemu wodzowi za zainteresowanie, jakie im okazał, ale oni są biedni i nic nie mogliby mu ofiarować na wymianę.

Drugi biały, który z przyzwyczajenia co jakiś czas pocierał swą gęstą czarną brodę, spytał łagodnie:

– Assinbo i Kenárbo przybywają z dalekiego kraju. Na swej ścieżce spotkali pewnie wiele wiosek i zatrzymywali się w nich. Biali słyszeli, że u ludów Wahboosoog i Moose jest dużo pięknych futer, które chętnie by kupili?

Sasay’ga pokręcił przecząco głową.

– Obydwaj Neegigwug wiedzą, że są takie wioski i że te psy Wahboosoog zajmują najlepsze tereny łowieckie, ale oni chytrze ominęli te wioski. Wprawdzie przed zemstą chroni ich święty okij, który w drodze do kamieniołomów niosą na swej szyi, ale ponieważ bracia Assinbo i Kenárbo często walczyli z Wahboosoog, którzy przyjaźnią się z Moose, woleli ominąć je z daleka. Mężczyźni z tych wiosek mogliby nie zauważyć okij albo nie uszanować praw gościnności, a jest ich bardzo wielu. Nie polują teraz i siedzą w swoich wigwamach, a

⁵⁷ Hawoyzask (czyt. Au-oy-zesk) – Piżmoszczur

⁵⁸ Osúhwe-oninjemah (czyt. O-sa-ui ounin-dzi-ma) – Żółta Ręka

Neegigwug jest tylko dwóch i na swej ścieżce powinni unikać walki, by nie obrazić Wielkiego Ducha.

Biały, który rozumiał dobrze słowa Sasay'gi, przetłumaczył je szybko swemu wodzowi i od siebie dodał:

– To jeszcze chłopcy. Pewnie ze strachu unikali spotkania ze swymi wrogami i omijali ich wioski. Wahboosoog rzeczywiście muszą zajmować dobre tereny, ale teraz po naszym odejściu mają już niewiele futer, za to dobre karabiny; a mężczyzn widziałem tam przynajmniej ze dwie i pół setki – przesadził celowo, by przekonać Wrighta, że był zmuszony do zostawienia właśnie w tej wiosce swej najlepszej broni. – Zostawmy chłopaków. Nic nam po nich. Potrzebujemy paru dobrych, doświadczonych zwiadowców, ale tych będziemy mieli za parę dni.

Wright skinął głową, zwrócił się jednak jeszcze raz do Sasay'gi:

– Biały żałuje, że ze swymi młodymi braćmi nie może wymienić prezentów. Życzy im, by ich ścieżka do kamieniołomów była prosta i bezpieczna i aby żaden z nich nie zgubił na niej świętego okij.

Sasay'ga, który zrozumiał, że biały żartuje z niego, nie dając nic poznać po sobie, odparł z prostotą:

– Assinbo i Kenárbo dziękują białemu wodzowi za życzenia. Oni też już dawno pomyśleli, by nie zgubić swych okij i dlatego uwiązali je na szyi bardzo mocnymi rzemieniami.

Usłyszawszy tę odpowiedź biali parsknęli śmiechem. Wódz Kakagi skrzywił się lekceważąco i powiedział szybko:

– Oni jeszcze nie są wojownikami. Biały wódz powinien to zrozumieć. Zostawmy ich. Moi bracia zaopiekują się nimi. – Widocznie spieszył się bardzo do ishkoótá-wahboo, bo pociągnął białych do ich ogniska.

Sasay'ga usiadł ponownie i zupełnie już zimny kawałek mięsa nadział na długi patyk i przysunął w stronę płomieni.

Wojownik, który zaprosił ich do ogniska, patrzył teraz na obydwu młodzieńców z sympatią, ale jednocześnie jakby z lekką troską.

– Áhjejug⁵⁹ widzi teraz, że jego bracia są jeszcze bardzo młodzi. Czy nie za wcześnie postanowili zostać dorosłymi?

Sasay'ga uśmiechnął się.

– Niech Áhjejug nie patrzy tylko na słowa, którymi Assinbo odpowiadał białemu wodzowi. Assinbo zrozumiał, że biały wódz traktuje dwu Neegigwug jak niedorosłych chłopców. Ale im słowa bladej twarzy nie przeszkadzają. Neegigwug gardzą wszystkimi bladymi twarzami i nie obawiają się ich.

Wokół ognisk począł narastać radosny szmer. Biali roznosili baryłki z ishkoótá-wahboo...

Áhjejug, chociaż wokół ogniska zapanowało podniecenie, jak gdyby posmutniał. Podniósł się ze swego miejsca, podszedł do ogniska, przy którym z białymi rozmawiał wódz i coś długo szeptał mu do ucha. Widać przekonał słuchającego, bo Osúhwe-oninjemah kilkakrotnie kiwnął głową na znak zgody. Nóż i tomahawk, które tkwiły za jego pasem podał staremu wojownikowi. Ten zabrał broń także innym mężczyznom Kakagi znajdującym się przy tym samym ognisku. Następnie uniósł ją w górę i powiedział głośno.

– Osúhwe-oninjemah kazał, by wszyscy mężczyźni ludu Kakagi, którzy chcą napić się wody ognistej, broń swoją złożyli w jednym miejscu. Na czas kiedy ishkoótá-wahboo krążyć będzie w ich żyłach, kobiety mają ukryć broń. – Od wszystkich ognisk podrywali się ochoczo dorośli mężczyźni i zupełni jeszcze młodzieńcy. Szacunek jakim cieszył się wódz, musiał być bardzo duży, bo w kilkanaście chwil potem kobiety i dziewczęta, a nawet dzieci oddalały się w głąb lasu dźwigając łuki, kołczany pełne strzał, noże, tomahawki, toporki, maczugi, kilka strzelb i pistoletów.

⁵⁹ Áhjejug (czyt. A-dzi-dżag) – Żuraw

Áhjejug wrócił do ogniska i patrząc surowo na dwu Neegigwug spytał:

– Czy Assinbo i Kenárbo nie zrozumieli polecenia wodza? Áhjejug widzi, że nie oddali kobietom swych noży?

Sasay’ga spojrział poważnie na starszego już i pewnie mądrego wojownika i pokręcił przecząco głową.

– Áhjejug myli się. Obydwaj Neegigwug zrozumieli dobrze polecenie wodza. Ale ono odnosiło się do mężczyzn Kakagi. Nie musieli go więc usłuchać. Nie dlatego jednak nie odłożyli broni. Oni podobnie jak Áhjejug nie zamierzają pić wody ognistej. Wiedzą, jak zachowują się ci mężczyźni, którzy jej skosztują.

Wzrok wojownika złagodniał; gdy odezwał się ponownie, głos jego brzmiał smutkiem:

– Áhjejug wie, co stanie się, gdy mężczyźni wypiją wiele wody ognistej i boleje nad tym. Przekonał więc wodza, że wszystkim pijącym braciom trzeba odebrać broń i ukryć ją, ale nie wie czy to odwróci gniew Wielkiego Ducha i zapobiegnie nieszczęściu. Cieszy się, że jego młodzi bracia nie będą próbować wody ognistej bladych twarzy, wymyślonej przez złego ducha.

– Zamilkł; lekko przymglone oczy utkwiał w blasku płomieni.

Noc rozpościerała swe skrzydła nad lasem. Ogniska płonęły coraz jaśniej. Biali roznosili coraz to nowe baryłki. Na znak dany przez Áhjejuga młodzieńcy wzięli kanu na barki i wraz ze swym chwilowym przewodnikiem zagłębili się w las.

W odległości nie większej niż półtora lotu strzały złożyli czołno na ziemi i usiedli pod opadającymi ukośnie ku ziemi smukłymi konarami wysokiej jodły.

– Dlaczego nasz starszy brat wybrał miejsce pod tym drzewem? – spytał Mohawk. – Obok rośnie duży klon. Jest tam lepsze schronienie.

Mimo gęstniejącej ciemności młodzieńcy dostrzegli przeczący ruch głowy tamtego.

– Nie, Kenárbo myli się. Wkrótce zacznie, padać deszcz. Wojownik zmoknie pod każdym innym drzewem. Pod jodłą i świerkiem może siedzieć dwa dni i będzie suchy. Jodła dobra.

Siedzieli w milczeniu. Od strony obozu dochodziły coraz wyraźniejsze odgłosy, najpierw głośnych rozmów, potem pojedynczych okrzyków. Odgłosy te narastały coraz bardziej; wzmagala się wrzawa, której nie zagłuszał już nawet gęsto padający deszcz. Wreszcie zabrzmiały dzikie okrzyki. Ishkootá-wahboo ogarnęła umysły mężczyzn.

Jeszcze długo po północy szaleńczy krzyk rozlegał się tak potężnie, jakby na miejscu obozowiska walczyły z sobą setki wojowników.

Stopniowo jednak wrzawa cichła; w końcu zupełnie ją zagłuszył potężny łoskot gwałtownej ulewy.

Áhjejug miał rację. Jodłowe gałęzie były dobrą osłoną. Nie przedostała się przez nie nawet kropla wody.

Idąc za przykładem starego wojownika, obaj młodzieńcy ułożyli się na suchym igliwiu i zapadli w lekki czujny sen. Wraz z pierwszym promieniem słońca, które przedarło się zza chmur, zbudziło ich dotknięcie ręki Kakagi.

– Chodźmy – powiedział. – Wszyscy mężczyźni śpią. Kobiety potrzebują opieki. – Zostawiając kanu pod drzewem podążyli w milczeniu do wczorajszego obozowiska. Wydawało się uśpione. Wokół tu i ówdzie tłących się jeszcze, przesyconych żywicą gałęzi, spoczywali w odurzającym głębokim śnie, bracia Áhjejuga.

Młodzieńcy patrzyli na zakrzepłe na twarzach, ramionach i piersiach ślady krwi. Podrapana skóra, otwarte rany które obsiadły już moskity i muchy, nie przerywały snu upojonych wodą ognistą. W kilku miejscach ciała były splecione i dziwnie skrzyżowane.

Áhjejug, który oglądał uważnie wszystkich pochylając się nad każdym, wyprostował w końcu plecy i powiedział spokojnie:

– Tym razem do krainy Wielkiego Ducha odeszło tylko siedmiu. Gdy poprzednio biali kupcy odwiedzili wioskę Kakagi, w walce zginęło jedenastu. Teraz biali nie dali tak dużo

wody ognistej. – Przerwał w połowie zdania, które zamierzał wypowiedzieć i wskazał ręką na środek jeziora... Sunął po nim długi, oddalający się coraz bardziej wąz łodzi. Brzeg był pusty. Zniknęły łodzie białych oraz wszystkie wypełnione futrami kanu mężczyzn Kakagi.

Widząc ciskający błyskawice gniewu wzrok Mohawka Áhjejug uśmiechnął się smętnie.

– Niech mój młody brat nie oburza się. Biali nie ukradli futer ni łodzi Kakagi. Oni je kupili od nich i zapłacili wodą ognistą i kilkoma podarkami, które rozdali wojownikom jeszcze wczoraj – zaraz po spotkaniu. Teraz zabrali tylko swoją własność... To złe blade twarze – dodał z przekonaniem. – Wszystkie blade twarze są złe. Czy mój młody brat może przyprowadzić kobiety i dzieci? Są niedaleko od miejsca, w którym Assinbo i Kenárbo spędzili noc. Pomogą opatrzyć rany tych, którzy teraz śpią.

Gdy w jakiś czas potem do obozowiska wróciła gromada kobiet i dzieci, rozległ się głośny płacz. Kobiety rozpoznały zmarłych, wszczęły głośny krzyk, rozdrapywały swe twarze i smarowały je czarnym przemoczonym popiołem. Zbite w ciasną gromadkę stały strwożone dzieci.

Áhjejug przy pomocy obu młodzieńców opatrywał ciężiej rannych. Mimo iż nie zadawał sobie żadnego trudu, by postępować z nimi delikatnie, nie przebudził się żaden ze śpiących.

Koło południa Sasay’ga i Jaguar poszli na polowanie i przed wieczorem wrócili dźwigając dużego jelenia.

Kilkunastu mężczyzn obudziło się już i krzotało wokół rozpalonych ognisk. Jedyne wódz siedział pochmurny, z podrapaną twarzą i kilkoma siniakami na rękach oraz wielkim guzem na czole. Złym wzrokiem wodził za drugim, silnie zbudowanym Kakagą, poranionym zresztą podobnie jak on sam. W końcu widać nie wytrzymał. Poderwał się i zachwiał. Miał słabe nogi; w uszach i głowie słyszał łoskot bębna. Chwiejąc się i zataczając na wszystkie strony z trudem dotarł w miejsce, gdzie znajdował się właśnie upatrzony przez niego mężczyzna. Położył mu ciężką rękę na ramieniu i spytał groźnie:

– Wczoraj wieczorem mój brat bił pięścią swego wodza i grubym kijem po głowie i zrobił mu ten znak, od którego do tej pory jeszcze Osúhwe-oninjemah czuje, jak mu huczy między uszami. Dlaczego Annacook mokoman⁶⁰ uczynił to? Osúhwe-oninjemah żąda wyjaśnienia.

Zaczepony przez wodza rozłożył bezradnie ręce.

– Annacook mokoman na pewno nie bił wodza grubym kijem i nie uczynił mu tego guza na głowie. Są przecież przyjaciółmi. Nigdy nie podnieśli na siebie ręki. Jeżeli walczyli, to zawsze razem przeciwko wspólnym wrogom. Może wódz się myli?

– Nie, wódz nie myli się. Pamięta dobrze, że jego brat bił go po głowie właśnie tym kijem, który odłożył przed chwilą.

Szybki Nóż wydawał się zmartwiony. Natężając pamięć potarł oko obwiedzione niebieskosiną obwódka – ślad po czyjejś pięści i skrzywił się z bólu.

– Nie, Annacook mokoman jest pewien, że nie bił wczoraj wodza, chociaż nie pamięta wszystkiego, ale jeśli wódz się nie myli i rzeczywiście widział tę gałąź w ręku Szybkiego Noża oraz czuł ją na swojej głowie, to znaczy, że w tym czasie w ciele Szybkiego Noża siedział jakiś potężny zły duch i on machał tą gałęzią. Widocznie wie, że Osúhwe-oninjemah jest ulubieńcem dobrych duchów i dlatego chciał mu uczynić krzywdę wykorzystując rękę Szybkiego Noża, ale Szybki Nóż nie wie nic o tym. Jego własny duch opuścił go wtedy.

Twarz wodza rozchmurzyła się nieco.

– A czy Szybki Nóż jest pewien, że to właśnie zły duch siedział wtedy w jego skórze i machał gałęzią?

– Tak, on jest tego pewien. Dobry duch nie biłby wodza kijem. Nigdy przecież nie czynił tego przedtem.

Żółta Ręka rozchmurzył się prawie zupełnie. Rozczapierzonymi palcami usiłował zgarnąć opadające mu na czoło włosy i natrafiwszy na bolesny guz syknął podobnie jak przed chwilą

⁶⁰ Annacook mokoman (czyt. Anne-ku:k mou-kou-men) – Szybki Nóż

Szybki Nóż i sprawę zakończył stanowczym stwierdzeniem:

– To musiał być naprawdę potężny zły duch.

Coraz więcej mężczyzn budziło się z koszmarne snu, w jaki wprowadziła ich ishkootá-wahboo. Odzyskując świadomość tego co się stało, siadali ponurzy, zmartwieni. Wieczorem, przy świetle ognisk, na stoku pagórka wykopali siedem podłużnych niezbyt głębokich dołków i z całym szacunkiem złożyli w nich zwłoki zabitych w bratobójczej walce. O białych nie wspominali. Nie mówili również o futrach i zabranych kanu. Pamiętali, że wszystko to sprzedali uczciwie za kilkanaście baryłek wody ognistej.

Sasay'ga i Jaguar pozostali z nimi jeszcze przez noc. Rankiem odpłynęli w dalszą drogę. Tym razem wzięli z sobą bezcenny dar, jaki przy pożegnaniu otrzymali od Áhhejuga – długi, szeroki pas białej, pięknie wyprawionej skóry jelenia z misternie wyrysowaną ścieżką wiodącą do świętych kamieniołomów. Ścieżkę tę Áhhejug podzielił na trzydzieści dwa odcinki, z których każdy stanowił jeden dzień drogi. Wiedzieli więc, że do kamieniołomów pozostał im jeszcze cały Księżyc i dwa dni.

Siedząc w kanu zastanawiali się, kim był tajemniczy przyjaciel, który znak ostrzeżenia położył na ich ścieżce wiodącej do obozu Kakagi. Mimo że zastanawiali się długo, nie mogli znaleźć żadnej odpowiedzi.

Podążali ścieżką białych kupców. Nie natrafili jednak podczas najbliższych dni na jakiegokolwiek ślady ich obozowiska. Nie troszczyli się jednak o to. Codziennie, ze skrupulatnością pilnych uczniów, pokonywali odcinek drogi wyznaczony im przez mądrego Kakagę. Rozmawiając czasem między sobą nie ukrywali podziwu dla jego dobrej pamięci, która pozwalała mu oznaczyć na skórze nie tylko drogę, ale i nadające się najbardziej na odpoczynek czy nocny postój miejsca.

Upłynęła już jedna trzecia Księżyca, gdy rzeka Deszczowej Wody, po której płynęli, łagodnym łukiem wychyliła się w kierunku południowym. Trzymali się teraz jej lewego brzegu, aż pewnego dnia pod wieczór ujrzeli szeroki potok niosący z sobą dużo wody. Bez wahania pchnęli w jego ujście kanu i podążyli wprost na południe.

Miejsce zielonego, wysokopiennego boru zastąpiły trzciny, kępy sitowia i oczeretów. Po obydwu stronach niezbyt szerokiej rzeki rozpościerały się wielkie bagna i moczary, wśród których roiło się od kaczek i gęsi. W mijanych bagiennych oczkach buszowały wydry i szczury wodne; w przezroczystej wodnej toni, czasem tuż pod powierzchnią, przesunęła się ławica ryb. W zacisznych, dających schronienie załomach rzeki, drzemały wielkie szczupaki. Ich rozleniwienie i obojętność była jednak pozorna, o czym świadczyły tu i ówdzie rozlegające się gwałtowne uderzenia ogonem i wyskakujące w panicznej ucieczce nad wodę stada małych, srebrzystobiałych rybek.

W górze, zataczając szerokie kręgi, szybował leniwie bystrooki sokół. Nie odczuwał pewno głodu, gdyż lot jego był równy i spokojny.

Jaguar pogonił za nim wzrokiem i widział, jak ptak zaczyna wolno opadać i przysiąda na szczycie samotnej w tym miejscu wysokiej brzozy. Z jej gałęzi poderwały się trzy czarne wrony i wzbily w powietrze. Wolały widocznie nie ryzykować walki, nawet w trójkę, przeciwko silnemu dziobowi sokoła i jego szponom. Przelatując nad głowami wioślarzy oddaliły się przezornie na północ, tam gdzie na horyzoncie majaczyła linia wysokiego lasu.

Parokrotnie spotykali rozległe żeremia bobrowe, a raz nawet, z powodu zapory zbudowanej przez te mądre zwierzęta, musieli przenosić łodem swe kanu. Sprawa najzupełniej zwykła, a jednak przypadek, jaki zdarzył się w trakcie omijania zapory, o mało nie spowodował poważniejszych następstw.

Przemysłne uhmikwug⁶¹, swą tamę spiętrzającą płynące na północ wody zbudowały tak, że wioślarze musieli ominąć ją, przesuwając z niemałym wysiłkiem łódkę przez porośniętą warstwą mizernego mchu i paproci przybrzeżny odcinek.

⁶¹ Uhmikwug (czyt. a-mik-uag) – bobry

Mohawk, zajmujący jak zwykle miejsce w przodzie kanu, spróbował wiosłem wytrzymać podejrzenie wyglądającej, tu warstwy mchu, lecz stwierdziwszy, że powinna wytrzymać jego ciężar, obrócił się do swego przyjaciela.

– Łódka nie przejdzie nad mchem, gdy będzie ją obciążał podwójny ciężar. Jaguar spróbuje prześliznąć się do tej kępy olszyn i przeciągnie kanu i Sasay'gę. – Z tymi słowami podał koniec rzemienia swemu przyjacielowi. Sam zsunął się ostrożnie na warstwę miękkiego poszycia. Trzęsawisko zafalowało. W promieniu kilkudziesięciu kroków w paru miejscach zabulgotała woda; mech ugiął się dość mocno, ale wytrzymał ciężar.

Silnymi ruchami ciała posunął się do przodu. Mimo iż starał się, by całe ciało płasko przylegało do powierzchni mchu, czuł, że jego cienka warstewka ugina się coraz bardziej. O kilka stóp od zbawczej kępy olszyn woda pokrywała już cały grzbiet i barki młodzieńca. Warstewka wodorostów musiała tu być bardzo cienka. Nie obawiał się jednak. W zębach trzymał długi koniec rzemienia. Nie było niebezpieczeństwa. Mech jednak kończył się w tym miejscu; przed twarzą Jaguara bulgotały wielkie bańki wydobywającego się na powierzchnię wody powietrza. Pod spodem musiało być bardzo głęboko. Czuł jak ciało zanurza się coraz głębiej w pękającej pod brzuchem cienkiej, roślinnej warstwie. Nie mógł czekać dłużej.

Skupiając wszystkie siły i sprężając mięśnie jednym szarpnięciem poderwał się do przodu. I chociaż zbawcza gałąź znajdowała się blisko, chwycił ją w chwili, gdy grzaska topiel rozstąpiła się pod nim i pociągnęła w dół.

Gałąź na szczęście była mocna i wytrzymała ciężar. Chwycił ją mocno i jednocześnie spróbował wytrzeć zapchany błotem nos, oczy i usta. Grubą warstwę mułu zgarnął z powiek i wydłubał z uszu. Do następnej gałęzi wystarczało sięgnąć drugą ręką. I gdy zamierzał to właśnie uczynić, znieruchomiał. Wokół omszałego, prawie czarnego pnia, tuż nad ziemią, drgały ciemne sploty błotnego węża.

Gad zsuwał się wolniutko w dół. Był bardzo długi i prawie tak gruby jak ramię dorosłego mężczyzny. Musiał być stary i pewnie bardzo niebezpieczny. Tuż nad ziemią oderwał łeb od drzewa i uniósł go poziomo. Na moment rozwarła się paszcza i rozległ złowrogi chrzęst grzechotek – znak bliskiego ataku.

Cienki rozdwojony język co chwila wysuwał się ze spleśnionej, oślisłej paszczy. Sięgał już niemal prawej, zaciśniętej na gałęzi dłoni, gdy lewa ręka Jaguara wykonała błyskawiczny chwyt. Palce jego niczym kły wilka zacisnęły się tuż za łbem napastnika. Młodzieniec poderwał węża w górę i krzyknął:

– Sasay'ga!

Siedzący w łódce z napięciem obserwował całą scenę i łuk trzymał w pogotowiu. Przy uchu Mohawka zaśpiewała cicho strzała i grot jej przeszył na wylot łeb szarpiącego się gada. Pocisk trafił w źródło życia, bo skurcze długiego cielska trwały tylko chwilę. Grzechotnik znieruchomiał. Jego sploty opadły luźno wzdłuż trzymającej je ręki. Jaguar odetchnął głęboko. Złożył węża na nieco większej kępie mchu, odszukał wypuszczony przed paroma chwilami rzemień i dopiero teraz sięgnął po drugą gałąź.

Wkrótce przeciągnął kanu, a w parę chwil później, gdy Sasay'ga wrzucił węża do łódki, obaj młodzieńcy spuścili ją ponownie na wodę powyżej bobrowej zapory. Tu dopiero Mohawk mógł obmyć z mułu całe ciało. Gdy wślizgnął się na powrót do czołna i zajął w nim swe zwykle miejsce, spojrzał serdecznie na przyjaciela i powiedział cicho:

– Sasay'ga uratował swemu bratu życie. Nie zawiodło go oko, nie drgnęła ręka. Grzechotnik miał szybką śmierć. Brat Sasay'gi nie zapomni o tym.

Młody Moose, który właśnie obmył starannie strzałę i położył obok, by wyschła, podniósł teraz głowę i powiedział po prostu:

– Brat Shóamin widział niebezpieczeństwo i dobrze wiedział, że musi trafić tak, aby zabić. Trafił więc. Jeśli zajdzie potrzeba, jego strzała zawsze pobiegnie na pomoc przyjacielowi. – Młodzieńcy nie mówili o tym więcej.

Tuż przed zachodem słońca złowili kilka tłustych okoni, lecz musieli je zjeść na surowo. O rozpaleniu ogniska nie było mowy. Otaczająca ich zewsząd grząska topiel nie dawała szans na znalezienie nawet kawałka ziemi wystarczającej, by założyć obóz i rozpaść chociaż niewielki ogień. Przywiązawszy kanu do kępy sitowia postanowili spędzić noc na wodzie. Prąd był wprawdzie słaby, ale gdyby kanu nie umocowali, nocą mógł ich znieść daleko.

Zaraz po zmierzchu niebo powlokło się chmurami. Zaczął padać deszcz. Zrobiło się chłodno. Wciągnęli więc łódkę głębiej pod wysokie trzciny i schronili się pod tą niewystarczającą osłoną.

Około północy zbudził ich niosący się gdzieś z góry rzeki plusk. Nie musieli się wprawdzie niczego obawiać, jednak instynkt kazał im leżeć cicho.

Plusk powtórzył się kilkakrotnie w znacznie już bliższej odległości. W pewnej chwili poprzez gęsty mrok nocy dostrzegli trzy długie kanu sunące z prądem wody. Każde popychało czterech wiosłarzy. Młodzieńcy nie mogli dostrzec ich twarzy – zaledwie zarysy ciemnych postaci. Czółna niczym duchy przemknęły w dół rzeki. Wiosłujący w nich mężczyźni nie wymienili ani jednego słowa. Widocznie musiało im się bardzo spieszyć.

Z pierwszym brzaskiem Jaguar obudził Sasay'gę. Wyprowadzili kanu na otwartą wodę i popłynęli pod prąd. Wiosłowali szybko, by się rozgrzać. Koło południa w oddali ujrzeli większe skupiska drzew – znak, że teren był tam nieco wyższy. Pojawiły się wysokie zarośla, a w niedługi czas potem schodzący do rzeki las. Tuż przed wieczorem znaleźli się u rozwidlenia rzeki. Jedno jej ramię biegło dalej wprost na południe; drugie kierowało się na południowy zachód. Ścieżka wyrysowana przez Áhjejuga prowadziła właśnie wzdłuż tego drugiego ramienia. Nie zagłębiali się w nie jednak. Przez noc postanowili wypocząć na suchym terenie. Kilkunastokrokowej szerokości trawiasta polana, na skraju młodego topolowego lasu, wydawała się stanowić najlepszy zakątek, jaki widzieli od kilku dni.

Sasay'ga, który wyskoczył z kanu pierwszy i rozejrzał się wokół, zatrzymał się nagle i utkwiał w czymś wzrok. Jaguar, widząc w postawie brata Shóamin czujność zwiastującą jakieś niebezpieczeństwo, sięgnął po łuk i za chwilę stanął obok.

Sasay'ga pokazywał wyciągniętą ręką coś u stóp dużego drzewa. Mohawk spojrzał tam i wolno opuścił łuk. Miękkim, ale nie zdradzającym niepokoju krokiem podszedł do topoli. Obok pnia widniały ślady niewielkiego ogniska. Przyjrzał się bacznie nadpalonym gałązkom i nie ścisząc głosu powiedział spokojnie:

– Ogień palił się wczoraj przed deszczem. Pewno rozniecili go ci, których widzieliśmy nocą... – Tu znieruchomiał i utkwiał spojrzenie gdzieś w głębi lasu.

W odległości kilkudziesięciu kroków od miejsca, w którym się znajdowali, stało dwu mężczyzn... Jednakże zwisające luźno ręce i opadające na piersi głowy mówiły, że są martwi... Byli przywiązani do dwu sąsiednich drzew, a w piersi każdego z nich tkwiła widoczna z tej odległości długa czerwona strzała.

Młodzieńcy bacznie rozglądając się wokół podeszli do nich. Mohawk uniósł głowę najpierw jednego, następnie drugiego i uważnie wpatrywał się w ich rysy. Wreszcie odgarnął pierwszemu włosy znad uszu i powiedział ze zdziwieniem:

– To fałszywi Mahéengunug, którzy chcieli porwać dziewczęta z wioski Sasay'gi i którym mężczyźni Moose obcięli po jednym uchu. Zginęli wczoraj. Przed śmiercią nie cierpieli. Czerwone strzały musiały ich zabić od razu.

Rozdział ósmy

Kto zabija czerwoną strzałą?

Oderwał wzrok od przywiązanych do drzew i skierował go nieco bardziej w lewo. Tam również tkwili dwaj martwi już Mahéengunug. Dalsze poszukiwania pozwoliły na odkrycie kolejnych zwłok.

Wszyscy Mahéengunug zginęli tak samo. Każdego zabiła taka sama czerwona strzała. I każda z nich tkwiła w sercu.

Rysy Mohawka, gdy w promieniu ponad stu kroków przetrząsnął las i nie znalazł najmniejszego nawet śladu walki, spochmurniał. Wrócił do pierwszych zwłok i badał je wzrokiem długo i starannie. Wreszcie ujął strzałę tkwiącą w piersi jednego z zabitych i wyszarpnął zdecydowanym ruchem. Podszedł do ognia, który jego przyjaciel zdążył już rozniecić i usiadłszy na skrzyżowanych nogach przyglądał się jej w milczeniu. Wyglądała zwyczajnie. Całą, łącznie z piórami, pokrywała czerwona farba. Jedyne grot pozostawał czarny. Był długi, ostry i gładko obrobiony. Wykonano go z czarnego twardego kamienia. Nie miał na sobie żadnych znaków, ale to co najbardziej dziwiło młodzieńca to fakt, że część strzały, która tkwiła w ciele ofiary, nie miała żadnych śladów krwi; zachowała dokładnie ten sam kolor, co część wystająca na zewnątrz. A powinna być przecież inna – ciemniejsza. Powinny na niej oraz na samym grocie pozostać wyraźne ślady krwi. Jakaś niejasna myśl nie dawała mu spokoju. Nagłym ruchem podniósł się, podszedł do jednego z nieżyjących i z rozmachem wbił mu strzałę w okolicę łopatki, a następnie wyszarpnął ją i wrócił do ogniska.

Kolor wbitej w ciało strzały nie zmienił się. Młodzieniec, na którym śmierć nie czyniła żadnego wrażenia, raz jeszcze podszedł do pierwszego trupa i spokojnie umieścił strzałę na jej właściwym, dawnym miejscu – w sercu nieżyjącego. Dopiero wtedy wrócił do ognia i spojrzał zagadkowo na swego przyjaciela.

– Sasay’ga widział wszystkich przywiązanych do drzew i nieżyjących Mahéengunug – prawda?

– Tak, widział i dobrze im się przyjrzał.

– A czy widział na ich skórze jakiegokolwiek ślady walki?

Brwi młodego Moose uniosły się.

– Nie, śladów walki nie widział. Może się w ogóle nie bronili przed wrogiem?

Mohawk pokręcił przecząco głową.

– Przed najgroźniejszym wrogiem broni się nawet mały chłopiec. Dlaczego nie miałyby się bronić siedmiu silnych młodych mężczyzn? Ale Sasay’ga nie myli się; oni nie bronili się i nie walczyli. Mohawk pyta swego brata dlaczego?...

Sasay’ga zawiesił nad ogniem upolowane przez siebie po południu dwie tłuste kaczki, wytarł ręce o legginy i pokręcił przecząco głową.

– Moose nie wie. Może wrogów było bardzo wielu i walka nie dawała żadnych szans? Może zostali zaskoczeni we śnie i związani zanim zdążyli sięgnąć po broń? Ślady zmył deszcz. Nic nie widać.

– Sasay’ga myli się. Mahéengunug nie bronili się i nie walczyli, bo byli już martwi, gdy przywiązano ich do drzewa.

– Jak mogli być martwi, skoro wrogowie musieli zabić ich czerwonymi strzałami?

– Nie musieli ich zabijać przy drzewach. Wrogowie wystrzelili swoje strzały już do

nieżyjących.

- W jaki sposób Jaguar mógł to ustalić? Przecież nie był tu?
- Gdyby brat Jaguara chwilę pomyślał, nie musiałby się pytać. Czy widział, by w miejscu gdzie weszła strzała, po skórze popłynęła krew?
- Nie, krew nie wypłynęła z żadnej rany.
- A co to znaczy?
- To znaczy... to znaczy, że czerwone strzały zostały wbite w serca Mahéengunug wtedy, gdy oni już dawno nie żyli, a krew w ich żyłach zastygła.
- Tak, Sasay'ga nie myli się teraz. Jaguar wyciągnął jedną strzałę z ciała i obejrzał ją dokładnie. Nie była zabarwiona krwią.
- W takim razie jak zginęli Mahéengunug?
- Mohawk tego nie wie, ale myśli, że najpierw zostali otruci. Czy jego brat zna taki naród, który wrogów swych zabija jeszcze raz po śmierci?
- Nie, nigdy nie słyszał o takim narodzie.

Jaguar zamyślił się. On również po raz pierwszy spotkał się z takim sposobem pozbawiania kogoś życia, ale rozmyślał jeszcze nad czymś. Oto ci, którzy pozbawili życia niedoszłych porwaczy dziewcząt, nie zabrali im skalpów. Fakt ten nie mógł zmieścić się w jego głowie. Myślał o nim bardzo długo w noc i czoło jego pokryła ciemna chmura. Było dla „niego oczywiste, że Mahéengunug po rozstaniu z białymi dla jakichś powodów znaleźli się w tej okolicy. Oczywiście powodów tych nie znał. Może wrócili na własne łowieckie tereny, a może byli dopiero w trakcie powrotu? Znaleźli się tu niedawno, a śmierć przyszła po nich nie dalej jak poprzedniego dnia. Nie pozbawili się życia sami. Musieli zabić ich inni – ktoś, kogo spotkali przypadkowo lub ktoś, z kim byli umówieni w tej właśnie okolicy. Ale dlaczego pozbawiono ich życia? Może prócz porwania dziewcząt dla białych mieli jeszcze inne zadanie do wykonania i może to zadanie powierzył im ktoś inny? Jeśli zawiedli jego zaufanie, mógł się zemścić w taki właśnie sposób. Nie było przecież innego wytłumaczenia ich śmierci. Nikt, poza Moose, nie miał prawa karać ich za próbę porwania młodych kobiet. Każdy mógł się z nich śmiać, a nawet pogardzać. Własny lud mógł ich wypędzić z rodzinnej wioski, ale nie mógł pozbawiać ich życia...

Trzy czołna, które niczym duch przemknęły nocą w dół rzeki i dwunastu wioślarzy. Właśnie tu mogła kryć się odpowiedź na dręczące go pytania. Gdy wreszcie zmęczony zamknął powieki, przed oczyma przesuwwały mu się jakieś straszliwe stwory, a w ciele każdego tkwiła długa czerwona strzała z czarnym błyszczącym grotem.

Zbudził się bardzo wcześnie – tuż przed świtem. Daleko na wschodzie sączył się słaby jeszcze brzask; chmury odpłynęły gdzieś na południe, tam gdzie pod gwiazdzistą kopułą nieba migotała wesoło jego gwiazda. Nie widział jej od kilku dni. Patrzył na nią teraz z radosnym wzruszeniem. Gdy znikła, ustępując miejsca jasności słonecznego poranka, zabrała z jego serca i głowy czarne myśli oraz męczące nocne widziadła. Poczuł, się rześki i lekki.

Wstał cicho; zabrał łuk i kilka strzał i podążył brzegiem prawego potoku. W odległości nie większej niż trzy strzały z łuku posłyszał charakterystyczny chrobot kłów bobrowych. Zwierzęta musiały przecinać jakieś większe drzewo.

Gdy wrócił, niósł na plecach sporych rozmiarów zwierzę, które złożył tuż obok wygasłego ogniska.

Sasay'ga, którego zbudził szelest kroków przyjaciela, na widok przyniesionej przez niego zdobyczy otworzył szeroko oczy.

– Widzę, że mój brat dobrze rozpoczął dzień. Sasay'ga śnił właśnie, że spożywa coś bardzo smacznego. – Z tymi słowami poderwał się szybko ze swego legowiska i pobiegł w las. Gdy wrócił, dźwigał ogromną naręcz gałęzi.

Jaguar ściągał właśnie skórę z bobra i teraz jego tłusty ogon nacierał jakimiś mocno pachnącymi ziołami. W niedługi czas potem nad niewielkim ogniskiem rozszedł się ostry,

prześiąknięty wonią dymu, zapach pieczenia.

W żołądkach karmionych ostatnio rybami i wodnym ptactwem zniknął wkrótce cały bobrowy ogon i spora porcja tłustego różowego mięsa.

Nim słońce wzniosło się nad wierzchołkami drzew, skierowali czołno pod silny dosyć prąd niewielkiej rzeki biegnącej z zachodu.

Teren wznosił się coraz bardziej. W dwa dni później wypłynęli na wody dużego jeziora, a w następnym dniu przecięli wąski przesmyk leżący przy zachodnim brzegu i przedostali się na jezioro nieco mniejsze.

Przed wieczorem natknęli się na dużą grupę Indian, którzy po zachodniej stronie wody łowili ryby. Młodzieńcy podpłynęli do nich śmiało, lecz przekonali się, że tylko jeden z nich zna parę słów Ojebwag. Wprawdzie gdy spostrzegł na ich piersiach cybuchy do fajek – łatwo domyślił się celu podróży, nie mógł jednak zrozumieć ich pytań o dalszy szlak wiodący do świętych kamieniołomów. Dopiero gdy Sasay'ga przy pomocy gestów usiłował wytłumaczyć mu o co chodzi, okazało się, że nie tylko ten, ale wszyscy pozostali mężczyźni doskonale go rozumieją. I z kolei młody Moose przekonał się ze zdziwieniem, że on sam rozumie również wszystko. Wykonywane gesty i ruchy rąk rozumiał również Jaguar.

Z tej bezgłośnej rozmowy młodzieńcy dowiedzieli się, że spotkana grupa należy do liczego narodu Dakotów zamieszkujących tereny po obydwu stronach biegnącej z południa na północ wielkiej rzeki, poza źródłami której, daleko na południu, znajdują się święte kamieniołomy.

Na nadbrzeżnym piasku jeziora mężczyźni wyrysowali drogę do tej rzeki oraz dalszą drogę – w górę rzeki, aż do kamieniołomów.

Gdy Mohawk porównał ścieżkę wytyczoną przez starego Áhhejuga ze szlakiem wyrysowanym obecnie, musiał ponownie w myśli podziwiać znakomitą pamięć starego Kakagi.

Dakota zaprosili młodzieńców do swego obozu i wkrótce nieporadne zrazu ruchy, trochę różne z obydwu stron, przekształciły się w ożywioną rozmowę, zwłaszcza kiedy okazało się, że w grupie spotkanych Dakotów aż kilku dosyć dobrze posługuje się mową Ojebwag. Teraz język słów, wsparty żywą gestykulacją rąk, stał się jasny, i zrozumiały dla wszystkich.

Jak się okazało, spotkana grupa podąża obecnie na północ do ujścia owej wielkiej rzeki, którą Dakota nazywali Czerwoną, do miejsca, gdzie w pobliżu wielkiego jeziora, na skraju łowieckich terenów Assiniboine, biali kupcy ze wschodu założyli wielkie posterunki handlowe, w których Dakota pragnęli sprzedać posiadane futra.

Mówili, że w posterunkach tych biali płacą lepiej i dają lepsze towary niż kupcy, którzy jedynie od czasu do czasu odwiedzają wioski położone na prerii.

Tłumacząc swój pobyt tak daleko od szlaku wyjaśnili, że zostali do tego zmuszeni przez żyjących daleko na południu wojowników; Skidi Pawnee, którzy pojawili się niespodziewanie w wiosce i skradli z niej kilka kanu.

– Wojownicy Dakotów – mówił wódz – mimo iż Pawnee uciekali wodą, wysłedzili ich trop i ścigali swych wrogów aż tutaj – do jeziora. Ponieważ z jeziora biegnie w różne strony wiele strumieni, a na wielkich trzęsawiskach można ukrywać się bardzo długo, zaniechali dalszego pościgu i jak tylko nałowili ryb na drogę, wracają na szlak wielkiej rzeki.

Mohawk, który bardzo uważnie słuchał słów wodza, spytał:

– Czy wódz wie, ilu było mężczyzn Pawnee i w ilu uciekali czołnach?

– Tak, Waubezháhqua⁶² wie to. Pawnee było dwunastu, ale wraz z nimi było także siedmiu młodych wojowników z narodu Czarnych Stóp. Skradli pięć kanu i uciekli.

– Czy wojownicy Dakotów walczyli z nimi?

– Nie, te psy Pawnee nie chciały walki. Łodzie skradli nocą. Gdy rankiem wojownicy z wioski ruszyli w pościg, nie dogonili już ich. Nie wiedzą więc, gdzie ukryli się ich wrogowie.

⁶² Waubezháhqua (czyt. Uo-bi-ža-kuej) – Orzeł Białogłowy

Młodzieniec wahał się chwilę, po czym zadał jeszcze jedno pytanie:

– Waubezháhqua mówi, że to byli Pawnee. Czy jest tego pewien? Czy widział ich już kiedyś lub może walczył z nimi?

– Tak, wiele razy. Skidi Pawnee znani są i nienawidzeni przez wszystkie narody prerii, które zwalczają ich od najdawniejszych czasów.

– A co jest powodem tej nienawiści i walki? Kenárbo – młodzieńcy postanowili swe przybrane imiona zachować dla ostrożności jak najdłużej – wie, że prócz białych twarzy, wszystkie ludy są dziećmi Wielkiego Ducha, chociaż czasem nazywają go różnymi imionami. Czy Pawnee nie zostali stworzeni przez ducha, który jest panem wszelkiego życia? Czy są może dziećmi Złego Ducha?

Waubezháhqua namyślał się przez dłuższą chwilę, w końcu odparł niezdecydowanie:

– Orzeł Białogłowy nie wie, czy Pawnee zostali stworzeni tak jak inne narody przez tego samego Ducha, ale wie, że Wielki Duch ludów Dakota nie mógł stworzyć Pawnee. Kenárbo pyta, dlaczego wszystkie ludy nienawidzą wojowników Pawnee. Waubezháhqua oraz wszyscy jego bracia wiedzą, że Pawnee to złodzieje. Kradną ogashy i młode dziewczęta. Dakota niekiedy również w czasie swych wojennych wypraw wrogom swym zabierają mustangi, a nawet porywają dziewczęta, ale czynią to tylko wtedy, gdy w piersi któregoś z wojowników przemówi do dziewczyny serce. Zabiera ją wtedy do swego tipi i są szczęśliwi. Ale Pawnee nie porywają dziewcząt, by posadzić je u swego ogniska. Oni kradną je, by zadać im śmierć, by złożyć w ofierze swemu duchowi. I Pawnee postępowali tak zawsze. Dlatego są wrogami wszystkich ludów i walczą z wszystkimi. Nie mają przyjaciół. Obecnie Orzeł Białogłowy podąża do faktorii białych kupców, by zaopatrzyć się w dużą ilość strzelb, prochu i kul. Gdy wróci, jego wojownicy będą dobrze uzbrojeni i jeśli Stowarzyszenie Czarnych Psów tak postanowi, to zabiją wszystkich Pawnee – dokończył z przekonaniem.

Mohawk rozważał w milczeniu słowa wodza, uznawszy jednak, że nie powinien milczeniem tym narażać Dakotów na dalsze kłopoty z tą grupą Pawnee, która skradła łódzie, opowiedział wodzowi o tym, jak spotkali najpierw dwunastu mężczyzn przemykających nocą przez wielkie bagna, a następnie o znalezionych u zbiegu rzek zwłokach siedmiu zabitych; Gdy wspomniał o tym, że w ciele każdego z nich tkwiła czerwona strzała z czarnym kamiennym grotem, wódz sięgnął do leżącego obok kołczanu i spomiędzy zupełnie innych wyjął jedną czerwoną pomalowaną strzałę, zakończoną wysmukłym czarnym grotem i spytał:

– Czy zabici takie właśnie strzały mieli w piersiach?

Mohawk potwierdził skinieniem głowy. Waubezháhqua umieścił na powrót strzałę w kołczanie i zwrócił się do młodzieńca.

– Kenárbo przekazał Dakotom ważną wiadomość. Nie mają teraz wątpliwości, że te psy Pawnee wyprawiły się ponownie gdzieś, by porwać dziewczynę i w wiosce swej skazać ją na śmierć. Dakota z ust swego brata dowiedzieli się, w jakim kierunku uciekli ich wrogowie i spróbują zastawić na nich pułapkę. Ponieważ nie wiedzą jednak, jak daleko zamierzają płynąć Pawnee i czy wkrótce nie pojawią się ponownie na terenach Dakotów, Waubezháhqua musi niezwłocznie wysłać posłańca do wioski i powiadomić przez niego o wszystkim wodza Stowarzyszenia Czarnych Psów. A ponieważ wioska Dakotów znajduje się na ścieżce, jaką podążają Assinbo i Kenárbo, mogą popłynąć razem z posłańcem. Waubezháhqua podąży tymczasem szybko z futrami do białych kupców.

Jaguar i Sasay’ga ucieszyli się postanowieniem wodza, gdyż znający dobrze drogę przewodnik mógł znacznie ułatwić ich dalszą podróż.

Nie zwlekali więc i, mimo zapadającej nocy, w trójkę ruszyli jakimś płytkim strumieniem wiodącym w kierunku zachodnim. Ich nowy towarzysz był jeszcze młodym, chociaż pewno już doświadczonego, mężczyzną. Wódz nie powierzyłby mu ważnej misji, gdyby nie miał do niego zaufania. Jakoż wkrótce okazało się, że nie pomylili się. Mimo panujących ciemności i padającego znów deszczu, młody Dakota prowadził kanu pewnie. Ani razu nie zawahał się w

wyborze drogi.

Płynęli bez odpoczynku całą noc, a obecnie, mimo iż zbliżała się połowa dnia, nie zwolnił tempa. Na pytanie Mohawka o powód takiego pośpiechu odparł krótko:

– Pawnee bardzo chytry. Może popłynęli dalej na północ, a może zatoczyli koło i wrócili do wiosek Dakotów. Mała Stopa nie chce, by porwali i zabili jego siostrę lub siostrę jego brata. Dlatego spieszy się. Jaguar i Sasay’ga rozumieli. Zanurzyli głębiej wiosła i kanu pomknęło szybciej.

Jednak następnego dnia tempo jazdy nieco zmalało. Rozległe trzęsawisko zostało daleko w tyle. Potężna rzeka, na którą wpłynęli poprzedniego wieczoru, wiała się szeroką wstęgą pośród otaczających ją lesistych pagórków, zbocza których pokrywał gęsty, przeważnie sosnowy las. Łagodne wzgórza, rozległe, bezleśne, pokryte bujną trawą doliny, zbiegające ze wzgórz wąskimi nitkami srebrne potoki, cieniste wąwozy nadawały mijanemu krajobrazowi swoiste piękno i spokój.

Pośpiech jednak, z jakim posłaniec Waubezháhqua parł do przodu, nie pozwalały cieszyć się młodzieńcom pięknem mijanej okolicy. Ponieważ rozumieli niepokój posłańca, wysiłki jego wspomagali swymi młodymi silnymi ramionami.

Szóstego dnia nieprzerwanej podróży przez bystrza i porohy, głębokie przepastne wiry i uskoki wody, wpłynęli na tereny bardziej równinne, gdzie prąd wody nie był już tak silny. Miejsce lesistych wzgórz coraz częściej zastępowała falista równina, pokryta kobiercem wysokiej zielonej trawy.

Pewnego dnia przewodnik skierował kanu ku prawemu brzegowi, a koło południa wprowadził je w leniwie płynący potok. Sunęli nim dosyć szybko na zachód i nim słońce przebiegło trzy czwarte swej codziennej drogi, dotarli do skraju głębokiego parowu. Strumień stał się bardzo płytki, woda skakała poprzez ostre, wystające z dna kamienie. Przewodnik wskoczył na brzeg i powiedział:

– Niech moi bracia wezmą czółno na ramiona; Mała Stopa poprowadzi ich do wioski. – Nie oglądając się ruszył przodem. Młodzieńcy podążali za nim wąską ścieżką wijącą się wzdłuż strumienia. Ściany parowu wznosiły się coraz wyżej; strumyk stawał się coraz węższy. W dole pociemniało. Skaliste ściany zasłoniły słońce. Powiało chłodem. Gdy jednak przeszli dalsze kilkaset kroków, parów otwarł się raptownie, a przed oczyma Sasay’gi i Jaguara otwarła się szeroka zielona dolina. W odległości lotu strzały, na skraju sosnowego lasu, zgrupowało się wiele kolorowych tipi. Wokół dużego placu tworzyły wielkie koło. Dakota zatrzymał się i wskazując tipi ręką powiedział z dumą:

– To wioska Yanktonai. Assinbo i Kenárbo pozwolą, że Mała Stopa pójdzie teraz trochę szybciej niż oni i uprzedzi wodza. Oni niech tymczasem zanoszą swe kanu, tam gdzie stoją łodzie wioski. Mała Stopa przyjdzie po nich.

Młodzieńcy podążyli we wskazanym kierunku i wkrótce w miejscu, gdzie strumień przegrodzony usypną z kamieni zaporą tworzył niewielkie jezioro, złożyli swą łódkę na brzegu.

Nie czekali długo. Dotychczasowy przewodnik pojawił się wkrótce i poprowadził ich do niewiele różniącego się od innych stożkowego tipi.

Wewnątrz, na luźno rzuconych skórach, z podwiniętymi nogami siedział wódz. Nie był jeszcze stary. Nie przekroczył na pewno pięćdziesięciu Zim. Ubrany był w proste lekkie mokasyny i długie, sięgające wysoko, równie proste, nie ozdobione niczym skórzane legginy. Jego biodra obejmował pas wykonany z bardzo grubej skóry. Górną część ciała miał obnażoną. Szeroka wypukła pierś, sploty mięśni na barkach i ramionach, żyłaste ręce znamionowały niepospolitą siłę. Osadzoną mocno głowę zdobiły długie proste włosy spięte z tyłu i spadające na plecy. Surową, o regularnych rysach twarz, proste wysokie czoło i głęboko pod łukami gęstych czarnych brwi osadzone oczy cechował spokój.

Ciała ani ubioru nie barwiła najmniejsza nawet ozdoba. Jedynie na prawym przedramieniu

widniał wyraźny rysunek głowy czarnego psa – widomy znak władzy.

Jakoż gospodarz tipi był wodzem. Imię jego brzmiało Kenéwh⁶³ – Orzeł Wojny. Znaczyło ono, że ten, który je nosił w czasie walki i wojny skupiał w swym ręku całą władzę. Znaczyło też, iż był dowódcą Stowarzyszenia Czarnych Psów – stowarzyszenia skupiającego najbardziej doświadczonych, mądrych i dzielnych wojowników Yanktonai. Skoro właśnie oni wybrali go swym wodzem, musiał być najbardziej doświadczonym i mądrym spośród wszystkich mężczyzn wioski.

Teraz, gdy Mała Stopa wprowadził obu młodzieńców, Kenéwh chwilę przyglądał im się uważnie, po czym wstał i zbliżył ku nim.

– Kenéwh wita serdecznie swych braci przybyłych tu z odległego kraju Neegigwug i prosi, by przed dalszą podróżą zechcieli spędzić w wiosce Yanktonai kilka Wieczorów. Mała Stopa mówił iż płynęli bez przerwy, walcząc z silnym prądem wielkiej rzeki, i że na pewno w tym czasie stracili dużo sił, zwłaszcza, że brzuchy ich przeważnie były puste. Zostaną więc w wiosce i odpoczną. Będą tu wśród przyjaciół, łatwo więc nabiorą sił do dalszej podróży. Poznają lud Yanktonai, który należy do wielkiego narodu Dakotów, co przyda im się w dalszej podróży. Niech Mała Stopa – tu zwrócił się do posłańca – powie wszystkim mężczyznom i kobietom, że wioska od tej chwili gości dwu dzielnych młodzieńców przybyłych na ziemi Dakotów z dalekiego północnego kraju, młodzieńców, których ścieżka prowadzi do świętego czerwonego kamieniołomu.

Gdy Mała Stopa zniknął, by wypełnić polecenie wodza, ten podszedł jeszcze bliżej do obu młodzieńców, przyjrzał się im uważnie i ująwszy za ramiona obrócił twarzami w stronę wpadającego przez otwór wejściowy tipi światła. Tym razem patrzył jeszcze dłużej i uważniej, w końcu powiedział cicho:

– Niech Assinbo i Kenárbo nie gniewają się, że Kenéwh przygląda im się tak długo. On wie, że żaden z nich nie pochodzi z ludu Neegigwug i że obydwaj noszą przybrane imiona. Kenéwh wie, że imiona te przybrali nie ze strachu przed niebezpieczeństwem, gdyż w sercach ich nie gości lęk, lecz dla wprowadzenia w błąd złych bladych twarzy, z którymi już się na swej ścieżce spotkali i mogą się jeszcze spotkać w dalszej podróży. Ceni więc ich przezorność i chytrość i nie ujawni przed nikim ich tajemnicy. W wiosce oraz na swym dalszym szlaku niech zachowają te przybrane imiona i nie okazują niepotrzebnie wrogom, gdy takich spotkają, swej odwagi i dzielności. Niech nadal pozostaną skromni. Łatwo wtedy zaskoczą każdego nieprzyjaciela.

Młodzieńcy, słuchając poważnych słów wodza, patrzyli na niego zdumieni. Jak odgadł ich tajemnicę? Skąd wiedział, że powodem, dla którego postanowili skryć swe prawdziwe imiona i wygląd, były blade twarze? Młody Moose znacznie bardziej impulsywny niż jego starszy przyjaciel otworzył usta, by coś powiedzieć, Kenéwh jednak uśmiechnął się tylko; jego surowe rysy nieco złagodniały, gdy powiedział przyjaźnie:

– Assinbo i Kenárbo niech nie pytają. Wódz zachowa ich tajemnicę, a oni są wśród przyjaciół. Obecnie są głodni i znużeni. Muszą napęlić żołądki i odpocząć. Będzie jeszcze czas, by porozmawiali z wodzem o wielu sprawach. Teraz Kenéwh zaprowadzi ich do tipi, w którym będzie im wygodnie. – Sasay’ga nie zadał już swego pytania.

W jakiś czas potem, zabrawszy z kanu wszystkie swe rzeczy i złożywszy je w tipi, siedzieli wraz z Małą Stopą przy niewielkim ognisku, nad którym rumienił się długi, gruby płat mięsa. Czuąc jego przyjemny, ale zupełnie nieznaną zapach, Mohawk spytał:

– Mała Stopa piecze mięso ze zwierzęcia, które nie jest znane jego braciom. Czy może powiedzieć, co to za zwierzę?

– Tak, to zwierzę na które wszyscy Dakota i inne ludy żyjące między wielkimi górami na zachodzie a wielką wschodnią puszcza, najczęściej i najchętniej polują. Zwierzę to nazywa się bizon. Moi bracia w swej dalszej podróży spotkają te zwierzęta, gdyż jest ich bardzo dużo

⁶³ Kenéwh (czyt. Ki-niu) – Orzeł Wojny

i właśnie teraz powinny znajdować się na ścieżce, którą będą przechodzić Assinbo i Kenárbo.

– W takim razie Dakota i inne mieszkające na prerii ludy są szczęśliwe. Nigdy nie brakuje im świeżego mięsa.

Mała Stopa zaprzeczył.

– Mój brat myli się. Zwierząt, o których mówił Dakota jest rzeczywiście bardzo dużo, ale nie zawsze można je spotkać na terenach Yanktonai.

Zdziwiony nieco tą odpowiedzią Mohawk poprosił:

– Czy Mała Stopa może opowiedzieć swym braciom o tym zwierzęciu? Są ciekawi.

Ich nowy przyjaciel myślał kilka chwil:

– Są to bardzo duże zwierzęta i żyją w wielkich stadach, tak licznych, że czasem dziesięciu, a nawet więcej mężczyzn nie zdołałoby ich policzyć i nigdy nie zatrzymują się na dłużej, niż kilka Wieczorów w jednym miejscu. Wędrują bardzo daleko. Podczas Księżyca Rozwijających się Liści⁶⁴, kiedy doliny zaczyna pokrywać zielona soczysta trawa przychodzą wraz z południowym ciepłym wiatrem, lecz nie pozostają dłużej niż trzy czwarte Księżyca, po czym idą dalej na północ. W tym czasie Yanktonai przygotowują wielkie polowania i zabijają dużo tych zwierząt. Tyle ile tylko zdołają. Kobiety mają wtedy wiele pracy. Muszą zabrać wszystkie skóry i dobrze je wyprawić, a także zabezpieczyć mięso przed zepsuciem. Suszą je w słońcu, wędzą nad ogniem i gromadzą w ten sposób zapasy na okres, kiedy bizoni odejdą; a innej zwierzyny nie wystarcza dla wszystkich i trudno ją upolować.

Kiedy okres ciepły mija, gdy liście na drzewach tracą swój zielony kolor, stają się żółte i zaczynają opadać, a trawa wysycha, bizoni wracają z północy i ponownie przechodzą przez ziemie Dakotów. Są wtedy tłuste i ciężkie. Myśliwi znów urządzają wielkie łowy, a kobiety przygotowują pokarm na okres zimna.

Jeżeli polowanie udaje się mięsa starcza do czasu, aż roztopi się lód i śnieg. Jeżeli czasem nie udaje się lub bizoni na terenach Dakotów są bardzo krótko, myśliwi, częściej niż zwykle, muszą polować również na inne, mniejsze zwierzęta. Wtedy w wioskach Yanktonai często pojawia się głód.

– Jak polują nasi bracia na te zwierzęta?

– Różnie! Czasem wpędzają je w wąwozy bez wyjścia, czasem zapędzają na wysoką skarpe, z której bizoni spadają w przepaść, lecz najczęściej polują przy pomocy Dużych Psów, które Dakota nazywają Sunka Wakan⁶⁵, a ich bracia z północy papazhegóonguhzhe⁶⁶ lub niekiedy ogashy. Dakota lubią polować siedząc na grzbiecie Sunka Wakan.

– Kenárbo nie umie sobie wyobrazić jak można kierować Dużym Psem i jednocześnie strzelać z łuku.

Mała Stopa uśmiechnął się leciutko.

– To nie jest wcale trudne. Dakota uczą Sunka Wakan polować na bizoni. Dużym Psem nie trzeba więc kierować. On sam wie jak biec obok bizona i kiedy odsunąć się przed jego rogami. Duży Pies to bardzo mądre i pożyteczne zwierzę. Moi bracia zobaczą je. Ale najpierw spróbują garbu bizona i wyśpią się.

Obaj młodzieńcy, wygłodzeni w ciągu ostatnich kilku dni, nie zwlekając zabrali się do posiłku, a następnie zniknęli w swym pokrytym skórami tipi.

Rankiem Dakota pojawił się bardzo wcześnie, Widząc, że obydwa młodzi Neegigwug zdążyli już wypocząć i zjeść spory garnek zupy, jaką przyniosła im stara kobieta, powiedział tajemniczo:

– Mała Stopa ma dla swych przyjaciół niespodziankę. Jeżeli nasycili już głód, zabierze ich na niedaleką wyprawę.

Mohawk sięgnął po łuk, lecz Dakota pokręcił przecząco głową.

⁶⁴ Księżyc Rozwijających się Liści – maj

⁶⁵ Sunka Wakan – w języku Dakotów Święty Pies lub Duży Pies. Tak nazywano konia

⁶⁶ Papazhegóonguhzhe (czyt. pe-pe-zi-gun-ga-zi) – koń w języku Odżybuejów

– Kenárbo ani Assinbo nie potrzebują zabierać łuku ni strzał; nie udają się na wyprawę łowiecką. Noże mogą zabrać. Nie będą im przeszkadzały.

Obaj młodzieńcy podnieśli się, a Sasay'ga zawiązał luźno zwisający rzemień u jednego ze swych mokasynów.

– Czy to daleka wyprawa? – spytał Jaguar.

– Nie, wyprawa będzie całkiem krótka. Wróć, nim słońce zatrzyma się na niebie w swym najwyższym punkcie. – Z tymi słowy wyszedł na zewnątrz i długimi lekkimi krokami podążył nad brzegiem jeziora, a następnie wzdłuż strumienia zataczającego powyżej wioski niewielki łuk.

Szli za nim w milczeniu, patrząc z ciekawością na szerokolistne klony i topole, drzewa bawełniane, pachnące lipy i wysmukłe brzozy. Nad brzegiem strumienia gdzieś chyliły się wąskolistne wierzby i ciemnozielone olchy. Mimo wczesnej pory było ciepło. Liściasty las chronił przed silnymi promieniami szybko wznoszącego się słońca. Zapowiadał się wyjątkowo pogodny dzień i Mohawk przez chwilę myślał z żalem, że nie wykapał się zaraz po przebudzeniu. Co prawda mógł ciało ochłodzić wodą ze strumienia, ale nie chciał urazić gospodarzy. Woda nad którą przechodzili wpadała do sztucznego jeziora, leżącego w obrębie wioski i mieszkańcy jej, jak widział, brali ją do picia i gotowania. By wody nie brudzić, musieli kąpać się albo w dole potoku albo w jakimś innym miejscu. Zrezygnował więc ze swego chwilowego pragnienia.

Podążając tuż za Małą Stopą, zastanawiał się nad wczorajszymi słowami wodza i analizował je... Kenéwh nie był zdziwiony ich przybyciem. Wiedział o nich wcześniej i wiedział, kim są w rzeczywistości. Nie wypytywał ani jego, ani Sasay'gi o nic, ani o nich, samych, ani o spotkanych na moczarach Pawnee, ani o zabitych czerwonymi strzałami Czarnostopych. O tych dwu ostatnich sprawach mógł wiedzieć od Małej Stopy, ale o pierwszej? Nie, o pierwszej nie mógł się dowiedzieć od niego. Musiał powiedzieć mu ktoś inny. Tylko kto? Mohawk wyteżył pamięć. Od czasu pobytu w wiosce Wahboosoog, kiedy obaj z Sasay'gą za radą starego Wahbe-kookookuhoo zmienili swój wygląd, a później imiona, o czym nie mógł wiedzieć nikt, nie zdradzili się nigdzie. Tu przypomniawszy sobie wąski pasek skóry z dwoma czarnymi strzałami, jaki na ich ścieżce położył ktoś tuż przed spotkaniem z ludem Kakagi i białymi kupcami – Batsonem i Wrightem. Nie miał wątpliwości, że ostrzeżenie zostawiła im wtedy jakaś przyjazna ręka. Do kogo jednak należała? Może właśnie do tego, kto teraz uprzedził wodza Czarnych Psów? A jeśli tak, to ten ktoś podążał ich ścieżką, wyprzedzając ich. W jakim celu? Kim był? Czemu okazywał im troskę i życzliwość? Musiał być przyjacielem. Może Kenéwh wyjawi im od kogo dowiedział się o nich?

Do rzeczywistości przywołał go głos Małej Stopy. Mohawk spojrzał przed siebie, i stanął w pół kroku. Przewodnik zatrzymał się właśnie na niezbyt wysokiej skarpie i pokazując przed siebie wyciągniętą ręką powiedział z uśmiechem:

– Oto niespodzianka!

Obaj młodzieńcy spojrzeli na roztaczającą się przed nimi cudowną zieloną kotlinkę, otoczoną niewysokimi ścianami parowu, którego jedynym ujściem był wijący się u ich stóp potok i zamarli nieomal z wrażenia. Sasay'ga zdołał jedynie wyjąkać:

– Sunka Wakan...

Mała Stopa patrzył na podziw malujący się w oczach obydwu przyjaciół, przerwał chwilowe milczenie i powiedział:

– Wódz Czarnych Psów wie, że Kenárbo i Assinbo podążają do świętego kamieniołomu po glinę na swe fajki pokoju. Zna drogę tam prowadzącą, jak prawie wszyscy Yanktonai, i wie, że jest to droga bardzo długa dla kanu, które musi wspinać się pod coraz silniejszy prąd wody, a jeszcze dłuższa dla mokasynów jego przyjaciół, gdyby mieli pokonać ją pieszo. Dlatego postanowił zrobić im przyjemność i podarował dwa Sunka Wakan. Te, które Assinbo i Kenárbo widzą przed sobą, nie należą do żadnego mężczyzny Yanktonai. Są wspólną

własnością wszystkich i Kenéwh mógł podarować dwa z nich za zgodą rady starszych ze Stowarzyszenia Czarnych Psów, która odbyła się wtedy, gdy Assinbo i Kenárbo złożyli swe głowy do zasłużonego odpoczynku. Teraz Mała Stopa pomoże swym braciom wybrać dwa Sunka Wakan i nauczyc ich jak należy obchodzić się z nimi.

W odległości nie większej niż lot jednej strzały z łuku pasło się kilkadziesiąt ogashy, które Mohawk widywał nieraz w swej rodzinnej wiosce. Znaczniejsi wojownicy Mohawków posiadali bowiem zwierzęta, które Dakota nazywali Sunka Wakan. Nie były jednak tak piękne jak te, które widział teraz przed sobą. Te były nieco mniejsze, posiadały nieco krótszą szyję i nogi, ale były silniej zbudowane; miały szerszą klatkę piersiową i mocno zarysowane ścięgna. Młodzieniec domyślał się, że są bardziej wytrzymałe na zmęczenie i mogą biec długo bez odpoczynku. W wiosce swej słyszał, że takie ogashy hodowali we wschodnich puszczach jego bracia Choctaw i Chickasaw i sprzedawali różnym ludom na zachodzie, daleko za rzeką, którą zwano Ojcem Wód⁶⁷. Teraz widział te piękne zwierzęta przed sobą. Liczyły nie więcej jak cztery Zimy.

Pasły się spokojnie tuż nad potokiem. Lekki południowy wiatr rozwiewał im bujne grzywy. Część ogashy miała barwę czerwono-brunatną jak barwa sierści jelenia wapiti w porze ciepłej. Część była pstrokata; prawie połowę zwierząt malowała głęboka czerń nocy.

Obrócił się do Małej Stopy i powiedział cicho:

– To piękne zwierzęta, ale każde warte jest bardzo wiele. Kenárbo nie wie, czy dwóm młodym Neegigwug wolno przyjąć taki upominek. Nie mają się czym zrewanżować. Są biedni. Czy Dakota zawsze obdarowują tak swych gości?

Mała Stopa roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

– Nie, nie czynią tego zbyt często, ale obecnie tak postanowili, ponieważ uważają swych gości za przyjaciół i wiedzą, że Sunka Wakan będą im potrzebne w czasie dalszej podróży. Czasem również sprzedają Sunka Wakan mężczyznom innych plemion, chociaż nie zawsze przy tej sprzedaży przyjmują coś w zamian.

– Kenárbo nie rozumie tego. Jeśli on sprzedaje jakiemuś myśliwemu czy wojownikowi coś, to myśliwy ten musi dać na wymianę rzecz o takiej samej wartości.

Dakota przywołał na twarz żartobliwy wyraz.

– Yanktonai czasami sprzedają Sunka Wakan i nie biorą nic w zamian. Ale wtedy żądają, by ten kto chce mieć Sunka Wakan, nosił na swych plecach znak sprzedającego.

Obaj przyjaciele nie mogli zrozumieć tego, o czym mówił Mała Stopa.

– Znak sprzedającego na plecach? Jego totem? – spytał zdumiony Mohawk.

– Nie – Mała Stopa był wyraźnie ubawiony. – Nie totem. Znak bata, a właściwie to ślady po bacie.

Mohawk usiadł na skarpie i poprosił:

– Niech Mała Stopa opowie nam o tym zwyczaju. Kenárbo i Assinbo nie znają go.

Dakota nabił swą krótką fajeczkę i rozpoczął:

– W czasach, gdy Mała Stopa był jeszcze bardzo małym chłopcem na wielkiej prerii tylko Cheyenne, Ponca, Pawnee i Shoshoni, których tereny łowieckie leżą na południu i zachodzie, posiadali Sunka Wakan i, mimo że Dakota byli największym narodem, Pawnee i Cheyenne często urządzali napady na ich wioski. Sunka Wakan pozwalały im bardzo szybko przenosić się z miejsca na miejsce. Nie obawiali się Dakotów, chociaż byli znacznie od nich słabsi. Mogli nadejść niespodziewanie w każdej chwili. Gdy zwiadowca Dakotów wypatrzył ich o kilka Wieczorów drogi od wioski Yanktonai, nim zdążył przybyć z wieścią o zbliżającym się niebezpieczeństwie, Pawnee lub inni wrogowie z którymi Dakota prowadzili wojnę, dawno znikali po dokonaniu niespodziewanego napadu i piesi wojownicy Yanktonai musieli wędrować za uciekającymi czasami bardzo wiele Wieczorów, a niekiedy nawet więcej niż jeden Księżyc, by pomścić zabitych, odebrać łupy i ukarać napastników. Kosztowało ich to

⁶⁷ Ojciec Wód – Indianie nazywali tak rzekę Mississippi.

wiele wysiłku i trudu. Wielu z nich takie wyprawy przypłaciło życiem. Wtedy właśnie postanowili, że i oni muszą także posiadać Sunka Wakan, ale te były bardzo strzeżone przez wrogów i wiele wypraw, których celem było zdobycie tych zwierząt, zakończyło się niepowodzeniem.

Yanktonai nie mieli wyboru. Zaproponowali swym wrogom najpierw pokój, a potem zabrali z sobą bardzo dużo skór i futer, łuków, strzał i noży, zdobyte w walkach strzelby, a nawet tarcze wojenne. Pojechali z tym do swych niedawnych wrogów i poprosili o sprzedaż kilku Sunka Wakan.

Wrogowie ich, widząc tyle pięknych i potrzebnych im rzeczy oraz tarcze sławnych wojowników, zgodzili się na wymianę. Zgodzili się na nią pod jednym warunkiem, że każdy Yanktonai wraz z Sunka Wakan zabierze również na swej skórze znak bata jego dotychczasowego właściciela. Dakota nie mieli wyboru. Wiedzieli, że od posiadania tych zwierząt zależy życie plemienia. Zażądali jednak, że w zamian za swoje ustępstwo sami wybiorą te Sunka Wakan, które pragną posiadać.

Gdy obie strony zgodziły się na swoje warunki, szesnastu najdzielniejszych mężczyzn ze Stowarzyszenia Czarnych Psów zdjęło swe okrycia i tworząc koło, usiadło nago na prerii. Wrogowie ich dosiedli wybranych Sunka Wakan, ujęli w ręce baty i galopując wokół bili nimi siedzących. Wojownicy Dakota, siedząc w kręgu i czując uderzenia na swych plecach, spokojnie palili fajki.

Kiedy na skórze któregoś z Czarnych Psów pojawiła się krew, dotychczasowy właściciel zeskakiwał z ogashy i wręczał rzemień przywiązany do jego karku smaganemu przez siebie Yanktonai.

Był to w dziejach ludu Małej Stopy jedyny przypadek, kiedy Czarny Pies nie pomścił natychmiast zniewagi doznanej od wroga. Byli dumni, że bez jednego drgnienia znieśli razy batów – razy, z których jeden pozostał na plecach już przez resztę życia. Lud Yanktonai nie uznał tego za znak hańby. Przeciwnie – uznał to za znak wielkiej roztropności, poczytał za wielką zasługę. Posłowie Dakotów byli mądrzy. Nie wybrali wtedy samców. Wybrali i przywieźli do wioski dwa wielkie nahba-papazhegóonguhzheg⁶⁸ i kilkanaście noozha-papazhegóonguhzheg⁶⁹.

Nie jeździli na nich; hodowali je, a Sunka Wakan rozmnażały się szybko. Gdy po upływie kilku Zim Yanktonai posiadali już wystarczającą ich ilość, wyruszyli na prerię i schwytali wiele innych żyjących na swobodzie. Inne – szczególnie cenne – porwali swym wrogom. Jeszcze inne kupili od ludów ze wschodnich puszczy. Teraz posiadają ich bardzo dużo; każda rodzina – kilka lub kilkanaście. I czasami sprzedają je obcym. Zdarza się, iż ceną jest pozostawienie na plecach kupującego znaku bata. Zwyczaju tego, który nie jest ich zwyczajem, nie stosują często. Nie przynosi on wojownikowi sławy; najwyżej przypomina innym Yanktonai cenę, jaką sami kiedyś musieli zapłacić. – Mała Stopa skończył i owianym wspomnieniami wzrokiem ogarnął, pasące się stado.

Mohawk, który cały czas słuchał uważnie, spojrzał teraz na niego i powiedział szczerze:

– Kenárbo, chociaż do tej pory nie wiedział jak potrzebne i użyteczne na wielkiej prerii są Wielkie Psy, rozumie teraz dlaczego Dakota tak je cenią. Sam jednak nie umiałby chyba znieść myśli, że ślad bata pozostanie na jego skórze bez zemsty. Kenárbo, mimo że jest jeszcze młody, otrzymał niejedną ranę w walce. W sercu swym nie chowa jednak nienawiści do wroga, który ją zadał, ale rana otrzymana w walce nie hańbi ani młodego, ani starego wojownika. Nie pochwała jednak takiego postępowania, kiedy wojownik i mężczyzna, dla zaspokojenia swej próżności albo pychy, bije po plecach batem innego dzielnego wojownika i poniża tego, który się nie broni.

Mała Stopa odparł równie prosto i szczerze:

⁶⁸ Nahba-papazhegóonguhzhe (czyt. na-bej pe-pe-zi-gun-ga-zi) – ogier

⁶⁹ Noozha-papazhegóonguhzhe (czyt. nu-zej pe-pe-zi-gun-ga-zi) – klacz

– Dakota również nie pochwała takiego postępowania i podziela uczucia swego brata. Czy Kenárbo i Assinbo przyjrzeni się już Sunka Wakan dostatecznie, by wybrać dla siebie te, które podobają się im?

Sasay'ga bez wahania wskazał na większego od innych i mocniej zbudowanego pstrokatego ogiera, który pasł się trochę z dala od innych zwierząt.

– Assinbo pragnąłby mieć tego Sunka Wakan.

– A Kenárbo?

Mohawk wodził dłuższą chwilę oczyma po pasącym się nadal spokojnie stadzie, wreszcie wskazał wyciągniętą ręką.

– Czy Kenárbo mógłby przyrzeć się z bliska tej czarnej klaczy, która nosi białą gwiazdkę między oczyma?

Mała Stopa skinął głową.

– Oczywiście! Dakota przyprowadzi ją zaraz – co powiedziawszy, zręcznie zsunął się z niewysokiej skarpy, odwinął opasujący go do tej pory długi rzemień i zbliżył się do stada. Na widoczne poruszenie wśród zwierząt, zaniepokojonych pojawieniem się człowieka, rzucił kilka słów. Sunka Wakan uspokoiły się, lecz nieznacznie cofnęły przed podchodzącym. Wtedy Mała Stopa wymówił jeszcze kilka uspokajających słów; podszedł do upatrzonego przez Mohawka zwierzęcia, poklepał go delikatnie po szyi, pogładził nozdrza i zręcznie zarzucił rzemień na kark. Szlachetne, rozumiejące widać ludzką mowę zwierzę, nie stawiało żadnego oporu, gdy Mała Stopa miękkim ruchem dostał się na jego grzbiet.

Klacz stała nieruchomo kilka chwil, po czym widocznie na jakiś tajemniczy znak ruszyła zrazu stępą, przyspieszyła; obiegła kotlinę truchtem; skokiem, jelenia przesadziła strumień, potem jakiś wysoki, sięgający wzrostu dorosłego człowieka głaz, zawróciła w miejscu, okrążyła głaz kilkakrotnie, przeszła w cwał; niczym wiatr minęła obydwu stojących na skarpie młodzieńców, by w następnej chwili paść jak ścięta na zieloną murawę.

Nim Mohawk zdążył wydać cisnący się na usta okrzyk żalu, poderwała się lekko, wydała radosne rzenie – jeszcze raz obiegła dolinę i mknąc jak wiatr skierowała się prosto na skarpe. Brzuchem nieomal dotykała ziemi. Gdy wydawało się, że za chwilę swój wyciągnięty do przodu łeb roztrzaska na skale, o dwa kroki od oniemiałych młodzieńców zaryła przednimi kopytami w ziemię i stanęła w miejscu.

Mała Stopa, który w czasie całej tej jazdy nie wyrzekł ani słowa, zeskoczył lekko na ziemię, pieszczotliwie poklepał pysk i kark zwierzęcia i spytał:

– Jak memu bratu podoba się ta Sunka Wakan?

Mohawk patrzył jak urzeczony, w końcu powiedział z zachwytem w oczach:

– To zwierzę ma duszę człowieka i rozumie jego myśli.

Dakota rzucił rzemień w jego ręce.

– Niech Kenárbo zejdzie ze skarpy i porozmawia z nim. Niech powie zwierzęciu co czuje jego serce. Niech mówi tak, jak mówiłby do dziewczyny, która posiada jego myśli. Sunka Wakan zrozumie i na pewno odwzajemni uczucia mego brata. – Następnie zwrócił się do Sasay'gi i powiedział niepewnie:

– Assinbo wybrał najpiękniejsze i najszybsze zwierzę z całego stada. Niech jednak wybaczy szczerość Dakoty. Ten Sunka Wakan posiada wszystkie zalety, ale posiada też jedną wadę. Wadą tą jest kolor jego sierści. Gdy świeci słońce i jest jasno, nie przeszkadza to niczemu. Gdy jednak jest ciemno, a wrogowie znajdują się w pobliżu, zobaczą jego jasny włos. Jeśli Assinbo nie obawia się, że barwa tego zwierzęcia zawsze naprowadzi wrogów na jego ślad, niech je weźmie, ale żaden Dakota nie zabrałby go na daleką wyprawę, gdyby nie znajdował się w gronie wielu wojowników.

Sasay'ga z żalem odwrócił wzrok od pięknego ogashy. Chwilę trwał w milczeniu; jeszcze raz spojrzął na zwierzę. Stało swobodnie, nieco bokiem do skarpy, na której się znajdowali. Wzniesioną dumnie głowę kierowało ku rozmawiającym. W chwili, gdy młodzieniec

zamierzał już zgodzić się z ukrytą radą doświadczonego zapewne Dakoty, ogier zarżał donośnie. Sasay'ga uczył dziwny dreszcz na plecach. Patrzył jak urzeczony. Bojowy krzyk zwierzęcia sprawił, iż w żyłach młodzieńca szybciej popłynęła krew, na twarzy ukazał się rumieniec.

Spostrzegłszy, co dzieje się w duszy Assinbo, Mała Stopa gwizdnął krótko dwa razy. Ogier wstrząsnął grzywą, tylnymi kopytami potężnie uderzył w ziemię i niczym burza runął ku skarpie. Stał od niej o trzy kroki. Jego wielkie błyszczące oczy gorzały żółtym światłem.

Dakota zarzucił mu długi rzemień na szyję i powiedział z uśmiechem:

– Niech Assinbo też porozmawia ze swym ogashy.

W jakiś czas potem Mała Stopa w cieniu bawełnianego drzewa mówił obu młodzieńcom o tym, jak żyją Sunka Wakan, czym odżywiają się, jak zachowują. Mówił o ich naturalnych potrzebach, o radościach i smutkach, podobnych do tych jakie przeżywają ludzie. Opowiadał o przywiązaniu, jakie to święte zwierzę okazuje człowiekowi – przywiązaniu, które powoduje, iż Sunka Wakan, jeśli zachodzi taka potrzeba, gotów jest poświęcić wszystkie swe siły, biec bardzo długo, by na końcu szlaku, bez jednego słowa skargi czy wyrzutu umrzeć w biegu. Podawał wiele przykładów miłości, jaką Sunka Wakan obdarza człowieka. Uczył więc swych młodych przyjaciół troski i dbałości o zwierzę, dbałości o dobrą soczystą paszę i świeżą wodę. Przestrzegał przed przemęczeniem i przegrzewaniem ich i powiedział co należy czynić, gdy po długim, szybkim biegu Sunka Wakan poczuje się zmęczony, gdy na jego chrapach i szyi pojawi się pot lub piana. Ujawnił słowa, którymi w każdej chwili można przywołać zwierzęta oraz głos jaki należy wydać, by Sunka Wakan posłuchały go natychmiast. Powiedział też swym młodym przyjaciołom jakich znaków należy użyć, by zwierzęta bez jeźdźcy na grzbiecie pobiegły we wskazanym kierunku, zawróciły lub wykonały inne polecenie, mogące wprowadzić w błąd wrogów.

W końcu wyjaśnił, w jaki sposób, z pomocą dotknięcia dłonią, kolaniem czy piętą, jeździec kieruje w czasie jazdy swym mustangiem, jakimi ruchami posługuje się, by spowodować, że wierzchowiec w czasie biegu zatrzyma się nagle, położy na ziemi lub leżąc będzie udawał martwego.

Młodzieńcy z należytą uwagą i szacunkiem słuchali tych wyjaśnień. Pytali o różne rzeczy, prosili, by pewne wyjaśnienia powtarzał.

– Teraz – kończył Mała Stopa – jego bracia wiedzą to, co powinni wiedzieć, by Sunka Wakan służyły im dobrze. Obecnie Dakota nauczy ich, jak utrzymać się pewnie na grzbiecie tego zwierzęcia tak, by ani jemu, ani sobie nie uczynić krzywdy.

Od tej chwili przez sześć kolejnych Wieczorów Mohawk i Moose w towarzystwie Małej Stopy wyprawiali się na pobliską prerię; przemierzali dziesiątki dolin, falistych, łagodnych wzgórz, rzek i strumieni; pokonywali rozliczne przeszkody, by osiąść tajemnicę jazdy na grzbiecie Wielkiego Świętego Psa.

Rozdział dziewiąty

Biali nie szanują praw Wielkiego Ducha

W obszernej przedniej części tipi wodza Czarnych Psów, mimo zapadającego zmroku, było dosyć jasno. Blask płonącego w tej części ogniska łagodnie rozlewał się we wnętrzu, rozpraszał gęstniejący mrok zapadającej szybko nocy i pełzał po twarzach siedzących wokół ognia trzech mężczyzn. Skończyli właśnie posiłek, który przygotowała im najmłodsza z kilku żon wodza; obmyli ręce podaną im w dużej tykwie ciepłą wodą i czekali w milczeniu, aż kobiety udadzą się na wieczorną pogawędkę do swych przyjaciółek.

Wreszcie zostali sami. Kenéwh siedział wyprostowany. Od czasu do czasu rzucał krótkie spojrzenia na swych dwu młodych gości. Twarz jego była spokojna; błąkał się po niej łagodny, ledwo dostrzegalny, zagadkowy uśmiech. Nie przerywając milczenia nabił starannie niewielką prostą fajkę i położył na niej mały czerwony węgielek, wyjęty gołymi palcami z ogniska.

Młodzieńcy czekali, aż wódz rozpocznie rozmowę. Nie chcieli odzywać się pierwsi. Szacunek wobec starszych nie pozwalał im zresztą na to, a nie mogli urazić gospodarza, który okazał im tyle zainteresowania, pomocy i życzliwości, a w dodatku podarował dwa tak piękne Sunka Wakan. Czekali, co im powie.

Kenéwh wypuścił z ust duży obłok dymu. Zapach płonącego na ognisku drzewa jakby gęstniał. Nozdrza Mohawka wyraźnie wyczuły w dymie palonej fajki woń gałązek sassafrasu i modrzewia, kory czerwonego drzewa i mchu, na którym niejednokrotnie składał swą głowę. Chłonał nigdy nie zapomnianą woń ziół leśnych.

Wódz, odgadując jak gdyby myśl swego gościa, pokiwał głową.

– Tak, to dobry kinni-kinnick – najlepszy jaki sporządzają Uhnishenáhbag. Ten, który pali obecnie Kenéwh, przygotowują bracia Kenárbo i Assinbo. Nie ma w nim liści ahsámah⁷⁰, ale jest zapach wielkiego boru i zielonej trawy i zapach płonącego na prerii ogniska, które Dakota rozniecają nocą po każdym długim Wieczorze polowania na bizona. Kenéwh lubi ten zapach i kiedykolwiek spotka Hakatonwan⁷¹, zawsze zabiera im kinni-kinnick – tu spojrzał na swych gości, a widząc, że jego słowa musiały sprawić przynajmniej jednemu z nich przykrość, dodał poważnie: – Wódz nie chce obrazić swych braci, dla których ma sympatię i szacunek. Wie, że jeden z nich należy do wielkiego narodu Hakatonwan, z którymi Dakota walczy od bardzo dawna, od tak dawna, jak dawno biali ze wschodu zaopatrzyli Hakatonwan w grzmiące kije i wysłali ich przeciw Dakotom. Kenéwh wie, że chociaż wioska Assinbo leży daleko na północy i jej mężczyźni nigdy nie walczyli z Dakotami, to jednak ubolewa, że wiele narodów Uhnishenáhbag walczy między sobą, chociaż są dziećmi tej samej Matki Ziemi.

Dakota też walczy, walczy czasem między sobą, chociaż wyrosli z korzeni tego samego wielkiego drzewa daleko na południowym wschodzie, gdzie pozostały prochy ich praojców.

– Czy wódz Czarnych Psów wie, dlaczego tak się dzieje? – spytał Kenárbo.

Gospodarz popatrzył z zadumą w jasne płomienie ognia, po czym powiedział z namysłem:

– Kenéwh o to samo pytał już wiele razy najstarszych mężczyzn Yanktonai, wielokroć zwracał się do ducha swego ojca i ducha jego ojca, którzy dawno temu odeszli do krainy

⁷⁰ Ahsámah (czyt. a-sa-ma) – tytoń

⁷¹ Hakatonwan – słowo to w języku Dakotów oznaczało wszystkie ludy należące do rodziny Odżybuejów

wiecznych łowów. Wiele razy pościł i modlił się do swego ducha opiekuńczego. Nigdy nie uzyskał odpowiedzi. Wie jednak, że Uhnishenáhbag zawsze prowadzili między sobą wojny dla zdobycia sławy. Śmierć w walce była dla nich zaszczytem. Walczyli o tereny łowieckie, ale wielokrotnie tylko po to, by okazać odwagę i dzielność, przewyższyć innych swą chytryością czy doświadczeniem. Czynili dalekie wyprawy, by zdobyć święte leki innych narodów, ich rodowe znaki, wojenne pióropusze i tarcze najdzielniejszych spośród swych wrogów. Mogli się tym szczycić przed bliskimi i przyjaciółmi. Cieszyli się szacunkiem i uznaniem całego plemienia.

Idąc na wojenną wyprawę nie szli po to, by zabijać. I było tak do czasu, aż zza Wielkiej Słonej Wody leżącej daleko na wschodzie, daleko poza Ojcem Wód, na swych wielkich skrzydlatych łodziach przypłynęły blade twarze. Przywieźli z sobą grzmiące kije, które mogą zabijać z odległości dwa razy większej niż strzała i przywieźli wodę ognistą, która zabija duszę wojownika. I jedno i drugie podarowali Uhnishenáhbag.

Nie przybyli jednak zza wielkiej wody, by zabrać dusze naszych braci. Przybyli, by zabrać ich tereny łowieckie, ich ziemię, niszczyć lasy i zabijać zwierzęta. Grzmiące kije dawali Indianom, by zabijali się wzajemnie – wodę ognistą po to, by zabrać naszym braciom ich ziemię – ziemię ich przodków.

Od czasu przybycia białych wiele narodów ze wschodnich puszczy musiało opuścić groby swych praojców i odejść na zachód. Coraz częściej Uhnishenáhbag, żyjący dotąd po wschodniej stronie Ojca Wód, przenoszą się na stronę zachodnią, by dla swych kobiet i dzieci zdobyć pożywienie. Niektórzy doszli już do łowieckich terenów naszych braci Mdewkanton, Sisseton, Santee i Yankton.

Na wschód od Czerwonej Rzeki nasi bracia coraz częściej muszą chwycić za tomahawki przeciwko swym braciom, którzy zostali wyrzuceni przez białych z ziemi nad Wielką Słoną Wodą.

I w taki sposób bracia chwycili za topory wojenne przeciwko braciom.

Gdy Kenéwh był jeszcze małym chłopcem, jego dziad, który po raz pierwszy ujrzał białych, a byli to jeszcze Wametegooshewug, opowiadał, że tamci biali⁷², chociaż posiadali także grzmiące kije, nie byli tak zuchwali i butni, jak dzisiejsi. Nie dawali naszym braciom wtedy wody ognistej, nie walczyli z nimi i nie kradli ich ziemi. Byli grzeczni i z szacunkiem odnosili się do Uhnishenáhbag. Lecz w niedługi czas potem za futra i skóry zaczęli sprzedawać ludom Hakatonwan swe grzmiące kije i kazali im zabierać skóry i futra od Dakotów. Od tego czasu Hakatonwan ciągle napadają na Yanktonai i na inne ludy, chociaż powinni żyć z nimi w pokoju i przyjaźni lub, jak kiedyś, walczyć dla zdobycia szacunku i sławy. Dakota też kochają taką walkę. Wtedy ich śmierć jest zaszczytna i chociaż nikt już nie wymienia ich imienia, śmierć ta dodaje zabitemu jeszcze więcej sławy i poważania.

Pojawienie się białych – mówił dalej wódz – przyniosło z sobą wiele zmian na ziemiach naszych praojców. Zmieniło wiele praw i zwyczajów, jakimi kierowali się dotychczas Uhnishenáhbag. Nasi bracia, którzy przywykli do różnych rzeczy przywiezionych przez białych, zapragnęli posiadać ich coraz więcej. Wielu z nich, szczególnie młodych, pragnących nie drogą wielkich czynów, a drogą bogactwa osiągnąć szacunek i sławę, coraz częściej ulegało namowom białych twarzy i dawało się nakłaniać do czynów złych. Teraz za ishkootá-wahboo lub grzmiący kij zdradzają swych dotychczasowych przyjaciół, zapominają o prawach przodków, o nakazach wielkiego i mądrego Angpetu Wi⁷³, zwyczajach ustanowionych przez Ducha Wiatru – potężnego twórcę – Takuskanskan. Coraz rzadziej składają ofiary Wielkiemu Duchowi Wakonda; przestają się lękać gniewu Wakinyan Ducha Grzmotu.

⁷² Chodzi o wyprawę kupca francuskiego La Vérendrye'a, który pod koniec 1738 r. wraz ze swymi dwoma synami jako pierwszy biały człowiek dotarł do ziem Mandanów i Dakotów

⁷³ Angpetu Wi – Duch Słońca w plemionach Dakotów

Opiekuńcze duchy Dakotów – Wasicong, zagniewane brakiem pamięci braci Kenéwha, coraz rzadziej pojawiają się w ich snach i wizjach. Duchy odwracają swe smutne zagniewane twarze również od Yanktonai, tak jak odeszły od wielu Uhnishenáhbag mieszkających dotąd po wschodniej stronie Ojca Wód.

Kenéwh patrzy w przeszłość i widzi, ile zła wyrządzili już biali wszystkim jego braciom ze wschodu. Widzi, jak coraz częściej przenikają na zachodnią stronę Ojca Wód, jak coraz liczniej w swych kanu podążają w górę Misquahgumme seebee⁷⁴.

Kenéwh wie, że prawie dwa Księżycy temu Kenárbo i Asainbo spotkali złych białych, których wodzem jest mężczyzna z długą, czarną brodą i że mężczyzna ten nosi imię Batson. Wie, że spotkali go ponownie, gdy za ishkootá-wahboo i kilka upominków, na wielkim zachodnim szlaku białych kupców, zabrał ludziom Kakagi wszystkie futra. Wie, że wtedy Czarnobrody połączył się z innymi białymi, których przywódcą jest Wright – również fałszywy kupiec, i wie, że celem tych białych jest zdobycie wielkiej ilości futer i skór oraz porwanie i uprowadzenie dziewcząt, a także zdobycie skalpów.

Obaj młodzieńcy słuchali wodza z coraz większym zdumieniem. Ten zaś mówił dalej:

– Wódz Czarnych Psów widział tych białych. Jest ich więcej niż trzy razy po dziesięciu. Płynęli przez jego ziemie w górę Czerwonej Rzeki. Wie, że biali spotkali się z tymi Pawnee, których widzieli Assinbo i Kenárbo i domyśla się, że biali i Pawnee wspólnie ustalili jakiś plan. Rozważał, czy nie napaść na fałszywych kupców, gdy rozłożyli się o jeden Wieczór drogi od wioski Yanktonai obozem nad brzegiem rzeki. Radził się doświadczonych wojowników, którzy białych obserwowali z ukrycia. Wszyscy jednak odradzali Kenéwhowi urządzenie napadu. Białych było wielu i posiadali grzmiące kije. Posiadali ich dużo – po kilka na każdego. Mogliby bronić się długo i mogliby zabić wielu Yanktonai. Kenéwh nie chciał, by zabili jego wojowników i napadu poniechał.

Kupcy popłynęli w górę rzeki, może do wioski Pawnee, a może gdzieś indziej. Musieli jednak mieć jakiś cel w tej podróży. Udali się za nimi zwiadowcy Yanktonai. Specjalna grupa zwiadowców udała się także w stronę, skąd mogą powracać zdradzieccy Pawnee. Wszystkie potrzebne wieści otrzymał już główny wódz Yanktonai – Orzeł Białogłowy. Będzie się spieszył, ale nim on zdąży wrócić – tu ściszył nieco głos – Jaguar i Sasay’ga – użył po raz pierwszy ich właściwych imion – będą już daleko w drodze do świętego kamieniołomu.

Na ścieżce swej spotkają pewnie białych. Niech im nie ufają. Święty okij, który niosą na swych piersiach, dla białych nic nie znaczy i mogą nie uszanować nietykalności tych, którzy znajdują się w drodze po święty kamień.

Niech moi młodzi przyjaciele uważają. Jeśli na ścieżce swej spotkają Dakotów, niech okażą im ten znak. – Z tymi słowy podał obu młodzieńcom dwa kawałki cienkiej, miętko wygarbowanej skóry jelenia. Na każdym z nich widniało kilka delikatnych nacięć. – Znaki te – mówił poważnie – sprawią, iż każdy Dakota mym młodym braciom udzieli pomocy, jeśli będą jej potrzebowali.

Gospodarz zamilkł, zapatrzył się w ogień.

Mohawk odczekał kilkanaście chwil chcąc upewnić się, czy wódz nie zechce jeszcze dodać czegoś, nie doczekawszy się jednak żadnego odruchu uznał, że wódz wyczerpał to wszystko, co chciał powiedzieć swym gościom i spytał:

– Wódz Czarnych Psów wie dokładnie, kim są jego goście. Dał im to poznać, gdy przybyli do wioski; powiedział wyraźnie teraz. Jaguar domyśla się, że ich starszemu bratu ktoś opowiadał o Mohawku i Moose. Jest pewien, że był to przyjaciel. Czy Kenéwh nie może powiedzieć, kim jest ten przyjaciel?

Wódz pokręcił przecząco głową.

– Nie, tego Kenéwh nie może powiedzieć. Może jedynie potwierdzić słowa Jaguara. To przyjaciel.

⁷⁴ Misquahgumme seebee (czyt. Mis-ka-gam-mi si:-bi:) – Rzeka Czerwona

Obaj młodzieńcy wstali, podziękowali za gościnę w wiosce, za piękne Sunka Wakan, za skrawki skóry z tajemniczymi znakami i za opiekę, jakiej przez cały czas pobytu w wiosce doznawali ze strony Małej Stopy. Podziękowali także za przyjęcie przez wodza i wszystkie słowa, jakie przekazał im w czasie rozmowy.

Kenéwh wyszedł z nimi przed tipi, wzniosł rękę i pokazał ogromne, rozjaśnione milionami światła niebo.

– Droga mych młodych braci wiedzie wprost na południe. Gdy będą odbywali ją w porze, kiedy słońce ułoży się do snu, niech kierują swe stopy w stronę tej jasnej błyszczącej gwiazdy. Zaprowadzi ich ona do miejsca, gdzie znajdują czerwony kamień.

Jaguar drgnął. Poczuł przechodzący mu po plecach dreszcz. Gwiazda wskazana przez wodza była jego gwiazdą, świetlistym jasnym płomykiem o twarzy dziewczyny. Patrzył na nią długo z dziwnym drżeniem serca; w końcu powiedział cicho:

– Jaguar nie zabłądzi teraz. Gwiazda poprowadzi go do końca świętej ścieżki. Dziękuję swemu starszemu bratu, że pokazał Mohawkowi ścieżkę, z której jego mokasyny nie zbieżą nawet w ciemności...

W kilka dni później obydwaj młodzieńcy znajdowali się już daleko od wioski Yanktonai. Nie spieszyli się i pomni rad Małej Stopy nie zmuszali ogashy do nadmiernego wysiłku.

Dopiero właściwie teraz widząc bezmiar prerii uświadamiali sobie, jak długą i ciężką drogę musieliby odbyć, gdyby korzystali z kanu. Droga trwałaby znacznie dłużej i byłaby ciężka. Dzięki Sunka Wakan mogli przebyć ją bez żadnego wysiłku rąk i nóg.

Nie obawiali się zejścia ze ścieżki. Cały czas trzymali się w pobliżu płynącej z południa rzeki, co zapewniało zawsze świeżą wodę dla ogashy, a im samym w porze największego upału dawało chłodne, cieniste schronienie.

Okolica była pusta; przeważała trawiasta preria; gdzieniegdzie tylko musieli przebywać jakieś większe połacie przeważnie liściastego lasu. Kilkakrotnie, dość daleko na prerii, widzieli liczące po kilkadziesiąt sztuk stada bizonów; dwukrotnie spotkali kilkanaście sztuk liczące stadka niewielkich zwierząt mniejszych niż łanie. Zwierzęta były jednak bardzo płochliwe i nie pozwalały zbliżyć się do siebie na odległość, z której można byłoby wypuścić strzałę. Parę razy widzieli pojedyncze białe wilki stepowe, wałęsające się bez celu oraz szare preriowe zające o długości ciała około dwóch stóp. Co jakiś czas mijali całe wioski czerwono-brązowych na grzbiecie i prawie białych na brzuchu niewielkich piesków preriowych, wydających na widok ludzi krótki urywany głos przypominający szczekanie młodego psa.

Wreszcie pewnego dnia po południu ujrzeli z bliska pierwszego wielkiego bizona. Dostrzegli go skręcając ku rzece. Już z dala widać było, że zwierzę jest martwe. Leżało bezwładnie na prawym boku.

Na widok ludzi kilka sępów o nagich długich szyjach poderwało się do ciężkiego, niezgrabnego lotu... W brzuchu martwego zwierzęcia widniało kilka poszarpanych głębokich ran – znak żywiących się padliną ptaków. Ogromne cielsko i pysk obsiadło tysiące much.

Mimo nieprzyjemnego zapachu, jaki wydawało rozkładające się na słońcu mięso, Sasay'ga z ciekawością oglądał skórę. W końcu nachylił się nisko i końcem noża dotknął kolejno dwu niewielkich otworów tuż za lewą przednią łopatką, szerniałych od zakrzepłej krwi. Przyjrzał im się uważnie i orzekł krótko:

– Zwierz zginął od kuli.

– Czemu Sasay'ga tak sądzi?

– Brzegi rany są gładkie. Gdyby myśliwy wyjmował z nich strzałę, byłyby poszarpane. Zabili go biali – dodał z przekonaniem, a widząc pytające spojrzenie swego towarzysza, wyjaśnił – Uhnishenáhbaga zabija, gdy potrzebuje mięsa. Nie zabija starego byka; woli młodą krowę. Tak mówił Mała Stopa. To byk i nikt nie zabrał mięsa. Biali strzelali nie dalej jak dwa Wieczory temu. – Mówiąc Wieczór zupełnie nieświadomie użył określenia Dakotów,

mówiących w ten sposób o dniu.

Jaguar puścił swą ogashy luzem i zbliżył się do martwego bizona. Z zainteresowaniem oglądał jego krótki łeb, potężne sploty przedniej części tułowia, rdzawobrunatną kudłatą sierść okrywającą kark i całą przednią część ciała. Gdy skończył, raz jeszcze ogarnął wzrokiem całe zwierzę i powiedział z czymś na kształt podziwu w głosie:

– Jest cięższy niż cztery wielkie wapiti. Czemu biali zabili go?

– Sasay’ga nie wie. Mała Stopa mówił, że bizona uciekają tak, jak wiele innych zwierząt. Bronią się tylko wtedy, gdy je ktoś zaatakują. Ale może biali chcieli przekonać się, czy ich grzmiące kije potrafią zabić bizona i dlatego strzelali?

Mohawk nie odpowiedział. Przyglądał się uważnie ziemi, po czym patrząc pod nogi począł wolno zbliżać się ku brzegowi rzeki. W tym kierunku biegło wiele śladów ogashy. Biegły ku niezbyt wysokiej nadbrzeżnej skarpie odległej o dobre kilkadziesiąt kroków i tu urywały się. Poniżej, tuż nad wodą, widać było wyraźnie odcisnięte liczne ślady ciężkiego twardego obuwia, jakie nosiły blade twarze. W niewielkiej odległości czerniły się resztki wygasłego ogniska. Wąska piaszczysta łacha, wcinająca się w koryto rzeki, rozorana była kilkoma głębokimi bruzdami, wskazującymi, iż w tym właśnie miejscu stały ciężkie kanu.

Przez dłuższy czas młodzieńcy w milczeniu przyglądali się śladom. W końcu Mohawk spytał:

– Co Sasay’ga myśli o tym?

Moose przerwał oglądanie śladów i powiedział z przekonaniem:

– Biali, o których mówił wódz Czarnych Psów, spotkali dużą grupę Uhnishenáhbag, która z zachodu przyjechała tu na ogashy. Indianie nie walczyli z białymi – rozmawiali; najpierw siedząc na grzbietach swych ogashy, a potem przy ognisku, gdzie jeszcze widać ślady ich mokasynów.

Mohawk pokiwał głową. On też tak myślał.

– A czy Sasay’ga może odgadnąć jak dawno biali opuścili to miejsce?

Moose zsunął się ze skarpy i przepadł do ziemi. Dotknięciem palców badał każdy kawałek gruntu, oglądał najdrobniejszy ślad mokasyna czy też wgłębienia uczynionego stopą białych. W tym czasie Mohawk sprowadził ostrożnie obydwie ogashy ze skarpy i puścił swobodnie na nadrzeczny niezbyt szeroki pas trawy zieleniący się poniżej obozowiska. Gdy powrócił do swego przyjaciela, ten zakończył już oglądanie śladów i powiedział:

– Obcy opuścili to miejsce półtora Wieczoru temu. Sasay’ga przyjrzał się dokładnie śladom mokasynów. Nie są podobne do tych, jakie noszą Dakota.

– A czy brat mój może powiedzieć, ilu było jeźdźców?

– Nie, Sasay’ga nie wie tego. Nie mógł policzyć ani śladów kopyt ani ilości mokasynów. Sądzi jednak, że Uhnishenáhbag było trochę więcej niż dwa razy po dziesięciu. Odjechali na południe. W tym samym kierunku odpłynęli biali. Słabo widać. Jutro ślady będą widoczne lepiej.

Mohawk nie odpowiedział nic. Zgarnął trochę bizoniego łajna, którego biali nie zużyli do swego ogniska, po czym poszedł w nadbrzeżne krzaki i po jakimś czasie wrócił z dużą wiązką chrustu.

Wkrótce w cieniu skarpy zapłonął niewidoczny od strony prerii, mały ogień. Młodzieńcy nie rozmawiali; każdy myślał o odkrytych śladach. Nie przyrządzali posiłku. Jaguar patrzył na jasną, oddaloną gwiazdę. Rozwagał słowa wodza i jego informacje. Od czasu do czasu patrzył na cienie ogashy skubiących niedaleko ogniska trawę. Nie mógł zasnąć długo w noc, toteż gdy rankiem otworzył oczy, nie zobaczył już Sasay’gi. Domyślił się jednak, że ten musiał udać się na polowanie.

Nie tracąc czasu wykapał się, a następnie nazbierał jeszcze trochę suchych gałęzi i rozniecił ognisko.

Gdy wspiął się na wysoki brzeg i rozejrzał po prerii, Sasay’ga wyłaniał się właśnie zza

niezbyt odległego i niewysokiego pagórka. W rękach niósł dwa zające.

– Widzę, że mój brat nie stracił czasu?

– Nie – Sasay’ga rzucił mu jedno długouche zwierzątko. – Nie tylko nie stracił czasu na polowaniu, ale zdążył obejrzeć trop, jaki pozostawili Uhnishenáhbag. Odjechali na południe, ale niedaleko stąd rozdzielili się na dwa oddziały. Jeden, który liczy dziesięć ogashy, pojechał na zachód; drugi, w którym jest trzynastu jeźdźców, w miejscu gdzie rzeka skręca bardziej na wschód, odsunął się od wody i udał prosto na południe. Do miejsca, w którym Indianie rozdzielili się – mówił dumny ze swego odkrycia – wkrótce przybyło bardzo wielu jeźdźców. Biali zostawili kanu, załadowali swoje towary na ogashy i wraz z Uhnishenáhbag oddalili się również na południe. Uczynili to wczoraj po wschodzie słońca.

Mohawk patrzył na swego przyjaciela z uznaniem.

– Jaguar widzi, że jego brat jest doświadczonym tropicielem. Ale z tego co mówi, wynika, że czas pozostawić rzekę. Mała Stopa powiedział, że w miejscu gdzie seebee zacznie skręcać na wschód, trzeba ją opuścić i iść ścieżką prosto na południe. Mohawk nie może zrozumieć, dlaczego biali dążą również w tę stronę i niepokoi go to.

– Może swe towary pragną sprzedać któremuś z żyjących tam ludów Uhnishenáhbag – wyraził przypuszczenie Sasay’ga.

– Jaguar nie wie, ale tym białym szczególnie nie wierzy. – Z tymi słowy zszedł do ogniska i zaczął oprawiać zajaca.

W jakiś czas później posuwali się wyraźnym śladem pozostawionym przez podążających przed nimi jeźdźców.

W kilka dni potem ujrzeni w oddali większe skupiska drzew. W promieniach prażącego słońca zbliżali się do nich powoli. Na skraju pierwszej kępy brzoź schronili się przed żarem dnia pozwalając wierzchowcom wypocząć i wytarzać się w miękkiej trawie. Po południu ruszyli w dalszą drogę. Ścieżka biegła prosto na południe. Początkowo wiała się między drzewami, coraz częściej jednak musiała omijać rozrzucone na ziemi pojedyncze głazy i większe rumowiska skalne. Las urywał się nagle. Młodzieńcy ujrzeni przed sobą ogromny, rozległy maszyn czerwonej skały, ponad którą tu i ówdzie rzucone jak gdyby ręką olbrzyma, wznosiły się w przedziwne kształty rzeźbione potężne zwały jaśniejszego kamienia. Jedną z nich Wielki Duch wyrzeźbił ze szczególną pieczołowitością, nadając jej surowy wyraźny kształt twarzy starego wojownika. Po znaku tym, o którym wspominał im jeszcze Áhjejug, poznali, że zbliżają się do kamieniołomu.

Wąską skalistą ścieżką posuwali się teraz ostrożnie. Wkrótce usłyszeli szum skaczącego po skałach potoku i niebawem znaleźli się nad niewielkim wodospadem, o przezroczystej chłodnej wodzie. Poprzez kryształowo czystą toń widzieli wyraźnie czerwone, skaliste dno:

– Czerwona Woda – powiedział Jaguar z przejęciem. – Zbliżamy się do świętej ziemi.

W milczeniu napoili konie i sami ugasił pragnienie.

Następnego dnia ponownie znaleźli się na bezleśnej, trawiastej prerii i nie oglądając się podążyli przed siebie. Późno po południu, przy grubym pniu sosny, na korze której czyjaś ręka wyryła tajemnicze znaki, zatrzymali się, zsiadli z ogashy i odłożyli broń. Znajdowali się na skraju świętej ziemi, w odległości lotu trzech strzał od miejsca, z którego wszystkie ludy Uhnishenáhbag pobierały glinę na swe święte fajki pokoju.

Według odwiecznie ustanowionych przez Wielkiego Ducha praw, w takiej właśnie odległości od świętego miejsca należało odłożyć broń. Krew, która wokół wsiąkła w ziemię i zabarwiła skały na kolor czerwony, była dla wszystkich przestrogą przed obrażaniem Wielkiego Ducha. Nikt na tę ziemię nie mógł wkroczyć uzbrojony. Nikt, kto miał nieczyste myśli, na ziemi tej nie mógł przebywać.

W milczeniu ruszyli wąską mocno udeptaną ścieżką. Nie odzywali się do siebie.

Przebywszy kilkaset kroków, stanęli niespodziewanie nad osłoniętym dotąd wysoką trawą prerii niewielkim zagłębieniem terenu kształtem swym przypominającym płytki parów.

Twarze ich spowaźniały jeszcze bardziej. Bez słowa zsunęli się na dno zagłębienia i podeszli uroczyście do jego wschodniej krawędzi. W milczeniu wydobyli wcześniej przygotowane drewniane łopatki i poczęli zdejmować nimi wierzchnią warstwę ziemi z pionowego prawie stoku. Ziemia była miękka, toteż w niedługim czasie usunęli sporą jej ilość. Teraz odłożyli łopatki i gołymi rękoma wydobyli z wykopu kilka brył twardego różowego, kamienia, po czym po chwilowym wahaniu odłożyli jedną, rozłupali na dwie części i zawinęli w nasączone czystą wodą kawałki dobrze wyprawionej skóry jelenia.

Gdy, nie chcąc swoją obecnością zakłócać dłużej spokoju świętego miejsca, zamierzali zasypać ponownie wykop i oddalić się, o kilka kroków z tyłu posłyszeli głośny szmer. Zaledwie jednak postąpili w tym kierunku, za niewysokim usypiskiem ujrzeli leżącego na ziemi, silnie związanego długim rzemieniem młodzieńca z zapchanymi brudną skórą ustami.

Mohawk nachylił się i kilkoma ruchami rąk rozwiązał rzemienie. Leżący przez parę chwil oddychał głośno, łapiąc w zmęczone płuca powietrze, po czym wstał bez słowa, oddalił się w pobliże rumowisko, skąd wrócił niosąc długi, pięknie rzeźbiony cybuch. Zawiesił go na swej szyi i patrząc na obydwu młodzieńców, mową rąk wykonał kilka gestów, które znaczyły:

– Czarny Wąż dziękuje swym braciom za uwolnienie z więzów. Z której strony ziemi przybyli i jakim mówią językiem?

Sasay’ga, który znacznie lepiej niż jego przyjaciel znał tę mowę, odparł w podobny sposób:

– Obydwaj przybyli z północy. Mówią językiem Ojebwag.

– Muhkuhdakenábig⁷⁵ zna mowę ludu Ojebwag. Może mówić ze swymi braćmi ich językiem. Najpierw jednak weźmie święty czerwony kamień, po który tu przybył. Prosi, by chwilę poczekali. – Z tymi słowy wrócił do płytkiego wykopu, który Jaguar i Sasay’ga wykonali parę chwil wcześniej i silnymi zręcznymi ruchami począł odsuwać na bok różowy kamień. W końcu, gdy wydobył z wykopu ostatnią jego bryłę, sięgnął po leżącą łopatkę Jaguara i za jej pomocą usunął następną niezbyt grubą warstwę ziemi. Oczom zdumionych młodzieńców ukazał się kolejny pokład kamienia, tym razem w kolorze dojrzałej wiśni. Czarny Wąż z niemałym wysiłkiem odłupał sporą jego bryłę, odłożył ostrożnie z boku, następnie szybko, zasypał wykop i powiedział:

– Muhkuhdakenábig zauważył, że jego bracia odłupali kawałek różowej skały, by zaopatrzyć się w potrzebny im kamień. Wie jednak, że kamień różowy jest twardy i nie ma tej magicznej mocy, jaką posiada kamień czerwony leżący głębiej. Wziął więc czerwony. Bryła, którą odłupał jest duża i starczy dla wszystkich trzech. Muszą teraz szybko iść, by kamień nie stwardniał, nim owina go wilgotną skórą. Gdzie moi bracia zostawili swą broń?

– U stóp sosny pokrytej świętymi znakami – Sasay’ga wskazał ręką kierunek.

– Chodźmy ją zabrać. W pobliżu są wrogowie – stwierdził z przekonaniem i podążył przodem. Ścieżkę znał dobrze, bo mimo rozlicznych, biegnących od niej rozgałęzień, szybko doprowadził obu młodzieńców do sosny, a ujrzawszy leżącą na ziemi broń, odetchnął z widoczną ulgą: – Czy moi bracia posiadają również Sunka Wakan? – użył w tym miejscu określenia Dakotów.

– Tak, ukryli je na skraju tego zagajnika – odparł Mohawk.

– Niech je więc przyprowadzą szybko.

Gdy w parę chwil później obydwaj młodzieńcy przyprowadzili swe ogashy, ich nowy, w tak dziwnych okolicznościach poznany towarzysz, wydał krótki świst, w odpowiedzi na który zza pobliskiej kępy zarośli poderwał się kary piękny ogier i przebywszy kilkoma długimi skokami dzielącą go od ludzi przestrzeń, zatrzymał się obok swego pana.

– Niech moi bracia jadą ze mną niedaleko. Tu nie możemy zostać. Muhkuhdakenábig poprowadzi ich do dobrej kryjówki.

Zaintrygowani jego zachowaniem dosiedli ogashy i podążyli za swym nowym

⁷⁵ Muhkuhdakenábig (czyt. Ma-ka-da-ke-na-big) – Czarny Wąż

przewodnikiem.

Czarny Wąż minawszy kępę, w której uprzednio ukrył konia, stokiem kamienistego urwiska skierował się na wschód, a następnie długim głębokim parowem na południe. W pewnym miejscu parów skręcał raptownie na zachód. Czarny Wąż bez wahania pchnął swego ogashy w tym kierunku.

Po upływie czasu, jaki biali nazywają zwykle godziną, zeskoczył na ziemię i po ledwo widocznej ścieżce począł pisać się w górę. Jego wierzchowiec szedł za nim krok w krok jak pies. Sasay'ga i Jaguar z trudem dotrzymywali im kroku, za to ich ogashy pięły się wąską ścieżką bez wysiłku, z łatwością i zręcznością, której mogłaby im pozazdrościć górska kozica.

Nim słońce dotknęło ziemi, wydostali się na krawędź parowu, a w jakiś czas potem przewodnik – prawie niewidocznym między skałami przejściem – sprowadził ich na dno niewielkiej kotlinki, środkiem której sączył się wąski płytki strumień wypływający z podnóża skały. Kotlinkę z wszystkich stron otaczały urwiste głązy. Tu Czarny Wąż zdjął ze swego ogashy kilka różnej wielkości zawiniątek i ułożył je pod skalnym nawisem. Młodzieńcy poszli za jego przykładem.

Wprawdzie nie bardzo rozumieli zachowanie swego nowego towarzysza, ale okoliczności w jakich go poznali, nie kazały zadawać pytań. Widząc go tam związanego w miejscu, gdzie Wielki Duch zakazał używania wszelkiej przemocy, rozumieli, że napastnik, lub napastnicy, uczynkiem swym pogwałcili wszelkie prawa szanowane przez wszystkie narody Uhnishenáhbag i już samo to nakazywało ostrożność.

Tymczasem Muhkuhdakenábíg rozwiązał duży skórzany worek, wysypał z niego suche bizonie łajno i zwrócił się do obu młodzieńców:

– Gdyby moi bracia zechcieli rozpalic mały ogień, to Czarny Wąż w tym czasie zabezpieczyłby przed stwardnięciem czerwony kamień. – I nie czekając na odpowiedź wyciągnął zza pasa długi nóż, którym szybkimi wprawnymi ruchami wygładził chropowatości przyniesionej tu bryły gliny, a następnie kilkoma silnymi ruchami przeciął ją na trzy równe części. Dwie z nich podał obu młodzieńcom; trzecią owinawszy starannie, wrzucił do mokrego worka. Wtedy rozwinął duży tobolek, wydobył z niego kawał jelenia i zawiesił starannie nad ogniem. Teraz dopiero usiadł przy ognisku i spojrzał uważnie na dwójkę przyjaciół.

– Moi bracia dziwią się zapewne zachowaniu Czarnego Węża. Teraz, gdy są bezpieczni i wróg nie odnajdzie ich kryjówek, dowiedzą się dlaczego Muhkuhdakenábíg naglił, by jak najszybciej opuścili święte miejsce.

– Tak, nie rozumiem tego pośpiechu – powiedział Mohawk – chociaż domyślają się, że przy kamieniołomie musieli przebywać nie szanujący praw Wielkiego Ducha ludzie, którzy związali naszego brata. Kim oni byli? Niech Czarny Wąż opowie o tym, co go tam spotkało.

Uwolniony młodzieniec chwilę patrzył na pytającego, po czym powiedział po prostu:

– To były blade twarze! Gdy Czarny Wąż modlił się przed kamieniołomem, prosząc swego ducha opiekuńczego, by użyczył mu mądrości przy wyborze takiego kawałka świętego kamienia, który pozwoliłby wykonać główkę fajki o czarodziejskiej mocy; taką, z której dym zawsze byłby miły Wielkiemu Duchowi, nadjechało na ogashy wielu białych. Byli uzbrojeni. Czarny Wąż nie liczył ich jednak. Widząc ich broń zrozumiał jedynie, że biali naruszyli prawa Wielkiego Ducha. Zażądał, by oddalili się z tego miejsca o trzy strzelania z łuku i zagroził, że jeśli tego nie uczynią, Duch Grzmotu porazi ich swym potężnym ogniem. Ale biali nie rozumieli słów Czarnego Węża – mówił do nich językiem swego ludu. Śmieli się. Usiłowali dotknąć świętego cybucha, a gdy Muhkuhdakenábíg nie pozwolił na to, wydobyli broń chcąc go zabić. Czarny Wąż nie bronił się. Bracia jego wiedzą, że nie mógł się bronić. Nie miał prawa walczyć w miejscu, w którym Wielki Duch zakazał wszelkiego rozlewu krwi. Pomyślał, że właśnie z tego miejsca Wielki Duch pragnie wezwać go do swej krainy. Gdy przywołał w myśli wszystkie skromne jeszcze czyny, jakich dokonał w swym krótkim życiu,

gdy stanąwszy przed wrogiem, zaczął śpiewać pieśń śmierci, usłyszał głos kopyt ogashy, a w chwilę potem między Czarnym Wężem, a wzniesioną uzbrojoną w nóż ręką bladej twarzy stanął czerwonoskóry wojownik. Nie był uzbrojony. W rękę nie trzymał noża, za pasem jego nie błyszczał tomahawk, przy boku ogashy nie było łuku, ni strzał.

Mówił bardzo mocnym głosem, i chociaż Czarny Wąż nie rozumiał jego słów, wiedział, że Uhnishenáhbág przestrzega białego przed strasznym gniewem Wielkiego Ducha. Białe schował nóż i coś powiedział swym mężczyznom. Wtedy kilku z nich podeszło do Czarnego Węża, związało go i położyło pod skałą, a ten który groził mu nożem, zerwał z jego piersi okij i rzucił na ziemię.

Uhnishenáhbág, których było bardzo wielu nie mówili nic, ale nie podobało im się postępowanie białych. Ich wódz głośno rozmawiał z wodzem białych, a potem podszedł do Czarnego Węża i mową znaków powiedział mu, że gdy na niebie ukaze się księżyc, przybędzie wojownik i Czarnego Węża uwolni z więzów. Potem odjechali wraz z białymi. Ale biali odjeżdżając nie patrzyli na Czarnego Węża przyjaźnie. Szeptali coś między sobą, a jeden z nich, mający długą czarną brodę, rozmawiając z innymi wykonał palcem krótki ruch przy swej szyi. Patrzył wtedy na Czarnego Węża i ten wie, co biały miał na myśli. To bardzo zła blada twarz – dokończył z przekonaniem. – Dlatego Muhkuhdakenábíg wolał zabrać swych przyjaciół ze świętego miejsca na tę noc. Potem pójdzie ścieżką bladych twarzy i pomści zniewagę, jaką wyrządzili Wielkiemu Duchowi.

Skończył, dorzucił kilka garści suchego łąjna do ognia i przymknął powieki.

Mohawk pochylił się ku niemu i powiedział cicho:

– Rozumiemy uczucia i gniew naszego brata. Biali zasłużyli na zemstę i śmierć. Zasłużyli nie tylko dlatego, że do świętego kamieniołomu wtargnęli z bronią i że chcieli tam pozbawić życia Czarnego Węża. Zasługują na śmierć również dlatego, że zamierzają popełnić wiele innych złych czynów, które wszystkie narody Uhnishenáhbág karzą śmiercią. – Tu chwilę myślał; po czym zakończył twardo: – Jaguar, syn narodu Mohawków wstąpi z Czarnym Wężem na ścieżkę zemsty, a jego brat Sasay’ga, syn narodu Ojebwag uczyni to samo. Teraz, gdy wypełnili swe zadanie i posiadają święty czerwony kamień, z którego zrobią fajki pokoju, mogą wyruszyć tropem złych bladych twarzy i przeszkodzić im w wykonaniu ich planów. Czy Czarny Wąż wie, do jakiego narodu należeli Uhnishenáhbág, którzy przy świętym kamieniołomie nie pozwolili go zabić?

– Tak, Czarny Wąż wie. To Pawnee – psy prerii którzy sprzymierzyli się z białymi. Nie wie tylko w jakim celu, ale poznał ich. Widywał ich już przedtem.

– A więc rodzinne tipi Czarnego Węża musi znajdować się gdzieś niedaleko na prerii. Z jakiego ludu nasz brat pochodzi? – spytał Mohawk.

Ich nowy przyjaciel patrzył długo w płomienie, po czym spojrzał na swych towarzyszy i powiedział cicho:

– Rodzinne ognisko Czarnego Węża znajduje się daleko stąd, po południowo-zachodniej stronie wielkiego nieba w kraju Nawaho, na ziemi, skąd bierze początek wiele wielkich rzek, nad którymi żyją liczne ludy prerii, ale Nawaho na tej ziemi byli pierwsi, gdyż podarował im ją Duch Słońca i matka wszystkich Nawaho – Estanatlehi, o których Czarny Wąż może opowiedzieć swym braciom kiedyś, jeśli ich to zaciekawia.

Do świętego kamieniołomu nie przybył jednak z ziemi swych przodków. Przybył z dalekiego kraju północnego, który obejmuje ziemie u stóp wielkich zachodnich gór i którego lud rozbija swe tipi nad rzeką Czerwonego Jelenia. Naród ten moi bracia nazywają Kuhyachenene – Czarne Stopy, gdyż jego mężczyźni i kobiety malują swoje mokasyny na kolor czarny.

– Jak to się stało, że Czarny Wąż zawędrował tak daleko od swej rodzinnej wioski? – Sasay’ga był wyraźnie zaintrygowany.

– Czarny Wąż nie zawędrował tam z własnej woli. Gdy ukończył jedenaście Zim, Nawaho

walczyli z ludem Paiute, którego łowieckie tereny leżały nieco na zachód i na północ od jego rodzinnego hoganu. Wtedy właśnie Czarny Wąż wraz z kilkoma innymi chłopcami został uprowadzony przez Paiute daleko na północ, a następnie sprzedany przez nich jeszcze dalej, ludowi, który mieszka w górach, a na prerię schodzi z gór, gdy ciągną wielkie stada bizonów. Lud ten jest bardzo liczny i nazywa się Shoshoni. Czarny Wąż żył długo wśród tego ludu i stał się młodzieńcem.

Pewnego razu, gdy wraz z kilkoma myśliwymi Shoshonów polował na Szarego Niedźwiedzia, obóz ich napadły Czarne Stopy. Shoshoni, chociaż było ich mało, bronili się dzielnie i zabili kilku wrogów. Czarny Wąż zabił również jednego, lecz gdy długa strzała weszła mu głęboko w pierś nie mógł walczyć dłużej. Wojownicy Czarnych Stóp nie zabili go. Zabrali do swej wioski, a ich szaman przywrócił mu zdrowie i siły.

Zebrala się wtedy rada starszych i postanowiła, że Nawaho, który zabił w walce jednego z wojowników Czarnych Stóp, zajmie teraz jego miejsce w tipi wdowy, by zapewnić pożywienie jej oraz jej dzieciom. Muhkuhdakenábíg nie zgodził się na to; wołał umrzeć. Wobec takiej postawy, rada starszych, zebrala się ponownie i tym razem zgodziła się, że Czarny Wąż nie będzie musiał zajmować w tipi wdowy miejsca nieżyjącego wojownika, jeśli takie prawo zdobędzie sobie w walce z najzręczniejszym wojownikiem wioski.

Czarny Wąż postanowienie to uznał za sprawiedliwe i zgodził się na walkę. W ciągu trzech dni pościł i modlił się do swego ducha oraz prosił Estantlehi, która stworzyła naród Nawaho, o pomoc i opiekę lub o zaszczytną śmierć.

Gdy nadszedł czas walki, Muhkuhdakenábíg pokonał swego przeciwnika, lecz nie zabrał mu skalpu ani nie pozbawił życia. I chociaż nie odzyskał wolności, nikt nie zmuszał go, by sypiał w tipi starej brzydkiej wdowy i polował dla jej dzieci. Cały czas pozostawał jednak jeńcem. Wiedział, że Czarne Stopy nie uwolnią go nigdy i przez całe życie będzie ich niewolnikiem. Postanowił więc uciec i chociaż wiedział, że go pilnują, dokonał tego.

Zabrał najszybszego ogashy, jakiego posiadał wódz, jego łuk, strzały i tomahawk, a nawet nóż, i uciekł przeszło dwa Księżyce temu. Przebywając u Czarnych Stóp poznał mowę Ojebwag.

– A skąd nasz brat dowiedział się o tej dolinie, do której nas teraz przyprowadził? – spytał Mohawk.

– Nawaho nie znał poprzednio tej doliny, ale w wiosce Arikara, leżącej nad wielką rzeką, spotkał samotnego myśliwego, którego ścieżka biegła daleko na południe i przechodziła w pobliżu kamieniołomu. Myśliwy ten znał dobrze drogę. Gdy niedaleko świętego miejsca spotkał liczne ślady ogashy i przekonał się, że na wielu z nich siedzieli biali, przyprowadził Czarnego Węża w to miejsce, sam zaś udał się na trop białych. Przy rozstaniu powiedział, że w razie niebezpieczeństwa Czarny Wąż może się ukryć w tym miejscu. Było to dwa dni temu. Od tego czasu Nawaho nie widział go, ale mu wierzy. To dobre miejsce na dzisiejszą noc.

Mohawk patrzył na z lekka dopiero zrumienioną pieczeń i na postać nowego towarzysza, który skończywszy swą prostą historię siedział teraz nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w pelzające płomyki ognia. Może myślał o swej długiej niewoli i tułaczce, może przywoływał w pamięci ostatnią zwycięską walkę i ucieczkę, a może po prostu myślał o swej dalekiej wiosce i bliskich, którzy dawno musieli uznać go za zmarłego. Może modlił się do ducha Słońca lub ducha matki wszystkich Nawahów, której imię tak miękko i łagodnie brzmiało w jego ustach.

W głębi doliny, tam gdzie pasły się ogashy, rozległo się trwożne rżenie, tętent kopyt i za chwilę czarna klacz Jaguara wyłoniła się z mroku. Za nią, wykazując oznaki niepokoju, ukazały się dwa pozostałe mustangi.

Rozdział dziesiąty

W obozie wrogów

Czarny Wąż patrzył chwilę na wyraźnie zaniepokojone zwierzęta, po czym zwrócił się do swych towarzyszy z uspokajającym uśmiechem.

– Ogashy zwietrzyły obcą woń. Ale nie jest to woń człowieka. To zapach zwierza. Pewno muhquáh⁷⁶.

Obaj przyjaciele wiedzieli, że Muhkuhdakenábíg musi znać dobrze zwyczaje ogashy. Pewnie było tak jak mówił. Ale jeśli był to muhquáh, musiał zwietrzyć zapach ogniska i chyba oddalił się. Popatrzyli na ogashy, które uspokajały się stopniowo i ponownie zaczęły skubać trawę. Sasay'ga odwrócił wzrok od zwierząt i spytał z ciekawością:

– Czy Czarny Wąż walczył już kiedyś z niedźwiedziem?

Nawaho zaprzeczył.

– Nie, nie walczył jeszcze, chociaż pomagał myśliwym Shoshonów w polowaniu na te zwierzęta.

– A czy to trudne polowanie?

– Jeśli myśliwy jest silny i szybki, polowanie nie jest trudne, chociaż zawsze niebezpieczne. Szary niedźwiedź ma bardzo długie i ostre pazury. Myśliwy musi uważać, by nie dosięgnął go nimi.

– Ale jak się przed nimi uchronić? – Sasay'ga pytał na pozór obojętnie.

– Grizzly – odparł Czarny Wąż – walczy najczęściej stojąc na tylnych łapach. Jeśli myśliwemu uda się wślizgnąć między przednie łapy niedźwiedzia i schować głowę na jego szyi, może zakłuć zwierza. Musi tylko chronić plecy – najlepiej grubą skórą z bizona. Jeżeli jednak myśliwy jest nieostrożny, zawsze zginie. – Powiedziawszy to, sięgnął ręką w stronę pachnącej pieczeni.

Jedli w milczeniu, rozkoszując się soczystym miękkim mięsem. Późno w noc, zwinęci u stóp skały, spali zdrowym spokojnym snem.

W jakimś momencie Mohawk przebudził się. Jego klacz dotykała go delikatnie pyskiem. Mimo iż ognisko wygasło dość dawno i było ciemno, czuł jej niepokój i lekkie drżenie całego ciała. Łagodnie pogładził chrapy zwierzęcia i bez najmniejszego szmeru sięgnął po łuk; z kołczanu wyjął kilka strzał. Jedną nałożył na cięciwę. Nie budził śpiących. Może ogashy zlekła się samotnego wilka lub innego drapieżnika. Pozostałe dwa wierzchowce nie zdradzały niepokoju.

Wyprostował pochyloną sylwetkę i przywarł uchem do skalnej ściany. Przytaił oddech i czekał. Wokół jednak panowała cisza. Spojrzał jeszcze raz na swą klacz. Stała również nieruchoma. Nie oddalała się jednak. Czuł jej coraz większy niepokój.

Jeszcze bardziej przywarł do skały. Coś czaiło się w ciemnościach. Mimo panującej ciszy i pozornego bezruchu, on również poczuł zbliżające się niebezpieczeństwo.

W pewnym momencie napiął odruchowo wszystkie mięśnie. Gdzieś niedaleko po krawędzi parowu stoczył się mały kamyk. Niebezpieczeństwo nadchodziło więc stamtąd.

Pochylił się i dotknął ostrożnie obydwu śpiących. Oprzytomnieli w jednej chwili. Żaden nie wydał jednak najmniejszego głosu. W chwilę później, podobnie jak ich towarzyszy

⁷⁶ Muhquáh (czyt. ma-ka-a) – niedźwiedź

przywarli do skały.

Szmer na krawędzi parowu powtórzył się. Rozległ się groźny pomruk i głośnie sapanie.

– Grizzly – szepnął Czarny Wąż. – Przeciska się ścieżką między kamieniami. Zaraz tu będzie. Niech moi bracia nie strzelają wcześniej, zanim nie stanie na tylnych łapach. – Zwierz był blisko. Gdy wychynął z ciasnego przejścia, zaledwie o kilkanaście kroków od zaczajonych myśliwych, odór jego owionął ich twarze. Widocznie zwietrzył swych wrogów, bo sapnął głośnie i stanął na tylnych nogach. Wysunął potężne łapy i kołysząc się runął na oczekujących go mężczyzn. Kiedy znalazł się nie dalej niż sześć kroków, jęknęły cięciwy i trzy strzały wbiły się głęboko w pierś napastnika. Zwierz drgnął, zachwiał się, zatrzymał na moment, lecz już w następnej chwili jego potworne łapy znalazły się tuż obok twarzy Jaguara.

Mohawk wykonał błyskawiczny unik, odchylił gibką postać do tyłu, gdy nagle noga jego zawadziła o jakiś niewidoczny w ciemności kamień. W następnej chwili zwierz znalazł się tuż nad nim. Młodzieniec jednym rzutem ciała skoczył do góry wprost w rozwarte łapy bestii. Przemknął między pazurami i niczym dziki kot wczepił się w kudłatą sierść na brzuchu zwierza, płasko przylegając do jego gęstego futra. Potwornie ciężka masa przygniotła go do ziemi, wypierając z piersi oddech. Resztką świadomości czuł jak wokół jego ciała pazury zwierza rozorują ziemię. Zacisnął jeszcze mocniej palce na kudłach dzikiej bestii i stracił świadomość.

Gdy w jakiś czas potem otworzył oczy, ujrzał pochyloną nad sobą postać Sasay'gi i jego zatroskaną twarz. Ognisko paliło się równym jasnym, płomieniem. Obok Czarny Wąż swym nożem ciął długie pasy skóry.

Widząc otwarte oczy przyjaciela Sasay'ga nachylił się jeszcze niżej i uśmiechnął.

– Duch mojego brata, który opuścił go na trochę, wrócił już. Sasay'ga i Czarny Wąż zaraz opatrzą rany przyjaciela.

Leżący odetchnął parę razy głęboko i usiadł. Czuł, jak na lewym barku i plecach pali go skóra. Nie czuł jednak bólu w żadnym innym miejscu. O kilka kroków od ogniska leżał ogromny zwierz.

– Jak moi bracia pokonali go? – spytał.

Czarny Wąż, który podszedł właśnie z pociętą skórą, słysząc pytanie wskazał ręką na Sasay'gę.

– To on pokonał niedźwiedzia. Nóż Czarnego Węża dwukrotnie zatrzymał się na żebrach zwierzęcia. Nóż Sasay'gi trafił dwa razy w serce. Widzieliśmy, jak Jaguar potknął się o kamień i zniknął w łapach grizzly. Zwierz zajął się naszym bratem tak, że nie wiedział, kiedy zginął. Sasay'ga będzie nosił naszyjnik z długich pazurów i kłów niedźwiedzia.

Mohawk spojrzał w błyszczące radością i dumą oczy przyjaciela i powiedział cicho:

– Sasay'ga ponownie ratuje życie swego brata, a jego nóż, podobnie jak i strzała, nie chybiają nigdy celu. Serce jego nie zna lęku. Jaguar dumny jest z przyjaźni Sasay'gi i serce jego bije dla syna Kamiennego Tomahawka, jak dla brata tej samej matki. – Moose uśmiechnął się jeszcze raz radośnie i szeroko, ale odparł prosto i szczerze:

– Niedźwiedź zajęty był Jaguarem i dlatego nie widział dwu innych wrogów. Sasay'ga zabił go łatwo. Cieszy się z tego, ale przede wszystkim cieszy się, że jego bratu nie stało się nic poważnego. Zwierz nie zdołał go dosięgnąć, mimo że leżał na nim. Lecz o mało nie udusił go swym ciężarem. Pazurami dotknął pleców Jaguara, ale tylko raz i niezbyt głęboko.

Czarny Wąż przemywszy ranę obłożył ją jakimiś sobie znanymi ziołami i zacisnął na niej dwie szerokie opaski.

– Za kilka dni – powiedział – zostanie tylko blizna, ale na razie niech nasz brat trochę odpocznie. Czarny Wąż i Sasay'ga opawiają niedźwiedzia.

Mohawk na lekko jeszcze uginających się nogach podszedł do wielkiego muhquáh. Z ciekawością oglądał szarostalowe futro, straszliwe kły i potwornie długie i ostre pazury, dłuższe niż palce dorosłego mężczyzny. Z piersi niedźwiedzia wystawały trzy pierzaste,

krótkie końce strzał. A więc trafili wszyscy trzej. Trafili dobrze i strzały wniknęły bardzo głęboko. Musiały sięgnąć serca, a jednak muhquáh nie padł. Młodzieniec pamiętał, że zachwiał się tylko. I nie wydał najmniejszego głosu.

– Czy grizzly nie ryczy w czasie walki? – spytał.

Czarny Wąż przerwał na chwilę ściąganie skóry i pokręcił przecząco głową.

– Nie, Szary Niedźwiedź nie umie ryczeć. Walczy nie wydając prawie głosu. – Mohawk poczuł nieprzyjemny dreszcz. Przysiadł obok ognia. Czuł ogarniające go znużenie. Niedźwiedź zabrał mu oddech na dosyć długo. Musiał przygnieść go mocno. Nie wiedział nawet, kiedy się zdrzemnął. Gdy otworzył oczy ponownie, całą kotlinę oświetlały jasne promienie słońca. Nad ogniem piekły się duże płaty mięsa. Poczuł głód. Rana od pazurów nie dokuczała mu. Ręką mógł poruszać zupełnie swobodnie i czuł w niej dawną siłę. Szybko obmył się w strumieniu i wrócił pod skałę. Sasay’ga i Czarny Wąż zabierali się właśnie do tłustej pieczeni.

– Niech nasz brat pospieszy się. Inaczej nie zostanie dla niego nawet mały kawałek niedźwiedzia – żartobliwie powiedział Nawaho.

Mohawk patrzył z żalem na leżącą górę mięsa, z której jego przyjaciele odkroili jedynie kilka niewielkich kawałków, resztę pozostawiając na miejscu. Wiedział, że takiej ilości mięsa nie zabiorą z sobą. Musieliby pozostać wiele dni w tym miejscu, by mięso uwędzić i ususzyć. A dym z płonącego ogniska widać było daleko. Spojrzał na Sasay’gę, a widząc przygnębienie malujące się na jego twarzy, zażartował:

– Jaguar widzi, że jego brat jest tak ponury jak muhquáh nocą. Czyżby żałował mięsa, które tu zostanie?

– Nie, Sasay’ga nie żałuje mięsa. Żałuje, że nie będzie mógł zabrać skóry. Jest duża i ciężka, a nim by ją wyprawił, minęłoby wiele dni. Zresztą nie może obciążać nią swego ogashy. Byłaby widoczna przez wszystkich wrogów i nikt nie wierzyłby, że Sasay’ga znalazł ją na prerii. Skóra zostanie tutaj. Moose zabrał do swego worka tylko pazury i kły, które wyjął Czarny Wąż.

Mohawk przykucnął przy ognisku i nic nie odpowiedział. Jemu również uczyniło się żal pozostawionego futra. Dopiero teraz, w blasku dnia, widział jego ogrom i piękno. Wyobrażał sobie, jaką dumę odczuwałby Kamienny Tomahawk, Młoda Sosenka i Shóamin, gdyby ze swej dalekiej drogi Sasay’ga przywiózł to wspaniałe trofeum. Ale wiedział, że nie było to możliwe. W milczeniu zabrał się do posiłku.

Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia na Sasay’gę i chociaż cieszył się jego sukcesem, nie okazywał tego specjalnie. Z niepokojem obserwował unoszące się wysoko w górę pasemko dymu z ogniska. Bizoni nawóz nie dawał zbyt jasnego ognia i dymu. Obawiał się, że ich schronienie, zupełnie pewne nocą, nie jest zbyt bezpieczne w ciągu dnia. W czystym powietrzu dym musiał być widoczny z bardzo daleka. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że muszą zaopatrzyć się w mięso. Bez niego nie mogli poruszać się po nieznanym terenie. A więc trudno. Popatrzył jeszcze raz na swych pochłaniających potężne kęsy towarzyszy i zwrócił się do Czarnego Węża:

– Jaguar ani Sasay’ga nie powiedzieli jeszcze swemu bratu, dlaczego ich zdaniem fałszywi biali kupcy zasługują na śmierć. Niech więc Muhkuhdakenábíg posłucha Mohawka. – Tu chwilę zastanawiał się, po czym prostymi słowami opowiedział historię spotkania białych, nie pomijając w niej faktu namówienia przez nich fałszywych Mahéengunug do porwania dziewcząt z wioski Moose. Opowiedział o tajemniczej wyprawie dwunastu Pawnee na północ. Nie krył, że obecne spotkanie i sprzymierzenie białych z drugim oddziałem Pawnee musi wiązać się w jakiś sposób z wyprawą tamtej dwunastki. Przyznał, że on oraz Sasay’ga, dla wprowadzenia wrogów w błąd, przybrali inne imiona i zmienili swój wygląd. W oczach białych, dokąd dobrze nie poznają ich zamiarów, oraz w oczach innych wrogów, by uśpić ich czujność, postanowili uchodzić za niezbyt dzielnych i roztropnych. – Teraz – mówił –

Mohawk proponuje, by Czarny Wąż nie okazywał również wrogom zbyt swego dzielności i chytryści i także zmienił trochę swój wygląd. Niech wrogowie myślą, że idący ich tropem, to niedoświadczeni jeszcze młodzieńcy. Nie będą wtedy zachowywali zbyt ostrożności i łatwiej będzie wprowadzić ich w błąd, a także przeszkodzić w złych czynach, jakie zamierzają popełnić. Czy Czarny Wąż, który poznał teraz prawdę, zgadza się z radą swego brata?

Muhkuhdaikenábíg popatrzył na swych nowych przyjaciół i z przekonaniem kiwnął głową.

– Nawaho wie teraz, że jego bracia są nie tylko dzielni i mądrzy, ale i bardzo chytry. Zgadza się więc z nimi, gdyż przyznaje, że postępują przezornie. Pójdzie więc za radą Jaguara, zmieni również swój wygląd i mokasyny. I nie będzie przez jakiś czas zbyt dzielny. – Przy tych słowach roześmiał się wesoło, widząc jednak poważną w dalszym ciągu twarz Mohawka, zgasił swój uśmiech i spytał: – Czy Jaguara trapią jeszcze jakieś inne niedobre myśli?

– Tak, Mohawka niepokoi ten ulatujący wysoko ciemny dym z ogniska. Widać go bardzo daleko.

– Rozumiem mego brata, ale niech nie niepokoi się. Jeśli dym dostrzegą biali lub Pawnee, pomyślą że Czarny Wąż uwolnił się sam z więzów i rozpałił ogień, by się posilić. Z tego co mówił mój brat wynika, że i biali, i Pawnee mają jakieś poważne zamiary. Nie zrezygnują więc z tych zamiarów, by pójść śladem jednego, znajdującego się na świętej ścieżce, a więc niegroźnego Uhnishenáhba. Ale nie pójdą jeszcze z innego powodu. Są na ziemiach Dakotów. Będą więc kryli się, by nie ujawnić swej obecności, a widząc duży dym mogą także pomyśleć, że to właśnie Dakota pała ogień. Przed Dakotami nie potrzebujemy się ukrywać. Moi bracia od wodza Czarnych Psów otrzymali znaki, które zapewnią nam bezpieczeństwo, a w razie potrzeby również pomoc.

Ledwo dokończył tych słów, gdy na ścieżce, którą przebyli wczoraj, pojawił się długi wąż jeźdźców. Ścieżkę znali widać dobrze, bo posuwali się pewnie. W kilkanaście chwil zjechali w kotlinę i szerokim kręgiem otoczyli siedzących przy ognisku. Nie zachowywali się wrogo. Przyglądali się w milczeniu trzem młodzieńcom; patrzyli na ogromną skórę szarego niedźwiedzia i jego wielkie cielsko.

Byli wojownikami. Twarze ich przecinał pomalowany ukośnie niebieski pas szerokości dwu palców dorosłego mężczyzny. Taki sam pas mieli wymalowany, niczym obręcz, na prawym ramieniu. Byli dobrze uzbrojeni. Musieli więc znajdować się na wojennej ścieżce lub co najmniej na niebezpiecznych zwiadach.

Przez dłuższą chwilę trwali w bezruchu, wreszcie najstarszy z nich nie zsiadając z ogashy wykonał kilka gestów, które znaczyły:

– Kim są młodzi mężczyźni i co robią na ziemi Dakotów?

Nie podnosząc się, Mohawk odparł w podobny sposób:

– Są z północy. Przybyli po święty kamień. Przed wyruszeniem w swą daleką powrotną podróż zatrzymali się tu na jedną noc, by wypocząć i nabrać sił.

– Czemu nie zatrzymali się przy kamieniołomie, gdzie chroni ich przed napaścią świętość miejsca?

– Nie mogli się tam zatrzymać. Miejsce to zbeczczili swoją obecnością biali, którzy właśnie tam porwali i związali naszego brata – tu wskazał Czarnego Węża – i grozili zabiciem go u stóp kamieniołomu. Byli tam także Pawnee, którzy nie pozwolili dokonać tego czynu i odjechali z białymi. Kenárbo i Assinbo, którzy nadjechali później, zwolnili Ahtika⁷⁷ – celowo zmienił imię Czarnego Węża – i odnalazłszy przypadkowo tę kotlinę uznali ją za dobre schronienie na jedną noc. Teraz wędzą kawałek niedźwiedzia, by mieć trochę pożywienia na drogę.

– Który z nich walczył z niedźwiedziem i pokonał go?

⁷⁷ Ahtik (czyt. A:-tik) – Jeleń

– Walczyli wszyscy trzej. Niedźwiedź nie mógł się bronić. Nie widział dobrze. Było ciemno. Zabili go więc z łatwością. Cieszą się z widoku wojowników Dakota. Proszą ich do ogniska. Mięsa starczy dla wszystkich. Szkoda, by się zmarnowało. Proszą też wodza, by zabrał skórę niedźwiedzia. Kenárbo, Assinbo i Ahtik nie mogą zabrać jej w swą daleką drogę, a nie mają czasu, by ją należycie wyprawić.

Wódz z niedowierzaniem, ale jednocześnie i podziwem, patrzył na spokojne, trochę nieporadne gesty mówiącego, wyrażające prostotę i skromność. Wiedział, że walka z grizzly, i to walka nocą, jest straszna i niebezpieczna, że ci, którzy ją stoczyli, musieli być bardzo dzielni i zręczni. Leżące jednak obok cybuchy świętych fajek mówiły mu wyraźnie, że w myślach młodzieńców nie gości zdrada, chociaż z jakichś powodów ukrywają swoje męstwo. Nie miał prawa podejrzewać ich o jakiejkolwiek nieuczciwe zamiary.

– Jaką ścieżką przybyli do miejsca, skąd wzięli czerwony kamień?

– Przybyli kanu rzeką, którą Yanktonai nazywali Misquah-gumme seebee, a następnie podróżowali na grzbietach ogashy.

Wódz spojrział na mówiącego z nagłym zaciekawieniem i powiedział:

– Yankton i Yanktonai są braćmi. Czy Kenárbo chciał powiedzieć, że na swej ścieżce spotkał Yanktonai i czy może rozmawiał z nimi?

– Tak, Kenárbo i Assinbo spędzili kilka Wieczorów w wiosce Yanktonai i byli ich gośćmi.

– Czy nasz brat może wymienić imię wodza? – z resztkami już podejrzliwości pytał dowódca oddziału.

– Kenárbo i Assinbo spotkali najpierw wodza Waubezháhqua, a potem w wiosce byli gośćmi wodza Czarnych Psów, którego imię, brzmi Kenéwh – z tymi słowy sięgnął do woreczka i wydobywszy kawałek skóry wielkości dłoni, podał go pytającemu.

Zaledwie jeździec spojrział na tajemnicze znaki, zeskoczył ze swego ogashy, zwrócił młodzieńcowi kawałek skóry i powiedział serdecznie:

– Ci, którzy zyskali szacunek i uznanie Kenéwha oraz zdobyli jego przyjaźń, są również braćmi wszystkich Dakotów i, mimo iż o swych dzisiejszych czynach mówią skromnie, Kinwáukwunwe⁷⁸ – wódz Tych Co Nie Boją się Śmierci, wie co o nich myśleć i wita ich jak braci na ziemiach swych ojców. Chętnie usiądzie przy ich ognisku. – Na dany przez niego znak oddział ponad czterdziestu wojowników zeskoczyło ze swych wierzchowców, a wódz jako pierwszy podszedł do miejsca, gdzie leżała ogromna skóra szarego niedźwiedzia. Obejrzał ją starannie, a następnie przyjrzał się miejscu, gdzie w pierś zwierza wniknęły groty trzech strzał. Obejrzał też ślady noża.

Gdy wrócił do ogniska, jego przenikliwy wzrok badał starannie twarze młodych przyjaciół; w końcu wódz spytał poważnie:

– Jak moi bracia podzielili między siebie kły i pazury zwierza?

Mohawk uznawszy, że nie ma żadnej potrzeby dłużej udawać wobec wodza odparł po prostu:

– Nie dzielili ich. Uznali, iż zdobył je Assinbo. Jego nóż dotarł dwukrotnie do serca szarego niedźwiedzia i zabrał zwierzowi jego życie. Nóż ten uratował przy tym życie Kenárbo, który leżał pod niedźwiedziem.

Kilkunastu wojowników, otaczających ognisko i śledzących uważnie rozmowę, z podziwem i szacunkiem patrzyło teraz na młodego Moose.

Kinwáukwunwe wstał, uniósł rękę do góry i rzekł:

– Młodzieniec, który nie posiada jeszcze świętej fajki pokoju, a nie ucieka przed szarym niedźwiedziem, lecz walczy z nim tylko nożem i zabija go, ma prawo nosić jego imię i szczyścić się nim. Mój młody brat znany będzie wśród Dakotów jako Szary Niedźwiedź.

Sasay’ga przyłożył otwarte dłonie do serca.

– Assinbo jest dumny, słysząc słowa tego, którego Ci Co Nie Boją się Śmierci –

⁷⁸ Kinwáukwunwe (czyt. Kin-uak-uyn-uy) – Długa Strzała

najdzielniejsi wojownicy narodu Yankton – wybrali swym wodzem. Słowa Kinwáukwunwe zachowa w swym sercu i myśli; a imię jakie nadał mu wódz, będzie nosił z radością po powrocie do swej wioski. Teraz jednak pragnie prosić wodza i jego dzielnych wojowników, by swego młodego brata nazywali nadal imieniem Assinbo i nie mówili nikomu, że Assinbo nie obawia się szarego niedźwiedzia.

W kręgu wojowników powstało lekkie poruszenie, a zdumiony wódz nie wiedząc, czy młodzieniec właściwie wyraził swe myśli, spytał:

– Czy Kinwáukwunwe ma rozumieć, że jego młody brat pragnie przez jakiś czas ukrywać swój czyn, z którego powinien być dumny?

– Wódz zrozumiał dobrze – odparł młodzieniec. – Assinbo i jego dwaj młodzi bracia pragną, by przez pewien czas ich wrogowie, gdy się z nimi spotkają, uważali ich za lękliwych, niedoświadczonych młodzieńców. Dlatego na razie imię Szary Niedźwiedź będzie nosił tylko w swym sercu.

Długa Strzała, którego włosy tu i ówdzie srebrzyła nić wieku dojrzałego, musiał zrozumieć motywy, jakimi kierowali się młodzieńcy, bo rzucił tylko kilka słów w języku Dakota. Wojownicy puścili luźno swe mustangi. Część z nich udała się po chrust, część zajęła się ćwiartowaniem niedźwiedzia. Przy ognisku pozostał tylko wódz. Odkroiwszy spory płat upieczonego mięsa, oddzielał starannie małe porcje i wkładał je do ust. Domyślał się, że ci przed którymi młodzieńcy pragnęli ukryć swe imiona i dzielność muszą być bardzo niebezpiecznymi wrogami, toteż posiliwszy się spytał:

– Czy wrogami moich braci są ci, którzy przy świętym kamieniołomie związali Ahtika i chcieli pozbawić go życia?

Mohawk skinął głową. Wódz myślał przez chwilę, po czym powiedział:

– Kinwáukwunwe zna ich. Jego brat Kenéwh przysłał posłańca, który powiedział Długiej Strzale o tym, że na terenach Yanktonai i Yankton pojawiły się blade twarze, które udają kupców i że biali ci sprzymierzyli się z Pawnee, którzy odeszli daleko od swych wiosek, by popełnić złe czyny. Długa Strzała rozesłał zwiadowców i wyszedł kryjówkę wroga. Siedzą w niej od kilku Wieczorów i nie poruszają się nigdzie. Jedynie kilku Pawnee oddaliło się na północ, ale tych będą śledzili zwiadowcy Kenéwha.

– Czy Kinwáukwunwe wie, co zamierzają biali i towarzyszący im Pawnee? – spytał Mohawk.

– Nie, Długa Strzała nie wie tego. Nikt z jego wojowników nie zna mowy białych, a wódz Pawnee rozmawia z białymi ich mową. Zwiadowcy słuchali ich, ale nic nie zrozumieli. Domyślili się jedynie, że biali i Pawnee oczekują na coś lub na kogoś.

– Gdzie znajduje się kryjówka białych? – pytał dalej Mohawk. – Czy wódz może swym młodym przyjaciółom wskazać do niej drogę?

Długa Strzała wydawał się zaskoczony tym pytaniem i zarazem prośbą.

– Może, ale czemu Kenárbo pyta o tę drogę? Czyżby zamierzał udać się do kryjówki białych?

Jaguar skinął poważnie głową.

– Tak, on i Assinbo pójda tam. Powiedzą białym, że są wrogami Dakotów, którym skradli ogashy i muszą teraz kryć się przed nimi w swej powrotnej drodze. Biali znają już ich; nie będą obawiali się podstępów. Kenárbo i Assinbo nie muszą się więc niczego obawiać. Podśłuchają białych i dowiedzą się tego, co chciałby wiedzieć Kinwáukwunwe i Kenéwh. Kenárbo nie wie tylko, jak będzie mógł przekazać zdobyte wiadomości.

Wódz patrzył na niego z uznaniem.

– Kenárbo i Assinbo ważą się na czyn zuchwały. Jeśli wrogowie odkryją ich prawdziwe zamiary, zginą obydwaj. Ale jeśli wykonają podjęte zadania, okryją się wielką sławą, a imię ich będą ze czcią wymawiać wszystkie ludy Dakota. Wódz Tych Co Nie Boją się Śmierci zapewni swym braciom pomoc takich zwiadowców, którym zawsze będą mogli przekazać

zdobyte wiadomości. Zaraz ich poznają. – Podniósł się ze swego miejsca i głośno powiedział kilka słów, w odpowiedzi na które do ogniska podeszło dwu młodych wojowników. – Niech Assinbo i Kenárbo przyjrzą się im. To Kojot i Wilk. Będą zawsze w pobliżu kryjówki białych. W czasie gdy świeci słońce, znakiem będzie krzyk orła; nocą – trzykrotny głos szarej sowy.

Czarny Wąż, który przez cały czas z uwagą śledził znaki wodza, uniósł teraz dłoń do góry na znak, że pragnie coś powiedzieć. Gdy uwaga pozostających przy ognisku skupiła się na nim, mową rąk powiedział:

– Ahtik wie, że nie może iść ze swymi braćmi wprost do białych, gdyż po tym, co się stało przy kamieniołomach, zadali mu natychmiast śmierć, ale ponieważ rozumie mowę Assinbo i Kenárbo, prosi, by Długa Strzała powierzył jemu również obowiązki posłańca. Będzie mu łatwiej zrozumieć to, co powiedzą mu jego przyjaciele, a wrogowie nie wytropią go.

Wódz skinął przyzwalająco głową.

– Długa Strzała zgadza się. Ale nim Assinbo i Kenárbo wyruszą w drogę, pragnie spytać ich, czy nie posiadają przy sobie czegoś, co mogłoby wzbudzić podejrzenia białych lub tych psów Pawnee?

Mohawk bez słowa podniósł leżący obok ściśle obwiązany rzemieniem kawał brudnej zrolowanej skóry i z uśmiechem podał go wodzowi. Następnie odwiązał od pasa jeden z woreczków i przekazał go również w ręce Kinwáukwunwe.

– Kenárbo nie chciałby, by te dwie rzeczy dostały się kiedykolwiek w ręce wrogów. Jeśli zginie, niech przedmioty te staną się własnością ludu Dakotów.

Sasay’ga widząc gest swego przyjaciela odpiął od pasa woreczek, w którym umieścił kły i pazury grizzly i podał go również wodzowi.

Długa Strzała patrzył uważnie na Mohawka, wreszcie spytał:

– Kinwáukwunwe wie, co zawiera woreczek Assinbo. Czy może wiedzieć, co, zawiera woreczek Kenárbo? Czy jest to może tajemnica?

– Dla wodza Tych Co Nie Boją się Śmierci nie jest to tajemnicą. Może zobaczyć – odparł młodzieniec.

Długa Strzała rozwiązał rzemień i ze środka wyjął naszyjnik z kłów i pazurów jaguara. Chwilę przyglądał mu się, po czym włożył na powrót do woreczka i zawiązał starannie rzemień. W jego twarzy oraz na twarzach obydwu wyznaczonych przezeń zwiadowców malowały się uczucia zaskoczenia, a jednocześnie podziwu. Długa Strzała wiedział przecież, że naszyjnik taki może nosić tylko ten, kto zwierza pokonał osobiście własną ręką, a wiedział również, jaki zwierz posiada takie kły. Pokiwał głową i powiedział z szacunkiem:

– Kinwáukwunwe wie teraz, że Kenárbo i Assinbo wykonają to, co postanowili i dumny jest, że obdarzyli go swym zaufaniem. On nie zawiedzie ich zaufania również. Proponuje teraz, by omówili wszystkie potrzebne szczegóły ich śmiałego zadania, a potem narysuje im ścieżkę do kryjówki białych. – Kojot i Wilk oddalili się z szacunkiem. Trzej młodzi przyjaciele i wódz pochylili się ku sobie i wdali w przyciszoną długą rozmowę.

W dwa dni później, wczesnym popołudniem, zwiadowcy Pawnee pilnujący kryjówki, w której zaszyli się wraz z białymi, już z daleka wśród falistego terenu wypatrzyli ciągnących z południa dwóch jeźdźców. Jeźdźcy kierowali się w stronę, gdzie na skraju lasu w niezbyt głębokiej kotlinie przebywał Wright ze swymi ludźmi. Gdy zwiadowcy donieśli mu o zbliżaniu się dwóch obcych Uhnishenáhtag, machnął tylko pogardliwie ręką.

– Jeśli jest ich tylko dwóch, niech ich moi bracia schwytają i przyprowadzą tutaj. Może to zwiadowcy Dakotów i może wiedzą coś ciekawego, co może przydać się białym i Pawnee.

Wódz Pawnee, młody wojownik, który na pewno nie przekroczył jeszcze trzydziestu paru Zim – mężczyzna o chytrej twarzy – wydał szybko potrzebne polecenia.

Sznur wojowników wysunął się na skraj kotliny obejmując jej wlot niewidocznymi kleszczami.

Jeźdźcy zbliżający się z południa nie podejrzewali widocznie niczego, bo pochyleni na karkach swych wierzchowców, wlekli się w prażących promieniach słońca niczym dwaj zagubieni wędrowcy. Od czasu do czasu oglądali się za siebie, badając widać, czy z tamtej strony nie podąża ktoś ich tropem i czy nie zagraża im właśnie z tyłu jakieś niebezpieczeństwo. Rozglądali się od czasu do czasu dokoła. Przed zapuszczeniem się w niezbyt szeroki wlot kotliny – w tej chwili cichej i spokojnej – zatrzymali się prowadząc przyciszoną rozmowę. Nie byli snadź pewni, czy dolina jest zupełnie bezpieczna. W końcu postanowili zaryzykować, bo jadący nieco w przodzie trącił wierzchowca piętami.

Zjeżdżali teraz po łagodnym stoku, nie zdając sobie sprawy z tego, że z tyłu, spośród wysokiej trawy i kęp zarośli, uniosło się kilkanaście półnagich postaci i nie kryjąc się, podąża za nimi.

Nadjeżdżających od dłuższej chwili obserwował także dowódca białych. Leżąc za dużym krzewem przypatrywał się im przez jakiś czas pilnie, z coraz większym zaciekawieniem; w końcu obrócił się ku leżącemu obok drugiemu białemu i szepnął:

– Popatrz Bart, przecież to nasi starzy znajomi.

Czarnobrody skrzywił się pogardliwie.

– Dwa śmierdzące skunksy. Powiedz naszym sprzymierzeńcom, by ich zdmuchnęli. Po co mają tu węszyć?

– Na to będzie zawsze czas. Najpierw może dowiemy się czegoś ciekawego. Pokażmy się im, zanim nasi przyjaciele Pawnee zdążą zdjąć ich skalpy. – Z tymi słowy wstał i wysunął się zza krzaka.

Za jego przykładem poszedł Batson.

Na widok białych obaj jeźdźcy osadzili w miejscu swe mustangi i chwycili za łuki. Spostrzegłszy jednak, że otacza ich już cała gromada trzymających broń w ręku wojowników, nie próbowali nawet nałożyć strzał. Patrzyli na białych zrazu niepewnie, potem z coraz większym zdziwieniem wskazującym, że poznają ich. Towarzysz Czarnobrodego, który, jak wiedzieli, nosił imię Wright, zwrócił się teraz do drugiego fałszywego kupca i powiedział:

– Tłumacz Bart – a następnie patrząc na obu młodzieńców przywitał ich z udaną serdecznością. – Biali cieszą się, że na swej ścieżce spotkali ponownie dzielnych młodzieńców Neegigwug. Czy Neegigwug przypominają sobie swych białych braci.

– O tak, Assinbo i Kenárbo pamiętają kupca, który ma bardzo trudne do wymówienia imię, a który kupił futra od myśliwych Kakagi – odparł Sasay'ga. Nie widzieli go dawno, ale cieszą się, że spotkali go teraz. Razem bezpieczniej.

– Assinbo mówi, że bezpieczniej? Czyżby obawiał się jakiegoś niebezpieczeństwa?

– Nie, Assinbo i Kenárbo nie obawiają się niczego – powiedział młodzieniec chętnie, ale znajdują się na terenach swych wrogów Ab-oin-ug⁷⁹ – tu chwilę zawahał się – którym zabrali dwa Sunka Wakan i chociaż chronieni są przez czerwony kamień, który wiozą ze świętego kamieniołomu, to nie wiedzą, czy ich wrogowie nie zechcą zabrać im ogashy i zemścić się. Ale teraz, przy pomocy swych białych braci, nie pozwolą sobie niczego zabrać.

Biały uśmiechnął się słysząc ten naiwny, jego zdaniem, dyplomatyczny wywód i powiedział dobrodusznie:

– Mój młody brat nie myli się. Jest strudzony, podobnie jak jego towarzysz. Niech zsiądą z ogashy i pozwolą schronić się im w cieniu drzew. Odpoczną też sami i posilą się. Biali i ich czerwonoskóry brat Nezhéka-Ahnúng⁸⁰ – wódz znajdujących się tutaj Pawnee, chętnie dowiedzą się, co ciekawego Neegigwug widzieli w czasie swej podróży.

Obaj młodzieńcy przez chwilę jeszcze z pewną podejrzliwością patrzyli na otaczających ich wojowników Pawnee; zsunęli się jednak ze swych wierzchowców i zabrali ciężkie worki, przytroczone do ich boków.

⁷⁹ Ab-oin-ug – Dakota w języku Odżybuejów

⁸⁰ Nezhéka-Ahnúng (czyt. Ni-żikej A:nan-g) – Samotna Gwiazda

W tym czasie biały, który tak przyjaźnie z nimi rozmawiał, zwrócił się do wodza Pawnee w języku białych:

– Widzę, że mój brat jest pochmurny i dziwi się łagodności białego. Niech twarz jego rozchmurzy się. Ci dwaj Neegigwug nie są groźni. Uhdahwáwenene⁸¹ spotkał ich prawie trzy Księżyce temu, gdy z zawieszonymi na piersiach okij wędrowali daleko stąd po czerwony kamień na fajki pokoju. Teraz wracają na północ, gdzie mieszczą się stada dzikich gęsi. Widocznie niedawno ukradli ogashy Dakotom i obawiają się ich zemsty. Niech Samotna Gwiazda pójdzie ze mną. Wspólnie porozmawiamy z młodymi Neegigwug.

Pawnee rozchmurzył się nieco; widocznie jednak podejrzliwość jego wobec dwu nowo przybyłych nie ustąpiła zupełnie, bo odparł powściągliwie:

– Pawnee porozmawia z tymi tchórzliwymi dwoma chłopcami i dowie się, czego mu potrzeba.

W jakiś czas potem, siedząc przy niewielkim ognisku, Sasay'ga wyciągnąwszy przed siebie nogi, opowiadał:

– Kiedy Assinbo i Kenárbo w wiosce Ab-oin-ug zobaczyli ogashy po raz pierwszy i przekonali się jak pożyteczne są to zwierzęta, postanowili je zdobyć.

– Jak tego dokonali? – spytał Wright. Przecież Ab-oin-ug nie traktowali mych braci jak przyjaciół. Ich narody są od dawna wrogami?

– Tak, oni są wrogami Hakatonwan, lecz Assinbo i Kenárbo, chociaż mówią tą samą mową co Hakatonwan, nie należą do tego samego narodu i z Ab-oin-ug nie walczyli nigdy. Ich lud mieszka daleko na północy, nad rzeką, która wpada do wielkiej słonej wody, gdzie biali kupcy w czasach ich praojców zbudowali wielkie wigwamy i handlują z Uhnishenáhbog. Ci kupcy nazywają się Hudson Bay Company. Neegigwug mogą tam dopłynąć w swych kanu w czasie krótszym niż jeden Księżyc. Toteż Ab-oin-ug, chociaż nie nazywali Assinbo i Kenárbo swymi braćmi, traktowali ich uprzejmie, co Neegigwug wykorzystali i gdy było bardzo ciemno zabrali dwa ogashy, ale w zamian za to zostawili swoje kanu.

– Nezhéka-Ahnúng nie wiedział, że jego bracia, mieszkający tak daleko w północnych lasach posiadają w swych wioskach ogashy i są tak świetnymi jeźdźcami?

Sasay'ga zaprzeczył stanowczo:

– Nie, Neegigwug ani inne ludy na północy nie mają i nie znają ogashy. Assinbo i Kenárbo ujrzeni je tu po raz pierwszy i mieli początkowo bardzo wiele z nimi kłopotu. Teraz nie jeżdżą jeszcze bardzo dobrze, ale już nie spadają z grzbietu, nawet w czasie najszybszego biegu.

Wódz Pawnee, słysząc tę odpowiedź uśmiechnął się. Widział jak niezgrabnie obaj młodzieńcy siedzieli na swych rumakach i jak nieporadnie jeszcze obchodzili się z nimi, toteż wiedział co sądzić o ich umiejętnościach jeździeckich.

– Czy Assinbo i Kenárbo uciekali bardzo szybko po zabraniu swym wrogom ogashy?

– Nie mogli uciekać szybko. Ogashy nie chciały ich słuchać. Ukryli się więc w grocie w pobliżu wioski i czekali tam dwa dni. Nie dali w tym czasie zwierzętom jeść ani pić. Odjechali spokojnie, gdy nadeszła trzecia noc. Ogashy nie sprzeciwiały się im więcej.

– I wtedy właśnie udali się do świętego kamieniołomu? – pytał dalej Nezhéka-Ahnúng. – Czy znaleźli święty kamień na swe fajki i czy zabrali go z sobą?

– Tak, zabrali, mają go w swych workach.

– Wódz Pawnee dawno już nie był w kamieniołomie. Ciekaw jest, czy jego bracia znaleźli kamień, który daje się łatwo obrabiać?

– Assinbo nie wie, ale jeśli Nezhéka-Ahnúng chce zobaczyć, to obaj Neegigwug będą mu bardzo wdzięczni – tu młody Moose wyjął z worka dużą czerwoną bryłę i wyciągnął w kierunku pytającego.

Pawnee wyciągnął rękę, by ująć kamień, cofnął ją jednak w ostatniej chwili. Dotknięcie świętej bryły należącej do dwu obcych Uhnishenáhbog mogło grozić nieobliczalnymi

⁸¹ Uhdahwáwenene (czyt. a-da-ua-uin-uin-ni) – kupiec

skutkami. Według praw jego ludu, poprzez takie dotknięcie obydwaj Neegigwug staliby się dla niego nietykalni do końca życia. A nie wiedział przecież, czy kiedyś nie staną na jego wojennej ścieżce. Mimo że mieszkali daleko na północy i nie sądził, że jeszcze kiedyś ich spotka, to jednak nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Nie, lepiej było nie dotykać kamienia. Popatrzył więc tylko na bryłę trzymaną przez młodzieńca i powiedział:

– Bracia Samotnej Gwiazdy zabrali dobry kamień. Ale trzymają go w zbyt mokrym worku. Kamień może się rozkruszyć pod wpływem wody. Worek powinien być tylko trochę wilgotny. Kamień nie rozsypie się wtedy i zbyt nie stwardnieje. Czy koło kamieniolomu nie spotkali nikogo i czy długo tam przebywali?

– Spotkali tylko jednego Uhnishenáhba i spędzili z nim prawie całą noc, ale nie rozmawiali dużo. Musieli się szybko rozstać.

Towarzyszący Samotnej Gwieździe dorosły wojownik, o nieregularnej, okrutnej, pociętej bliznami i pomalowanej zawiłym wzorem twarzy, tłumaczący mowę znaków, jakimi posługiwał się wódz Pawnee, na język Ojebwag znany jednemu z białych, nie zrozumiał widocznie ostatniej odpowiedzi Sasay’gi, bo spytał:

– Assinbo powiedział, że musieli szybko rozstać się? Co ich do tego zmusiło?

Młodzieniec zmieszał się nieznacznie, czując jednak, że obaj Pawnee oraz obydwaj kupcy patrzą na niego z napięciem, odparł wykrętnie:

– Assinbo i Kenárbo ujrzeli wielkiego niedźwiedzia. Ich ogashy spłoszyły się i uciekły. Neegigwug nie mogli ich zatrzymać. Oddalili się więc znacznie od wspólnego obozowiska. Potem nie szukali już tego, którego spotkali niedaleko miejsca, skąd brali czerwony kamień. Pewno również zszedł ze ścieżki zwierza. – Ledwo wypowiedział te słowa, gdy zrozumiał widocznie, że tym stwierdzeniem przyznał się, iż po prostu uciekli przed niedźwiedziem, bo spuścił głowę i zamilkł.

W oczach wodza Pawnee zamigotał gniew. Zwrócił się do białych i powiedział z pogardą:

– Mężczyźni nie schodzą ze ścieżki niedźwiedzia. To jeszcze chłopcy. Nezhéka-Ahnúng nie będzie się nimi więcej zajmował, ale biali bracia nie mogą ich uwolnić teraz, gdy poznali naszą kryjówkę. Gdyby schwytali ich Dakota, dowiedzieliby się o naszej obecności i musielibyśmy walczyć, a nie wolno nam tego czynić, dokąd nie otrzymamy znaku od naszych braci, którzy udali się na północ.

– Kiedy nasz brat spodziewa się otrzymać wiadomość od swych zwiadowców? – spytał Czarnobrody.

– Jutro rano, przed wschodem słońca.

– Dobrze, biali zatrzymają tych dwu młodzieńców do czasu, aż... aż przestanie istnieć niebezpieczeństwo. Wiedzą, że Nezhéka-Ahnúng nie pragnie skalpów tych dwu młodych czerwonoskórych braci.

– Samotna Gwiazda – odparł dumnie wódz – nie walczy z dziećmi ani ich nie zabija.

– Dlaczego więc pragnie skalpu dziewczyny?

– Białą się myli. Pawnee nie zabierają skalpów dziewcząt ani kobiet. Nie czynili tego nigdy. Potrzebują jedynie posłańca.

Obaj kupcy spojrzeli w tchnące dziwnym blaskiem oczy wodza.

– Biali nie rozumieją jego słów. Jeśli potrzebuje posłańca, dlaczego tam gdzie powinien nie wyśle jednego ze swych doświadczonych wojowników? Mężczyzna jest lepszym posłańcem niż dziewczyna.

Wódz pokręcił przecząco głową:

– Pawnee nie potrzebują takiego posłańca o jakim mówią biali bracia. Ich posłaniec musi się udać w daleką drogę, z której już nigdy nie wraca i może nim być tylko dziewczyna – dziewczyna młoda i piękna; dziewczyna o czystym sercu.

Jaguar i Sasay’ga, których musiała znużyć droga w prażących promieniach słońca, odsunęli się o kilka kroków w cień wielkiego cedru i ułożyli na trawie. Mohawk odwrócony

tyłem do rozmawiających słyszał jednak każde wypowiedane przy ognisku słowo.

Biały o imieniu Wright ponownie wyraził zdziwienie:

– Jeśli Pawnee potrzebują takiej dziewczyny, dlaczego nie zabiorą jej od swych sąsiadów z plemienia Dakota, Ponca, Arapaho czy Cheyenne? Dlaczego chcą, by ich posłańcem była dziewczyna z bardzo dalekiego kraju? Taka dziewczyna nie zna przecież ich języka i może nie zechce być posłańcem? Dokąd Pawnee chcą wysłać tego posłańca?

Samotna Gwiazda zastanawiał się nad odpowiedzią, bo przez kilka chwil panowało milczenie; wreszcie ponownie zabrzmiał jego głos:

– Wojownicy Pawnee nie mogą ukraść dziewczyny z żadnego plemienia, z którym sąsiadują ich tereny łowieckie. Naraziliby swój lud na zemstę i na nigdy nie kończące się wojny. Ich wrogowie i tak nienawidzą braci i ojców Samotnej Gwiazdy. Mogliby się zjednoczyć i prowadzić przeciwko Pawnee długą wojnę.

Chociaż Pawnee są bardzo silni i dzielni, wielu z nich musiałoby zginąć. Wrogowie zabijaliby ich żony, matki, dzieci. Dlatego Pawnee nie szukają posłańca u swych sąsiadów. Zabierają go zwykle narodowi, którego tereny są bardzo odległe od ich własnych wiosek. Zabierają go tak, że wrogowie nie wiedzą nigdy, kto uprowadził dziewczynę i Skidi są wtedy bezpieczni. Nikt nie wyrzeze na nich swej zemsty.

Obecnie postąpili jeszcze bardziej chytrze. Porwą dziewczynę należącą do narodu Hakatonwan. Jeśli jej bracia będą ich ścigali lub próbowali odbić dziewczynę, to muszą wkroczyć na tereny swych największych wrogów – Ab-oin-ug. Ab-oin-ug posiadają ogashy i są u siebie; wystąpią więc przeciwko Hakatonwan i pokonają ich. Pawnee w tym czasie zabiorą dziewczynę do swego kraju i nikt nie będzie ich ścigał. Wrogowie zajęci sobą nie będą ścigali Pawnee ani białych braci, którzy z łatwością dotrą do Ojca Wód i oddalą się z pozostałymi dziewczętami.

– To biali rozumieją. Nie rozumieją jednak nadal, dlaczego Skidi Pawnee zadają sobie aż tyle trudu, by porwać jedną dziewczynę? – pytał Wright. – Czy Nezhéka-Ahnúng może im to wytłumaczyć?

– Tak, Samotna Gwiazda powie im to – tu wódz chwilę milczał, po czym powiedział smutno: – W ciągu ostatnich kilku Zim na naród Pawnee spadło wiele nieszczęść. Bizony, które dwa razy w ciągu Zimy przechodzą przez ich łowieckie tereny, pojawiały się ostatnio w niewielkich tylko ilościach. Bracia Nezhéka-Ahnúng nie mogli upolować ich wiele i wioski cierpiały głód. Drzewa, które rodzą wiele smacznych i pożywnych owoców, przestały je rodzić w takiej obfitości jak zwykle. Zmniejszyły się plony słodkich ziemniaków i kukurydzy. Wysycha trawa, gdyż przez dwie Zimy bez przerwy panuje susza. W wioskach pojawiły się różne choroby, które sprawiają, że dzieci mają bardzo duże brzuchy i szybko umierają, a w piersiach kobiet wysycha pokarm.

Gdy starsi plemienia zebrali się na wielką radę, kapłani powiedzieli im, że bogowie gniewają się na naród Pawnee, gniewają się, gdyż Pawnee zapomnieli ostatnio o składaniu ofiar Gwieździe Porannej. Powiedzieli, że jeśli nie uczynią tego obecnie przed nastaniem wiosennych siewów, bogowie zesłą na naród Samotnej Gwiazdy jeszcze więcej nieszczęść i chorób. Dlatego rada postanowiła, że bogów należy przebłagać, a z poselstwem do Porannej Gwiazdy wysłać niewinną dziewczynę, która przekaze bogom wszystkie troski, smutki i prośby Pawnee. Może Gwiazda Poranna wysłucha jej i pomoże ludowi Pawnee.

– A jeśli dziewczyna nie zechce być posłańcem Pawnee i przekazać ich prośb Gwieździe Porannej?

– Lud Nezhéka-Ahnúng będzie dziewczynę traktował z największym szacunkiem. Do okresu siewów pozostało jeszcze wiele Księżyców. Będzie ją w tym czasie ubierał w najpiękniej zdobione stroje, karmił najtłustszym mięsem i podaruje jej najobszerniejsze tipi. Nikt jej nie urazi i nie dotknie niczym. Wszyscy Skidi Pawnee będą jej przyjaciółmi. Dziewczyna wśród nich będzie miała lepiej niż wśród własnego ludu. Nie może więc gniewać

się na Pawnee. Pokocha ich jak własne siostry i braci. Pozna ich troski i wszystkie kłopoty. A wtedy z radością zgodzi się na to, by pomóc im i zostać ich posłańcem.

– Czy przez te wszystkie Księżyce, gdy będzie przebywała w wiosce Pawnee, będzie wiedziała, że ci którzy porwali ją z rodzinnego wigwamu, zamierzają złożyć ją w ofierze Gwiazdzie Porannej? – spytał Wright.

– Nie, nikt z ludzi Pawnee nie powie jej tego. Powiedzą kapłani dopiero wtedy, gdy nadejdzie czas ofiary. Dziewczyna nie może okazać się niewdzięczna za wszystkie dobro jakiego dozna w wiosce Samotnej Gwiazdy i na pewno zgodzi się złożyć z siebie ofiarę.

– W jaki sposób Nezhéka-Ahnúng chce wybrać tę jedną spośród wielu, które porwą jego bracia?

– Przyjrzy się wszystkim i wybierze najpiękniejszą – odparł wódz. – Resztę zabiorą biali w zamian za broń i inne przedmioty, którymi zgodzili się zapłacić.

– Kupcy – odezwał się Batson – nie są pewni, czy dwunastu wojownikom uda się uprowadzić aż tyle dziewcząt?

– Niech biali będą spokojni. Samotna Gwiazda wysłał już potrzebną pomoc.

Jaskrawoczerwone słońce przesunęło się daleko na zachodnią stronę nieba. Cień drzewa cedrowego wydłużył się znacznie na wschód. Wódz bez jednego więcej słowa podniósł się od ogniska i zniknął w lesie. Dwaj biali umilkli również. Sasay'ga i Jaguar oddychali równo, pogrążeni pozornie w głębokim śnie.

W jakiś czas potem wrócił wódz informując białych, że wywiadowcy nie widzieli nigdzie śladu Dakotów, że nie ma więc żadnego niebezpieczeństwa. Tuż przed zachodem słońca Pawnee wyznaczył wojowników mających pełnić nocną straż.

Wartowników było sześciu. Dwóch od strony prerii i czterech od strony lasu.

Mohawk zapamiętał dokładnie kierunek, w jakim udał się każdy z tych czterech. Było to dla niego ważne, gdyż nocą musiał spotkać się z Czarnym Wężem, a Czarny Wąż mógł nadejść tylko od strony lasu. To co było pocieszające, to fakt, że ani biali, ani Pawnee nie zwracali specjalnej uwagi ani na niego, ani na Sa-say'gę. Uważali widocznie, że ze strony dwu trochę niedoświadczonych młodzieńców nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo. Po obozie poruszał się więc swobodnie. Jeszcze po południu, wraz z kilkoma białymi oraz paroma Skidi, zaprowadził oba ogashy nad bliski strumyk, by je napoić. Gdy słońce dotknęło swą tarczą krańców prerii, zabrał dwa długie rzemienie i obydwu wierzchowcom zaczął pętać przednie nogi.

Na pytanie Samotnej Gwiazdy, czemu to czyni, odparł, że pęta je, by nie uciekły lub nie oddaliły się zanedo w nocy. Wódz uśmiechnął się pobłaźliwie i powiedział:

– Kenárbo winien je przywiązać do gałęzi drzewa, albo jeszcze lepiej, do własnej nogi. Wtedy, gdyby ogashy chciały uciec, pociągną mego brata i obudzą go.

Mohawk skinął ze zrozumieniem głową i odparł:

– Kenárbo rzeczywiście tak uczyni, ale rzemienia nie przywiąże do swojej nogi, bo gdyby ogashy uciekał, to ciągnąłby go nogami do przodu, a głową do tyłu. On przywiąże rzemień do ręki. Zawsze wtedy zdąży stanąć na nogach i zatrzymać zwierzę. Poradzi również swemu bratu Assinbo, by tak uczynił. – A widząc, że wódz zamierza odejść, spytał:

– Czy wojownicy Pawnee również przywiązują swoje ogashy do ręki lub nogi, gdy udają się na spoczynek?

– Nie – wódz wykonał przeczący ruch ręką, jednocześnie stłumił cisnący mu się na usta śmiech. – Oni nauczyli ogashy, by nie uciekały!

Mohawk popatrzył drwiąco za oddalającym się Pawnee, który sam nie wiedząc o tym pomógł rozwiązać znaczną trudność, jaka stała przed młodzieńcem – trudność z odpowiednim wyborem miejsca na nocleg. Pomysł, by się przywiązać do ogashy był o tyle dobry, że ani on, ani Sasay'ga nie musieli spać w pobliżu innych, którym przywiązane rzemieniem zwierzę musiałyby przeszkadzać. Mogli teraz bez budzenia jakichkolwiek podejrzeń rozłożyć się

przynajmniej o dwadzieścia kroków dalej – tuż na skraju lasu.

Nim ostatnie promienie słońca skryły się za widnokręgiem, obaj z Sasay'gą, na oczach całego obozu, przywiązywali do swych rąk końce długich rzemieni oplatających szyje zwierząt. Widzieli jak wódz Pawnee opowiadając coś białym pokazuje jednocześnie dłonią w stronę przezornych młodzieńców. Słyszeli jak biali śmieją się.

Mrok zapadał szybko. Obaj młodzieńcy owinęli się w zniszczone, postrzępione skóry i ułożyli się w cieniu wysokich zarośli. Leżeli blisko siebie. Szeroka i długa kępa kłujących, suchych już i splątanych gałęzi jeżyn dawała pewność, że nikt nie podczołga się z tyłu i nie podsłucha ich. Przed sobą mieli prawie dwadzieścia kroków gładkiej polany. Stąd więc też nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

Jaguar przysunął usta tuż do ucha swego przyjaciela i szepnął:

– Gdy biali i Pawnee ułożą się do snu, niech Sasay'ga stopniowo skraca ramię, a następnie spowoduje, by jego ogashy położył się na ziemi nie dalej niż o dwa kroki od niego. Jaguar ze swym ogashy uczyni to samo. Gdy wszyscy zasną, opuści swego brata na jakiś czas i przekaze zwiadowcom Długiej Strzały ważne wiadomości, jakie usłyszeli dziś po południu w czasie rozmowy białych z wodzem Pawnee. Leżące ogashy uczynią nieobecność Mohawka niedostrzegalną.

– Jak Jaguar ominie straż?

– Wie, w jakim udały się kierunku. Nie obawia się odkrycia, zwłaszcza, że biali i Pawnee uważają Jaguara i Sasay'gę za niedoświadczonych młodzieńców, a może nawet za coś jeszcze gorszego.

Czas mijał powoli, cienie kręcących się jeszcze mężczyzn znikwały stopniowo. Zapadała coraz większa ciemność.

O kilkanaście kroków od spoczywających na ziemi młodzieńców – w pobliżu sporej grupy układających się do snu Pawnee – zamajaczyła postać jakiegoś wojownika.

Ledwo widoczna w mroku sylwetka przez kilka chwil odcinała się na tle jaśniejszej jeszcze nieco plamy prerii, lecz wkrótce opadła miękko na ziemię.

Obóz ogarniał coraz większy spokój i cisza. Powieki mężczyzn opadały na zmęczone oczy. Nie spał jedynie i nie zamierzał zasnąć ten ostatni. Mimo iż pierś jego unosiła się równym, miarowym oddechem, przenikliwy wzrok kierował się bezustannie w stronę, gdzie spoczywali obydwaj młodzi przybysze. Leżał nieruchomo, długo, aż w końcu ujrzał jak srokaty ogier powoli, krok za krokiem zaczyna zbliżać się do miejsca snu dwu Neegigwug i wreszcie układa się na ziemi. Wkrótce dostrzegł, jak czarna klacz czyni to samo. Wtedy niedostrzegalnym ruchem ujął rękojeść noża i wpatrzył się w śpiących obok wojowników. Nie poruszył się jednak.

Obserwował śpiących; od czasu do czasu rzucał krótkie spojrzenia w stronę, gdzie spoczywali obaj młodzieńcy. Czuwał i wiedział dlaczego to czyni.

Okolo północy, gdzieś daleko na skraju lasu zabrzmiało pohukiwanie nocnego puszczyka. Spojrzenie wojownika pobiegło w stronę śpiących spokojnie Pawnee i zatrzymało się na nich. Przesuwało się od jednego do drugiego; ręka nadal ścisnęła nóż. Wzrok oswojony z ciemnością nie odpoczął ani chwili. W pewnym momencie znieruchomiał. Jeden ze śpiących podniósł się i odszedł kilkanaście kroków na stronę. W pobliżu rozległ się charakterystyczny szum płynącej na trawę cieczy. W chwilę później wojownik wrócił i ponownie ułożył się na ziemi. Dłoń trzymająca nóż rozluźniła uchwyt na jego rękojeści.

Na wschodzie poróżowiło niebo, gdy czuwający dostrzegł ruch przy kępie jeżyn. To wstawały ogashy obu młodych Neegigwug.

Wojownik umieścił z powrotem nóż na swym dawnym miejscu, rozprężył mięśnie i przymknął powieki. A więc tamten wrócił – pomyślał z ulgą. Przez chwilę usiłował dociec, który z tych dwu odbył tajemniczą nocną wyprawę, ale nie chciało mu się myśleć nad tym. Nie miało to wszakże żadnego znaczenia. Niedostrzegalnie przysunął się bliżej uśpionych Pawnee i wkrótce sam zapadł w spokojny sen.

Rozdział jedenasty

Poranna Gwiazda domaga się krwi

Wkrótce potem, kiedy nocną ciszę przerwał daleki głos szarej sowy, Mohawk dotknął ramienia Sasay'gi i wychylił ostrożnie głowę spoza końskiego karku. Mimo panującej ciemności widział wyraźnie zarysy postaci uśpionych Pawnee. Sprawdził, czy nóż gładko wychodzi z pochwy i począł bezszelestnie sunąć skrajem kępy. Wiedział, że nawet gdyby któryś z wrogów z jakichś powodów obudził się, nie byłby w stanie dostrzec niczego. Mrok poniżej jeżynowych gałęzi był znacznie gęstszy niż na otwartej polanie.

Pełznąć, co jakiś czas trzymaną tuż przy ziemi twarz obracał jednak w kierunku obozu. Stopniowo widział go coraz słabiej. Zatrzymał się o dwa kroki od najbliższego drzewa. Wiedział, że postawiony z tej strony wartownik musi znajdować się dalej na samym skraju prerii.

Zagłębił się nieco w las. Przywarł do najbliższego pnia i długo badał wzrokiem każdy nieco ciemniejszy kształt lub cień.

Wartownik siedział pod niezbyt wysoką sosną. Młodzieniec ominął go i posunął się szybciej.

Oddaliwszy się o dobre trzy strzelania z łuku wyszedł ponownie na skraj lasu i po przejściu dalszych kilkuset kroków przystanął i wydał cichy pisk przypominający głos stepowej myszy. Podobny pisk rozległ się o kilkanaście zaledwie kroków dalej. Zza pobliskiego pnia wysunęła się szczupła postać Czarnego Węża.

Mohawk, nie czekając na jego słowa, odezwał się pierwszy:

– Niech Muhkuhdaenábíg słucha uważnie. Biali i Pawnee znajdują się w tym samym miejscu, w którym znaleźli ich zwiadowcy Dakotów. Jest trzy razy po dziesięciu i jeszcze trzech białych oraz trzy razy po dziesięciu i jeszcze pięciu Pawnee. Wodzem Pawnee jest Nezhéka-Ahnúng, który obydwu Neegigwug uważa za niedorośliwych i niedoświadczonych chłopców.

Nezhéka-Ahnúng zna mowę bladych twarzy i z oboma kupcami rozmawiał dzisiaj bardzo długo ich językiem. W czasie tej rozmowy powiedział, że Pawnee wyruszyli ze swej wioski, by porwać młodą dziewczynę, którą chcą złożyć w ofierze swemu bogowi – Gwieździe Porannej. Powiedział też, że ci, którzy wyruszyli by porwać tę dziewczynę, przyprowadzą więcej dziewcząt. Wtedy Pawnee dla siebie wybiorą jedną, a resztę oddadzą białym. Kenárbo myśli, że nie oddadzą za darmo. Widział w obozie wiele dużych worków, w których biali przechowują na pewno cenne przedmioty. Wódz Pawnee mówił, że prócz dwunastu wojowników, którzy wyruszyli wcześniej, wysłał także inną grupę, która ma pomóc tym pierwszym. Nie mówił jaką drogą ona wyruszyła i z ilu składa się wojowników. Przed wschodem słońca ma przybyć posłaniec od porywaczy. Może wtedy Kenárbo dowie się czegoś więcej. Na razie jest to wszystko, co ma do przekazania Długiej Strzale.

– Wódz chciałby wiedzieć, jak uzbrojeni są biali oraz Pawnee – spytał Czarny Wąż.

– Biali posiadają zwyczajne grzmiące kije, a niektórzy z nich także po dwie lub jednej krótkiej strzelbie, które noszą za pasem. Mają noże i toporki. Prawie wszyscy Pawnee posiadają łuki. Tylko u pięciu z nich Kenárbo widział stare strzelby. Część ma kamienne noże, a część takie same jakie noszą biali. Wszyscy posiadają tomahawki. Czy Czarny Wąż pragnie dowiedzieć się jeszcze czegoś?

– Nie, chciałby jedynie wiedzieć, kiedy Kenárbo będzie mógł przekazać następne wiadomości?

– Kenárbo tego nie wie. Nie jest pewien, czy jemu lub Sasay'dze uda się wymknąć w ciągu dnia. Ale jeżeli nie za dnia, to na pewno nocą. Przyjdzie w to samo miejsce co dzisiaj.

Obaj młodzieńcy rozstali się. Mohawk, wyminawszy i tym razem wartownika, bez przeszkód wrócił do obozu. Sasay'ga nachylił się ku niemu i szepnął:

– Ogashy są już zmęczone. Należy pozwolić im rozprostować nogi.

Jaguar dotknął delikatnie chrap swej klaczy, zwalniając jednocześnie prawie cały długi rzemień. Udując pogrążonego w głębokim śnie obserwował bacznie otoczenie.

Tuż przed świtem ciemność jak gdyby zgęstniała bardziej. Od strony prerii dobiegło urywane wycie kojota. W kilkanaście chwil później u wlotu doliny pojawiły się dwa cienie. Za jednym z nich posuwał się ogashy. Widocznie przybył posłaniec, o którym ubiegłego dnia wspominał wódz.

Młodzieniec widział, jak obaj przybyli zbliżyli się do miejsca gdzie spał Nezhéka-Ahnúng. Po paru chwilach wartownik oddalił się w stronę wylotu doliny. Natomiast nowo przybyły usiadł obok wodza.

Niebo na wschodzie stawało się coraz jaśniejsze. Wkrótce niewielką kotlinkę zalała jasność dnia. W jego świetle Sasay'ga i Jaguar widzieli wyraźnie wodza i nowego wojownika, który z nim rozmawiał. Obaj w czasie rozmowy gestykulowali żywo.

Z różnych gestów i mimiki twarzy obaj młodzieńcy mogli odnieść jedynie wrażenie, że wódz jest zadowolony i że prawdopodobnie posłaniec musiał przynieść mu pomyślne wieści.

W końcu Samotna Gwiazda wstał i skierował się ku miejscu, gdzie krzątali się kupcy. Podszedł do Wrighta i Batsona i coś im powiedział. Musiało to być coś niezmiernie ważnego, bo obydwaj po pierwszych słowach wodza poderwali się ze swoich miejsc. Wiadomości, jakich słuchali, musiały i dla nich być pomyślne. Śmieli się – klepali wodza po ramieniu.

Młodzieńcy nie mogli jednak z odległości, w jakiej znajdowali się, usłyszeć nawet jednego słowa. Udując z lekka zaspanego Mohawk wstał i nie odwijając z ręki rzemienia, który opasywał szyję jego ogashy, skierował się w stronę wody. Musiał przejść obok rozmawiających, szedł więc dosyć wolno, nie patrząc na nich. Nie mogli poznać, że ich rozmowa interesuje go. Musiał iść wolno, nie rozwiązał więc celowo przednich, spętanych nóg klaczy. Gdy znalazł się o kilka kroków od obu białych, jego ogashy, której przeszkadzały rzemień, szarpnęła się do tyłu i stanęła na tylnych nogach. Młodzieniec udując, że usiłuje ją uspokoić ściągnął rzemień, zaciskając do bólu pysk zwierzęcia. Klacz szarpnęła się tak gwałtownie, że o mało nie zwała go z nóg.

Widząc trochę nieporadne ruchy młodzieńca, który nie znał pewno jeszcze zbyt dobrze swego zwierzęcia, Czarnobrody zawołał ze śmiechem:

– Niech Kenárbo rozwiąże nogi ogashy – po czym zwracając się do wodza Pawnee, lecz już językiem białych, spytał z podziwem: – Więc Samotna Gwiazda mówi, że w pięciu kanu jest aż dwadzieścia młodych dziewczyn?

– Tak powiedział zwiadowca, który przybył jeszcze przed wschodem słońca. Żaden z dwudziestu jeden wojowników nie jest ranny.

– Kiedy będą tutaj dziewczyny?

– Przybędą, gdy słońce trzy razy przejdzie swą drogę po niebie. Za trzy dni, jak mówią moi biali bracia.

Mohawk, który wreszcie zdołał uporać się ze swym ogashy, oddalił się w stronę strumienia. Za chwilę ze swym srokatym ogierem dołączył Sasay'ga, a widząc zaszępiłą twarz przyjaciela spytał cicho:

– Jaguar usłyszał złą wiadomość i dlatego jest zmartwiony. Co to za wiadomość?

– Pawnee uprowadzili dwadzieścia dziewcząt i wiozą je w pięciu kanu. Dziewczęta i

dwudziestu jeden porywaczy znajdują się o trzy dni drogi stąd. Mohawk ani Moose nie znają okolicy. Nie wiedzą więc, gdzie znajduje się taka seebee, po której może płynąć swobodnie kanu obciążone czterema dziewczynami i czterema lub pięcioma wojownikami. Rzeka musi być dosyć głęboka. Zna ją na pewno Dakota. Wiadomość tę trzeba przekazać im bardzo szybko, lecz Mohawk nie wie jak to uczynić. Ani on, ani Sasay'ga nie mogą oddalić się z obozu w ciągu dnia, gdy wszyscy biali i Pawnee patrzą. Dlatego Jaguar nie może się cieszyć. Obaj z Sasay'gą muszą szybko myśleć. Nie mogą dopuścić, by dziewczęta znalazły się tu. Wtedy pilnowało ich będzie nie dwudziestu jeden, a prawie dziewięćdziesięciu białych i Pawnee uzbrojonych w grzmiące kije. Dakota nie będą mogli zaatakować obozu. Wielu z nich zginęłoby.

Sasay'ga odwiązał rzemień z szyi swego wierzchowca i zamyślił się. Podobnie jak jego przyjaciel zdawał sobie sprawę, że oddalenie się z obozu w ciągu dnia było niepodobieństwem. Istniała co prawda możliwość ucieczki, ale ucieczka taka skończyłaby się bardzo prędko. Pawnee byli znakomitymi jeźdźcami. Albo dogoniliby go bardzo szybko, albo zabili w czasie takiej ucieczki. W ten sposób zgubiłby nie tylko siebie i Mohawka, ale prawdopodobnie zaszkodziłby sprawie uprowadzonych z jakiejś wioski dziewczyn.

Skierował się w miejsce, gdzie spędzili noc i usiadł w milczeniu. Tak, Kinwáukwunwe musiał wiadomość otrzymać jeszcze w ciągu tego dnia. Ale jak tego dokonać? Coraz bardziej przygnębiony wzrok młodzieńca skierował się ku niewielkiemu obłokowi wiszącemu wysoko nad lasem. Poniżej, zataczając powolne kręgi nad koronami drzew, unosił się dumnie złocisty orzeł. Młodzieniec patrząc na ptaka modlił się żarliwie. Prosił swego ducha o radę i pomoc. Orzeł wznosił się, opadał; wciąż szybował nad tym samym miejscem.

– Pewno krąży nad gniazdem – pomyślał młodzieniec i odruchowo spojrzał na wodza Pawnee. W jego włosach tkwiło jedno pióro. Jeszcze raz spojrzał w miejsce, gdzie znajdował się ptak i jakaś niejasna myśl zaczęła kiełkować w jego głowie. Tak, skoro on widział ptaka, musieli widzieć go i inni. Jak wiedział, zwiadowcy Dakotów znajdowali się nie tylko na prerii, ale i w lesie. Ptaka musieli widzieć. Przebywając w wiosce Yanktonai słyszał od Małej Stopy, że aby zdobyć pióra Orła Złocistego, myśliwi prerii przedsięwzięli dalekie wyprawy. Pióra takie potrzebne im były jako ozdoba wojennego pióropusza. Toteż mężczyzna, któremu udało się upolować takiego orła, cieszył się szacunkiem. Mógł część piór sprzedać lub podarować swym braciom, część wymienić na inne potrzebne i pożyteczne rzeczy. Samotna Gwiazda nosił we włosach farbowane pióro indyka. Chciałby pewno mieć chociażby jedno pióro ptaka unoszącego się obecnie nad lasem. Tak, to była jedyna możliwość. Dotknął ramienia milczącego towarzysza i powiedział cicho:

– Sasay'ga przekaze wiadomość zwiadowcy Dakotów. Niech Jaguar nie martwi się.

– Sasay'ga nie wyjdzie w ciągu dnia z obozu. Pawnee nie wypuszczą go – zaprzeczył Mohawk.

Moose uśmiechnął się.

– Jego brat może być spokojny. Sasay'ga wyjdzie z obozu na oczach wszystkich Pawnee i za zgodą ich wodza. Oni wszyscy, a szczególnie wódz, będą chcieli by wyszedł. Niech brat Sasay'gi uda się z nim w miejsce, gdzie siedzą obecnie obaj biali wodzowie i wódz Pawnee i w razie potrzeby niech tylko potwierdzi słowa Sasay'gi.

Mohawk popatrzył z niedowierzaniem na swego przyjaciela, lecz w końcu skinął głową.

– Jeśli Sasay'ga jest pewien, że jego pomysł jest dobry, niech go wykona. Jaguar myślał, ale żaden podstęp nie przyszedł mu do głowy. Niech jednak Sasay'ga nie naraża się niepotrzebnie.

– Moose nie naraża się; najwyżej okaże się, że źle strzela z łuku i Pawnee będą się z niego śmiali. Chodźmy – nie ma czasu!

W parę chwil potem obydwaj zatrzymali się obok białych rozmawiających z wodzem Pawnee. Wodzowi towarzyszył wojownik, który poprzedniego dnia tłumaczył rozmowę

Sasay'gi z Nezhéka-Ahnúng.

Obaj młodzieńcy stanęli skromnie. Samotna Gwiazda nie kazał im jednak czekać zbyt długo. Zwrócił się do swego tłumacza i rzucił kilka słów. Groźnie wyglądający wojownik wbił w Sasay'gę swój okrutny, przenikliwy wzrok i spytał chrapliwie:

– Wódz pyta, z czym przychodzą jego młodzi bracia?

Sasay'ga postąpił krok do przodu i mimo że na jego twarzy malowało się tłumione podniecenie wywołane, jak sądzili patrzący, niedawną utarczką słowną z przyjacielem, powiedział z pozornym spokojem:

– Obaj Neegigwug pragną prosić wodza Pawnee, by rozstrzygnął ich spór. Są dziećmi tego samego ludu i nigdy jeszcze nie sprzeczekali się. W czasie rozmowy, jaką prowadzili przed chwilą, Assinbo przyznał sam, że na swym ogashy jeździ gorzej niż jego brat na swoim. Kenárbo nie chce jednak przyznać, że Assinbo lepiej strzela z łuku.

Wódz popatrzył uważnie na wyraźnie zagniewaną twarz młodzieńca.

– A na czym Kenárbo opiera swoje twierdzenie, że nie strzela gorzej niż Assinbo?

Moose przestąpił z nogi na nogę i odparł:

– Assinbo twierdzi, że za pomocą tylko jednej strzały trafiłby orła, który szybuje teraz nad lasem – tu pokazał krążącego dość wysoko ptaka – a Kenárbo twierdzi, że orzeł jest zbyt wysoko nad ziemią i że Assinbo nie trafi go w locie.

– Czy Assinbo z łuku strzela tak dobrze, jak Kenárbo jeździ na swym ogashy? – wódz uśmiechnął się wyraźnie ubawiony. Uśmiechnęli się również obaj biali.

Tym razem postąpił do przodu Mohawk i powiedział skromnie:

– Kenárbo nie umie jeszcze jeździć na ogashy tak dobrze jak wojownicy Pawnee i rozumie, że wódz żartuje, ale wie, że jego brat Assinbo, ani nawet najlepszy myśliwy, nie trafi ptaka unoszącego się na tej wysokości i to z pomocą tylko jednej strzały.

Wódz milczał dłuższą chwilę, obserwując uważnie wdzięczny lot orła. Wreszcie popatrzył przenikliwie na Sasay'gę i spytał:

– Czy Assinbo pragnie zdobyć pióra ptaka, by ozdobić nimi swą głowę?

Młodzieniec zaprzeczył żywo.

– Nie, Assinbo nie ma prawa do noszenia piór Orła Żłocistego. Nie chce ich. Jeśli jego strzała strąci ptaka, podaruje go Samotnej Gwieździe z wdzięczności, że wódz pozwolił rozstrzygnąć spór między przyjaciółmi.

– A jeśli Assinbo nie trafi orła?

– Przyzna wtedy rację swemu bratu Kenárbo i nigdy już nie będzie wywyższał się ponad niego.

Nezhéka-Ahnúng patrzył z coraz większym pożądaniem na cudownego ptaka. W krainie, którą zamieszkiwał lud Pawnee, nie było już tak pięknych okazów. Mieszkały zresztą w niedostępnych skalnych gniazdach, a w ciągu dnia unosiły się bardzo wysoko i były bardzo ostrożne. Ich pióra stanowiły skarb. W wiosce Pawnee tylko szaman posiadał kilka takich piór. Ptak widziany obecnie, mimo złudzenia jakie stwarzała odległość od patrzących, nie znajdował się wcale tak wysoko jak sądził Kenárbo. Assinbo wysokość tę oceniał na pewno lepiej, zresztą nie ryzykowałby ośmieszenia się nie tylko przecież w oczach przyjaciela. Tak, strzała kierowana ręką doświadczonego strzelca mogła z łatwością pokonać odległość od ziemi do piersi ptaka i strącić go. Młody myśliwy z północy nie był najlepszym jeźdźcą, ale jeździł przecież jeszcze bardzo krótko. To go tłumaczyło. Nie musiał być jednak złym strzelcem. Samotna Gwiazda raz jeszcze spojrzał na odległy cel i zdecydowanie skinął głową.

– Dobrze! Wódz Pawnee będzie sędzią. Niech Assinbo przyniesie swój łuk i wybierze jedną strzałę. Samotna Gwiazda obejrzy ją.

Młodzieniec niczym jeleń skoczył w stronę kępy jeżyn; przyniósł łuk i kołczan ze strzałami. Wysypał je na trawę i począł starannie przebierać. W końcu wybrał jedną, zbadał zamocowanie grotu i piór, i podał ją wodzowi.

– Assinbo zabierze z sobą tylko tę.

Nezhéka-Ahnúng również przyjrzał się strzale. Po wyrazie jego twarzy widać było, że akceptuje wybór młodzieńca.

– Samotna Gwiazda widzi, że jego młody brat zna się na strzałach. Pragnie udzielić mu jednak jednej tylko rady. Niech nie spieszy się z podejściem w miejsce, skąd zechce wypuścić swą strzałę. Orzeł ma dobry wzrok i gdyby dojrzał zbliżającego się myśliwego, mógłby wznieść się jeszcze wyżej, gdzie nie dosięgnie go nawet pocisk wystrzelony z grzmiącego kija.

Młodzieniec przytaknął poważnie.

– Assinbo nie będzie się spieszył.

Pozbierał pozostałe strzały i umieścił je na powrót w kołczanie, który podał Mohawkowi. Sam ujął łuk i wybraną przez siebie strzałę; jeszcze raz pokazał ją obydwu białym, wodzowi oraz jego tłumaczowi, odwrócił się i bez jednego słowa więcej zagłębił się w las.

Rozmowę jego słyszało kilku białych i dwu lub trzech Pawnee. Inni, dowiedziawszy się o zadaniu jakiego podjął się młodzieniec, grupowali się wokół wodza. Rozmawiali przyciszonymi głosami, w których czuło się lekkie podniecenie, coś na kształt gorączki ogarniającej grupę myśliwych przed polowaniem na grubego zwierza.

Mohawk, nie zwracający pozornie uwagi na nikogo, obserwował jednak bacznie ich zachowanie. Nie dostrzegł na szczęście oznak wrogości czy podejrzliwości. Czuł jedynie wzmagające się z każdą chwilą napięcie oczekiwania.

Czas jednak płynął powoli; cichły rozmowy, kończyły się pojedyncze szepty. Kilkudziesięciu mężczyzn coraz usilniej wpatrywało się w unoszącego się nad ziemią ptaka. Powstał wódz Pawnee oraz obydwaj biali. Widocznie pragnęli lepiej widzieć. Mohawk również nie odrywał wzroku od szybującego orła. Wprawdzie widział wielokrotnie, jak jego przyjaciel trafiał w o wiele mniejszy cel, ale nigdy nie widział, by strzelał do celu tak odległego. Gdy przed oczyma mignęła mu wizja głowy wodza Pawnee ozdobionej pękiem złotych piór, mimowolnie zacisnął mocniej szczęki i nieomal zapragnął, by Sasay'ga nie trafił. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Nie, znacznie lepiej stałoby się, gdyby jego przyjaciel i tym razem miał szczęśliwą rękę. Dar, jaki zamierzał złożyć wodzowi, musiałby zyskać mu jego wdzięczność. Jeszcze mocniej zwarł szczęki.

Lada chwila zwiastun śmierci winien pomknąć w górę. Minęło tak wiele czasu od chwili, gdy Sasay'ga opuścił obóz, że powinien znajdować się już w pobliżu złocistego ptaka. Stał więc i patrzył.

Wokół zaległa śmiertelna cisza. Zda się każdy z obecnych bał się odetchnąć głębiej. A orzeł szybował wciąż nad wierzchołkami drzew dumnie, szeroko, spokojnie. Nie widział zbliżającego się niebezpieczeństwa; nie czuł zimnego powiewu śmierci.

W pewnym momencie szybkość lotu ptaka jak gdyby zwiększyła się nieznacznie. Orzeł zaczął wzbijać się do góry.

Wśród patrzącej grupy powstał szmer. Na wielu twarzach pojawił się cień zawodu. Czoło Samotnej Gwiazdy przecięła zmarszczka gniewu.

Ptak piał się szybko w górę. Patrzący zdali sobie sprawę, że znajduje się już poza zasięgiem myśliwego. I właśnie w tej chwili, gdy Mohawk chciał już odwrócić wzrok od nieosiągalnego króla przestworzy, ten zachwiał się gwałtownie, zaczął bić szybko powietrze swymi potężnymi skrzydłami; na moment zawisł nieruchomo i... runął w dół.

Wśród patrzących rozległo się długie, przeciągłe westchnienie.

Jaguar poczuł dziwny skurcz w gardle. Podobnie jak wszyscy pozostali nie wierzył już w sukces swego przyjaciela. Siłą stłumił ogarniające go wzruszenie i spuścił głowę. Nie mógł okazać radości w oczach.

Czując dotknięcie ręki na swym ramieniu uniósł głowę. To wódz Pawnee stał przy nim.

– Wszyscy widzieli strzał Assinbo – powiedział – widział go również Kenárbo. Czy

Samotna Gwiazda nie myli się?

– Nie, wódz mówi prawdę. Kenárbo widział spadającego orła. Wstydzi się, iż wątpił w umiejętności strzeleckie Assinbo. Nie będzie już wątpił. – Ponownie, by stłumić błysk radości spuścił głowę.

Nezhéka-Ahnúng poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Kenárbo jest jeszcze młody, mógł się pomylić co do swego przyjaciela, przeprosi go, gdy Assinbo wróci z orłem – powiedział wyrozumiale.

Jakoż po upływie czasu, który biali nazywają połową godziny, Assinbo ukazał się na skraju doliny. Stapał dumnie, pewnie; w lewym ręku niósł łuk, przez prawe ramię przewiesił orła. Trzymał jego związane nogi pozwalając, by dziób olbrzymiego ptaka włókł się prawie po ziemi. By nie uszkodzić piór i skrzydeł, przymocował je do ogromnego tułowia.

Stanąwszy przed wodzem zdjął ptaka z ramienia, odwinął rzemień okręcony wokół skrzydeł; te ostatnie rozłożył szeroko na ziemi. Odstąpił krok do tyłu i spojrzał w twarz Samotnej Gwiazdy.

– Czy wódz może powiedzieć teraz kto miał rację – Kenárbo czy Assinbo?

Pawnee spoglądał z zachwytem na przepięknego ptaka, długą strzałę tkwiącą w jego piersi, cudowne, wachlarzowato rozłożone pióra. Jednym zdecydowanym ruchem wyszarpnął strzałę, podał ją młodzieńcowi i powiedział poważnie:

– Samotna Gwiazda, wódz Pawnee, mówi, że Assinbo dokonał wielkiego myśliwskiego czynu. Nikt nigdy nie powie, że nie potrafi upolować orła unoszącego się wyżej, niż może dolecieć strzała najlepszego myśliwego. W sporze z Kenárbo Assinbo miał rację. Przekonał o tym wszystkich.

Młodzieniec, do którego zwrócone były te słowa, jeszcze raz spojrzał na swą wspaniałą zdobycz, po czym dotykając jej lekko, nieomal pieszczotliwie końcem strzały, powiedział cicho:

– Assinbo, tak jak obiecał poprzednio, darowuje ptaka wodzowi Pawnee – jednocześnie ujął strzałę za oba końce, złamał ją i złamaną włożył do trzymanego przez Jaguara kołczanu, a widząc zdziwiony wzrok wodza wyjaśnił: – Strzała, która zabrała życie orła, nie może być użyta przeciwko żadnemu innemu zwierzęciu. Duch ptaka mógłby obrazić się na myśliwego i pozbawić go łowieckiej zręczności lub sprowadzić na niego inne nieszczęście.

Samotna Gwiazda schylił się, jednym ruchem ostrego noża odciął najpierw szpony, a następnie potężny zakrzywiony dziób ptaka i podał je młodemu myśliwemu.

– Niech Assinbo zachowa je, a gdy wróci do swej wioski wykona z nich naszyjnik. Wszyscy Neegigwug będą patrzyli na niego z zazdrością i szacunkiem. Za podarowanie orła wódz Pawnee dziękuje swemu młodemu bratu. W zamian darowuje mu swój nóż. – Z tymi słowy wyjął zza pasa długi myśliwski błyszczący nóż i podał młodzieńcowi.

Wokół spoczywającego na trawie olbrzymiego złocistego ptaka zgromadzili się prawie wszyscy mężczyźni. Każdy pragnął przyjrzeć mu się z bliska, dotknąć jego piór, potężnych skrzydeł i silnych łap, w których mógł unieść młodego jelenia.

Do Assinbo zbliżyli się dwaj biali kupcy, a Czarnobrody, który równie jak drugi kupiec nie krył swego podziwu dla młodego myśliwego, spytał:

– Czemu Assinbo nie strzelał, gdy orzeł nie był jeszcze tak bardzo wysoko, lecz pozwolił mu się dojrzeć i wznieść wyżej?

Młodzieniec odparł spokojnie:

– Assinbo przez cały czas zachowywał się tak, by ptak nie mógł go dostrzec. Kiedy znalazł się pod orłem, gałęzie wielkiego drzewa przysłoniły mu niebo. Nie mógł strzelać. Musiał wyjść na małą polankę. Orzeł patrzył na gniazdo, umieszczone na szczycie drzewa i zobaczył myśliwego. Wzniósł się wyżej, usiłując uciec, ale strzała zdążyła go doścignąć. Assinbo żałuje tylko, że na straży gniazda pozostała jedynie matka orłów. Będzie musiała sama zaopatrywać swe młode w pokarm i bronić ich przed niebezpieczeństwem. Syn ludu

Neegigwug po powrocie do wioski będzie musiał spytać czarownika, jakie dary należy złożyć, by matka orłów nie gniewała się.

– Biali bracia rozumieją to – powiedział chytrze kupiec. – Myśleli od razu o tym, jak należy pomóc swemu bratu, by mógł przeprosić orły i przebłagać je. Myślą, jakie powinien złożyć ofiary. Nie wiedzą tego jeszcze. Spytają swego Wielkiego Ducha. Może im poradzi. Dotychczas przebywali wśród wielu ludów na wschodzie i na północy i słyszeli, że orły, które panują w krainie grzmotu jako ofiarę chętnie przyjmują głos wydawany jednocześnie przez dwa grzmiące kije. Jeśli Wielki Duch białych nie sprzeciwi się, to Assinbo i Kenárbo otrzymają dwie strzelby, by zabrali je do swej wioski i za ich pomocą złożyli tam ofiarę matce orłów.

Assinbo, który nie dał poznać po sobie, że doskonale zrozumiał do czego zmierza kupiec, spytał trochę nieufnie:

– A gdyby duch białych braci nie sprzeciwiał się temu, kiedy biali wodzowie poznają jego odpowiedź?

Kupiec ponownie przybrał chytry wyraz twarzy i odparł:

– Zwykle Wielki Duch białych udziela im odpowiedzi w przeciągu trzech dni. Tym razem również chyba nie będzie myślał i zastanawiał się dłużej. Tak. Odpowiedź jego biali poznają za trzy dni. Jeśli więc moi czerwonoskórzy bracia pragną poznać wolę Wielkiego Ducha Kupców i wrócić do swej wioski z dwoma – podkreślił to mocno – grzmiącymi kijami, muszą pozostać ze swymi przyjaciółmi jeszcze trzy dni!

Obaj młodzieńcy popatrzyli na siebie i zrozumieli się, bo Assinbo skinął głową.

– Oni poczekają. Myślą, że Wielki Duch bladych twarzy wysłucha przychylnie swych dzieci. Assinbo i Kenárbo pójść teraz posilić się.

Miejsce na skraju jeżyn było bardzo dobrze wybrane. Teraz w blasku poranka przekonali się o tym ponownie. Nikt nie mógł zbliżyć się do nich niepostrzeżenie i nikt nie mógł ich podsłuchać.

Przeżuwając starannie skrawki zimnego mięsa rozmawiali półgłosem. Mówił właśnie Mohawk:

– Jaguar niepokoił się o swego brata. Assinbo bardzo długo podkradał się do orła. Czy nie było tam drzew, pod których osłoną mógł podążać szybciej?

– Mógł, ale nim obóz zniknął z jego oczu zrozumiał, że nie wolno mu się spieszyć, że ścieżka w tamtą stronę winna być znacznie dłuższa niż ścieżka powrotna. Gdyby postąpił odwrotnie, Pawnee mogliby zacząć się zastanawiać, dlaczego wraca tak długo i mogliby powziąć jakieś podejrzenia. Musiał więc zwolnić swój krok. Postanowił też najpierw znaleźć zwiadowców Dakotów, a dopiero potem zapolować na orła. Nie krył się więc wcale i zachowywał tak, by zwiadowcy dostrzegli go jak najszybciej. Spotkał ich w połowie drogi. Na jego widok wyszli z ukrycia Czarny Wąż i Kojot. Sasay’ga przekazał im wiadomości zdobyte przez Jaguara i Kojot natychmiast pobiegł przekazać je Długiej Strzale, który ze swymi wojownikami otoczył już cały las i od miejsca, gdzie Assinbo upolował orła, znajdował się nie dalej jak o trzy strzelania z łuku.

Długa Strzała przybył w to miejsce zaraz po upadku ptaka i Sasay’ga rozmawiał z nim. Rozmawiał także z Kenéwhem. Yanktonai i Yankton połączyli swe siły. Wkrótce połączą się z nimi Santee. Kenéwh zamknął wszystkie ścieżki od zachodu – od strony prerii; Kinwáukwunwe – cały las od północy i wschodu, a także częściowo od południa. Obydwaj wiedzą, gdzie znajduje się rzeka, po której może płynąć oddział Pawnee z porwanymi dziewczętami. Spróbują przeszkodzić w połączeniu się tego oddziału z białymi i tymi Pawnee, którymi dowodzi Samotna Gwiazda. Prosili, by Sasay’ga i Jaguar byli nadal ostrożni.

– Czy widzieli jak Sasay’ga polował na orła?

– Tak i chwalili go za bardzo dobry i trudny strzał. Obiecali, że dzisiejszej nocy przekażą

ważną wiadomość. Jaguar lub Sasay'ga spotkają ich w miejscu, gdzie nocą Mohawk spotkał się z Czarnym Wężem.

Nocą, podobnie jak poprzednio, Jaguar wykradł się z obozu i ominąwszy strażę szybko dotarł na umówione miejsce spotkania. Wbrew jednak zapowiedzi, w miejscu tym nie było obydwu wodzów. Znajdował się jedynie Czarny Wąż, który przyprowadził dwa ogashy. Po krótkim przywitaniu powiedział:

– Wodzowie pragną porozmawiać swobodnie. Niech mój brat jedzie ze mną.

Mohawk bez słowa wskoczył na grzbiet wierzchowca. Z razu jechali powoli; później puścili mustangi w cwał. Pędzili na południe. Teren obniżał się stopniowo. Wkrótce dotarli do nisko położonej doliny. Po przebyciu dalszych kilkuset kroków skręcili w prawo.

Nad niewielkim potokiem płonęło kilka ognisk. Przy jednym z nich siedzieli obaj wodzowie. Młodzieńcy zeskoczyli na ziemię. Kinwáukwunwe i Kenéwh przywitani Mohawką serdecznie i poprosili, by wraz z Czarnym Wężem zajęli miejsca przy ognisku. Obydwaj mieli poważne twarze. Pierwszy zabrał głos Kinwáukwunwe:

– Długa Strzała oraz Orzeł Wojny – powiedział – cieszą się widokiem swego młodego brata oraz tym, że udało mu się opuścić obóz nieprzyjaciół i oszukać ich. Mają mu do przekazania ważne wiadomości. – Chwilę milczał; twarz jego spoważniała jeszcze bardziej. – Wiadomości te jednak nie są pomyślne. Sasay'ga przekazał wodzom informacje, że Pawnee uprowadzili dużo dziewcząt i płyną z nimi po nieznannej rzece w stronę obozu białych. Kinwáukwunwe i Kenéwh domyślili się, o jaką rzekę chodzi i natychmiast wysłali tam zwiadowców oraz sześćdziesięciu wojowników, by odciąć drogę całemu oddziałowi. W połowie drogi ich wojownicy spotkali już jednak własnego zwiadowcę. Powiedział im, że na Pawnee wiozących dziewczęta urządził zasadzkę duży oddział Hakatonwan, który podążał ich tropem. Hakatonwan przygotowali zasadzkę niedaleko miejsca, gdzie na Pawnee oczekiwały ogashy, ale pewnie ścigający nie wiedzieli o nich. Walka nastąpiła nocą. Tropiciele Dakotów, którzy przybyli w to miejsce o wschodzie słońca, odczytali ze śladów, że walka była ciężka. Zginęło w niej dwunastu Pawnee i głowy ich zostały oskalpowane. Czterech rannych pojмали Hakatonwan. Pięciu uciekło. Zabrali z sobą trzy dziewczyny. Tropem ich poszło ośmiu Hakatonwan. Ale zginęło także pięciu Hakatonwan. Nie zginęła żadna dziewczyna. Bracia Kenárbo zabrali z sobą te, które uwolnili i pewnie wrócili do swoich wiosek. Tylko tych ośmiu udało się śladami Pawnee. Ale nie dogonili ich. Skidi zabrali wszystkie ogashy, a Hakatonwan idą pieszo. Wkrótce stracą ślad.

– Czy wojownicy Dakotów wyruszyli w pościg za porywaczami? – spytał Mohawk. – I czy może ścigają także braci Sasay'gi?

Kinwáukwunwe oparł dłoń na ramieniu młodzieńca i powiedział poważnie:

– Wódz wie, że Kenárbo nie chciał go urazić i tylko troska o braci przyjaciela podyktowała mu takie pytanie. Kinwáukwunwe i Kenéwh pragną mu więc powiedzieć, że chociaż są wrogami Hakatonwan, to jednak nie napadają nigdy na sprawiedliwych i nie czynią im krzywdy. Ośmiu wojowników Hakatonwan jest na sprawiedliwej wojennej ścieżce przeciwko Pawnee i Dakota, nawet jeśli ich spotkają, nie obróć przeciwko nim swych wojennych toporów. Jeśli zajdzie potrzeba pomogą im odzyskać dziewczęta i odejść z nimi w pokoju do rodzinnej wioski. Są jednak przekonani, że bracia Assinbo zgubią ślad i będą musieli zrezygnować z pościgu.

Wojownicy Dakotów nie ruszyli także w pościg za porywaczami. W miejscu walki, po upływie prawie pół Wieczoru, znalazło się tylko dwu zwiadowców Dakotów. Jeden pospieszył tu. Drugi udał się śladem porywaczy i uprowadzonych trzech dziewczyn.

– Czy wodzowie wiedzą, z jakiego plemienia porwano dziewczęta? – Nie wiedzą tego – odparł Długa Strzała.

– Nie znają znaków, jakie noszą wojownicy tego plemienia. Ale zwiadowcy znaleźli jeden taki znak w miejscu walki. Ozdobiona nim była strzała, która zabiła Pawnee. – Wódz wyjął z

kołczanu długą grubą strzałę i podał ją Mohawkowi. Ten ujął ją ostrożnie i przybliżył do ognia, gdzie znak wryty tuż obok przedniej części piór zarysował się wyraźniej. Na lekko spłaszczonej powierzchni strzały widniał ciemny zarys szeroko rozłożonych rogów łosia... Bez słowa zwrócił strzałę wodzowi.

– Czy Kenárbowie wiedzą, do jakiego ludu należy ten znak? – spytał Kenéwh.

Młodzieniec skinął głową.

– Tak, to znak wioski, z której pochodzi Assinbo!

Wódz Yanktonai przez chwilę obserwował młodzieńca w milczeniu, po czym stwierdził uroczyście:

– Kenéwh i jego brat Kinwáukwunwe obiecują swemu młodemu bratu, że nie zejną ze swej wojennej ścieżki, dokąd nie ukarzą Pawnee i fałszywych białych kupców. Uczynią też wszystko, by znaleźć ślad uciekających pięciu Pawnee, chociaż sądzą, że ci zechcą połączyć się z oddziałem Samotnej Gwiazdy. Nawet im w tym pomogą.

Teraz niech Kenárbo słucha uważnie i wszystko dobrze zapamięta. Obóz, w którym przebywają wrogowie został założony dobrze dla tych psów. Wojownicy Kenéwha i Kinwáukwunwe nie mogą go zaatakować ani od strony prerii, ani od strony lasu. Zginęłoby ich wtedy bardzo wielu. Nie boją się śmierci, ale nie chcą, by w ich wioskach panowała żaloba. Zmuszą więc swych wrogów, by opuścili zajmowane dotąd miejsce i poszukali innego. Takiego, w którym grzmiące kije bladych twarzy nie mogłyby uczynić Dakotom zbyt wiele szkody.

Niech Kenárbo słucha uważnie. – Tu wódz ściszył głos i mówił długo, powoli, wyraźnie. Na dużej, jasnej skórze jelenia rysował jednocześnie cały teren okalający obóz białych. Wprawnie zaznaczał obszary lasów, wzgórze, najmniejsze doliny i strumyki. Kończąc powiedział: – Wiem, że Kenárbo i Assinbo chcieliby uwolnić swoje siostry jak najszybciej. Muszą jednak dla ich i dla własnego bezpieczeństwa zaniechać takiej próby, zanim Pawnee i biali nie zmienią swego miejsca pobytu. Kenárbo wie, co ma czynić. Zadanie jego jest bardzo trudne, ale nikt inny nie będzie w stanie go wykonać. Czy nasz brat zgadza się na plan proponowany przez obydwu wodzów? Czy dobrze pamięta wszystkie szczegóły terenu i czy w razie potrzeby będzie się w nich dobrze orientował?

Jaguar skinął głową.

– Kenárbo zrozumiał plan swych braci. Postara się nie zawieść ich zaufania.

Kenéwh ujął go pod rękę, ważył coś w myśli, w końcu powiedział przyciszonym głosem:

– Wśród Pawnee znajduje się przyjaciel. Pomoże swym braciom. Niech Kenárbo już jedzie. Długo przebywał poza obozem swych wrogów. Nie powinni dostrzec jego nieobecności.

W jakiś czas potem, podobnie jak poprzedniej nocy, dwójka przyjaciół szeptała prawie do świtu. I podobnie jak poprzednim razem, nad ich bezpieczeństwem czuwały oczy i uszy oraz uzbrojona w długi nóż ręka kogoś trzeciego.

Prawie do południa nie działo się nic szczególnego. Umilkły jedynie ptaki; znieruchomiała powietrze, stało się duszno. Płuca z trudem łapały oddech.

Do kępy jeżyn, pod którą drzemali Mohawk i Moose, podszedł wojownik, który pośredniczył we wszystkich rozmowach z wodzem i jak mogło się wydawać, był jedynym, który rozumiał trochę mowę Ojebwag, chociaż posługiwał się nią nie najlepiej.

Zbliżywszy się do obu młodzieńców, skrzekliwym nieco głosem powiedział:

– Wódz polecił, by Neegigwug schwytali swoje mustangi i wprowadzili między drzewa i niech trzymają je krótko, tak jak Pawnee. Niedługo nadejdzie z południa Mújje noodin⁸². Ogashy mogą się spłoszyć i uciec. Neegigwug niech robią to samo, co Pawnee. – Z tymi słowami oddalił się.

Młodzieńcy popatrzyli na siebie niepewnie. Pierwszy raz słyszeli słowa „Zły Wiatr” i nie

⁸² Mújje noodin (czyt. Ma-že nur:-din) – Zły Wiatr

wiedzieli, co one oznaczają, ale widać Pawnee, a także biali rozumieli, bo pośpiesznie chwyтали ogashy i odprowadzali w las. Biali przenosili swoje worki pod najgrubsze drzewa i przywiązywali je do nich mocnymi sznurami.

– Chodźmy – powiedział Mohawk – wojownicy Pawnee wiedzą co czynią. – Szybko schwytali mustangi, zabrali swoje rzeczy i idąc za przykładem innych weszli między drzewa.

Mimo pozornego spokoju i ciszy zwierzęta zachowywały się trwożnie. Parskały głośno, przestępowały z nogi na nogę, podrzucały niespokojnie łbami.

Przywiązawszy klacz do grubego sęka, Mohawk wysunął się na sam skraj lasu. Niebo było czyste, najmniejszy powiew wiatru nie zaszeleścił w gałęziach. Jedynie słońce straciło swój jasny blask. Kolor jego stał się bardziej czerwony. Tarczę otoczyła mleczna obręcz. Na południowym krańcu prerii powietrze poczęło gęstnieć; zrobiło się ciemniejsze. Młodzieniec poczuł dziwny ból w uszach.

W parę chwil potem zaszeleściły liście; z południa nadszedł pierwszy podmuch wiatru. Niebo, od strony w którą patrzył, szybko ciemniało; w powietrze wzbily się chmury czarnego pyłu, które w bardzo krótkim czasie zaczęły wirować wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu utworzyły wysoki, sięgający nieba czarny słup.

Potworne uderzenie wichru o mało nie zważyło młodzieńca z nóg. W jednej chwili wiatr wygiął korony drzew, wyrócił smukłą wysoką brzozę i poszarpał jej gałęzie.

Jaguar wycofał się szybko do swego ogashy i rozejrzał dokoła. Wszyscy Pawnee trzymali zwierzęta krótko przy pysku, patrzyli jednak na południe, tam gdzie wznosił się wielki, czarny słup powietrza. Zdawali się nie zwracać żadnej uwagi na potężniejący z każdą chwilą wiatr. Wzrok mieli utkwiony w owym słupie, który rósł w oczach, stawał się coraz grubszy i potężniejszy i nie pozostawał w tym samym miejscu. Poruszał się coraz szybciej. Jego zrazu prosty kształt poczał się wyginać niczym ciało ogromnego węża.

Zmierzał z południa na północ, zbliżając się jednocześnie w stronę patrzących. W pewnej chwili zawirował gwałtownie, zatrzymał się w miejscu i runął wprost w kierunku niedawno opuszczonej kotliny.

Samotna Gwiazda rzucił donośny rozkaz. Pawnee w jednej chwili znaleźli się na grzbietach ogashy. Błyskawicznie uczynili to biali oraz obaj młodzieńcy.

Wódz wspiął swego rumaka i pomknął skrajem prerii. Był już ostatni czas. Straszliwy wir powietrzny w mgnieniu oka dotarł do środka polany i uderzył w ścianę lasu.

Ogromne kilkusetletnie drzewa pękały z hukiem pioruna. Inne, wyrywane z korzeniami, znikwały w czarnym jak noc powietrzu.

Nim jeźdźcy zdolali oprzytomnieć, Samotna Gwiazda wstrzymał pęd swego wierzchowca. Obejrzał się do tyłu i zawrócił wolno.

Mimo iż wiatr dał jeszcze z ogromną siłą, spoza chmury czarnego pyłu zaczęły prześwitywać jaśniejsze promienie słońca. Zły Czarny Wiatr oddalał się szybko na północ. Jeźdźcy zawrócili do obozu.

Mohawk, który kilkanaście chwil przedtem przestał cokolwiek słyszeć i myśleć, że serce wyskoczy mu z piersi, uczuł że ból w uszach ustępuje, usta mogą zaczerpnąć powietrza, uspokaja się serce. Ogashy oddychały jeszcze szybko, ale nie okazywały już lęku.

Wracali wolno. Na skraju polany, którą zajmowali jeszcze nie tak dawno, wódz zatrzymał się i zeskoczył na ziemię. Patrzyli wszyscy. Kotlina świeciła pustką. Nie zostało na niej ani jedno drzewo czy krzak. Zniknęła gdzieś kępa jeżyn, pod którą zajmowali miejsce Jaguar i Sasay'ga. Straszliwy wichur powyrywał drzewa na skraju lasu; przestraszywszy się jednak widocznie gniewu ducha drzew, wrócił ponownie na prerię i oddalił tak, że w tej chwili stracili go już z oczu.

Biali pospieszyli w miejsce, gdzie pozostawili swe duże worki, ale wkrótce potem wrócili uspokojeni. Przywiązane do grubych drzew pozostały w stanie nie uszkodzonym.

Czarnobrody, który wyszedł właśnie spomiędzy zwalonych drzew i zmierzał ku stojącemu

na skraju kotliny wodzowi, zatrzymał się nagle i wskazując w stronę prerii krzyknął:

– Uhnishenáhbag!

Wódz odwrócił się w jednej chwili i zaledwie rzucił okiem we wskazanym kierunku, krzyknął coś ostro, rzucając jednocześnie kilka prawdopodobnie krótkich poleceń. Pawnee w jednej chwili leżeli na poszarpanej Złym Wiatrem ziemi. Cofali się ostrożnie w stronę zwalonych drzew.

Obaj kupcy oraz pozostała część białych, a także Mohawk i Moose czynili to samo. Kilku wojowników zapędzało ogashy głębiej w las.

Wszyscy patrzyli na prerię. Prosto w kierunku ukrytego ponownie obozowiska pędziło kilku jeźdźców. Byli jeszcze dosyć daleko, ale po szybkości, z jaką zbliżali się, można było odgadnąć, że się bardzo spieszą.

Biały zwany Wrightem, leżący ze strzelbą w ręku obok wodza, spytał półgłosem:

– Czy Nezhéka-Ahnúng wie, kim są jeźdźcy? Jeśli to wrogowie, jedna salwa ze strzelb, jakie trzymają biali, pozbawi ich życia.

Wódz patrzył jeszcze chwilę na zbliżającą się grupę; powiedział dość głośno kilka słów w języku Pawnee, po czym obrócił się ku białemu.

– To nie wrogowie. Niech biali nie strzelają – następnie dodał z pewnym zdziwieniem – pięciu Pawnee i trzy dziewczyny. Uciekają. Niech biały brat popatrzy na tę czarną smugę daleko za nimi. Tam są wrogowie. Ścigają braci Samotnej Gwiazdy. Przeciwno tamtym biali skierują swe grzmiące kije.

Umykająca ósemka znajdowała się nie dalej niż dwieście kroków i kierowała lekko ukośnie w prawo. Wódz wstał, skrzyżował nad głową ręce, po czym na moment szeroko rozprostował ramiona. Na ten znak jeździec mknący na czele umykających zboczył i w kilkanaście chwil potem wprowadził swój oddział w kotlinę. Kilku wojowników pobiegło do ogashy, na których znajdowały się przywiązane dziewczyny i rzuciło je na ziemię.

Samotna Gwiazda patrzył na rannego w rękę wojownika, który przyprowadził oddział. Gdy przemówił, głos jego brzmiał jednak spokojnie.

Ranny jeździec, mimo zmęczenia malującego się w twarzy, odpowiadając patrzył odważnie w oczy swego wodza. Gdy skończył, Samotna Gwiazda chwilę milczał, po czym zwrócił się do kupca:

– Wojownik, który przyprowadził trzy dziewczyny mówi, że dowódca oddziału prowadzącego pozostałe musiał iść inną drogą, by zmylić pogoń wielu wojowników Dakota, na których natknął się przypadkowo. Da znać kiedy i gdzie go spotkamy. Czarna chmura, którą mój brat widzi obecnie na prerii, to wojownicy Dakotów, którzy znaleźli trop Małego Bizona i będą tu wkrótce. Jest ich wielu. Mały Bizon mówi, że cztery razy po pięćdziesiąt. Jeśli nie zatrzyma ich bardzo wiele kul, to nim minie czas, jaki biali nazywają godziną, przy życiu nie pozostanie ani jeden Pawnee i ani jeden biały. Kupcy mają w swych workach grzmiące kije. Pawnee tylko łuki.

Wright i Batson popatrzyli na siebie, po czym zwrócili wzrok na zbliżającą się szybko chmurę kurzu. Rozciągała się długą linią. Jeźdźców musiało być bardzo wielu. Trzydzieści trzy strzelby w rękach białych stanowiły wprawdzie pokaźną siłę, ale nie w walce wręcz, do której zapewne będzie musiało dojść, jeśli Dakota zaatakuje. Kupcy wiedzieli, że na powtórne nabicie broni żadnemu z nich nie starczy już czasu. Ta czynność trwała długo. Nie wolno więc było dopuścić do bezpośredniego ataku. Po pierwszej salwie, która mogła strącić najwyżej kilku napastników, byłiby prawie zupełnie bezbronni. Wódz Pawnee miał rację. Zbliżających się wrogów mogła powstrzymać jedynie salwa oddana z bardzo wielu strzelb. Z daleka wyłoniły się sylwetki jeźdźców. Wright nie musiał ich liczyć. Zwrócił się do swego towarzysza i powiedział z naciskiem:

– Bart, wydaj im szybko broń!

Pawnee uzbroili się w mgnieniu oka. Uzbroili się także Jaguar i Sasay’ga. Żaden z nich nie

spojrzał nawet na leżące na ziemi dziewczyny. Poznali z daleka. Na skraju lasu zaległo milczenie.

Tymczasem długi łańcuch jeźdźców zbliżał się coraz bardziej, ale jednocześnie zwalniał. W odległości około trzystu kroków od miejsca, w którym ukrywali się Pawnee, Dakota zatrzymali się.

Wright spojrział pytająco na Samotną Gwiazdę, lecz ten wzruszył jedynie ramionami:

– Nezhéka-Ahnúng nie wie, dlaczego te psy nie zbliżają się. Czy strzelby trafią z tej odległości i zabiją?

Biały zaprzeczył.

– Za daleko! Dakota muszą zbliżyć się jeszcze o połowę drogi. Wtedy kula zabije.

Ścigający nie mieli jednak widocznie zamiaru zbliżyć się. W obydwie strony prerii rozciągali okrążający pierścień, aż do skraju lasu. Liczniejsza nieco grupa, stojąca w środku tego pierścienia, naradzała się.

W pewnym momencie jeden z wojowników odłączył się i tylko z dzidą w ręku skierował w stronę Pawnee.

W połowie drogi między Dakotami, a leżącymi w ukryciu wojownikami Samotnej Gwiazdy zatrzymał się i wbił w ziemię dzidę.

– Czego chce ten Dakota? – spytał Wright.

– Chce, by Samotna Gwiazda posłał jednego nieuzbrojonego wojownika na rozmowę.

– Co uczyni wódz?

– Pośle takiego wojownika, by dowiedzieć się, jakie zamiary mają wrogowie – i z tymi słowy przywołał znanego młodzieńcom tłumacza i chwilę z nim rozmawiał.

Wyznaczony wojownik podniósł się na skraju prerii, a następnie pewnym krokiem podążył w stronę oczekującego Dakoty. Na widok zbliżającego się Pawnee, Dakota usiadł na ziemi.

Rozmowa nie była długa. W pewnym momencie obaj wojownicy wstali, odwrócili do siebie tyłem i każdy nie oglądając się podążył do swoich.

Wysłannik Samotnej Gwiazdy złożył swe sprawozdanie z rozmowy w krótkich słowach. Gdy wódz powtarzał je następnie białym, brzmiało to tak:

– Dakota wiedzą, że na skraju lasu ukrywa się cztery razy po dziesięciu wojowników Pawnee i trzy razy po dziesięciu oraz jeszcze trzech białych. Wiedzą, że wśród Pawnee znajduje się dwu złodziei ogashy, którzy będąc na świętej ścieżce pogwałcili prawa Wielkiego Ducha i dopuścili się kradzieży. Wiedzą też, że do obozu Pawnee zostały przywiezione trzy dziewczyny porwane z wioski Hakatonwan. Żądają, by biali oraz Pawnee złożyli wszelką broń i poddali się oraz uwolnili porwane dziewczyny, a także wydali obydwu koniokradów.

– Skąd Dakota to wszystko wiedzą? – spytał Wright.

– Ich wojownik powiedział, że białych pilnują już prawie cały Księżyc.

Wright wymienił szybkie spojrzenie z drugim kupcem.

– Do jakiego plemienia należą ci stojący na prerii Dakota?

– To Yankton i Yanktonai. Dowodzą nimi Orzeł Wojny i Długa Strzała. Są wodzami stowarzyszeń, do których należą tylko najlepsi wojownicy. Swemu posłańcowi kazali powiedzieć, że za parę dni dołączą do nich Santee pod wodzą Massasaugi. Pawnee wiedzą, że Massasauga jest najbardziej okrutnym i nienawidzącym białych wodzem wśród Dakotów.

– Czy Samotna Gwiazda wie, iloma wojownikami dysponują ci trzej wodzowie?

– Tak, jeśli ściągną wszyscy, będzie ich około sześć razy po sto.

– Jakiej odpowiedzi zamierza udzielić Dakotom wódz Pawnee?

– Samotna Gwiazda nie wie jeszcze. Chciałby narodzić się ze swymi białymi braćmi. Dakota zostawili mu czas do zachodu słońca.

– A jeśli to podstęp i uderzą wcześniej?

– Mimo że mają przewagę, nie uderzą. Posłaniec Samotnej Gwiazdy powiedział im, że

wszyscy Pawnee i biali uzbrojeni są w grzmiące kije. Dakota będą się więc obawiali. Gdyby zaatakowali teraz, kiedy jest widno, bardzo wielu z nich taki atak przypłaciłoby życiem. Nie, nie uderzą przed zmierzchem. Biali bracia mogą być o to spokojni. Niech poczekają chwilę. Samotna Gwiazda wyda tylko potrzebne polecenie i zaraz wróci. Nie chce, by wrogowie otoczyli go również od strony lasu.

Skinieniem ręki przywołał kilkunastu wojowników i wydał im jakieś rozkazy.

Mohawk zauważył, że uprowadzonym dziewczętom rozluźniono więzy na rękach. Wszystkie trzy branki odprowadzono pod osłonę drzew.

Spory oddział wojowników rozdzielił się na dwie części, z których jedna zapadła w las po lewej, druga – po prawej stronie kotliny.

Wszyscy pozostali wojownicy Pawnee oraz biali leżeli za osłoną zwalonych drzew, obserwując tkwiących na prerii wrogów.

Wódz wrócił na swoje miejsce. Mohawk i Moose umieszcili się tak, by słyszeć każde słowo prowadzonej rozmowy, chociaż pozornie obserwowali prerię. Słuch ich jednak wyostrzony był na wszystko, co mogli powiedzieć kupcy lub Pawnee.

Samotna Gwiazda przez dłuższy czas siedział bez słowa i myślał intensywnie. Wiedział, że to on ponosi odpowiedzialność za sytuację, w jakiej znalazł się cały oddział. Wprawdzie ujrzawszy pędzących przez prerię Dakotów, chytrze wykorzystał moment i zmusił białych do rozdania broni jego wojownikom, ale w tej chwili nie było to takie ważne. Znacznie ważniejszym wydawała się obecność Dakotów w pobliżu i to, że znali dobrze jego sytuację. Nie przewidział ich chytrłości. Musieli śledzić go od dawna. Skoro wiedzieli wszystko o białych, wiedzieli i o nim.

Prawdę o losie, jaki spotkał pozostałych porywaczy i uwolnione przez Ojebwag dziewczyny, ukrył przed białymi celowo. Nie chciał, by dowiedzieli się właśnie teraz, że dziewczyn nie dostaną. Za długo tu na nie czekali i za dużo sobie po tym obiecywali. Gdyby dowiedzieli się o tym, co się rzeczywiście stało, kto wie jakby się mogli zachować. Mogliby na przykład dojść do przekonania, że z Dakotami mogą ułożyć się samodzielnie bez jego udziału. Pozbawiłoby to Pawnee możliwości nie tylko ocalenia się, ale i wykonania świętej misji, jaką powierzył im lud Skidi. Nie, biali nie mogli dowiedzieć się niczego. Musieli pozostać przynajmniej jeszcze jakiś czas jego sojusznikami. Musieli. Ale jak długo?

Dakota pozostawili mu czas do zachodu słońca. Samotna Gwiazda wiedział, że to nie podstęp. Wrogowie, mimo że było ich wielu, nie ośmieliliby się zaatakować go podczas dnia. Wtedy od kul zginęłoby ich bardzo wielu. Nocą strzelby nie były już tak groźne, a w walce wręcz Pawnee nawet razem z białymi nie mieli żadnych szans. Tamtych było przeszło dwa razy tyle, a może i więcej, a miejsce do obrony nie było najlepsze.

Mógł domyślać się, że po zmroku wrogowie otoczą las i wtedy znalazłby się w przykłej sytuacji.

Tak, miał więc czas tylko do zachodu słońca. Po zachodzie musiał opuścić nie najlepszą kryjówkę i przenieść się w inne miejsce. Tylko jakie?

Tu przypomniały mu się wyrażane kilka dni temu przez Złą Twarz przestrogi. Nishkáujingwa⁸³ mówił wtedy, że miejsce, w którym znajdują się, nie jest bezpieczne i że powinno się je zmienić. Wspominał wtedy, że kiedyś znajdując się w tej okolicy, zupełnie przypadkowo trafił na lepsze. Nadawało się nie tylko na pewną kryjówkę, ale w razie potrzeby, stwarzało możliwość urządzenia zasadzki nawet na o wiele silniejszego wroga. Można się tam było przynajmniej bronić. Radził, by wysłać zwiadowców i odszukać to miejsce.

Samotna Gwiazda zwlekał i teraz musiał żałować tego. Może jednak Nishkáujingwa przypomni sobie drogę. A może?... – tu spojrzał na dwu Neegigwug. – Zła Twarz wspominał wtedy, że miejsce to znajdowało się gdzieś w pobliżu ścieżki wiodącej do świętego

⁸³ Nishkáujingwa (czyt. Nisz-ka-dzin-gua) – Ten Który Ma Złą Twarz

kamieniołomu. Może oni przechodzili gdzieś w pobliżu i wspomoga pamięć niemłodego już wojownika?

Gdyby udało się dotrzeć tam nocą, Dakota, nawet mimo przewagi, znaleźliby się w gorszej sytuacji. Tak, to było najlepsze wyjście.

Myśli jego przerwało dość wyraźne chrząknięcie dowódcy białych twarzy. Widocznie byli zaniepokojeni. Wyprostował lekko pochyloną postać i zabrał głos:

– Biali bracia czekają na słowa Samotnej Gwiazdy. Rozważał położenie w jakim znajdują się i biali, i Pawnee. Przyznaje, że nie jest ono dobre, ale wojownicy Samotnej Gwiazdy nie obawiają się Dakotów. To Dakota obawiają się walki z Pawnee. Obawiają się dlatego, że zginęłoby ich w niej bardzo wielu i w wioskach Yankton i Yanktonai powstałby wielki płacz. Nie będą więc chcieli walczyć tak, by siebie wystawić na zbyt duże niebezpieczeństwo. Zechcą wykorzystać noc. Ale nocą ani Pawnee, ani ich biali bracia nie muszą podejmować walki. Odejdą z tego miejsca i zatrą swoje ślady. A kiedy oddalą się na odległość jednej nocy, Dakota już im nie zagraża.

– Jak zamierza tego dokonać Nezhéka-Ahnúng? – spytał Czarnobrody.

– Tuż przed zachodem słońca wódz Pawnee wysłał do wrogów posła z wiadomością, że nie zgadza się na ich warunki. Dakota zwołują wtedy naradę, by ustalić plan napadu. Będą radzili pewnie długo. W tym czasie Pawnee oraz ich biali bracia odejdą po cichu z tego miejsca.

– Czy wódz wie, gdzie można stąd odejść – spytał drugi biały.

– Samotna Gwiazda myślał nad tym i ma nadzieję, że wybrał dobre miejsce. Niech biali poczekają trochę. Wódz chce porozmawiać ze Złą Twarzą. – Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do siedzącego obok wojownika. Rozmawiał z nim dłuższy czas. Okropnie wyglądający Pawnee kilkakrotnie w czasie tej rozmowy zwracał wzrok ku dwu wpatrzonym w prerię Neegigwug. W końcu przekonany zapewne przez wodza, podszedł do obydwu młodzieńców i gestem nakazał im, by zbliżyli się ku rozmawiającym. Nezhéka-Ahnúng zwrócił się do Sasay'gi:

– Nishkáujingwa mówi, że niedaleko stąd znajduje się dobre miejsce, w którym Pawnee oraz ich bracia mogliby urządzić zasadzkę i zniszczyć wszystkich Dakotów. Sądzi, że Assinbo i Kenárbo podążając do świętych kamieniołomów mogli widzieć to miejsce.

Moose pokręcił przecząco głową.

– Assinbo nie przypomina sobie takiego miejsca. Gdy z wioski Yanktonai zabrali ogashy, a potem szybko uciekali, bolała go bardzo głowa i oczy. Toteż zasłaniał swe powieki derką. Nie widział prawie drogi. Prowadził go cały czas Kenárbo. Aż do samego kamieniołomu. Tam złe duchy, które wyciskają łzy, opuściły oczy Assinbo. On nie zna drogi ani miejsca, o które pyta wódz. Może miejsce takie pamięta Kenárbo?

Samotna Gwiazda oraz obaj biali z napięciem patrzyli na Mohawkę, a wódz powtórzył raz jeszcze swe pytanie.

Jaguar zastanawiał się dłuższą chwilę, po czym z pewnym wahaniem skinął głową.

– Może Kenárbo się myli, chociaż wydaje mu się, że pamięta jedno takie miejsce. Gdyby Nishkáujingwa zechciał powiedzieć coś więcej o jakie miejsce chodzi wodzowi, może Kenárbo przypomniłby sobie lepiej drogę, którą przebył wraz z Assinbo.

Zła Twarz kościstymi, drapieżnymi palcami przysłonił powieki. Na jego czole zarysowały się głębokie pionowe bruzdy. Znać wysilał nie najlepszą już pamięć.

– Nishkáujingwa przypomina sobie, że podążając na południe od wielkiego zakrętu Misquahgumme seebee, widział przez cały dzień słońce i też bolały go oczy. Słońce widział również drugiego dnia i nie mógł nigdzie znaleźć cienia. Przed nadejściem nocy, na wschodzie, w bok od swej ścieżki zobaczył góry. Nie były wysokie, ale miał nadzieję, że znajdzie w nich schronienie przed słońcem i wyleczy swoje oczy. Udał się w tym kierunku i znalazł najpierw sosnowy las, a potem potok. Potok wpadał do doliny i razem z nią skręcał na południe, w stronę kamieniołomu. Po obydwu jego stronach wznosiły się strome ściany.

Nishkáujingwa szedł wzdłuż tego potoku przez czas, jaki biali nazywają godziną, może trochę dłużej, aż drogę jego przegrodziła wysoka skała. Tam musiał zatrzymać się. Nie mógł się wspinać na skałę, a potok ginał u jej podnóża. Było już ciemno. Pozostał tam do świtu. Rankiem, po prawej stronie parowu znalazł ścieżkę, której nocą nie mógł dostrzec. Ścieżka była tak szeroka, że jego ogashy przebył ją z łatwością. Szła pod górę. Tam, gdzie wydostał się na skraj parowi, rósł duży las cedrowy. Z góry Pawnee widział parów na bardzo znacznej odległości. Zatrzymał się tam kilka Wieczorów, a kiedy przestały boleć go oczy, powędrował ścieżką dalej prosto na południe. Po dwóch dniach minął święty kamieniołom.

Dziś nie pamięta w jakim miejscu zboczył z prerii na wschód. Wódz pyta, czy Kenárbo oraz jego brat Assinbo nie widzieli takiej właśnie ścieżki?

Mohawk, który każdego wypowiadanego słowa słuchał uważnie, nie odpowiedział od razu. Spytał wprawdzie:

– Czy Nishkáujingwa pamięta może, jaki kolor miały ściany parowu, o którym mówił?

Pawnee myślał tylko chwilę.

– Tak, on to pamięta. Były żółte i miękkie jak glina, z której Uhnishenáhbag wyrabiają czasem główki do swych zwykłych fajek.

– A czy wejście do parowu, którym płynął potok, było bardzo szerokie?

– Nie, wejście nie było szerokie, ale Nishkáujingwa nie może powiedzieć dokładnie. Nie pamięta.

Młodzieniec zwrócił się do Samotnej Gwiazdy i powiedział pewnym siebie tonem:

– Kenárbo zna ten parów i zna ścieżkę prowadzącą do niego. Przechodził nią wraz z Assinbo. Może tam zaprowadzić wodza swych braci Pawnee i białych kupców.

– Ile czasu zajmie droga do parowu? – spytał Samotna Gwiazda.

– Jeśliby bracia Kenárbo wyruszyli teraz, do parowu przybędą w połowie nocy. Jeśli wyruszą o zmroku, staną tam tuż przed wschodem słońca.

– Czy Kenárbo nie pomyli drogi?

Młodzieniec zaprzeczył stanowczo.

– Kenárbo jest jeszcze młody, ale nie zszedł ze ścieżki, którą widział chociażby raz. Trafi na pewno.

Czarnobrody, który znał mowę Ojebwag, tłumaczył drugiemu kupcowi całą rozmowę młodzieńca ze Złą Twarzą, a następnie z wodzem Pawnee. Twarz starszego kupca wypogadzała się. Po usłyszeniu ostatniego, stanowczego stwierdzenia Kenárbo, zwrócił się do niego i powiedział przyjaźnie:

– Jeśli Kenárbo zaprowadzi kupców i ich przyjaciół Pawnee do parowu, o którym mówił, on i jego brat Assinbo mogą na zawsze zatrzymać strzelby, które teraz pożyczyli im biali.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy od strony prerii dobiegło głośnie wołanie. Obydwaj kupcy i Samotna Gwiazda dawno skończyli naradę i wydali potrzebne polecenia. Poza zasięgiem wzroku Dakotów, o około sto kroków od kotliny – w głębi lasu – Pawnee sformowali długi rząd ogashy. Biali przytroczyli do ich boków swoje towary. Jedynie na skraju lasu czuwało jeszcze kilkunastu wojowników ze strzelbami w rękach.

Nezhéka-Ahnúng usłyszawszy okrzyk dochodzący od strony wrogów, skinął na swego poprzedniego posła znajdującego ich mowę i polecił mu udać się na rozmowę z posłem wrogów. Do stojącego obok Czarnobrodego powiedział:

– Posłaniec wodza powie Dakotom, że Pawnee i ich biali bracia nie zgadzają się na warunki wrogów i z pomocą grzmiących rur przepędzą ich i zabiją bardzo wielu. Dakota pewno nie uwierzą, ale będą musieli naradzić się nad tym, jak zaatakować białych i ich braci. Nim jednak skończą się naradzać, już ich tu nie znajdą. Jutro odkryją tropy, pójdą za nimi i wejdą do parowu. Tam zginą, gdyż Samotna Gwiazda zamknie im wejście i wyjście.

Rozmowa wysłanników obu stron przeciągała się. W końcu jednak poseł Samotnej Gwiazdy wrócił i zdał krótką relację z jej przebiegu.

Nezhéka-Ahnúng skinął tylko głową i popatrzył na linię Dakotów.

W chwili, gdy słońce swą tarczą dotknęło ziemi, uniósł rękę. Z obydwu stron kotliny, wzdłuż skraju lasu, na znacznej przestrzeni huknęły strzały. Linia Dakotów zafalowała; widać było wyraźne zamieszanie. Spokojni dotąd wrogowie, usłyszawszy w pobliżu śpiew kul, dopadli swych ogashy i w przeciągu niewielu chwil cofnęli się o dobre sto pięćdziesiąt kroków.

Samotna Gwiazda roześmiał się pogardliwie i powiedział:

– Te kojoty boją się o swe skalpy. Możemy jechać!

Rozdział dwunasty

Zasadzka w parowie

Mohawk prowadził oddział pewnie. Początkowo, dokąd istniało niebezpieczeństwo, jechał stępą, omijając rosnące na granicy z prerią kępy gęstych krzewów. Gdy jednak zostawili Dakotów dość daleko w tyle, przyspieszył bieg swego ogashy i skierował go głębiej w las.

Na niebo wypłynął księżyc; między drzewami pojaśniało. Las urwał się gwałtownie, przechodząc w falistą równinę. Ogashy przeszły w cwał. Jeźdźcy mijali łagodne pagórki, płaskie doliny, majaczące gdzieś kępy drzew. Wkrótce drogę przegrodziła im jakaś niewielka rzeka. Płynęła na zachód.

Tu młodzieniec skręcił i poprowadził oddział wzdłuż rzeki. Jeszcze bardziej przyspieszył bieg swego mustanga. Długi wąż Pawnee i białych sunął za nim w milczeniu. Zresztą pęd wierzchowców uniemożliwiał prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy.

Jednakże po upływie dłuższego czasu, gdy znaleźli się na twardszym kamienistym gruncie, musiał zwolnić. Teren wznosił się. Ogashy oddychały coraz głośniejsze. Do boku młodego przewodnika zbliżył się wódz oraz obaj biali kupcy.

– Czy nasz brat jest pewien, że nie zmylił drogi? – spytał Pawnee.

Mohawk wykonał przeczący ruch ręką i odparł, nie ścisząc zbyt głosu:

– Niedaleko za tym wzniesieniem woda w rzece jest płytka. Nie sięga nawet do brzucha ogashy. Tam jeźdźcy przeprawiają się na drugą stronę seebee. Kenárbo nie zmylił drogi, chociaż teraz odbywa ją, gdy jest ciemno.

Zjechali łagodnym stokiem. Po przebyciu dalszych kilkuset kroków ujrzeli kilka blisko siebie rosnących drzew.

Młodzieniec poczuł gwałtowną radość. Mimo okazywanej na zewnątrz pewności, w głębi ducha nie był tak bardzo przekonany, czy dobrze pamiętał drogę, którą objaśniał i rysował mu Długa Strzała, wódz Tych Co Nie Boją się Śmierci. Toteż teraz, kiedy po przebyciu wzgórza ujrział kępę wysokich drzew, odetchnął swobodnie. Stąd nie mógł już zabłądzić.

O kilka kroków od kępy bez wahania pchnął ogashy w niezbyt szybki nurt. Kinwáu kwunwe miejsce to musiał znać dobrze, woda bowiem sięgała tylko trochę powyżej końskich kolan.

Na drugim brzegu Samotna Gwiazda zbliżył się raz jeszcze do młodzieńca.

– Wódz Pawne przekonał się teraz, że jego młody brat nie zgubił ścieżki. Czy zna ją równie dobrze nadal?

Młodzieniec odparł skromnie:

– Kenárbo mówił Samotnej Gwieździe, że nie zbłądzi. Nocą jednak wyjechał nad rzekę o przeszło jedno strzelanie z łuku dalej niż zamierzał. Widocznie odsunął się trochę od ścieżki, gdy przejeżdżali przez las. Wstydzi się swej pomyłki. Teraz nie zboczy już jednak nawet o długość strzały.

Słyszając to przyznanie się do maleńkiego przecież błędu, jaki nocą, na długim odcinku leśnej drogi nie posiadającej żadnych znaków, mógł popełnić najbardziej nawet doświadczony wojownik, szczególnie w obcym terenie, wódz oparł przyjaźnie dłoń na ramieniu Mohawka i powiedział szczerze:

– Kenárbo nie musi się wstydzić. Jego drobna pomyłka mogła się zdarzyć każdemu. Teraz

Samotna Gwiazda nie będzie mu już rozpraszał uwagi. Niech jego brat prowadzi. – Z tymi słowy wycofał się nieco do tyłu.

Księżyc miał dużą tarczę. Blask jego białych promieni łagodnie rozpraszał ciemności nocy. Młodzieniec skierował się znów z biegiem rzeki – na zachód. Ogashy wypoczęły trochę, toteż ponownie pocwałowały rażno za biegnącą na czele czarną kłaczą Mohawk. Ten zaś co jakiś czas zwracał wzrok na południe, tam gdzie jaśniała jego gwiazda. Nie zmieniał jednak kierunku. Oddalał się tylko stopniowo od rzeki. W końcu z lewej strony dostrzegł wysokie samotne drzewo. Gdy nad wierzchołkiem drzewa zamajaczyła jego gwiazda, łeb ogashy zwrócił w jej stronę.

Teraz gwiazdę miał wprost przed sobą. Wąż jeźdźców pomknął znów po rozległej równinie.

Księżyc chylił się po zachodniej stronie nieba, gdy oddział minął niewielką wyniosłość terenu i zjechał w niezbyt szeroką dolinę. Środkiem wił się wąski potok. Młodzieniec skierował się znów zgodnie z jego biegiem. Wkrótce dolina poczęła się zwężać; jej zbocza wznosiły się coraz wyżej. Po obydwu stronach strumienia zamajaczyły urwiste skały. Był to wlot parowu. Szerokość jego nie przekraczała długości dziesięciu ogashy.

Mohawk zatrzymał swą kłacz i odwrócił się do tyłu.

– Czy wódz może poprosić teraz Nishkáujingwę?

Na kamienistym gruncie zastukały kopyta. W chwilę potem Zła Twarz stanął obok Samotnej Gwiazdy.

Mohawk, wskazując ręką gardziel parowu, spytał ponownie:

– Czy Nishkáujingwa ten właśnie parów miał na myśli?

Wojownik w milczeniu rozglądał się po okolicy. Skierował swego wierzchowca poza głazy stanowiące naturalne wejście w głąb parowu. Gdy wrócił w parę chwil później, oznajmił krótko:

– Ten sam parów. Dalej może poprowadzić Nishkáujingwa.

– Niech poprowadzą razem z Kenárbo – odparł wódz.

Wąż jeźdźców zanurzył się w ciemną czeluść. Z głębi powiało chłodem. Jechali w milczeniu. Zła Twarz wysunął się nieco do przodu. Od czasu do czasu rzucał przenikliwe spojrzenia na poszarpane wysokie krawędzie. Wznosiły się coraz wyżej, tworząc głęboki tunel. Było coraz chłodniej. Parów ciągnął się na znacznej długości. Miejscami zwężał, to znów nieco rozszerzał. Od czasu do czasu, niby sploty węża, skręcał w jedną lub drugą stronę. W końcu wyprostował się. Przed oczyma jeźdźców zamajaczyła wysoka, prawie gładka ściana. Nishkáujingwa zatrzymał się i wskazał ręką.

– Tu potok chowa się pod skałę, a tam jest ścieżka do góry.

Wódz wysunął się do przodu i skierował na ścieżkę. Była dość szeroka. Mogli zmieścić się na niej obok siebie trzej jeźdźcy. Pięła się krętą, łagodną linią w górę.

Samotna Gwiazda dotknął szyi swego wierzchowca. Ogashy postąpił kilka kroków, gdy w górze rozległ się szmer, a w kilka chwil potem niczym deszcz posypał się grad drobnych kamieni.

Jeździec stanął w miejscu i pilnie patrzył na wysoką krawędź. Nie wiadomo było co myślał. Skinieniem ręki przywołał dwu wojowników i wskazał im ścieżkę. Zeskoczyli ze swych mustangów i poczęli wspinać się bezszelestnie w górę. Na dnie parowu zaległa denerwująca cisza.

Nagle u góry huknęło kilka strzałów, a poprzez gładkie skały przetoczył się potężny wojenny okrzyk Dakotów. Na dno parowu runęły dwa martwe ciała.

Wódz Pawnee rzucił swego wierzchowca do tyłu, krzyknął przenikliwie i pomknął z powrotem w stronę skąd przyjechali. Pozostali jeźdźcy nie wydawszy jednego głosu poszli za jego przykładem. Zdawali sobie sprawę równie dobrze jak on, że jedyną szansę ratunku daje szybka ucieczka. Jeżeli Dakota nie zamknęli parowu z drugiej strony, istniała jeszcze

możliwość i szansa uratowania się.

Mrok nocy ustępował szybko. Ciemną czeluść otoczoną skałami zalało nagle jasne światło dnia. Wylot parowu znajdował się nie dalej jak o trzy strzelania z łuku, gdy Samotna Gwiazda wstrzymał bieg ogashy. Zwolnili i zatrzymali się pozostali jeźdźcy. W odległości kilkuset kroków, w miejscu poza którym otwierała się zielona łąka, miał wygodnego przejścia leżała teraz sterta głazów i kilka zwalonych w poprzek przejścia drzew. Wylot parowu został zamknięty również. Wprawdzie za zatarasowanym przejściem nie widać było żadnego ruchu, ale biali oraz Pawnee nie mieli większych złudzeń. Wąwóz nie zamknął się sam. Ci, którzy go zamknęli znajdowali się teraz tam, poza przeszkodą.

Samotna Gwiazda uniósł rękę i ponownie zawrócił cały oddział. Po przejechaniu kilkuset kroków zeskoczył ze swego wierzchowca. Wojownicy oraz biali uczynili to samo. Pośpiesznie wprowadzono ogashy pod załom dużego skalnego nawisu, by zabezpieczyć je na wypadek, gdyby Dakota chcieli rozpocząć ogień z góry. Nawis tworzył w pionowej ścianie dość głębokie wyżłobienie otoczone z dwu stron wystającymi skalnymi załomami i dawał osłonę nie tylko zwierzętom, ale i ludziom. Zza skalnych rumowisk pozwalał obserwować parów w obydwu kierunkach na znacznej długości. Rumowiska te, bez polecenia, obsadzili natychmiast wojownicy Samotnej Gwiazdy.

On sam przysiadł na niewielkim głazie i nie odzywał się. Twarz miał ponurą, zaciętą; wzrok ciskał błyskawice, sercem miotало uczucie wstydu i upokorzenia. Czuł gorycz porażki i dławiącą go wściekłość.

Nie docenił przeciwnika, jego chytrości i znajomości własnego terenu. W pułapkę, którą chciał zastawić na swych wrogów, wszedł sam. Ale jak to się mogło stać? W jaki sposób wrogowie przeniknęli jego zamiary? Byli chytrzy i przezorni. Śledzili go od dawna. Śledzili od strony prerii, ale także od strony lasu. Nie uszedł ich uwagi odjazd całego oddziału. Znali dobrze swoje ziemie, szli za nim i łatwo domyślili się, gdzie podąży. Wtedy wyprzedzili oddział i wpuścili go do parowu. Nie chciał zostawiać im śladów u góry. Chciał, by znaleźli jego trop i poszli za nim. Domyślili się i odcięli mu drogę. Wiedział, że nie uniknie walki, ale teraz walka miała znacznie mniej szans powodzenia, chyba że Dakota rozdzielili swe siły równo na dwie części. O forsowaniu wąskiej ścieżki z tamtej strony nie miał co marzyć. Mógł próbować wywalczyć sobie drogę tylko od strony doliny. Jeśli Dakota podzielili się, znaczyło to, że z tej strony parów zamyka nie więcej niż kilkudziesięciu, może najwyżej stu wojowników. Nawet jeśli niektórzy z nich posiadali strzelby, tak jak ci tam u góry, nie mogli posiadać ich zbyt dużo. Jego wojownicy oraz biali posiadali ich na pewno więcej. To równoważyło siły, a może nawet dawało pewną przewagę.

Gdyby udało mu się zaskoczyć tych, co zasłaniali dostęp do doliny i usunąć przeszkodę, by mogły przedostać się ogashy, mógł liczyć na to, że umknie. Ale taki atak nie był możliwy podczas dnia. Trzeba było poczekać, aż zapadnie ciemność. I nie mógł czekać dłużej niż ten jeden dzień.

Ostatnio, pragnąc ukryć przed wrogami swą obecność, nie pozwalał wojownikom polować. Byli więc głodni. Ale wiedział, że tym bardziej będą dzielni podczas walki.

Spojrzał na siedzące pod skałą dziewczyny. Przyglądał im się uważnie. Były piękne. Jedną musiał zabrać do swej wioski, a może nawet wszystkie trzy. Po walce, ci biali, którzy przeżyją, będą musieli i tak uciekać. Im dziewczyny nie będą potrzebne, a w wiosce Pawnee kapłanom łatwiej będzie wybrać tę, która stanie się posłańcem do bogów. Nie wiedziały, co je czeka. Nie stawiały oporu, i jak mówił wojownik, który je przyprowadził, nie próbowały ucieczki. Były posłuszne, ale nie okazywały lęku. Czy zechcą jednak pójść dobrowolnie? No cóż, nie miały wyjścia.

W czasie nocnej walki mogą zechcieć uciec, a wojownicy nie znajdą czasu, by ich pilnować, szczególnie na początku.

Chwilę się zastanawiał. Musiał zostawić przy nich przynajmniej jednego strażnika, nawet

najslabszego; takiego, którego nieobecność podczas walki nie osłabiłaby sił Pawnee, i takiego, który zna język porwanych.

Zła Twarz!... Jego ramiona i nogi nie były już tak mocne i szybkie jak niegdyś. On będzie dobrym strażnikiem, a gdyby nocny atak nie powiódł się, wyprawi bez wahania jednego lub trzech nawet posłańców do Gwiazdy Porannej. O to był zupełnie spokojny. Zła Twarz nie zawaha się. Spełni wolę ludu Pawnee i Porannej Gwiazdzie złoży ofiarę z krwawego serca dziewczyny.

Powziąwszy to postanowienie uspokoił się trochę.

Spojrzał na białych. Siedzieli w milczeniu w najdalszym kącie skalnej niszy. Nie rozmawiali, lecz twarze ich nie wróżyły nic dobrego. Może myśleli o ucieczce lub zdradzie? Byli jeszcze bardziej podstępni niż Dakota. Skinął na dwu najbliższych wojowników i chwilę szeptał z nimi, po czym pogrążył się ponownie w myślach. A może nie myślał, może modlił się do swego ducha?

I pozornie nic się nie zmieniło. Biali pozostali na swym miejscu; Pawnee pilnowali jak uprzednio obydwu stron parowu, branki szeptały cicho między sobą. A jednak jakaś nieuchwytna zmiana nastąpiła w atmosferze wypełniającej niszę.

Pierwszy zareagował na nią wódz kupców. Pochylił się ku Czarnobrodemu i szepnął:

- Dzicy nam nie wierzą!
- Dlaczego?
- Nie wiem. Zaczynają nas pilnować.
- Wydaje ci się chyba. Są tacy sami jak zwykle.
- Nie, nie są tacy. Myślą, że chcemy ich zdradzić. Trzeba im to wybić z głowy. Chodź, porozmawiamy z wodzem. Położenie jest co prawda paskudne, ale może znajdzie się jakieś wyjście.

Gdy w parę chwil później przysiedli obok Samotnej Gwiazdy, wódz popatrzył na nich przenikliwie.

- Czy biali chcą coś powiedzieć Samotnej Gwiazdzie?
- Przyszli się naradzić – odparł Wright. – Są tak samo zaskoczeni położeniem w jakim się znaleźli, jak i bracia Pawnee. I widzą, że wódz rozmyśla nad znalezieniem wyjścia z sytuacji.

Pawnee skinął głową.

- Tak, wódz myślał jak wyjść z parowu.
- Czy może wymyślił coś? – biały patrzył z niepokojem.
- Samotna Gwiazda widzi tylko jedną drogę. Widzi drogę walki. Zastanawiał się właśnie, czy może liczyć na dzielność białych?

Obaj kupcy wymienili znaczące spojrzenia, a Czarnobrody wykonał gest oburzenia.

- A czy biali go zawiedli? Zaufali mu i znaleźli się w tak samo złej sytuacji, jak ich czerwonoskórzy bracia, ale walki nie obawiają się, jeżeli będzie to walka rozumna – dodał z wahaniem.

- Co kupiec ma na myśli mówiąc o walce rozumnej?
- Myśli, że ani Pawnee, ani biali nie popędzą teraz z głośnym krzykiem przeciwko Dakotom siedzącym za barykadą. Żaden z nich nie przedostałby się przez nią.
- Tak, Samotna Gwiazda zgadza się ze swym bratem. Nie myśli więc, by atakować wrogów przy pełnym słońcu. Uczyni to, gdy zapadnie zmrok.

- A czy wie ilu wrogów jest u wylotu parowu?
- Nie wie tego i nie będzie się mógł dowiedzieć. Parów jest pusty i nie daje żadnej osłony, za którą mógłby się skryć wywiadowca. Nie posyłał ich więc nawet. Musi poczekać do zmroku.

Obaj biali przyznali mu rację, lecz Czarnobrody nie był widać przekonany do końca, bo upewnił się:

- Biali rozumieją, że gdy zapadnie zmrok wódz chce, by wszyscy uderzyli na barykadę.

Nie dokonają tego, jadąc na grzbiecie ogashy. Muszą je więc zostawić. Czy to będzie słuszne?

Wódz potrząsnął przecząco głową.

– Samotna Gwiazda przyznaje swemu bratu tylko częściowo rację. Wie, tak jak i biali, że użycie ogashy w ataku jest niemożliwe. Nie użyje ich więc do tego celu. Ale nie zamierza także ich zostawiać. Napadu dokonają wojownicy pieszo. Przejdą cicho przez przeszkodę, jaką wzniesli Dakota, i zaatakują ich. Broń białych braci pomoże. Gdy jedni będą walczyć, drudzy szybko rozbiorą przeszkodę. Wtedy wszyscy dosiędą ogashy i wydostaną się z pułapki. Kiedy znajdą się poza parowem, mogą kpić z wrogów.

– A jeśli wrogowie nie dadzą się zaskoczyć? Zresztą może ich być wielu? Może więcej, niż sądzi wódz – nie ustępował Czarnobrody.

Nezhéka-Ahnúng powstrzymał odruch gniewu.

– Białe brat myli się. Wrogowie nie wiedzą, które wyjście z parowu zaatakują Pawnee. Musieli podzielić więc swe siły. Połowa pilnuje wlotu, a połowa wylotu. Mają tylko parę strzelb. Nie powstrzymają ataku wojowników Pawnee i białych. Uciekną – stwierdził wódz z przekonaniem. – Zresztą niech biali bracia posłuchają – tu wspomagając słowa gestami kreślił plan ataku na pozycje wroga.

Biali, którzy nie znali widocznie taktyki wojennej swych czerwonoskórych sojuszników, słuchali uważnie; czasem wtrącali jakieś pytania, słowa, wyrażali wątpliwości. Wódz jednak tłumaczył cierpliwie, przekonywał. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli ich nie przekona, ani jeden z jego wojowników może nie zobaczyć już rodzinnej wioski. Zwycięstwo mogła zapewnić tylko pomoc dotychczasowych sojuszników. Mógł ich przekonać tylko w jeden sposób. Musieli uwierzyć, że wspólnie z wojownikami Pawnee byli znacznie silniejsi od Dakotów, ale także musiał przekonać białych, że Dakota to najbardziej okrutni Uhnishenáhbag, jacy żyją na prerii. Z całą przebiegłością i chytryością na jaką go było stać mówił, że Dakota należą do najbardziej niebezpiecznych wrogów – wrogów, którzy nienawidzą wszystkich białych, mordują kupców i myśliwych, torturują ich przed śmiercią, zdierają skórę z żywych i przypalają powoli na ognisku; że przed śmiercią ofiarom swoim podrzynają gardła, ucinają ręce i nogi, odrywają uszy i nosy. O wszystkich tych okrucieństwach dokonywanych rzekomo przez Dakotów, wódz mówił tak obrazowo i sugestywnie, że starszy z kupców kilkakrotnie musiał ocierać spoconą twarz.

I biali zostali przekonani. Zrozumieli, że muszą walczyć, że jeśli tego zaniechają, jeśli nie wykażą całej swej odwagi, będą musieli zginąć w strasznych męczarniach.

Wrócili do swych pomocników i znów oni z kolei tłumaczyli im z naciskiem, że jedynie wspólna walka przeciwko wrogowi siedzącemu za zatarasowanym wlotem parowu pozwoli uniknąć im najgorszego losu.

Z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znalazł się oddział Samotnej Gwiazdy, chyba tylko obydwaj Neegigwug nie zdawali sobie sprawy. Wprawdzie i oni, podobnie jak pozostali mężczyźni, trzymali broń w zasięgu ręki, nie wydawali się jednak ani specjalnie poruszeni ani zaniepokojeni. Siedząc tuż przy krawędzi dużego bloku skalnego, który chronił ich przed oczyma Dakotów, szeptali między sobą. Obydwaj słyszeli całą rozmowę z białymi. Mohawk, który język białych znał lepiej niż jego przyjaciel, powtarzał mu teraz niektóre ważniejsze fragmenty, których Sasay'ga nie mógł zrozumieć do końca.

Skończył właśnie, gdy podszedł Samotna Gwiazda i mową znaków spytał:

– Czy młodzi Neegigwug walczyli już kiedyś?

Sasay'ga wykonał przeczący ruch ręką, przy czym wskazał na siebie.

– Nie, Assinbo nie walczył jeszcze z dorosłymi wojownikami. Parę razy bił się ze swymi rówieśnikami z wioski, ale jest dobrym myśliwym i dobrze strzela z łuku, o czym wódz wie. Jego strzała trafia gołębia w locie.

Pawnee uśmiechnął się i zwrócił wzrok na drugiego młodzieńca.

– A Kenárbo?

Mohawk wykonał kilka ruchów rękami, które znaczyły:

– Kenárbo był dwa razy na wojennej ścieżce i raz zranił swego wroga w lewą nogę.

Samotna Gwiazda uśmiechnął się ponownie.

– W takim razie niech jego młodzi bracia wydobędą z zawiniątek swe święte cybuchy i zawieszą je na swych piersiach. Będą mogli odejść i Dakota, którzy są po drugiej stronie wąwozu nie zabiją ich. Najwyżej odbiorą skradzione ogashy.

Mohawk energicznie zaprzeczył.

– Nie, Kenárbo nie wyjmie cybuchy ze skórzanego worka i nie zawiesi na swych piersiach. Nie potrzebuje łaski Ab-o-in-ug. Wraz ze swymi przyjaciółmi Pawnee pokona wszystkich Dakotów. Ma grzmiący kij, duży róg z prochem i worek pełen kul i będzie strzelał do każdego wroga, którego dostrzeże jego bystre oko.

Wódz pokiwał głową i powiedział bez większego przekonania:

– Bracia Samotnej Gwiazdy mogą postąpić tak jak zechcą, ale niech pamiętają, że Dakota posiadają też grzmiące kije, bystre oczy i każdy z nich walczył już wiele razy. – Z tymi słowy odwrócił się i odszedł wydać rozkazy swym wojownikom.

Zapadał zmierzch. Wojownicy w milczeniu przygotowywali się do walki. Sprawdzali noże, tomahawki, wojenne maczugi, opatrywali swe grzmiące kije. Do walki gotowali się również biali. Samotna Gwiazda półgłosem wydawał ostatnie polecenia.

Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem, na straży brankę pozostawił Złą Twarz; przy ogashy – czterech innych mniej sprawnych w walce wojowników. Na umowny znak mieli zabrać dziewczyny i wszystkie ogashy i popędzić w stronę parowu. Cały oddział podzielił na dwie równe części, z których pierwsza miała posuwać się lewą stroną, druga – po przejściu strumienia – prawą stroną parowu. W obydwu tak uformowanych oddziałach znaleźli się biali.

Jaguar z Sasay’gą dołączyli przezornie do drugiego oddziału. Woleli zejść z oczu Złej Twarzy. Plan mieli bardzo prosty. Ustalili go zaraz po rozmowie wodza z białymi.

Wraz z pierwszą gwiazdą, zachowując największą ostrożność, oddział w którym znaleźli się obydwaj, ruszył na drugą stronę potoku. Milczące postacie wojowników bezszelestnie przedostały się przez wąski i płytki strumień i zaległy w załamaniach przeciwległej skalnej ściany.

Samotna Gwiazda wysunawszy się na czoło oddziału uniósł rękę. Długi wąż postaci zafalował i niczym cień poczał pełznąć bezszelestnie w miejsce, gdzie ukrywali się wrogowie.

Jaguar i Sasay’ga wciśnięci w skalną szczelinę odczekali, aż ostatni wojownik roztopił się w mroku nocy, przemknęli niczym duchy z powrotem na drugą stronę strumyka i pełznąć tuż przy ziemi, wkrótce znaleźli się w pobliżu niszy kryjącej jeszcze do niedawna cały oddział. Było bardzo ciemno, toteż Mohawk z ledwością dostrzegł zarys sylwetki Złej Twarzy. Pawnee plecami opierał się o skałę. Obok majaczyły trzy skulone dziewczęce postacie.

Pawnee czuwał. Widać to było po jego napiętej, pochylonej lekko do przodu postaci i wyprężonej sztywno głowie, wskazującej na to, iż słuch jego usiłuje złowić najdrobniejszy szmer.

Oddział musiał oddalić się już ponad sto kroków. Jaguar wiedział, że nie ma dużo czasu. Musiał się spieszyć. Wprawdzie wartownik oddalony był jeszcze o dobrych parę kroków, ale Mohawk nie mógł czekać. I nie mógł pozwolić, by tamten krzyknął.

Wykorzystując chwilę, kiedy Zła Twarz obrócił głowę w stronę wylotu parowu, dopadł go dwoma skokami; miazdzącym chwytem ścisnął gardło i wzniosł ramię uzbrojone w nóż. Wróg jednak nie dał się zaskoczyć. Jego lewa ręka węzowym ruchem oplótła uzbrojoną dłoń młodzieńca. Ze zduszonego gardła wydobył się, ledwo dosłyszalny szept:

– Niech Jaguar nie zabija przyjaciela!

Usłyszawszy swoje prawdziwe imię, Mohawk rozluźnił nieco uchwyt.

– Kim jesteś? – szepnął.

– Przyjacielem. Zaraz uwolnię dziewczyny. Ty i Sasay'ga zlikwidujcie strażników i przyprowadźcie ogashy. Spiesz się. Nie ma czasu – jednocześnie puścił uzbrojoną dłoń młodzieńca. – Spiesz się – powtórzył z naciskiem. – Zaraz zaczniesz się atak.

Młodzieniec nie wahał się dłużej. Puścił gardło Złej Twarzy i cofnął się o kilka kroków. Za chwilę zniknął w ciemności.

Nishkáujingwa odetchnął głębiej i z mimowolnym podziwem pomyślał o napaści tamtego. Wiedział przecież, że nastąpi. Czekał na nią, a mimo to dał się zaskoczyć. Szybko wyjął nóż, nachylił się do ucha skulonej obok, oniemiałej z wrażenia dziewczyny i ledwo dosłyszalnym głosem powiedział:

– Nic nie mów. Bądź cicho. Zaraz będziesz wolna.

Dziewczyna wyciągnęła ręce. Zaślnął błysk noża. Po chwili opadły krępujące ją rzemienie. Nim zdążyła ochłonąć z wrażenia, obie jej towarzyszki były również wolne. Pawnee przyłożył dłoń do ust na znak, by zachowały milczenie. Sam wysunął się kilka kroków do przodu i słuchał pilnie. Gdzieś niezbyt daleko rozległ się szmer, coś ciężkiego głucho opadło na ziemię. W parę chwil później zamajaczyły niewyraźne sylwetki ogashy. Z mroku wyłonili się obydwaj młodzieńcy. W mgnieniu oka cała szóstka znalazła się na grzbietach zwierząt.

W tym samym momencie u wylotu parowu huknęły pierwsze strzały, a następnie rozległ się przeraźliwy wojenny okrzyk Pawnee.

Nishkáujingwa wysunął się do przodu i machnął ręką. Ogashy ruszyły cwałem w głąb parowu w przeciwnym kierunku niż ten, gdzie toczyła się walka.

W miarę ich biegu cichły i zamierały w oddali odgłosy walki. Zła Twarz nie zwalniał jednak. Oddziałek umykał szybko w milczeniu.

Gdy na niebie pojawiła się biała twarz księżycy, uciekający ponownie ujrzeni przed sobą wysoką ścianę. Pawnee skierował bez namysłu swego wierzchowca na ścieżkę wiodącą w górę. O kilkanaście kroków od szczytu, gdzieś zza pobliskiego załomu, rozległ się głos puszczyka.

Nishkáujingwa wyprostował swą z lekka przygarbioną postać i odpowiedział tym samym głosem.

W parę chwil potem, po przebyciu kilkudziesięciu kroków, cała szóstka zjechała na dno niewielkiego zagłębienia i zatrzymała się w świetle ogniska.

Siedzący przy nim do tej pory wojownik podniósł się i patrzył chwilę na przybyłych, po czym powiedział serdecznie:

– Wódz Czarnych Psów cieszy się widząc, że jego braciom i siostram nie stała się żadna krzywda. Prosi ich do swego ogniska.

Jaguar zeskoczył na ziemię i podszedł do wojownika Pawnee. Stanął przed nim i w twarzy tego, którego jeszcze do niedawna uważał za swego śmiertelnego wroga zatopił ostre spojrzenie

– Kim jest Zła Twarz?

Słyszac to pytanie, wódz Yanktonai uśmiechnął się i wyciągnął w stronę wojownika Pawnee dużą tykwę z ciepłą wodą. Ten zanurzył w niej kilkakrotnie obie dłonie i starannie zmył pokrywającą jego oblicze farbę; następnie wytarł twarz miękką skórą, uniósł głowę i cofnął się. Sasay'ga stłumił cisnący mu się na usta okrzyk; dziewczęta patrzyły jak urzeczone.

W jasnym blasku płomieni, z błyszczącą jeszcze trochę twarzą, stał przed nimi Krzywy Róg – czarownik Moose. Patrzył na zdumionych młodych przyjaciół z uśmiechem i odcieniem dumy w oczach. Wyglądem swym wprowadził w błąd nie tylko wodza Pawnee i jego wojowników, ale również obydwu młodzieńców oraz córki ludu Moose. Był dumny z jeszcze jednego powodu – pomógł im, osłaniał przed niebezpieczeństwem, a w decydującym momencie przyczynił się do ułatwienia ucieczki. Chociaż kto wie? Gdyby z zaciśniętego gardła nie zdołał tam w wąwozie wydobyć głosu, Jaguar zawiesiłby jego skalp u swego pasa.

Poradziliby sobie sami. Odruchowo potarł miejsce, na którym zacisnęły się palce młodzieńca. Na pewno zostawiły tam swój ślad. Na pytające spojrzenie wodza Czarnych Psów skrzywił twarz w śmiesznym grymasie i powiedział:

– Jaguar ścisnął gardło Złej Twarzy i o mało go nie udusił i nie pożarł swym nożem. Kenéwh pozwoli, że Mohawk i Moose przywitają się ze swymi siostrami i porozmawiają trochę. Tam u Pawnee nie mogli się zdradzić.

Wódz kiwnął głową na Krzywego Roga i odszedł z nim kilka kroków na stronę. Młodzieńcy patrzyli na te, które miały stać się posłańcami do Porannej Gwiazdy.

Sasay'ga, który w pierwszym odruchu radości chciał skoczyć, i uściskać dziewczęta, zatrzymał się w pół kroku. U jego pasa zwiisały dwa skalpy – dwa skalpy tych, co pilnowali w parowie Ogashy. Jego brat Jaguar u swego pasa miał również takie samo trofeum. Byli więc wojownikami. Okazywanie uczuć było nie na miejscu. Powściągnął więc ten pierwszy odruch i opanowawszy głos powiedział spokojnie:

– Sasay'ga cieszy się widząc, że jego siostrze Shóamin, Młodej Sosence i Błękitnemu Ptakowi – córce wodza ludu Wahboosoog nie stała się żadna krzywda i są już bezpieczne. Wraz z Jaguarem, Krzywym Rogiem i Sasay'gą, który nosi teraz imię Szarego Niedźwiedzia, wrócą bezpiecznie do swych wiosek.

Shóamin, nie wstydząc się stojących o kilka kroków wodza Czarnych Psów i czarownika, zawisała na szyi brata. Ani jedno słowo nie wybiegło z jej ust, ale młodzieniec czując oplatające kurczowo jego szyję ramiona siostry zrozumiał, że w jej oczach przestał być już tylko młodzieńcem i bratem, że siostra widzi w nim wojownika, kogoś pod czyją opieką może czuć się bezpiecznie i spokojnie. Spojrzał ukradkiem na Młodą Sosenkę. Patrzyły na niego oczy wyrażające dumę i zachwyt, oczy które mówiły, że dziewczyna wyjdzie zawsze ze swego wigwamu, gdy usłyszy głos fletu, którym dotąd wywoływał ją bezskutecznie. Serce młodzieńca zalała fala radości.

Odsunął delikatnie siostrę; uśmiechnął się do Młodej Sosenki. W świetle płomieni oczy jego gorzały niczym pochodnie drzewa nasyczonego żywicą.

– Czy córka Dzielного Serca cieszy się z odzyskania wolności?

Dziewczyna opuściła powieki – lekki rumieniec zabarwił jej śniadą twarz.

– Młoda Sosenka cieszy się, że brat Shóamin zdobył na swej ścieżce nowe imię i skalpy wrogów. Jest już mężczyzną. Kamienny Tomahawk będzie z niego dumny.

– A co powie Błękitny Ptak? Jak znalazła się w rękach wrogów?

– Pawnee porwali ją wraz z kilkoma innymi dziewczętami. Bała się, dokąd nie zobaczyła – tu zacięła się leciutko – Szarego Niedźwiedzia i Jaguara. Gdy ich ujrzała, nie bała się więcej. Wiedziała, że nie pozostawia jej w rękach Pawnee. Są bardzo dzielni.

W czasie tej rozmowy Mohawk nie otworzył ust. Stał spokojnie, słuchał wypowiedzianych dziewczęcymi głosami słów i patrzył na daleką, zawieszoną gdzieś na ziemi Małego Żółwia gwiazdę. W pewnej chwili poczuł u swego boku czyjaś obecność. Nie odwrócił głowy. Nie chciał płoszyć wrażenia. Gwiazda jaśniała złotym blaskiem i mrugała wesoło.

Tętent ogashy wyrwał go z dalekich marzeń. Shóamin cofnęła się i przycupnęła obok pozostałych dziewcząt.

Z mroku wyłonili się dwaj jeźdźcy i zatrzymali przed wodzem.

– Jakie wieści przywożą Mała Stopa i Czarny Wąż? – spytał Kenéwh.

Mała Stopa zsunął się ze swego wierzchowca.

– Pawnee i biali zostali odparci. Atakując byli przekonani, że natrafiają tylko na jedną przeszkodę i na równą im liczbę źle uzbrojonych Dakotów, ale pomylili się. Gdy wtargnęli na szczyt przeszkody, jaką usypali Dakota i wystrzelili ze swych grzmiących rur, wtedy zza drugiej przeszkody ogniem odpowiedzieli wojownicy Kinwáukwunwe. Wielu wrogów padło. Gdy mimo to rzucili się na drugą przeszkodę, doszło do walki wręcz. Razem zginęło jedenastu Pawnee i dziewięciu białych. Kilku innych jest rannych i tych pojмали Dakota.

Czarny Wąż w czasie walki sam zabił dwu białych i zabrał im skalpy oraz pojmał jednego Pawnee. Od rannych Pawnee wodzowie Dakotów dowiedzieli się, że ani Samotna Gwiazda ani kupcy nie wiedzieli, że wrócił Orzeł Białogłowy i przywiózł strzelby, w które uzbroił swych wojowników.

Kinwáukwunwe i Waubezháhqua uwolnili rannych wrogów i kazali im, by powiedzieli Samotnej Gwieździe, że Dakota zamknęli parów przy pomocy trzy razy po stu wojowników i jeśli jutro, po wschodzie słońca, wrogowie ich nie złożą broni, zostaną zabici.

Kenéwh pokiwał głową.

– Czy wśród wojowników Dakota są zabici i ranni?

– Żaden z wojowników nie poległ. Trzech odniosło rany.

– Czy Waubezháhqua lub Kinwáukwunwe kazali przekazać coś jeszcze wodzowi Czarnych Psów?

– Tak, prosili, by przyjechał na drugą stronę parowu i zabrał ze sobą Krzywego Roga i jego przyjaciół. Pragną, by wziął udział w rozmowie z Pawnee i białymi.

– Dobrze! Kenéwh i jego przyjaciele pojedą zaraz. Mała Stopa obejmie dowództwo nad pozostawionymi tu wojownikami i nie wypuści wrogów. Nawet gdyby ich było dwa razy po stu, nie zdołają przejść tą ścieżką. Kenéwh odjeżdża więc spokojny.

W niedługi czas potem niewielki oddziałek prowadzony przez wodza Czarnych Psów posuwał się krętą, ledwo widoczną ścieżką biegnącą równolegle do krawędzi parowu. Droga mimo ciemności nie była trudna, toteż ogashy przebiegły ją szybko i wkrótce po łagodnej pochyłości zjechały w dolinę.

Z lewej strony strumienia, gdzie zielona łąka dochodziła prawie do lasu, płonęło kilkanaście ognisk. Wokół poruszały się liczne postacie wojowników. Było ich wielu. Mohawk naliczył przynajmniej dwa razy po stu, a wiedział przecież, że to nie wszyscy. Znaczna część musiała pilnować wejścia do parowu.

Pod samym lasem oczekiwali wodzowie: Waubezháhqua i Kinwáukwunwe.

Młodych przyjaciół witali serdecznie i z nie skrywaną radością. Dziękowali czarownikowi Moose; chwalili chytryść i dzielność wszystkich trzech młodzieńców, żartowali i przekomarzali się z dziewczętami.

Tuż po wschodzie słońca do obozu wrogów poszedł jeden ze starszych wojowników. Poselstwo jego było jasne. Na rozmowę do obozu Dakotów mieli przyjść Samotna Gwiazda oraz obaj wodzowie białych kupców. Yankton i Yanktonai gwarantowali im bezpieczny powrót do parowu.

I widocznie wysłannik nie musiał przekonywać zbyt długo zamkniętych w pułapce, bo niebawem Nezhéka-Ahnúng, Wright i Batson przecisnęli się wąskim przejściem w rogu zapory i podeszli do ogniska, przy którym oczekiwali ich trzej wodzowie Dakotów.

Waubezháhqua, jako najstarszy z nich, wskazał przybyłym miejsce i bez wstępu oświadczył:

– Nezhéka-Ahnúng oraz biali nie zostali tu zaproszeni jako goście. Zostali wezwani jako wrogowie, którym wodzowie Dakotów pragną przekazać to, co postanowili. I nie chcą tracić czasu na niepotrzebną wymianę słów ani niczego wyjaśniać. Powiedzą swoje, a wódz Pawnee i wodzowie białych postąpią tak, jak będą sobie życzyli. – Tu na chwilę przerwał, dając widocznie czas, by biali i Pawnee zrozumieli dobrze treść jego słów, po czym podjął przerwana myśl. – Skidi i biali, którzy podają się za kupców, nie byli proszeni o przyjsię na tereny Dakotów. Przyszli sami, lecz, mimo iż znaleźli się w nie swoim domu, nie poprosili o gościnę. Nie odwiedzili żadnej wioski Dakotów i nie zaproponowali im kupna swoich towarów. Biali nie są kupcami. Są handlarzami niewolników. Ukryli się tu, by za swe towary kupić dziewczęta i sprzedąć je potem w niewolę na wschodzie lub na południu. Namówili Pawnee, by im pomogli. Wspólnie więc dopuścili się czynów zabronionych przez Wielkiego Ducha.

Ponieważ zbrodni swej dopuścili się na ziemiach Dakotów, poniosą karę zgodnie z tutejszymi zwyczajami i prawami.

W przeciągu czasu, jaki biali nazywają godziną, wyjdą z parowu, zostawiając tam wszystkie ogashy, wszystkie przedmioty należące do białych i całą broń. Każdy biały i każdy Skidi może zatrzymać tylko nóż. Kiedy opuszczą parów mogą iść dokąd zechcą, ale jak najszybciej odejdą z ziemi Dakotów. Nikt ich nie zatrzyma. Jeśli jednak nie usłuchają Orła Białogłowego, nim słońce przebiegnie połowę swej drogi, nie będą już żyli. Dakota dobrze zna ten parów i kule z ich strzelb osiągną każdego, kto nie usłucha polecenia Yankton i Yanktonai. Waubezháhqua skończył. Wrogowie mogą odejść do swych ludzi.

Obydwaj biali oraz Samotna Gwiazda podnieśli się bez słowa. Otaczający ich tłum wojowników uzbrojonych w strzelby nie wróżył w razie oporu nic dobrego. Samotna Gwiazda poszukał wzrokiem dwu fałszywych Neegigwug i w oczach jego zamigotało podejrzanе światelko. Odwrócił się do Orła Białogłowego i powiedział na pozór zupełnie spokojnie:

– Obydwaj Neegigwug, których widzi tu wódz Pawnee, uciekając z dziewczętami nocą, nie zdążyli zabrać swych worków i zawiniątek. Nezhéka-Ahnúng nie chciałby, by ktoś pomyślał, że Pawnee to złodzieje. Orzeł Białogłowy pozwoli, że rzeczy Neegigwug wojownicy przyniosą tu.

Waubezháhqua skinął głową. Wrogowie odeszli bez jednego więcej słowa.

Nim minął czas wyznaczony przez wodza Yanktonai, przez poszerzone w zaporze przejście przesuwali się biali oraz ich sprzymierzeńcy Pawnee.

Zgodnie z poleceniem Orła Białogłowego zostawili w parowie wszystko prócz noży. Wiedzieli, że próba ukrycia czegokolwiek groziłaby natychmiastową utratą skalpu. Jedynie dwu wojowników Samotnej Gwiazdy niosło niewielkie worki i długie, okręcone skórą i mocno związane rzemieniem zawiniątka.

Żaden z Pawnee ani białych nie poszedł wzdłuż strumienia. Wszyscy podążyli za Samotną Gwiazdą w miejsce, gdzie stali wodzowie Dakotów oraz wielu wojowników Yankton i Yanktonai.

Nezhéka-Ahnúng podszedł tuż do wodzów i powiedział:

– Zanim Pawnee opuszczą te ziemie, chcieliby wiedzieć, czy Orzeł Białogłowy dla wszystkich, którzy według niego naruszyli prawa Wielkiego Ducha jest jednakowo surowy i jednakowo sprawiedliwy? Czy swoje prawa tak samo stosuje wobec wszystkich?

Waubezháhqua potwierdził skinieniem głowy i odparł:

– Wódz Dakotów ma tylko jeden język prawdy i sprawiedliwości. Karze tych, co wystąpili przeciwko prawom ustanowionym przez Wielkiego Ducha Wakondę. Szanuje tych, którzy praw Wielkiego Ducha przestrzegają.

Wódz Pawnee zmrużył oczy, po twarzy jego przemknął złośliwy cień zadowolenia. Na powrót jednak przywdział maskę obojętności i by się ostatecznie upewnić, czy dobrze zrozumiał swego wroga, spytał:

– A więc gdyby się okazało, że wśród tych, których Orzeł Białogłowy traktuje jako przyjaciół, znaleźli się tacy, którzy złamali prawa Wakondy, wódz Yanktonai ukarałby ich?

– Tak, Waubezháhqua wymierzyłby im karę – odparł spokojnie Dakota.

– Niech więc ukarze tych dwu młodych Neegigwug, którzy stoją teraz obok niego.

– A jakie prawa Wielkiego Ducha zostały przez nich naruszone? Niech to Pawnee powie.

Nezhéka-Ahnúng wyprostował się dumnie.

– Ci, którzy noszą imiona Assinbo i Kenárbo i podają się za Neegigwug złamali prawa ustanowione przez Wielkiego Ducha dla wszystkich Uhnishenáhtag, prawa szanowane również przez Pawnee. Znajdując się na świętej ścieżce pokoju i będąc gośćmi Pawnee, zdradzili ich, a więc obrazili Wielkiego Ducha.

Wśród wojowników Dakotów rozszedł się groźny szmer. Waubezháhqua podniósł rękę, a

gdy szmer ucichł, powiedział spokojnie:

– Ci, których Pawnee nazywa Assinbo i Kenárbo nie posiadają takich imion. Przybrali je tylko, by oszukać swych wrogów. Kenárbo nosi imię Jaguara, a wraz z tym imieniem naszyjnik z pazurów i kłów oraz skórę tego drapieżnika. Zdobył je sam i ma prawo do ich noszenia. Drugi z przyjaciół Dakotów, to nie Assinbo – nędzny, tchórzliwy kojot. To Szary Niedźwiedź, który nocą, też tylko z nożem w ręku, pokonał wielkiego grizzly. Obydwaj nie są chłopcami, za jakich uważał ich Samotna Gwiazda oraz jego biali przyjaciele. To dzielni i chytry wojownicy, którzy nie lękali się wejść w sam środek obozu wrogów i z łatwością oszukali tak samo Samotną Gwiazdę, jak i białych. Wódz Pawnee rzucił na nich straszne oskarżenie. Niech je udowodni.

Zamiast odpowiedzi Samotna Gwiazda spytał strasznym głosem:

– Czy ci, którzy niosą święty czerwony kamień i cybuch do fajki pokoju i zdradzają tych, którzy im uwierzyli, nie obrażają Wielkiego Ducha?

Waubezháhqua odparł spokojnie:

– Tak, ci obrażają i zasługują na karę, ale niech Samotna Gwiazda udowodni, że takiej obrazy Wielkiego Ducha dopuścili się Jaguar i Szary Niedźwiedź.

Pawnee skinał na swych dwu wojowników, a ci z worków należących do obydwu młodzieńców, pod nogi Orła Białogłowego wyrzucili dwie bryły czerwonego kamienia.

– Czy ten dowód wystarczy wodzowi Dakotów?

Waubezháhqua podniósł obie bryły z ziemi i uderzył je o pobliski kamień. Gлина rozpadła się na kilka kawałków. I żaden z nich wewnątrz nie był czerwony. Czerwona była jedynie cienka zewnętrzna warstewka. Wokół zaszumiało ponownie, a Orzeł Białogłowy powściągnął uśmiech, spytał:

– Czy wódz Pawnee twierdzi, że to jest święty czerwony kamień?

Samotna Gwiazda schylił się i dłuższą chwilę wpatrywał w zwykłą żółtą glinę, pokrytą cienką warstwą czerwonej farby. Niecierpliwie sięgnął po obydwie długie zawiniątka młodzieńców i drżącymi palcami odpłatał rzemienie. Z obydwu skór wypadły kawałki ułamanych leszczynowych gałęzi.

Wśród zgromadzonych wojowników Dakota rozległ się głośny śmiech.

Orzeł Białogłowy ponownie uniósł dłoń i patrząc w oczy zdumionego wodza Pawnee powiedział drwiąco:

– Samotna Gwiazda nie jest wojownikiem. Jest chłopcem, którego każdy może oszukać. Gdy Jaguar i Szary Niedźwiedź postanowili pójść do jego obozu, odłożyli swe święte oki i nie zabrali czerwonego kamienia. Wiedzieli, że nie wolno im obrazić Wielkiego Ducha i nie obrazili go. Gdyby Samotna Gwiazda i jego wojownicy mieli lepsze oczy, zauważyliby podstęp. Ale oni są tak samo ślepi jak i biali. Umieją tylko porywać dziewczęta i związane zabijać czerwoną strzałą i kamiennym nożem.

Wódz Yanktonai jest pewien, że nawet Poranna Gwiazda z pogardą patrzy na wszystkich Pawnee i odwraca od nich swe oczy. Niech idą precz również z oczu Dakotów.

Nezhéka-Ahnúng spuścił głowę. W jego sercu szalała burza i palił je wstyd. Wolał nie pytać już o los Złej Twarzy. Odwrócił się i podążył w dolinę. Powlekli się za nim jego wojownicy oraz biali.

Szli z pustymi rękoma. Broń i towary, jakie przywieźli biali kupcy, stały się łupem Dakotów...

Kilka Wieczorów później w tipi Waubezháhqua, przy wesoło trzaskającym ognisku siedziało kilku mężczyzn. Po prawej stronie wodza zajmował miejsce Krzywy Róg, Jaguar i Szary Niedźwiedź, po lewej Kenéwh i Czarny Wąż.

Na piersiach Szarego Niedźwiedzia zwiisały dwa naszyjniki: ze szponów i orlego dzioba oraz z pazurów i kłów niedźwiedzia.

W dalszej części tipi wesoło gwarzyły kobiety i dziewczęta. Cieszyły się. Wyprawa

Yanktonai skończyła się bardzo pomyślnie. Nie poległ żaden z wojowników i nikt nie został ciężko ranny. Wojownicy zdobyli wiele pięknych Sunka Wakan, wiele broni, którą musieli pozostawić Pawnee i biali, dużo wełnianych grubych derek, kociołki do gotowania stawy, igły, nici i kilka dużych worków kolorowych paciorków. I każda rodzina dostała wiele z tych skarbów. Kobiety cieszyły się także z tego, że myśliwi mają obecnie dużo strzelb, kul i prochu. Wiedziały więc, że gdy przed nadejściem śniegu pojawią się stada bizonów, w wiosce nie zabraknie świeżego mięsa i nikt nie będzie cierpieć głodu. Wiedziały też, że zawdzięczają to głównie Krzywemu Rogowi oraz trzem młodzieńcom. Toteż, chociaż czarownik, Jaguar i Szary Niedźwiedź mówili językiem północnych wrogów, nie czuły do nich najmniejszej niechęci.

Ci trzej nie byli wrogami. Sami narażając się najbardziej, pomogli wojownikom Yanktonai pokonać nie tylko znienawidzonych Pawnee, ale i ukarać fałszywych białych kupców. Wobec gości były więc serdeczne, a trzema dziewczętami opiekowały się niczym własnymi dziećmi.

Do uszu mężczyzn dobiegały więc raz po raz to wyraźniejsze głosy rozmowy, to wybuchy radosnego śmiechu.

Głosów tych Orzeł Białogłowy słuchał z widoczną przyjemnością. Dawno już kobiety z wioski nie zaznały tyle radości. Toteż, mimo że przeszkadzały trochę w rozmowie mężczyzn, nie gniewał się. Dłoń swą oparł na ramieniu czarownika Moose i powtórzył pytanie:

– W jaki sposób Krzywemu Rogowi udało się zmienić skórę tak, że Pawnee nie poznali go i dali się zwieść jego twarzy?

– Nie było to bardzo trudne. Jak jego bracia wiedzą, wiele Zim temu Krzywy Róg przebywał przez pewien czas u Pawnee. Nauczył się tam dobrze ich języka i poznał wielu wojowników. Poznał też Nishkáujingwę i wiedział, że wojownik ten postępując zgodnie z wolą swego ducha każdego Wieczoru zmienia swój wygląd. Gdy śledząc białych natknął się teraz ponownie na Złą Twarz, zastąpił go u boku Samotnej Gwiazdy. Krzywy Róg też umie posługiwać się farbami. Gdy Kenéwh przekazał mu wiadomość o swej rozmowie z Jaguarem i Sasay'gą, noszącym teraz imię Szary Niedźwiedź, nie zdziwił się, kiedy ujrzał ich w obozie Pawnee i był już zupełnie spokojny, że we trzech udaremnią plany białych i Skidi. Ucieszył się, gdyż znał plany Kenéwha i Kinwáukwunwe, a po zachowaniu Mohawka i Szarego Niedźwiedzia domyślił się łatwo, że jeden z nich musi znać drogę do parowu, w którym wodzowie postanowili zastawić na wrogów pułapkę. Pomógł więc im w wykonaniu planu.

– Dlaczego Krzywy Róg od razu nie dał znaku swym przyjaciółom? – spytał Mohawk. – Przecież Jaguar mógł go zabić.

Czarownik uśmiechnął się szeroko.

– Krzywy Róg wiedział, że Jaguar jest bardzo szybki, ale nie podejrzewał, że aż tak bardzo. Był to jego błąd. Wiedząc, że jego młody brat ma prawo nosić naszyjnik z pazurów dzikiego kota, powinien był być bardziej ostrożny... Nie mógł natomiast braciom swym pokazać prawdziwej twarzy. Mogliby wtedy wszyscy trzej zdradzić się czymkolwiek. Wolał nie ryzykować.

Na chwilę zapadło milczenie. Waubezháhqua ważył coś w myśli, w końcu zabrał głos:

– Orzeł Białogłowy wie, że fałszywi biali kupcy oraz Pawnee nie są dzisiaj groźni i nie odważą się zaatakować żadnej wioski Dakotów, ale wie też, że łatwo nie pogodzą się ze swoją klęską. Nie zna dobrze białych, więc nie wie, co uczynią, ale zna Pawnee i jest przekonany, że będą szukali odwetu. Co sądzi o tym Kenéwh i Czarny Wąż, którzy nieraz na swej ścieżce spotykali wojowników Skidi?

Wódz Czarnych Psów myślał kilka chwil, po czym odparł poważnie:

– Kenéwh zgadza się ze swym bratem. On też myśli, że Pawnee będą szukali sposobności do odwetu. Myślał o tym już wcześniej, wtedy, kiedy wrogowie musieli się poddać. Nie zaniedbał więc ostrożności i posłał za nimi zwiadowców. Wie więc, że jeszcze tego samego Wieczoru biali oddzielili się od Pawnee i że poszli w stronę Misquahgumme seebee. Domyśla

się więc, że będą chcieli zbudować łodzie i popłynąć w dół rzeki, by jak najszybciej znaleźć się w pobliżu faktorii białych kupców handlujących niedaleko wielkiej wody⁸⁴.

Pawnee odeszli na wschód. Może pragnęli jak najszybciej opuścić tereny Dakotów; może chcą ominąć ziemie swych wrogów Arikara, Cheyenne i Ponca; zwłaszcza, że nie posiadali odchodząc innej broni niż noże, a może po prostu chcieli jak najszybciej ukryć się w wielkich wschodnich lasach, by zgubić przed oczyma wrogów swe ślady. Odeszli z nienawiścią w oczach i żądzą zemsty w sercach. Kenéwh nie wie, dokąd skierują swe mokasyny, ale nie wierzy im.

Waubezháhqua zwrócił wzrok na Czarnego Węża:

– A co myśli Nawaho? Jego lud często walczył z Pawnee i zna ich lepiej.

– Nawaho podobnie jak wódz Czarnych Psów nie wierzy wojownikom Pawnee. Zostali wysłani w świętej misji. Stracili wielu wojowników. Misji tej nie wypełnili. Okryli się śmiesznością i hańbą. Stracili sławę. Nie mogą wrócić do swej wioski bez dziewczyny, którą ich kapłani mogliby złożyć w ofierze Gwieździe Porannej. Obawialiby się gniewu i zemsty swych bogów. Nie mogą odejść stąd bez próby pomszczenia klęski. Chociaż zostali zwyciężeni, nie przestali być wojownikami. Pawnee nie boją się śmierci. Każdy z nich umrze z radością w sercu w walce toczonej w imieniu bogów. Czarny Wąż myśli, że spróbują zemścić się na swych wrogach i nie zrezygnują z porwania dziewczyny. Wiedzą, że najbardziej zostali oszukani przez Jaguara i Szarego Niedźwiedzia. Nawaho obawia się więc, że zemstę swą skierują właśnie przeciwko nim. Nie zaniechają jej.

W tipi zaległa cisza. Każdy z obecnych rozważał w skupieniu słowa Kenéwha i Czarnego Węża. Powiało chłodem. Nad płomieniami ogniska głębokim cieniem osiadła mgła niepewności.

Wódz Czarnych Psów pokiwał głową.

– Nasz brat Nawaho dobrze widzi przyszłość. Kenéwh wie, że dla dwudziestu paru wojowników przeszkodą nie będzie chwilowy brak broni. Kamienia na groty do strzał znajdą potrzebną ilość w każdym miejscu. Drzewa na łuki dostarczy im każdy las. Jeśli zechcą, bardzo szybko mogą zbudować kanu lub ukraść potrzebną ilość Sunka Wakan. Wtedy na powrót staną się jak wilki. Kenéwh żałuje teraz, że nie zabrał im skalpów. I wierzy Czarnemu Wężowi. Pawnee będą chcieli odnaleźć trop Jaguara i Szarego Niedźwiedzia oraz dziewczyn. Wiedzą, że są zbyt słabi, by walczyć z Dakotami, ale są silniejsi od dwu czy trzech wojowników, którzy odjadą przecież stąd z dziewczętami. Na nich przygotowują zasadzkę jedną lub kilka.

Nasi bracia i siostry powinni tak długo pozostać w wiosce Yanktonai, aż Czarne Psy nie wytropią wojowników Pawnee i nie zabiją ich – dokończył z przekonaniem.

Krzywy Róg, który do tej pory nie odzywał się, uniósł teraz rękę na znak, że pragnie zabrać głos. Gdy wzrok pozostałych mężczyzn spoczął na jego twarzy, powiedział:

– Wodzowie oraz Czarny Wąż mają rację. Powiedzieli to, co nakazuje im ich doświadczenie i rozum. Krzywy Róg myśli podobnie jak oni, ale nie może zostać ze swymi braćmi i siostrami w pobliżu swej wioski, nadejdzie Muhnóomene keézis⁸⁵ – Księżyc Zbiorów Dzikiego Ryżu. Nim Hakatonwan znajdą się w pobliżu swej wioski, nadejdzie Kushkudene keézis⁸⁶ – Księżyc Śniegu. W kraju Moose rzeki i jeziora zostaną pokryte lodem. Wschodni Wiatr przyniesie czarne chmury i całą ziemię pokryje wielkim, grubym śniegiem. Wiatr Północny przyniesie z sobą mróz. Zwierzęta skryją się głęboko w lesie, a wędrowcom będzie trudno podążać ścieżką, na której się znaleźli. Krzywy Róg i jego młodzi bracia i siostry nie mogą pozostać dłużej. Muszą wyruszyć jutro. Krzywy Róg zna dobrze wodne

⁸⁴ Chodzi o faktorie kupieckie w forcie Garry nieopodal jeziora Winnipeg

⁸⁵ Muhnóomene keézis (czyt. Ma-nu:-mi-ni ki:-zis) – Księżyc Zbiorów Dzikiego Ryżu – wrzesień

⁸⁶ Kushkudene keézis (czyt. Kasz-ka-di-ni ki:-zis) – Księżyc Śniegu – grudzień

ścieżki. Popłyną szybko. Może zdążą przed wielkim śniegiem i mrozem.

Wojowników Pawnee nie obawiają się. Jest ich trzech i mają dobrą broń. Będą uważać i nie dadzą zaskoczyć się wrogom.

W tym momencie młody Nawaho uniósł głowę, spojrzał odważnie na obu wodzów oraz na czarownika i powiedział stanowczo:

– Krzywy Róg myli się. Nie popłyną w trzech. Będzie ich czterech. Czarny Wąż musi w wiosce Wahboosoog porozmawiać z ojcem Błękitnego Ptaka. Tak każe mu jego serce.

Waubezháhqua i Kenéwh pokiwali ze zrozumieniem głowami. Domyślali się właśnie takiej decyzji młodzieńca. Krzywy Róg, który też zauważył kilkakrotnie wymianę spojrzeń między Czarnym Wężem a Ozháhwunoo⁸⁷ i domyślał się, że w powrotnej drodze wspomagać go będzie jedno więcej dzielne ramię, popatrzył na młodzieńca poważnie i spytał:

– Czy Czarny Wąż jest pewien, że jego decyzja będzie miła Błękitnemu Ptakowi? Czy pytał ją o to?

– Nie, Czarny Wąż nie pytał słowami, ale zna odpowiedź oczu. Popłynie ze swymi braćmi.

Waubezháhqua zwrócił się do czarownika:

– Niech więc spełni się życzenie naszego brata. Jednak w drodze do Czerwonego Jeziora przyjaciółom Dakotów będzie towarzyszyło dwudziestu wojowników, których wyznaczy Orzeł Wojny. Dalej Krzywy Róg i jego dzielni młodzi bracia popłyną już sami, a na Wielkich Bagnach oraz w puszczy postarają się zgubić swój ślad. Wojownicy, których wyznaczy Kenéwh, nie popłyną w kanu. Wyruszą wcześniej na swych Sunka Wakan i zbadają, czy gdzieś nad rzeką nie ukrywają się Pawnee lub inni wrogowie.

⁸⁷ Ozháhwunoo (czyt. Ou-ža-ua-nu) – Błękitny Ptak

Rozdział trzynasty

Ucieczka i pościg

Skrajem nadrzecznej polany przemknął szybko długouchy zając. W chwilę po nim mignęła żółta puszysta kita. Assinbo nie biegł jednak zajęczym tropem. Przemknął bezszelestnie tuż obok nóg myśliwego i zaszył się wśród listowia. Myśliwy wcisnął się głębiej w krzew wiecznie zielonego drzewa i czekał. Lis, który przepadał za różowym mięsem długouchego, nie pogonił za nim tym razem. Uciekał. Nie mógł jednak uciekać przed wilkiem. Wilk nie był jego wrogiem. Ryś nie przepadał również za mięsem ukrytym pod rudym futrem, chyba że był wyjątkowo głodny. Assinbo nie uciekał więc przed innym zwierzęciem. Mógł obawiać się tylko człowieka.

Myśliwy ukryty w rozłożystym krzewie nie miał wątpliwości, że nadchodził człowiek.

Wcisnął się głębiej między gęste gałęzie i czekał. Wiedział, że nie zostawił nigdzie śladów, toteż był spokojny. Żaden wróg nie mógł go tu wykryć.

Gdzieś niezbyt daleko rozległ się ostrzegawczy krzyk sójki. Czarna wiewiórka skacząc zręcznie z gałęzi na gałąź zniknęła w niewielkiej dziupli spróchniałego drzewa. Zza ogromnego pnia białej brzozy wychynęła na wąską ścieżkę lekko przygięta postać. W chwilę później pojawiła się druga.

Ukryty w krzewie myśliwy patrzył bez drgnienia powiek. Nadchodzący zbliżali się ostrożnie. Ich czujny wzrok przebiegał bezustannie od jednego drzewa do drugiego, badał każdy krzew i dziko splątane zarośla. Co parę chwil przystawali, czujnie nasłuchując. Zatrzymali się na skraju polany o kilka zaledwie kroków od ukrytego myśliwego. Rozmawiali mową rąk, toteż rozumiał ich doskonale.

– Wódz kazał dojść tylko do zakrętu rzeki. Wrogów nie było tu jeszcze – powiedział pierwszy. – Musimy wrócić zanim słońce schowa się za las. Co mój brat o tym sądzi?

– Myśli tak samo. Po ciemku łatwo zostawić ślady, a wrogowie i tak nie popłyną nocą. Nie znają dobrze tej rzeki. Schwytamy ich jutro. – Milczące skinienie głowy pierwszego zakończyło rozmowę. Obydwaj cofnęli się w głąb lasu.

Myśliwy wyczołgał się ostrożnie spod gałęzi, upewnił się, czy nie pozostawił za sobą jakiegoś śladu obecności i szybko oddalił w przeciwnym kierunku. Nim słońce skryło się za odległymi wzgórzami, ominął małe wzniesienie i stanął nagle pośrodku sześćcioosobowej grupki swych przyjaciół.

– Krzywy Róg widzi, że Czarny Wąż nie miał dzisiaj udanych łowów. Czy nie spotkał zwierzyzny, czy zawiodła go ręka?

Młodzieniec wykonał przeczący ruch.

– Czarny Wąż nie mógł polować. Na swej ścieżce spotkał dwu wojowników Pawnee. Zrezygnował więc z łowów i wrócił szybko, by ostrzec swych braci.

– Czy na pewno wie, że to byli Pawnee? – spytał czarownik.

– Tak, wie to. Rozmawiali o kilka kroków od krzaka, w którym się ukrywał. Widział o czym mówili – tu opisał wiernie znaki jakimi się posługiwali.

– Dlaczego Czarny Wąż nie zabił ich? Nie obawiał się przecież tych dwu preryjnych kojotów – powiedział Szary Niedźwiedź.

– Nie, Czarny Wąż nie obawiał się ich, ale wiedział, że gdyby nie wrócili do swego obozu, ich towarzysze poszliby ich szukać. Nie był pewien, czy byłoby to dobre. Wrogów może być

wielu.

– Czarny Wąż postąpił rozważnie – stwierdził Krzywy Róg. – Pawnee nie mogą domyślać się, że zostali odkryci. Jeśli nasz brat dobrze zapamiętał ich rozmowę, to Krzywy Róg będzie ich mógł oszukać. Jego bracia i siostry nie mogą tu pozostać. Dokąd jest ciemno, muszą wrogów wyprzedzić. Niech zajmą miejsca w kanu. Krzywy Róg poprowadzi.

W kilka chwil potem łodzie sunęły z powrotem pod prąd. Odpłynawszy dość daleko, skierowały się wzdłuż niewielkiego strumienia dopływającego do rzeki z prawej strony. Po pewnym czasie przemknęły na jakieś ciche jezioro, a następnie, przemykając bezszelestnie między oczeretami wydostały się ponownie na rzekę. Tu Krzywy Róg zarządził krótki odpoczynek. Szeptem poinformował swych przyjaciół, że ominęli wrogów i teraz zamiast za nimi, znajdują się przed nimi. Nie pozwolił jednak na dłuższy postój.

Gdy księżyc wysunął się zza postrzępionej chmury, ruszyli szybko na północ. Ponaglani świadomością niebezpieczeństwa grożącego dziewczętom, bez odpoczynku płynęli do rana, cały dzień, całą następną noc i jeszcze jeden dzień i noc. Nad ranem ujrzeli szeroko rozlane wody Kemewunáh gumme seebee⁸⁸. Tu zamiast na wschód, w kierunku wiosek Wahboosoog i Moose, przewodnik dziób swego czółna zwrócił na zachód. Koło południa kanu skryły się w niewielkiej zatoczce jeziora okolonego gęstym lasem.

Mimo iż Krzywy Róg widział zmęczenie malujące się na wszystkich twarzach, powiedział stanowczo:

– Wiem, że moi bracia są bardzo zmęczeni, ale nim będą mogli odpocząć, muszą zdobyć mięso. Wszyscy są głodni.

Młodzieńcy bez jednego słowa wzięli łuki i zniknęli między drzewami. Gdy wrócili przed zachodem słońca, przynieśli kilka indyków i prawie dwa razy po dziesięć kaczek. Czarny Wąż upolował dodatkowo dużego bobra.

Czarownik zbudził drzemiące dziewczęta. Kanu popłynęły jeszcze dalej na zachód, przemknęły cicho na wody jakiegoś większego jeziora i skręciły w ujście sporej rzeki. Rzeką tą posuwały się aż do wschodu księżyca. Dopiero wtedy Krzywy Róg przybił ponownie do brzegu i polecił rozniecić ognisko. Wydawał się spokojny i zadowolony. Mówił swobodnie nie ścisząc głosu:

– Jaguar pytał, dlaczego płyniemy na zachód, a nie na wschód? Niech pomyśli. Wrogowie w swej kryjówce pozostawali tylko do rana. Rano poszli na zwiady i w ciągu dnia ustalili, że Krzywy Róg i jego przyjaciele oszukali Pawnee i są przed, a nie za nimi. Wrogowie pomyśleli, że Krzywy Róg wraz ze swymi przyjaciółmi będą uciekali w kierunku swych wiosek. Rozpoczęli więc pościg. U Pawnee wiosłują sami mężczyźni, Samotna Gwiazda będzie więc myślał, że łatwo dogoni trzy ciężkie kanu, w których wiosłują mężczyźni i kobiety. Kiedy przekona się, że nie doścignął uciekinierów przed wielkim szlakiem, zwiększy jeszcze wysiłek i będzie gonił ich dzień i noc na... wschód, w stronę, gdzie znajduje się wioska Moose. Nie skręci na zachód, bo nie domyśli się, że ścigani zamiast płynąć do swej wioski, oddalają się od niej. Teraz Pawnee są już bardzo daleko. Kiedy zrozumieją swój błąd, będzie zbyt późno na pościg. Tymczasem Krzywy Róg poprowadzi swych braci inną ścieżką, której na pewno nie znają wrogowie. Ścieżka ta jest trochę trudniejsza i dłuższa, ale jego braciom i siostram nie grozi na niej żadne niebezpieczeństwo. Czy Jaguar teraz zrozumiał?

Młodzieniec potwierdził poważnie:

– Tak, Mohawk poznał teraz chytrą i rozwagę swego starszego brata i rozumie jego pośpiech. I jest mu wdzięczny – uśmiechnął się leciutko – za to, że swym braciom i siostram nie pozwolił jeść i spać przez dwie noce i przeszło dwa dni. Ma nadzieję, że pozwoli im teraz na jedno i drugie, i sobie też.

Czarownik wykrzywił się śmiesznie i oderwał prawie połówkę dobrze przyrumienionego ptaka.

⁸⁸ Kemewunáh gumme seebee (czyt. Ki-mi-ua-na-gam-mi si:-bi:) – Rzeka Deszczowa

Zmęczeni wędrowcy spali prawie do południa. Za to, gdy przebudzili się, na twarzach dziewcząt nie znać było zmęczenia. Patrzyły pogodnie i wesoło.

Ponieważ w nocy uczyniło się chłodno, a od wschodu ciągnął zimny wilgotny wiatr, szybko rozpałyły ognisko i zawiesiły na nim duży, żelazny kociołek z czystą wodą. Wrzuciły do niego najlepsze kawałki mięsa bobra, dwie kaczki i jednego, pokrojonego indyka. Kiedy potrawa zaczęła bulgotać, przyprawiły ją czerwonymi jagodami jarzębiny i czarnymi jałowca; dodały szaławii i różnych korzeni, a także soli i bardzo ostrych w smaku twardych ziarenek, które mieli z sobą biali kupcy, pokonani w kraju Dakotów.

Po skończonym posiłku Błękitny Ptak wyszorowała kociołek i ponownie zagotowała w nim czystej wody. Gdy woda zaczęła wrzeć, wsypała do niej dwie garście ziół i dodała tyle samo białego cukru. Woda nabrała złotobrazowego zabarwienia. Dziewczyna wymieszała ją starannie i rozlała do metalowych kubków.

Czarownik powąchał kilkakrotnie nieznany mu płyn i niepewnie odstawił kubek na ziemię.

– Co to za napój, który przyrządziła nam nasza siostra? – spytał podejrzliwie. – Krzywy Róg nie zna tego zapachu.

– To napój, jaki piją blade twarze. Ziola, z których go zaparzyła, mieli z sobą kupcy. Kobiety Dakotów dały swym przyjaciółkom jeden duży worek. Ozháhwunoo piła go już. Jest smaczny i sprawia, że ten kto go spożywa, czuje się rześko i nie boli go brzuch po zjedzeniu tłustego mięsa. Krzywy Róg może go skosztować. Sam zobaczy.

Mohawk widząc, że czarownik waha się, potwierdził słowa dziewczyny:

– Krzywy Róg nie musi się obawiać. Jaguar zna ten napój bardzo dobrze i często go spożywał. Biali przywożą go zza Wielkiej Słonej Wody, z krajów, w których jest bardzo ciepło. Ziola nazywają się uhneebish⁸⁹, lecz biali mają dla nich nazwę „tea”. Są zdrowe i Ozháhwunoo powiedziała prawdę. Krzywy Róg może je pić bez żadnej obawy. Uhneebish nie czyni z wojownika tego, co czyni ishkootá-wahboo.

Czarownik sięgnął po kubek i skosztował jego zawartość. Mimo iż płyn był gorący, wypił go prawie duszkiem, a po upływie pewnego czasu, kiedy młodzieńcy gwarzyli z Młodą Sosenką i Shóamin, podszedł do Błękitnego Ptaka i powiedział cicho:

– Niech Ozháhwunoo odłoży trochę tych ziół dla Krzywego Roga. To dobry lek. Czarownik pomoże nim wielu chorym, których boli żołądek. Jego też czasem boli, gdy zje dużo tłustego mięsa.

Dziewczyna uśmiechnęła się domyślnie i do sporego worka, jaki wojownik trzymał w ręku, wsypała dużą miarkę uhneebish. Podziękował jej ciepłym uśmiechem, a worek ukrył starannie wśród swoich zawiniątek.

W kilka chwil potem nakazał zwinięcie obozu. Kanu zagłębiły się w dziką ogromną puszcę. Grupa wędrowców posuwała się pod prąd wody powoli. Młodzieńcy musieli wiosłować bez odpoczynku, wkładając wiele wysiłku w pokonywanie bystrzyn i omijanie wystających z dna rzeki głazów. Czasami, gdy nie dawało się ich ominąć, przenosili łodzie i ich zawartość na swych barkach.

Dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Po niebie coraz częściej przesunęły się ciemne chmury niosące z sobą deszcz. Z każdym dniem zmieniała swój wygląd rozciągająca się wokół puszcza. Piękne drzewa traciły swą zieloną barwę. Liście żółkły, a na gałęziach drzew dających wiosną gęsty słodki sok – poczerwieniały. Całe ogromne połacie lasu przybrały kolor jesieni.

Krzywy Róg prowadził pewnie. Po trzech dniach pięcia się w górę rzeki kazał przenieść kanu nad spore jezioro, a następnie nad bardzo szybko płynący potok.

Tym razem potok prowadził na wschód i młodzieńcy mogli nieco odetchnąć; ograniczali się do utrzymywania swych stateczków w środku nurtu. Podróż stała się znacznie lżejsza. Potok zabierał wpływające doń co jakiś czas wody mniejszych strumieni i poszerzał swe

⁸⁹ Uhneebish (czyt. a-ni-bisz) – herbata

koryto. Łódki sunęły szybko, cicho, nie mącąc hałasem spokoju leśnych czworonożnych mieszkańców.

Las roił się od zwierzyny, toteż młodzi myśliwi nie mieli trudności ze zdobyciem świeżego mięsa. Nie używali jednak strzelb. W zupełności wystarczał łuk i strzała. Łupem ich więc padały leśne zające, rosomaki i bobry, od których roiły się liczne strumienie, a nawet najmniejsze potoki. Polowali na dzikie gołębie i wiecznie gulgoczące indyki. Parokrotnie w pobliżu wody napotykali stada łan i rychło przekonali się, że strzały Czarnego Węża niosą nie mniej pewną śmierć, co strzały Szarego Niedźwiedzia czy Jaguara. Nawaho, jak się okazało, mimo iż znaczną część życia spędził na prerii, nie był od obydwu młodzieńców wcale gorszym myśliwym i ślady zwierzyny odczytywał nie gorzej niż oni. W lesie nie zgubił nigdy własnej ścieżki i powrotną drogę do obozu odnajdował tak łatwo, jakby od dzieciństwa wędrował ścieżkami puszczy. Polubili go więc serdecznie, zwłaszcza że był powściągliwy, skromny, uczynny i szczerzy wobec swych towarzyszy. Czarownikowi okazywał szczególny szacunek i nigdy nie sięgnął wcześniej do zawieszanej nad ogniem, pieczeni, dokąd Krzywy Róg nie wybrał sobie i nie odkroił najsmaczniejszego kęsa. Pozostali zresztą czynili podobnie.

Gdy pewnego popołudnia Krzywy Róg, nie zauważywszy grubego korzenia, niebacznie ułamał wiosło i stracił kontrolę nad kanu pędzącym wprost na skały, Czarny Wąż bez chwili wahania rzucił się w spieniony nurt rzeki. Silnymi rzutami ciała dogonił wleczoną prądem wody łódkę, chwycił jej dziób, i mimo ryczących wokół fal oraz groźnie sterczących z kipieli wodnej głazów, przeciągnął ją bezpiecznie na spokojny odcinek rzeki. Czarownik oraz Shóamin z podziwem i przerażeniem w oczach patrzyli na rozpaczliwą walkę, jaką młodzieniec stoczyć musiał z szalejącym żywiołem.

Czarny Wąż zaś cały wypadek potraktował zupełnie spokojnie. Wyciągnął łódkę na brzeg i zniknął na trochę w lesie. Gdy wrócił, wszyscy widzieli, że po prostu zdjął bluzę i legginy i wycisnął z nich wodę, a następnie włożył z powrotem na siebie. Spostrzegłszy, że rozpalają ognisko, ujął toporek i ściął najbliższy niezbyt gruby świerk, a następnie zręcznymi cięciami oczyścił go z gałęzi. Skrócił do wymaganej długości i przysiadłszy przy ognisku spłaszczył na jednym końcu i zręcznie ścienił drugi. Nim zdążyły wyschnąć mokre legginy, które miał na sobie, wręczył czarownikowi nowe wiosło.

– Krzywy Róg będzie miał teraz nowe wiosło – powiedział. – Nie pęknie tak łatwo jak poprzednie. Gdy Czarny Wąż znajdzie odpowiedniej grubości jesion, wykona wiosło bardzo mocne.

Zdjął teraz mokrą bluzę i na białej w ziemię gałęzi zawiesił ją w pobliżu ciepłych płomieni ogniska. Zdawał się nie zwracać uwagi na zacinający coraz mocniej zimny deszcz.

Błękitny Ptak, sama czując dokuczliwe zimno i widząc półnagą postać młodzieńca, zaczęła kręcić się niespokojnie, a widząc że mężczyźni zdają się nie zwracać uwagi na to, że strugi zimnej wody coraz częściej spływają po obnażonych ramionach ich towarzysza, podniosła się i pobięła w stronę łódki. Gdy wróciła po kilku chwilach, niosła w ręku grubą obszerną bluzę, pokrytą ciepłym bobrowym futrem.

– Niech Czarny Wąż – powiedziała nieśmiało – włoży to na siebie. Deszcz jest zimny, a bobrowe futro nie przepuszcza wody. Będzie mu cieplej.

Młodzieniec rzucił ukradkowe spojrzenie na swych towarzyszy. Nikt jednak nie patrzył w tym momencie ani na niego, ani na Ozháhwunoo.

Wziął bluzę z rąk dziewczyny i powiedział cicho:

– Czarny Wąż cieszy się, że Błękitny Ptak pomyślała, by było mu ciepło. Teraz deszcz nic mu nie robi. – Dziewczyna spuściwszy głowę wróciła na swe miejsce.

Deszcz rozpadał się na dobre. Wiatr narastał z każdą chwilą. Zbliżała się jesienna nawałnica.

Krzywy Róg popatrzył kilkakrotnie na niebo, po czym oznajmił zdecydowanie:

– Nie można tu zostać. Wkrótce deszcz zaleje ogień. Trzeba popłynąć dalej. Krzywy Róg zna miejsce, gdzie deszcz nic nie robi jego braciom.

Po tych słowach zwinęli szybko dopiero co założony obóz i ściągnęli kanu na wodę. Rzeka zmetniała. Deszcz zaczął coraz mocniej. Przelotne dotąd szkwały zmieniły się w nieprzerwaną ciągłą ulewę. Z nieba płynęły grube strugi wody. Gęste kłębiaste chmury dotykały niemal koron wysokich drzew.

Po jakimś czasie usłyszeli huk wodospadu. Krzywy Róg skierował czołno w poprzek nurtu. W kilkanaście chwil potem mężczyźni przenosili pod niezbyt wysoki nawis skalny przedmioty znajdujące się w kanu. Wszyscy byli mokrzy. Młodzieńcy jednakże nie skryli się w skalnej niszy. Wziawszy z sobą toporki zagłębili się w las. Musieli zgromadzić zapas opału. Ulewa mogła trwać do wieczora lub nawet znacznie dłużej. Toteż mimo przenikliwego zimna pracowali bez przerwy do czasu, aż z lewej strony, w głębi niszy, urósł ogromny stos sosnowych i świerkowych gałęzi. Gdy wreszcie sami schronili się przed deszczem, Krzywy Róg, który przy pomocy dziewcząt zdołał jakoś zabezpieczyć przed zamknięciem worki zawierające różne przedmioty i rozpalić niewielki ogień, stał teraz pełen czujności, z uchem przyłożonym do chropowatej niszy. W rękę trzymał strzelbę. W drugim końcu skąpego schronienia stały skulone dziewczęta.

Mohawk szybko sięgnął po łuk, lecz czarownik pokręcił przecząco głową i wskazał na strzelby. Młodzieńcy szybko podsypali na panewki po kilka ziarenek suchego prochu. Na ich pytające spojrzenie Krzywy Róg uśmiechnął się szeroko i powiedział półgłosem, dotykając jednocześnie skały:

– Za załomem jest dziura, a dalej pieczara. W pieczarze siedzi niedźwiedź. Poczuł dym i usłyszał hałas, i zaczyna się gniewać. Będą łapy i szynka.

– Czy może szary niedźwiedź? – spytał Czarny Wąż.

Czarownik zaprzeczył:

– Nie, nie szary. Tu nie ma szarych niedźwiedzi. Są tylko czarne. Krzywy Róg wypłoszy tego, który pewno znalazł już sobie legowisko na zimę, a gdy zwierz będzie wychodził z jamy, moi bracia strzelą.

Młodzieńcy porozumieli się wzrokiem. Do przodu wysunęli się Czarny Wąż i Jaguar. Brat Shóamin ustawił się o krok za nimi. Uczynił to na wypadek, gdyby okazało się, że dwie kule nie wystarczą.

Wtedy Krzywy Róg wyciągnął z ognia dobrze rozpaloną gałąź i rzucił ją daleko w głąb pieczary.

Chwilę panowała cisza. Nagle wewnątrz rozległo się głośnie sapnięcie; jedno, drugie, gniewny pomruk, chrzęst kamieni i na zewnątrz wychynał najpierw duży łeb, a w chwilę potem lśniąca czarne zwierzę mierzące ponad trzy stopy wysokości. Prawie równocześnie zniżyły się dwie lufy, w powietrzu rozległ się suchy trzask; zapachniało spalonym prochem.

Zwierz sapnął głośnie i miękko opadł na przednie łapy. Młody Moose chwilę jeszcze trzymał uniesioną broń. Widząc jednak, że zwierz nie porusza się, oparł ją spokojnie o skałę. Obydwaj strzelcy nabili ponownie swe grzmiące kije. Krzywy Róg zbliżył się do martwego zwierzęcia i obyczajem wszystkich ludów północy przeproszał niedźwiedzia za zadaną mu śmierć, prosił o wyrozumiałość dla myśliwych. Duchowi zabitego ofiarował szczyptę tytoniu i dym z fajki pokoju, prosząc jednocześnie, by wszedł w serca dzielnych młodzieńców i uczynił je jeszcze bardziej mężnymi. Gdy skończył, Czarny Wąż i Jaguar zabrali się za oprawianie zwierzęcia, a Krzywy Róg wraz z bratem Shóamin weszli do pieczary i wkrótce przy pomocy dziewcząt przenieśli tam wszystkie rzeczy oraz rozniecili nowy ogień.

Zapadał mrok, gdy w obszernej jamie skalnej znaleźli się wszyscy. Było tu cicho i ciepło. Znad ogniska coraz wyraźniej rozchodził się smakowity zapach pieczeni. Nawałnica szła górą i chociaż przybierała na sile, jej odgłosy docierały tu bardzo słabo.

Pieczarę opuścili dopiero czwartego dnia, gdy przestał padać deszcz, ustąpiły chmury, a na

niebie ponownie ukazało się słońce.

Wichura wyrządziła duże szkody. W wielu miejscach, tuż nad brzegiem, leżały zwalone potężne sosny i świerki. Rzeką płynęły wyrwane z korzeniami stare dęby i klony. Grube, długie konary przegradzały nurt mętnej, żółtobrunatnej wody. Musieli teraz bardzo uważać. Każde nieostrożne pchnięcie wiosłem groziło wprowadzeniem łodzi na jakiś niewidoczny głaz, konar czy ukryty pod powierzchnią pień drzewa. Mijali coraz to nowe potoki i strumienie, odkrywali coraz więcej śródleśnych jezior i oczek wodnych. Nocami słuchali godowej pieśni jelenia.

Pewnego dnia, tuż po świcie, Krzywy Róg jeszcze raz nakazał przeniesienie łodzi i ładunku. Zajęło im to sporo czasu. Gdy koło południa spuścili ponownie kanu na niezbyt szeroką w tym miejscu rzekę, Błękitny Ptak rozejrzała się bacznie wokół i klasnęła w ręce:

– To łowieckie tereny Wahboosoog – prawda?

Krzywy Róg uśmiechnął się:

– Ozháhwunoo zgadła. Czy była tu już kiedyś?

– Tak, kilka razy. Zna las i wodę. Niedaleko stąd jest wodospad, który trzeba będzie obejść, a potem rzeka prowadzi już prosto do wioski. – Z tymi słowy pierwsza ujęła wiosło i zanurzyła je głęboko w wodzie.

Nim słońce przesunęło się na zachodnią stronę nieba, nurt rzeki przegrodził niezbyt wysoki uskok wody. Nie rozładowując kanu, przeniesiono je nad brzegiem rzeki o około sto kroków.

Następny odcinek był już spokojny. Kanu popychane siedmioma parami ramion sunęły szybko po spokojnej tafli wody.

W niedługi czas później, w oddali, dało się słyszeć szczekanie psów, a wkrótce między drzewami zamajaczyły zaokrąglone dachy wigwamów.

Na widok szybko sunących łodzi z wnętrza poczęły wychylać się odziane w skóry postacie. Ku rzece pomknęły dzieci. Przez wioskę niczym burza podniósł się radosny gwar:

– Ozháhwunoo... Wróciła Ozháhwunoo...

Nad rzeką przetoczył się jeden wielki krzyk. Setki mieszkańców znalazły się na brzegu. Łodzie niesione wartkim prądem i popychane silnymi ramionami szły szybko, zbliżając się ukośnie do lewego brzegu. Gwar rósł, potężniał. Przybyłych witał las wzniesionych radośnie rąk.

Błękitny Ptak wyskoczyła pierwsza, rzucając się w objęcia młodej jeszcze kobiety, stojącej tuż nad wodą. W jednej chwili matkę i córkę otoczył ciasny krąg innych kobiet i dziewcząt. Mężczyźni, a nawet młodzi chłopcy pomagali wyciągnąć na brzeg trzy łodzie. Młoda Sosenka i Shóamin zniknęły w tłumie kobiet. Mężczyźni ciasnym kręgiem otoczyli Krzywego Roga i trójkę młodzieńców.

Peshéwh złożył dłonie na ramionach czarownika i głosem, w którym znać było wzruszenie, powiedział serdecznie:

– Brat mój – Krzywy Róg – sprawił, że dzisiejszy dzień to dzień, w którym po raz pierwszy od wielu Księżyców w wigwamie wodza ponownie zaświeciło słońce, jego serce odczuło ciepły, orzeźwiający powiew wiosny, a pod powiekami zaślnęła rosa letniego poranka. W stare, chylące się niczym sucha wierzba ciało wojownika wstąpił ponownie jego dawny młody i silny duch. Dzięki jego bratu spod powiek matki nie popłyną więcej łzy bólu, a twarzy jej nie musi pokrywać warstwa czarnego popiołu. Krzywy Róg i jego bracia przynieśli dziś całej wiosce radość. Niech, ją więc dzielą z nami. – Wódz zamilkł. Wzruszenie nie pozwoliło mu mówić dalej. Jedynie jego palce coraz mocniej zaciskały się na ramionach czarownika.

Krzywy Róg dotknął dłoni wodza i odparł:

– Lud Wahboosoog i lud Moose są dziećmi tego samego Wielkiego Ducha. Ich synowie i córki, mężczyźni i kobiety z oblicza Keezhá-muhnedoo piją tę samą dobroć i mądrość, co

dzieci Moose. Są więc braćmi, a wrogowie ludu Wahboosoog są wrogami ludu Moose., Ten kto sprawia ból ludowi Wahboosoog, krzywdzi również lud Łosi.

Krzywy Róg i jego trzech młodzi przyjaciele nie chcieli, by jedynie w wigwamach Moose panowała radość. Ich serca żyły nadzieją, że radość sprawią również swym braciom i siostram Wahboosoog. Dlatego pobili wrogów i do wioski Peshéwha przywieźli jego córkę – Błękitnego Ptaka. I wszyscy czterej dzielą wraz z ojcem, i matką ich radość. Radość ta jest największą nagrodą, jaką dziś obdarował ich Wielki Duch.

Krąg dokoła czterech bohaterów zacieśnił się. Ściskano ich dłonie, klepano serdecznie i przyjaźnie po ramionach. Na znak wodza poprowadzono do wioski. Zachwyt i szacunek mężczyzn budziły dwa piękne naszyjniki kołyszące się na piersi Szarego Niedźwiedzia.

Ogromne zainteresowanie budził trzeci młodzieniec. Jego silna atletyczna postać, spiżowe rysy twarzy, a jednocześnie powściągliwość i skromność w zachowaniu, a także to, że przybył wraz z Krzywym Rogiem, że narażał się dla uratowania Błękitnego Ptaka, wywołały zrozumiałe zaciekawienie.

Czarownika Moose Peshéwh zabrał do siebie. Trzem młodzieńcom przydzielono obszerny, wyłożony miękkimi futrami wigwam. Rozgościli się więc w nim wygodnie. Wkrótce przybiegła Błękitny Ptak, by przygotować im posiłek.

Gdy zaczęła krzątać się wokół ogniska, Jaguar i Szary Niedźwiedź wyszli na zewnątrz. Wiedzieli, że Czarny Wąż podczas całej drogi nie rozmawiał z dziewczyną. Zachowywał się jak starszy brat opiekujący się swą siostrą. Ona musiała postępować podobnie. Obyczaj i surowe prawa zabraniały w takich wypadkach nie tylko mówienia o uczuciach, ale wręcz okazywania ich w jakikolwiek sposób. A przecież musieli z sobą porozmawiać. Musieli powiedzieć sobie chociażby najprostsze rzeczy. Mogli powiedzieć je jedynie bez świadków.

Mieli teraz taką możliwość i ani Mohawk, ani Moose nie chcieli im w tym przeszkadzać. Odeszli więc kilkanaście kroków od wigwamu i przysiedli na grubym pniu starego dębu. W wiosce panował niezwykły ruch i ożywienie. Z pobliskiego lasu kobiety znosiły pęki chrustu i układały w kilku stosach. Mężczyźni łamali lub przecinali grubsze bierwiona, ściągali także zwalone cięższe pnie. Za pomocą toporków rozłupywali je na mniejsze szczapy, które paliły się dobrze i długo mogły utrzymywać żar w ognisku. Na długich drągach, wyciętych w pobliskiej kępie olszyn, zawieszali jelenie i duże płyty łosiowego mięsa. Kobiety wynosiły z wnętrza wigwamów duże plecione kosze, a w nich fasolę i ryż, kukurydzę i wiele różnych jagód. W innych koszach oblepionych gliną i w miedzianych kociołkach mieszały mąkę z wodą. Dodawały do niej różnych traw i ziół. Jeszcze inne, w kamiennych lub drewnianych naczyniach rozcierały ziarna kukurydzy i fasoli. Cała wioska przygotowywała ucztę dla tych, którzy córkę wodza wyrwali z rąk wrogów i oddali ojcu.

Młodzieńcy zdawali sobie sprawę z tego, że to właśnie na ich cześć, że mieszkańcy pragną w ten właśnie sposób okazać im przyjaźń i szacunek.

Pozornie jednak, by nie kępować Wahboosoog, zdawali się nie zwracać na ich krzątanie najmniejszej uwagi. Szepotali o swym przyjacielu – Czarnym Wężu.

– Czy Jaguar wierzy, że Błękitny Ptak zechce wybudować wigwam dla Czarnego Węża?

Mohawk skinął głową.

– Jaguar pamięta słowa wypowiedziane przez Nawaho w tipi Orła Białogłowego w wiosce Yanktonai. Czarny Wąż powiedział wtedy, że z dziewczyną nie rozmawiał, ale zrozumiał to, co mówiły jej oczy. Jaguar nigdy nie patrzył na nich, gdy byli razem, ale nie zauważył, by Błękitny Ptak kiedykolwiek zrobiła przykrość Czarnemu Wężowi lub okazała mu swoją niechęć. Wie, że porozumieją się. Nie jest natomiast pewien jednej rzeczy.

Szary Niedźwiedź spojrzał na niego pytająco.

– Jaguar nie zna zwyczajów ludu Wahboosoog. Nie wie więc, czy dziewczyna może sama wybrać sobie męża, czy też musi być posłuszna woli rodziców. Szary Niedźwiedź zna lepiej prawa swych braci; może to wie?

Młody Moose z zakłopotaniem podrapał się po swych gęstych długich włosach:

– Brat Szarego Niedźwiedzia postawił bardzo trudne pytanie. U wszystkich Ojebwag panują prawie takie same zwyczaje i prawa. O wyborze męża dla dziewczyny zawsze decydują jej rodzice, ale nim zdecydują, pytają swą córkę. Rozmawiają z nią. Starają się poznać jej myśli i serce. Rzadko kiedy zmuszają ją, by budowała wigwam dla tego, który jest jej niemiły, chyba że złoży rodzicom bardzo dużo dobrych prezentów. Wtedy czasami decydują sami. Do tej pory Ozháhwunoo przebywała z dala od rodziców. Żaden z młodzieńców Wahboosoog nie mógł przysłać prezentów. Teraz, kiedy wróciła, wszyscy wiedzą, że w obronie jej życia walczył Czarny Wąż. Skoro nie wrócił do własnego ludu, lecz przyprowadził dziewczynę tu, poczekają i nie będą mu mieli za złe, jeśli on pierwszy złoży przed wigwamem Peshéwha swoje podarki, a wódz zrozumie, że nie może tam być skór i futer, bo Czarny Wąż nie był przecież na wyprawie myśliwskiej. Ale przecież złoży wiele innych wartościowych rzeczy, które odebraliśmy białym.

Wódz i matka Ozháhwunoo zechcą na pewno spytać o zdanie swej córki. Wtedy je usłyszą i będą wiedzieli jak postąpić. A Krzywy Róg, który też lubi i szanuje Czarne Węże, powie im co o nim myśli. Szary Niedźwiedź nie martwi się więc tym, chociaż jest mu trochę smutno.

– Co powoduje smutek w sercu mego brata?

– Szary Niedźwiedź, który polubił Czarne Węże żałuje, że Czarny Wąż nie będzie mu dalej towarzyszył, ale smutno jest mu również dlatego, że pewno wkrótce także Jaguar zechce wyruszyć do swej wioski, może na długo, a może na zawsze. Szary Niedźwiedź straci wtedy swego brata. Nie czuje więc radości w sercu.

Mohawk słuchający szczerých prostých słów swego przyjaciela, oparł mu dłoń na kolanie i powiedział przyjaźnie:

– Szary Niedźwiedź nie straci brata. Jeśli blask gwiazdy, która kierowała stopami Jaguara ku świętym kamieniołomom będzie nadal oświecał jego drogę, Mohawk pozostanie wśród ludu Moose. – W tym momencie odchyliła się zasłona nad otworem wejściowym wigwamu i Błękitny Ptak wyszła na zewnątrz. Ujrawszy obydwu młodzieńców uśmiechnęła się do nich łagodnie i powiedziała miękko.

– Ozháhwunoo przygotowała posiłek. Prosi by jej bracia spożyli go teraz. Nim mężczyźni i kobiety – dodała – przygotowują ucztę, brzuchy Jaguara i Szarego Niedźwiedzia musiałyby zaśpiewać pieśń głodowej śmierci, a tego Błękitny Ptak nie przeżyłaby również.

Obaj młodzieńcy roześmieli się wesoło i weszli do wnętrza. Dziewczyna zniknęła między kobietami.

Czarny Wąż zdjął kociołek znad ogniska i przysunął trzy płasko ociosane pieńki.

– Ozháhwunoo – powiedział z wesołym błyskiem w oczach – zadbała o żołądki trzech przyjaciół. Dwaj z nich zadbali o spokój myśli i serca Czarne Węże. Nawaho dziękuje im za pomoc, jakiej mu udzielili.

Mohawk i Moose uśmiechnęli się domyślnie i serdecznie.

Zgodnie z przewidywaniami Ozháhwunoo, uczta na cześć gości rozpoczęła się późno wieczorem. Poprzedziły ją taniec zwycięstwa i taniec skalpu oraz wiele pieśni w wykonaniu mężczyzn Wahboosoog. Głos zabrał Peshéwh oraz inni starsi mężczyźni wioski. We wszystkich wystąpieniach wymieniano czyny Jaguara i Szarego Niedźwiedzia oraz zasługi Czarne Węże i jego dzielność. Chwalono mądrość i przebiegłość Krzywego Rogu. Około północy rozpoczęła się uczta trwająca do rana.

Mohawk wstał wcześniej. Nie budząc śpiących towarzyszy wybrał jedną z pięknych tarcz, które wojownicy Pawnee musieli pozostawić w parowie po poddaniu się. Cicho wysunął się na dwór i poszedł w stronę wigwamu Wahbekookookuhoo. Wigwamu jednak nie zastał. W miejscu, gdzie stał kilka Księżyców temu, widniał szeroki okrągły plac wypalanej trawy. Serce młodzieńca ścisnął żal. A więc Wielki Duch objawił krewnym swą wolę. Wezwał

sędziwego wojownika przed swe oblicze, a najbliżsi na znak szacunku dla zmarłego spalili wigwam wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało.

Młodzieniec chwilę trwał w zadumie, po czym nie spiesząc się, poszedł w miejsce, gdzie stary kościsty nauczyciel udzielał wtedy wychowankom lekcji.

Byli tam i teraz. Musieli ćwiczenia rozpocząć ze wschodem słońca. Wraz z nimi był ten sam nauczyciel – Chuda Ręka. W gronie wychowanków znajdował się Ooshke kahkáhge – Młody Kruk, syn Białej Sowy.

Chłopiec zmężniał i urosł od czasu, gdy Mohawk widział go po raz ostatni. W odróżnieniu od pozostałych chłopców, twarz jego powlekał cień powagi – pierwsze znamię męskości.

On pierwszy dostrzegł zbliżającego się młodzieńca, bo przerwał strzelanie do tarczy i podszedł do nauczyciela.

Chuda Ręka ruchem dłoni przerwał lekcję i przywitał serdecznie młodzieńca.

– Nauczyciel i jego uczniowie cieszą się, że Jaguar nie zapomniał ich i przyszedł zobaczyć, jakie postępy uczynili wspólnie. Czy zechce swą ręką, tak jak poprzednio, wypuścić strzałę do tarczy wykonanej przez Ooshke kahkáhge?

Młodzieniec odłożył trzymaną w rękę tarczę, ujął łuk podany mu przez nauczyciela, napiął go silnie i wypuścił strzałę opatrzoną żelaznym grotem. Rozległ się krótki trzask. Strzała odpadła od tarczy nie przebijając jej. Mały Kruk podbiegł do tarczy, przyniósł ją i z niemym pytaniem w oczach wręczył młodzieńcowi.

Mohawk obejrzał tarczę starannie. Znalazł niewielkie wgłębienie – ślad po uderzeniu ostrza grotu i uśmiechnął się.

– Ooshke kahkáhge przez czas gdy Mohawk go nie widział, wiele się nauczył. Wkrótce już wykona taką tarczę, na której strzała myśliwego i wojownika nie zostawi najmniejszego nawet śladu. Ale nim to nastąpi, niech przyjmie od swego starszego brata prawdziwą wojenną tarczę wrogów. Jaguar przywiózł ją specjalnie dla Małego Kruka.

Podniósł z ziemi pięknie malowaną tarczę Pawnee. W środku tarczy widniał rysunek ptaka, którego imię nosił Ooshke kahkáhge. Podał ją chłopcu ze słowami:

– Niech tarczę tę jego młody brat zatrzyma, a gdy wyruszy na swą pierwszą wojenną ścieżkę, będzie miał czym osłonić swą pierś. Jeśli sporządzi tarczę lepszą, tę zachowa jako pamiątkę od Mohawka. Będzie mu ona przypominała starszego brata i przyjaciela.

Chuda Ręka przymglonym przez chwilę wzrokiem patrzył na młodzieńca. Był stary i rozumiał, dlaczego właśnie Małemu Krukowi Jaguar zrobił tak piękny prezent, a chłopiec stał jak skamieniały. Nie marzył nigdy o tak wspaniałym darze. Wiedział, że wojenna tarcza stanowi dumę każdego dorosłego wojownika. Wiedział też, bo mówił o tym nauczyciel, że jeszcze większym zaszczytem dla każdego mężczyzny jest posiadanie tarczy wroga. Ta, którą otrzymał, należała do najgorszych wrogów, do tych, którzy porwali Błękitnego Ptaka. Teraz tarczę tę podarował mu wielki i dzielny myśliwy i jego – Małego Kruka – nazwał przyjacielem. W sercu chłopca pękło coś gwałtownie. Przytulił się do Mohawka i cichy płacz wstrząsnął jego piersią. Chuda Ręka odwrócił twarz. Jaguar delikatnie gładził głowę chłopca.

W końcu Mały Kruk zaczął się uspokajać. Otarł swą twarz i powiedział cicho:

– Ooshke kahkáhge przeprasza Chudą Rękę i Jaguara. Będzie już dorosły. Swemu starszemu bratu dziękuje za piękny prezent. Powiesi go w wigwamie... swej matki. I nadal będzie słuchał uważnie słów nauczyciela. – Chwilę wahał się. – Mały Kruk też chciałby podarować coś swemu starszemu bratu, ale nie wie, czy on zechce przyjąć taki upominek. – Z tymi słowy wyciągnął w kierunku młodzieńca swój dziecienny łuk i jedną drewnianą strzałę.

Mohawk wziął broń, zawiesił ją sobie na ramieniu i powiedział poważnie:

– Jaguar dziękuje swemu bratu. Łuk i strzałę zatrzyma. Gdy będzie miał własnego syna, łuk ten podaruje jemu.

Wracał wolno nad rzekę. Na skraju wioski spostrzegł Szarego Niedźwiedzia i Czarnego Węża. Szukali go widocznie, gdyż na jego widok przyspieszyli kroku.

– Niech Jaguar pójdzie z nami. Czekaj na niego Krzywy Róg – powiedział brat Shóamin, a widząc na ramieniu przyjaciela chłopięcy leszczynowy łuk, spytał ze śmiechem: – Czyżby memu bratu przypominały się lata, kiedy był jeszcze quewezans?

– Niech Szary Niedźwiedź nie śmieje się. Mohawk był tam, gdzie uczą się strzelać chłopcy. Wojenną tarczę Pawnee podarował Małemu Krukowi, którego ojciec zaopatrzył nas w farby. Tam gdzie stał poprzednio rodzinny wigwam Małego Kruka, jest teraz tylko garść popiołu. Łuk dostał w zamian za wojenną tarczę wrogów. Zachowaj go na pamiątkę.

Szary Niedźwiedź spoważniał.

– A więc jednak Wielki Duch zapragnął ujrzeć ojca Ooshke kahkáhge?

– Tak!

Wracali w milczeniu. Krzywy Róg czekał przed wejściem do ich wigwamu. Widząc powracających, przez chwilę patrzył na łuk i strzałę, którą Mohawk przyniósł z sobą, lecz nie spytał co to znaczy. Powiedział bez wstępu:

– Czarny Wąż, jak wiedzą moi bracia, pragnie zamieszkać w wiosce Wahboosoog. Krzywy Róg rozmawiał o tym z Peshéwhem. Wódz zgadza się na to z radością, ale według praw wioski na stałe może pozostać w niej tylko ten, kto jest Wahboos lub nabędzie prawa „brata wojownika” ludu Wahboosoog. Bratem wojownikiem może zaś zostać tylko mężczyzna, a więc taki wojownik, który posiada fajkę pokoju. Czarny Wąż nie posiada jej jeszcze. Podobnie jak Szary Niedźwiedź i Jaguar posiada tylko święty okij oraz czerwony kamień, z którego może sporządzić główkę fajki. Sam tego nie uczyni. Krzywy Róg postanowił mu pomóc. Sądzi, że Jaguar i Szary Niedźwiedź mogą skorzystać z tej okazji i również zawiesić na swych piersiach fajki pokoju. Wszyscy trzech mogliby je wykonać jeszcze dzisiaj. Co o tym myślisz?

Młodzieńcy byli uszczęśliwieni propozycją czarownika. I tak przecież musieliby prosić go o pomoc w najbliższej przyszłości w tej tak ważnej sprawie. Toteż wkrótce wszyscy czterej szli szybko przez las w górę rzeki.

Niezbym daleko od wioski znaleźli potrzebne im miejsce. Tu rozpalili niewielkie ognisko, rozłożyli wokół niego skóry zdjęte ze swych ramion i usiedli w milczeniu. Święte okij położyli na skórkach. Następnie wydobyli czerwony kamień. Był on nadal wilgotny dzięki temu, że codziennie zwilżali worki, w których się znajdował.

Stosując się do wskazówek Krzywego Roga, za pomocą noży obrobili glinę i nadali jej pożądane kształty. Wkrótce trzy czerwone główki zostały zamocowane na końcach cybuchów.

Czarownik odmówił krótką modlitwę, ujął w obie ręce jedną z wykonanych fajek i zwrócił się do młodzieńców:

– Jak mówiłem wam już nieraz w czasie naszej wspólnej podróży, Wielki Dobry Duch podarował swym dzieciom świętą fajkę pokoju, by zawsze łączyła go z nimi, przypominała im o jego mądrości, dobroci i ustanowionych przezeń prawach. Powinniście wiedzieć, że cybuch fajki przedstawia ludzkie ciało; pozioma część główki jego ducha, a pojemnik z otworem na tytoń jest symbolem samego Wielkiego Ducha.

Gdy fajka jest palona, dym unoszący się z pojemnika staje się łącznikiem między człowiekiem a Wielkim Duchem. Toteż palenie fajki zawsze jest modlitwą do Wielkiego Ducha.

Rozdział czternasty

Ostatnia walka

Następnego dnia, tuż po wschodzie słońca, obwoływacz wioski potrząsając grzechotkami chodził wzdłuż wigwamów wykrzykując donośnie:

– Niech wszyscy mężczyźni i kobiety ludu Wahboosoog słuchają uważnie. Niech wszyscy mężczyźni i kobiety ludu Wahboosoog słuchają uważnie. Oto wojownik wielkiego narodu Nawaho wyraził wolę zostania bratem wojownikiem naszej wioski. Uroczystość przyjęcia go do naszego ludu rozpocznie się, gdy słońce przewędruje jedną czwartą nieba. Niech wszyscy mężczyźni i kobiety ludu Wahboosoog... – Głos obwoływacza cichł, zamierał w oddali, po czym znów wracał, aż wiadomość została powtórzona trzykrotnie i usłyszeli ją wszyscy.

Dokładnie o oznaczonej porze podniosła się zasłona u wejścia do wigwamu wodza i wyszedł z niego Peshéwh w otoczeniu kilku starszych wojowników, którzy we włosach swych mieli prawo nosić orle pióra. U jego boku znajdował się Krzywy Róg.

W tej samej chwili z wigwamu, który zajmowali trzej młodzieńcy, wyszedł także Czarny Wąż. Wraz z nim kroczyli poważnie Jaguar i Szary Niedźwiedź.

Zgromadzeni licznie mieszkańcy wioski utworzyli dwa długie szpalery, przez które musiały przejść na środek placu obydwie grupy.

Czarny Wąż, podobnie jak i wódz, był prawie zupełnie nagi. Jedynie wokół pasa zwisała mu luźno, sięgając trochę powyżej kolan, szeroka przepaska. Nie miał na sobie żadnych ozdób ani broni. Wraz ze swymi przyjaciółmi zbliżył się do środka placu, na którym płonęło ognisko. Nad ogniskiem, zamocowany na długiej żerdzi wspartej o dwa trójnogi, wisiał kocioł, z którego rozchodziła się ostra woń gotowanego mięsa. Mohawk wiedział, co to za mięso. Wiedzieli również wszyscy mieszkańcy wioski.

Z samego rana, kiedy tylko posłyszeli głos obwoływacza, widzieli jak szaman Wahboosoog kazał kilku młodzieńcom schwytać i przyprowadzić największego i najbardziej tłustego psa, który miał spełnić ważną rolę w przygotowywanej ceremonii.

Teraz pies gotował się już od dłuższego czasu. Wódz Wahboosoog podszedł do trójki przyjaciół i spytał uroczyście:

– Czy prawdą jest, że Czarny Wąż postanowił zostać bratem wojownikiem ludu Wahboosoog?

– To prawda. Nawaho taką właśnie podjął decyzję – odparł młodzieniec.

– Czy Czarny Wąż – pytał dalej wódz – wie, jakie będą na nim ciążyły obowiązki, gdy stanie się bratem wojownikiem?

– Tak, Czarny Wąż to wie. Jego obowiązkiem będzie bronić wioski i każdego jej mieszkańca przed napadem wrogów oraz walczyć przeciwko nim wspólnie z innymi wojownikami, pomagać słabszym wojownikom w walce, chronić ich życie i nie pozwolić, by wrogowie pozbawili skalpu któregokolwiek z braci Czarne Węże. Jego obowiązkiem jest wypełniać rozkazy wodza i wszystkie wojenne postanowienia rady starszych wojowników oraz stosować się do ich rad i zaleceń.

Wokół rozszedł się pochwalny szmer.

– Czy po otrzymaniu godności brata wojownika – pytał dalej wódz – Czarny Wąż będzie chciał opuścić wioskę, by żyć własnym życiem, biorąc jedynie udział w walce w czasie swego pobytu wśród Wahboosoog, czy też pozostanie w ich wiosce na zawsze?

– Czarny Wąż pozostanie ze swymi braćmi, gdyż tu pragnie rozbić swój wigwam.

Peshéwh podszedł do młodzieńca, ujął go pod ramię i powiedział przyjaźnie:

– Wódz oraz jego bracia i siostry wierzą słowom Czarnego Węża i jego szczerym intencjom, jednak obyczaje i prawa ustanowione przez naszych praojców wymagają, by mężczyzna, który pragnie zostać bratem wojownikiem, poddał się nakazanym tymi prawami obrzędom. Czy Czarny Wąż zgadza się poddać tym prawom?

– Nawaho zgadza się – odparł młodzieniec zdecydowanym tonem.

Wódz podprowadził go do ogniska i wyciągając dłoń powiedział:

– W kotle tym gotuje się Święty Pies złożony w ofierze Wielkiemu Duchowi na znak, że Wahboosoog nie kryją w swych sercach złych myśli wobec swego brata. Czy i on na znak, że w sercu jego nie gości zdrada ani zła myśl, zgodzi się zjeść wspólnie ze swymi braćmi kawałek Świętego Psa?

Młodzieniec skinął głową. Podszedł do kotła. Gołą ręką sięgnął do gotującej się potrawy, oderwał kawał mięsa, rozerwał je na dwie części i z uśmiechem, jakby nie czuł tłuszczu parzącego mu dłonie, jedną część podał wodzowi, drugą włożył sobie do ust i przełknął bez zmrużenia powiek. Peshéwh uczynił to samo; następnie gestem ręki zaprosił wszystkich wojowników do spożycia po kawałku gotowanego zwierzęcia.

Pragnąc udowodnić szczerłość swych uczuć i czystość myśli mężczyźni podchodzili do kotła, odrywali większe lub mniejsze kawałki mięsa i spożywali je. Gdy ostatni z nich przełknął swój kęs i zapanowała cisza, szaman rozejrzał się wokół i obwieścił:

– Wielki Duch nie pokarał nikogo. Myśli Czarnego Węża, tak jak myśli mężczyzn Wahboosoog, wolne są od wszelkiej nieuczciwości. Teraz, jak nakazuje obyczaj, wojownicy Wahboosoog odśpiewają na cześć naszego brata wojenną pieśń:

„O Wielki Duchu – Panie Życia, który widzisz nas dobrze, znasz nasze myśli, wiesz, że nie gości w nich wobec naszego brata ani nieszczerłość, ani niechęć, ani zdrada. Do ludu Wahboosoog przyjmujemy nowego brata wojownika, który jest mądry i dzielny, ma przebiegłość węża, chytrą lisa i odwagę niedźwiedzia, z którym nie obawia się walczyć nocą. Okazał wrogom siłę swego ramienia i zręczność w walce, i nie obawia się ciała swego wystawić na ich strzały, noże i tomahawki. Ramię oraz broń swoją będzie odtąd wspólnie z nami kierował przeciw wrogom Wahboosoog. Spraw o Wielki Duchu, by odtąd siła jego była naszą siłą, a nasza siła jego siłą dla dobra ludu Wahboosoog”.⁹⁰

W czasie słuchania tych słów, powtarzanych zresztą czterokrotnie, Czarny Wąż zachowywał się spokojnie, nie okazując najmniejszego śladu lęku czy nawet zmieszania. Postawę jego mieszkańcy wioski musieli przyjąć z szacunkiem i uznaniem, bo tu i ówdzie rozległy się nawet pochwalne okrzyki.

Gdy wojownicy skończyli pieśń, wódz poprosił Czarnego Węża, by usiadł na dużym bobrowym futrze, a następnie wręczył mu dużą wojenną fajkę wykonaną z czarnego kamienia. Młodzieniec, jak nakazywał obyczaj, o którym powiedział mu uprzednio szaman, pociągnął kilkakrotnie, a następnie przekazał fajkę wodzowi. Fajka przechodziła z rąk do rąk. Od wypicia jej świętego dymu nie uchylił się żaden z mężczyzn. Kiedy wróciła do wodza, ten przekazał ją na powrót szamanowi.

W czasie kiedy palono fajkę, kilkunastu młodzieńców nad samym brzegiem rzeki wbiło ukośnie w ziemię sześć wysokich, równo przyciętych żerdzi, tworząc w ten sposób ramiona stożka, a następnie tak uformowany szałas okryło od samej góry do podstawy skórą.

Do szałasów tego – jak domyślił się Mohawk – szałasów potów, weszli rozebrani do naga Peshéwh i Czarny Wąż.

Do wnętrza wrzucono dwa wielkie, rozpalone w ognisku kamienie, a dwaj młodzi rozebrani do pasa Wahboosoog, kamienie te poczęli polewać zimną wodą. We wnętrzu zasyczało; ze świstem poczęły wydobywać się gęste kłęby gorącej pary.

⁹⁰ Opracowano w oparciu o tekst oryginalnej pieśni odżybuejskiej przytoczonej przez J. Longa.

Według wierzeń Wahboosoog nim nowy wojownik mógł stać się członkiem plemienia, ze swego ciała musiał zmyć wszelki brud, najdrobniejszy pył nieczystości oraz najmniejszy ślad obecności siły, która mogła ukrywać się w porach skóry. Gorąca para wodna zmuszała wszystkie złe duchy, mające schronienie pod skórą, by przerażone, wraz z potem, uciekały na zewnątrz ciała.

Peshéwh widząc jak przez skórę młodzieńca przedostają się do wierzchu już nie pojedyncze krople, a całe strugi potu, wskazał zasłonę i sapiąc z wysiłku wykrztusił:

– Wszystkie złe duchy wypłynęły z ciała i siedzą na skórze. Niech Czarny Wąż skacze szybko do rzeki. Woda zabierze je i poniesie w dal. Nie wejdą z powrotem pod skórę mego brata.

Młodzieniec odchylił zasłonę okrywającą szalas i jednym skokiem znalazł się pod powierzchnią wody. Wychynawszy na wierzch przepłynął kilkanaście kroków pod prąd, a następnie wyszedł na brzeg.

Na ramiona jego kilku młodzieńców zarzuciło natychmiast miękką skórę łosia i wytarło nią starannie całe ciało.

Wódz, który ochłodził się również w rzece, nałożył teraz swą biodrową przepaskę, poprowadził młodego Nawaho na środek placu, kazał mu się położyć na plecach, odkrył pierś młodzieńca i ostrzem rzecznej muszli wyciął na niej delikatny rysunek węża. Kazał powstać młodemu wojownikowi, uniósł jego rękę do góry i oznajmił uroczystość:

– Ogłaszam, że od tej chwili lud Wahboosoog posiada brata wojownika, a imię jego jest Czarny Wąż. Stał się naszym prawdziwym bratem i zamieszka z nami.

Wokół rozległy się gromkie okrzyki. Czarny Wąż ścisnął serdecznie wyciągające się ku niemu dłonie. Jednocześnie wzrokiem szukał dyskretnie jednej tylko postaci. Wreszcie dostrzegł ją. Na moment spotkały się spojrzenia.

Shóamin objęła drobne ramiona młodzieńca Ozháhwunoo – córki wodza. Błękitny Ptak ukryła zmieszana lekko twarz na ramieniu starszej o jedną Zimę przyjaciółki...

Pół księżyca później dwa długie kanu sunęły szybko w dół rzeki. Pierwsze zajmował Krzywy Róg, Shóamin i Szary Niedźwiedź; drugie Jaguar i Młoda Sosenka.

Indiańskie lato szybko dobiegało końca. Mimo iż każdego dnia słońce wychodziło rano na swój podniebny szlak, nie wznosiło się już tak wysoko. Jego promienie, wprowadzając dalej jasne i przenikliwe, nie przynosiły ziemi zbyt wiele ciepła. Pożółkły trawy; liście klonowych drzew zabarwiła głęboka czerwień. Wiele z nich unosił bystry prąd rzeki, tak że wyglądała niczym staw pokryty czerwonymi płatkami górskiego maku.

Z północy coraz częściej nadciągały podmuchy chłodnego wiatru. Wysoko po niebie sunęły klucze dzikich gęsi. Leciwały na południe, w cieplejsze strony. Piątka przyjaciół spieszyła się. Śnieg i mróz mogły nadejść każdego dnia.

Kilka Księżyców temu na odcinek szlaku dzielący wioski Wahboosoog i Moose obydwa młodzieńcy musieli zużyć prawie dwie trzecie czasu, jaki zawierał każdy Księżyc. Płynęli wtedy prawie bez przerwy pod prąd. Teraz każdy potok, strumień i rzeka niosły ich swym prądem na skrzydłach wiatru.

Od kilku dni znajdowali się na łowieckich terenach Moose. Wszelkie niebezpieczeństwa ze strony jakichkolwiek wrogów przestały istnieć. W sercach Shóamin i Młodej Sosenki rosło uczucie radości na myśl o spotkaniu z najbliższymi. Poweselały. Przy wieczornym ognisku coraz częściej żartowały z Krzywym Rogiem, wyciągając go na różne opowieści o dawnych jego czynach, o życiu dawnych ludzi. Słuchały chętnie. Dorosły wojownik opowiadał żywo. Wiedział bardzo dużo. W młodości odwiedził wiele różnych narodów. Znał ich zwyczaje, wierzenia, ubiory i broń, sposoby polowań i walki. Znał też legendy i różne opowieści.

Wiedzą swą dzielił się chętnie. Milczeniem pomijał tylko jeden krótki okres swego życia, ten najdawniejszy. Gdy wydarzenia, o których wspominał, chociażby pośrednio wiązały się z

tym okresem, zamykał się w sobie. Głos jego tracił żywą barwę, twarz ściągał wyraz powagi i zadumy, często tajonego smutku. Milczał wtedy przez dłuższy czas. Gdy ponownie podejmował jakąś opowieść, nie wiązała się już z poprzednią. Odbiegała od niej znacznie w czasie, dotyczyła innego miejsca, wiązała się z zupełnie innymi wydarzeniami.

Nocą, gdy udawali się na spoczynek, nie zasypiał do późna. Gdy sen w końcu zamykał jego znużone powieki, Mohawk słyszał, jak przewraca się z boku na bok, wymawia przez sen jakieś dziwne, chrapliwe słowa, szarpie z kimś niewidzialnym. Nie zwierzał się jednak nigdy z tych snów. Jaguar przez szacunek dla siwych włosów wojownika nie pytał. Udawał, że nic nie widzi.

Teraz, pochylając rytmicznie nad wiosłem swą postać, patrzył na sunące przed sobą kanu, na siedzące w nim trzy sylwetki, równie jak jego pochylone do przodu, myślał o wojowniku i ścieżce jego życia.

Z zadumy wyrwał go dopiero ostrzegawczy głos Młodej Sosenki. W ostatniej chwili z trudem zdołał ominąć podwodny kamień. Rzeka zwiężała się. Należało zachować większą ostrożność. Zresztą Krzywy Róg również nie chciał obciążonym kanu ryzykować płynięcia przez rozciągające się na przestrzeni kilkuset kroków bystrza i progi, gdyż skierował swą łódkę do brzegu. Od wioski dzieliło ich mniej niż pół dnia drogi.

Jaguar przybił również do niezbyt wysokiej skarpy. Przywiązał łódkę do nadbrzeżnego głazu; przewiesił przez ramię dwa ciężkie worki, przez drugie parę strzelb. Pomógł Młodej Sosence zawiesić jeden worek na plecach i podążył za idącą w przód trójką przyjaciół.

O kilkadziesiąt kroków w dół rzeki, dźwigając ciężkie nie ładowane kanu, poprzedzam przez Shóamin, posuwali się Krzywy Róg i Szary Niedźwiedź. Ścieżka była wąska i kręta. Sunący w przód co chwila ginęli sprzed oczu młodzieńca. Widok dodatkowo zasłaniały grube pnie białych wysokich brzoź. Początkowo ścieżka wznosiła się nieznacznie, później zaczęła szybko opadać. Obok brzozy pojawił się kasztan i rzadko rozsiane drzewa czerwonego cedru. Idący w przód znajdowali się nie dalej jak sto kroków.

Jaguar poprawił swój ładunek i zamierzał już przyspieszyć trochę, gdy nagle usłyszał krótki krzyk Shóamin, a zaraz po nim bojowy głos Szarego Niedźwiedzia.

W jednej chwili zrzucił worki i jak wiatr pomknął do przodu. Tuż u skraju ścieżki stanął jak wryty. Nad samym brzegiem rzeki Szary Niedźwiedź jedynie z nożem w ręku odpierał wściekle, ataki dwu wojowników Pawnee. Trzeci leżał już u jego stóp.

O kilka kroków dalej Krzywy Róg tarzał się w śmiertelnej walce również z dwoma wrogami. O kilka zaledwie stóp od niego z opuszczonymi po bokach rękoma stała Shóamin, a o kilka kroków na wprost niej z napiętym łukiem w ręku i strzałą skierowaną w serce dziewczyny – Samotna Gwiazda...

Nie patrzył na walczących. Patrzył na Shóamin i mówił coś do niej. Twarz jego była łagodna i spokojna. Niezrozumiałe słowa, jakimi zwracał się do dziewczyny, nie groziły. Wyrażały prośbę, by zechciała dobrowolnie udać się jako posłaniec Pawnee do Gwiazdy Porannej.

Samotna Gwiazda, mimo iż musiał słyszeć kroki nadbiegającego, nie spojrzał nawet w jego stronę. Mówił do dziewczyny – prosił ją. Stał od niej o kilka kroków i mierzył w serce. Łuk napiął do granic wytrzymałości. Palcami przytrzymywał cięciwę. Jedno drgnienie tych palców wystarczyło, by ptak śmierci uleciał z jego ręki.

Jaguar zamarł. Stał zbyt daleko na to, by zasłonić dziewczynę. Chociaż strzelba, którą trzymał w ręku, mierzyła w serce wroga, rozumiał, że nie może strzelić. W chwili jego strzału długi, czerwony pocisk przeszyłby pierś dziewczyny.

Kiedy rozpaczliwie szukał sposobu ratunku, Krzywy Róg, tuż u stóp dziewczyny poderwał się gwałtownie z ziemi. Niczym błyskawica pomknął czerwony posłaniec śmierci; Jaguar strzelił do Samotnej Gwiazdy i runął na podrywających się z ziemi wrogów.

W następnej chwili jednemu z nich kolbą strzelby roztrzaskał czaszkę; drugiemu wbił w

serce nóż aż po rękojeść. Szary Niedźwiedź unosił się również znad ciała swego ostatniego przeciwnika.

Jaguar obrócił głowę. Shóamin stała nadal bez ruchu. U jej stóp dziwnie skurczony leżał Krzywy Róg. W piersi jego tkwiła głęboko długa czerwona strzała. Wyciekała spod niej strużka krwi. Czarownik z uśmiechem na twarzy patrzył tam, gdzie kulą Mohawka leżał powalony wódz Pawnee – Samotna Gwiazda.

Młodzieniec pochylił się nad leżącym i zajrzał głęboko w jego oczy.

– Czy brat Jaguara może mówić? – spytał cicho.

Krzywy Róg przymknął na chwilę powieki, rozwarł je ponownie, spojrzał na Shóamin i na powrót zwrócił wzrok ku twarzy młodzieńca, po czym powiedział cicho:

– Niech Szary Niedźwiedź, Shóamin i Młoda Sosenka odejdą na stronę. Krzywy Róg pragnie porozmawiać z Jaguarem. – Gdy cała trójka usunęła się sprzed jego oczu, dłuższy czas milczał, po czym poprosił:

– Krzywy Róg nie chce umierać leżąc. Niech Jaguar posadzi go i oprze o drzewo.

Młodzieniec spełnił tę prośbę i szepnął:

– Niech Krzywy Róg nic nie mówi i odpoczywa. Jego bracia postarają się szybko sprowadzić pomoc.

Czarownik zaprzeczył.

– Pomoc nie zdąży. Zresztą Krzywy Róg nie chce żyć dłużej. Na ziemi wypełnił swe obowiązki. Pragnie już odejść w Krainę Wiecznego Cienia. Ale nim odejdzie, pragnie by Jaguar, który jest jeszcze bardzo młody i ma przed sobą długą ścieżkę życia, poznał drogę jaką przebył jego starszy brat i ustrzegł się jego błędów. Czy Jaguar przyrzeka, że nie ujawni przed nikim tego, co Krzywy Róg pragnie mu opowiedzieć?

– Jaguar przyrzeka to swemu bratu.

Czarownik skinął głową, oparł się mocniej o gruby pień, chwilę zbierał siły, w końcu zaczął mówić:

– Krzywy Róg, podobnie jak Jaguar był kiedyś młodzieńcem. Był dumny i szczęśliwy, że należy do najdzielniejszego narodu żyjącego wśród wschodnich puszczy. Widział wokół siebie mądrych i sławnych wojowników, przed którymi drżeli wrogowie. W żyłach jego kipiała gorąca krew. Sam zapragnął również posiąść sławę, sławę przewyższającą innych. Pierś rozsadało mu poczucie siły, w sercu płonęła żądza walki i dokonania wielkich czynów... Opuścił więc ognisko matki i samotnie ruszył na wojenną ścieżkę. Była to ścieżka długa. Znaczyły ją krwawe ślady jego mokasynów. Zawędrował daleko na zachód, tam gdzie jest tylko wielka równina, gdzie rośnie wysoka trawa, gdzie brak dębów i topoli i sięgającej nieba jodły, gdzie nie ma gór i dolin i gdzie po to, by znaleźć cień przykrytego liśćmi drzewa, trzeba wędrować nieraz cały jeden lub nawet dwa dni.

Chęć przygód i walki popchnęła go jeszcze dalej tam gdzie wysokie góry i ich szczyty rozmawiają nocą z gwiazdami, gdzie na zboczach, w czasie najcieplejszego Księżyca – Księżyca Dojrzewaną Zboża⁹¹, leży nigdy nie topniejący śnieg.

W górach tych Krzywy Róg spotkał kilku myśliwych. Nie ujawnił przed nimi kim jest, ani dlaczego powędrował tak daleko. Miał złe zamiary. Myśliwi polowali na szarego niedźwiedzia, więc przyłączył się do nich. Ale w swej pysze i zarozumiałości postanowił, że to właśnie on pokona niedźwiedzia. W walce ze strasznym zwierzem przeliczył jednak swe siły i doświadczenie. Grizzly był od niego o wiele szybszy i silniejszy. I Krzywy Róg byłby zginął w jego łapach, gdyby nie towarzyszący mu tego dnia jeden z owych pięciu myśliwych. Słyszając odgłosy walki, przybiegł tak szybko jak tylko mógł i nożem swym zakłuł niedźwiedzia. Serce Krzywego Roga nie było mu jednak wdzięczne. Pożerała je zawiść. Nie mogąc już zabrać życia niedźwiedzia, Mohawk zabrał życie młodemu myśliwemu i zabrał jego skalp. Nie nasycił jednak uczucia zawiści. Gdy wrócił do obozu, w czasie kiedy wszyscy

⁹¹ Księżyc Dojrzewaną Zboża – sierpień

spali, pozabijał ich podstępnie swoim długim nożem.

Tej samej nocy zaniemógł. Rany zadane przez niedźwiedzia osłabiły go. Czuł, że umiera. I wtedy przed jego oczyma pojawił się sam Wielki Duch. Za nim stali ci wszyscy, którym Krzywy Róg odebrał życie, a jeszcze dalej za nimi – ich kobiety z twarzami posmarowanymi czarnym popiołem i smutne dzieci.

Wielki Duch przemówił wtedy swym potężnym głosem. Przypomniawszy Mohawkowi prawa ustanowione przez siebie i prawa przodków. Powiedział, że obowiązkiem mężczyzny jest bronić słabszych, a nie zabijać ich. Nakazał, by od tej chwili Krzywy Róg nie podniósł więcej uzbrojonej ręki na niewinnego. Polecił, by Krzywy Róg, zamiast zabijać, leczył ludzi. Wziął potem za rękę młodzieńca, który pokonał niedźwiedzia i wskazując na niego przykazał, by zabójca udał się do wioski ofiary i tam został czarownikiem pomagającym ludowi, który skrzywdził odbierając życie jego synom.

Kiedy w ukazującej się jasności dnia zniknął, Krzywy Róg, mimo słabości, pogrzebał ciała zamordowanych i przykrył je kamieniami. Od swego pasa odpiął wszystkie skalpy i ukrył w skalnej szczelinie. Potem, mimo iż był bardzo słaby i kręciło mu się w głowie, wrócił na wielką prerię i ledwo żywy dotarł do obozu jakichś Uhnishenáhbág. Miał przy sobie pazury i kły szarego niedźwiedzia, przyjęli go więc z szacunkiem i nie wypytywali o nic. Przebywał u nich wiele Księżyców, aż odzyskał zdrowie. Mieszkał w tipi szamana i nauczył się od niego wiele. Poznał zioła, które leczą rany, rośliny, które są dobre na wypędzenie duchów z bolących stawów. Nauczył się leczyć gorączkę, ból brzucha i nastawiać złamane kości, wypędzać ducha z ciała wojownika lub jego głowy, a także leczyć wiele innych chorób spowodowanych przez złe duchy.

Potem powędrował jeszcze dalej na prerię, poznał inne ludy, inne sposoby leczenia oraz lecznicze rośliny i nauczył się jeszcze więcej. Dopiero wtedy przybył do wioski Moose, przywdział na siebie strój czarownika i zaczął pomagać tym, których skrzywdził.

Jaguar słuchał tej opowieści jak skamieniały. W końcu rzucił z ledwo tajonym wzburzeniem:

– Który z nich był ojcem Shóamin?

Krzywy Róg odparł słabnącym coraz bardziej głosem:

– Był nim ten, który Krzywego Roga wydarł z pazurów niedźwiedzia. Był dzielny i silny. Serce jego nie знаło i nie podejrzewało zdrady. Krzywy Róg uderzeniem noża pozbawił go życia właśnie w momencie, gdy młody myśliwy pochylony nad ciałem zwierza przepraszał go za śmierć, którą musiał mu zadać. – Czarownik zamilkł wyczerpany opowiadaniem i osłabiony śmiertelną raną, przezwyciężył jednak słabość i mówił cicho: – Krzywy Róg wie, jak wielkiej zbrodni dopuścił się wtedy. Przebywając w wiosce Moose starał się naprawić zło jakie jej wtedy wyrządził. Przez wszystkie minione Zimy modlił się do Wielkiego Ducha, by uzyskać wybaczenie swych zbrodni, ale wie, że Wielki Duch zamknął uszy na słowa modlitwy i co noc, do wigwamu Krzywego Roga przysyłał tych pięciu myśliwych. Przychodzili cichymi krokami, wkradali się w sen Mohawka i pytali, gdzie ukrył ich skalpy. Myśli i serce tego, który ich zabił, napełniali każdej nocy wielkim lękiem. Ale przychodzili i inni: pozbawieni przez Krzywego Roga życia wojownicy Abenaków i myśliwi Sokoki, mężczyźni i kobiety Assiniboine i Wielkie Brzuchy, wśród których Krzywy Róg podstępnie pozbawiał skalpów również kobiety i dzieci. Gdy księżyc wychodził na niebo, przenikali przez okrycie wigwamu, ciasnym kręgiem otaczali głowę Krzywego Roga i rzucali mu w twarz straszne oskarżenia. A Krzywy Róg mógł tłumaczyć swe czyny i odpowiadać pytającym tylko w ich własnym języku. Innego nie rozumieli i nie chcieli słuchać. Krzywy Róg do dzisiaj nie wie, czy za tamte czyny udało mu się przebłagać duchy zabitych i czy po śmierci będzie mógł wejść do krainy swych przodków. Dziś spotkało go wielkie szczęście. Wielki Duch przysyłając pierzastą śmierć zezwolił mu spłacić dług, jaki kiedyś zaciągnął wobec Shóamin i jej matki. Jest spokojny. Nie obawia się teraz stanąć przed ojcem, ani przed

obliczem Wielkiego Ducha. – Słowa coraz trudniej wydobywały się z martwiejących ust czarownika. – Odchodzi szczęśliwy i życzy szczęścia Jaguarowi i Shó..a..min. – Głowa wojownika opadła. Z kącika ust popłynęła strużka krwi.

Jaguar nie poruszył się. Straszliwe wyznanie wstrząsnęło nim. Patrząc na leżącego u swych stóp wojownika, oczyma wyobraźni widział długą ścieżkę jego życia, krwawe ślady mokasynów odcisnięte w trawie dalekiej prerii i w wysokich górach, słyszał krzyk sępów unoszących się nad zwłokami pomordowanych, płacz kobiet dobiegający z wnętrza wigwamów i ciche żalosne kwilenie głodnych dzieci. Krzywy Róg był wtedy młodzieńcem. Bezgraniczna pycha jaka nim wówczas kierowała, żądza sławy kazały zamilknąć głosom rozważi i opamiętania, kazały zapomnieć o prawach Wielkiego Ducha. Taweskare – Duch Zła opętał serce i myśli młodego wojownika i pchnął go na ścieżkę krwi. Jakże zasmucony i zagniewany musiał być Wielki Duch widząc nieszczęścia, których przyczyną stał się Krzywy Róg? Nie pokarał go jednak śmiercią, nie pragnął krwi za przelaną krew, nie chciał się mścić na młodym wojowniku. Wiedział, że sprawcą zła musiał być Zły Duch. Dał więc Krzywemu Rogowi możliwość zrozumienia i naprawienia krzywd. I Krzywy Róg zrozumiał. Przerwał swój krwawy szlak, zawrócił ze złej ścieżki, wyrzekł się dotychczasowego życia i odnalazł inną drogę, drogę na której rządziły prawa sprawiedliwości i uczciwości, na której miast nienawiści istniała miłość do Wielkiego Ducha i Matki Ziemi, miłość do ludzi i nie zboczył już nigdy z tej drogi. Wielki Duch nie zrezygnował jednak całkowicie z kary. Chciał, by przypominała ona wojownikowi jego wielką winę i przestrzegała go przed popełnianiem innych czynów niesprawiedliwych. Wolę Wielkiego Ducha i karę Krzywy Róg przyjął bez szemrania.

Wpatrując się w zastygłe rysy nieżyjącego Jaguar rozumiał, jak wielką cenę przez całe życie czarownik musiał płacić za błędy młodości. Rozumiał, co musiał przeżywać mieszkając w wiosce Moose, widząc wdowy i osierocone przez siebie dzieci, patrząc jak na jego oczach wzrasta i rozkwita Shóamin. Mając świadomość swych dawnych czynów, przez dwanaście Zim, dzień za dniem z oddaniem niósł pomoc ludowi Moose. Z jego serca ustąpiła nienawiść. Zamieszkała w nim miłość do tych, których w młodości tak skrzywdził.

Gdy Jaguar przypomniał sobie z jakim poświęceniem Krzywy Róg chronił jego i Sasay'gę, jak narażał życie w obronie dziewcząt, jaką szlachetność i dzielność okazał w ostatniej walce, nie mógł czuć do niego nienawiści. Zrozumiał, że Krzywy Róg całym swym życiem w wiosce Moose starał się naprawić swe dawne czyny.

Raz jeszcze popatrzył w zastygłe rysy wygładzone teraz tchnieniem śmierci i nie szukał już słów potępienia...

Podniósł się z kolan i poszedł najpierw po swoje kanu, a następnie po jedną z łódek wrogów.

Kanu, w którym spoczywały zwłoki Krzywego Roga, Jaguar i Szary Niedźwiedź przywiązali do czoła Mohawka i opuścili pole walki. Nim nadszedł wieczór, przecięli jezioro, nad brzegiem którego rozłożyła się wioska i przybili do brzegu. W miejsce, gdzie pozostały ciała poległych Pawnee, Ostry Nóż wysłał sześciu wojowników. W wigwamie czarownika przy jego zwłokach zebrały się wszystkie kobiety wioski. Z wnętrza do późna w noc dobiegał głośny lament.

Nim niebo poróżniało na wschodzie, przy świetle pochodni, na pobliskie wzgórze wyruszył długi sznur mieszkańców.

Ciało czarownika, przybrane w jego obrzędowy strój, niosło na drewnianych narach czterech wojowników. Przednia część nar spoczywała na barkach Szarego Niedźwiedzia i Jaguara.

Po przybyciu na szczyt zdjęto zwłoki wojownika i spuszczone je do wykopanego uprzednio niezbyt głębokiego dołu. Obok ciała ułożono strzelbę, róg napełniony prochem oraz inną broń, a także świętą fajkę pokoju i woreczek z tytoniem. Do grobu wstawiono

kociołek z wodą, skóry i futra, jakie w swym wigwamie posiadał zmarły, jego leki i pęczki zasuszonych ziół za pomocą których za życia leczył cierpiących i chorych. Stopy zmarłego obuto w nowe mokasyny, a obok postawiono drugą zapasową, również nową ich parę.

Ojebwag wierzyli, że wojownik po swej śmierci, w krainie Wielkiego Ducha rozpocznie nowe życie, prawie takie samo jak na ziemi, że więc tam, podobnie jak tu, będą mu potrzebne te wszystkie rzeczy, których używał za życia.

Na drogę zaopatrzonego w dwie pary mokasynów, bowiem ścieżka prowadząca do krainy Wielkiego Ducha była długa i kamienista. Wszyscy wiedzieli, że w czasie swej dalekiej podróży wojownik na pewno zniszczy te mokasyny, które miał obecnie na stopach. A ponieważ przed obliczem Wielkiego Ducha nie wypadało mu stanąć w podartym obuwiu, włożyli do grobu tę drugą właśnie parę.

Jaguar i Szary Niedźwiedź przytroczyli do jego pasa skalpy wrogów, pokonanych w czasie wspólnie odbytej podróży. Chociaż zmarły wojownik nie zdobył ich sam, swą dzielnością, odwagą i poświęceniem umożliwił zdobycie ich swym młodym braciom. Rozumieli więc, że ma do nich takie samo jak oni prawo.

W grobie złożono ćwiartkę jelenia i sporo innych zapasów żywności, by duch zmarłego w czasie całej swej dalekiej podróży nie cierpiał głodu.

Obok miejsca ostatniego spoczynku zasłużonego i szanowanego powszechnie wojownika, w jednym wspólnym grobie złożono ciała jego poległych wrogów. Ich duchy miały mu służyć w przyszłym życiu, które właśnie rozpoczynał.

Obydwa groby zasypano grubą warstwą ziemi i obłożono ciężkimi kamieniami dla zabezpieczenia przed wszelkimi drapieżnikami.

Ucichł płacz kobiet. Mieszkańcy wrócili do wioski, gdzie Ostry Nóż podpalił wigwam czarownika. Wewnątrz wybuchł wielki ogień. Suche drewniane żerdzie i nasyczone tłuszczem płaty kory stanowiące pokrycie, zapłonęły w ciemności niczym wielka pochodnia.

Nim promienie słońca wzniosły się nad wierzchołki drzew, ogień wygasł. W miejscu, gdzie przez wiele Zim, każdej nocy nad posłaniem wojownika gromadziły się nocne zmy, pozostała obecnie jedynie kupka czarnego popiołu.

Patrząc na nią Mohawk odetchnął głęboko.

Zwołana zaraz po zakończeniu żałobnych uroczystości rada starszych słuchała opowieści Jaguara i Szarego Niedźwiedzia. Młodzieńcy mówili o swej drodze, przeżyciach i przygodach, skromnie i powściągliwie opowiadali o dokonanych czynach. Wspominali przyjaciół i wrogów. Żywymi barwami malowali świat dalekiej prairii, obraz ludów tam żyjących, drogę wiodącą do świętego kamieniołomu, nowe zwierzęta, jakie poznali.

Z głębokim przekonaniem i nienawiścią opisywali przebiegłość, podstępność i pychę bladych twarzy. Wiele mówili o mądrości i dzielności Krzywego Roga, starając się jednak ani razu nie wymienić imienia zmarłego, które jak wiedzieli, dla wszystkich żyjących stało się tabu – tabu milczenia.

Odpowiadali na dziesiątki pytań. Powtarzali wielokrotnie cały szereg ciekawych dla słuchaczy szczegółów.

Ich przeżycia i dokonania tworzyły coraz bardziej jasny i pełen wyrazu obraz drogi, jaką przeszli od czasu opuszczenia wioski, ale rysowały także jasnymi, choć prostymi barwami, sylwetki obu młodzieńców.

Tuż nad wieczorem, rozładowawszy jedną z łodzi, wszystkich członków rady obdarowali bogatymi upominkami.

Ponieważ Dakota sprawiedliwie podzielił łup zdobyty na białych i na Pawnee i szczególnie szczerze obdarowali młodzieńców za ich wielką pomoc, obecnie Jaguar i Szary Niedźwiedź mogli mężczyznom wioski podarować prawie dwadzieścia długich strzelb oraz duży zapas prochu i kul, a także wiele sztuk innej broni.

Dla tych, którym złe duchy umiejscowiły się w stawach rąk i nóg mieli ciepłe wełniane

koszule i legginy, które sięgały do pasa i nosiło się je pod legginami skórzanymi. Sprawiedliwie rozdzielili koce, a trzem wodzom prócz innych rzeczy podarowali kilka starannie przechowywanych dużych brył świętego czerwonego kamienia, w który zaopatrzyli ich Dakota po to, aby inni dorastający młodzieńcy pragnący zostać wojownikami nie musieli wyprawiać się w daleką podróż, celem jego zdobycia i sporządzenia, fajek pokoju.

Życzliwe i wdzięczne spojrzenia biegły ku dwóm młodzieńcom, którzy nie zapomnieli o nikim.

Słowa pełne szacunku i uznania o ich czynach wypowiadali wodzowie i inni członkowie rady starszych.

Cudowne oswobodzenie Shóamin i Młodej Sosenki uznano za wyraz szczególnej miłości, jaką Szarego Niedźwiedzia i Jaguara otaczał Wielki Duch. Z szacunkiem i podziwem oglądano obydwu naszyjniki Szarego Niedźwiedzia, a gdy młodzieńcy po kilkakroć opowiedzieli o strasliwym grizzly, postać jego pogromcy rosła w oczach patrzących i słuchających do rozmiarów ponadludzkich.

Wszyscy wiedzieli, jak dzielny był Mohawk. Obecnie dostrzegli drugą, nie mniej dzielną obok niego postać Szarego Niedźwiedzia, który ze swej ścieżki wrócił nie tylko ze zdobycznymi jego piersi dwoma naszyjnikami, lecz imieniem, jakie mogli nosić ci, którzy własnoręcznie pokonali groźnego zwierza.

Chociaż starał się nie okazywać tego, z chlubnego powrotu syna i szczęśliwego powrotu Shóamin dumny był Kamienny Tomahawk. Żywą radość, nie skrywaną pozorami obojętności, okazywał Dzielne Serce. Na jego prośbę Szary Niedźwiedź musiał ze wszystkimi szczegółami opowiedzieć przebieg ostatniej walki. Kończąc jej dramatyczny opis, powiedział cicho:

– Szary Niedźwiedź nie widział momentu, w którym strzała ugrzęzła w piersi czarownika. Widział to Jaguar. Niech on opowie o tym moim braciom.

Mohawk wstał i dokończył rozpoczętą przez swego przyjaciela opowieść:

– Jaguar nie spodziewał się niczego. Kiedy usłyszał krzyk Shóamin i głos Szarego Niedźwiedzia, pobiegł jak mógł najszybciej na skraj polany.

Ujrzał wtedy, że nad brzegiem rzeki walczy Szary Niedźwiedź. Mohawk był o niego spokojny, gdyż zna jego zręczność i dzielność.

Zobaczył też swego starszego brata – czarownika, jak zмага się z dwoma innymi wojownikami, lecz też się o niego nie lękał.

To, co zatrzymało go w miejscu, to wróg stojący na wprost córki Kamiennego Tomahawka, trzymający w ręku napięty łuk i czerwoną strzałę skierowaną w serce Shóamin.

Jaguar domyślił się, że wódz Pawnee prosi ją, by zgodziła się dobrowolnie zostać posłańcem ludu Pawnee, posłańcem do ich bogów, by nie gniewała się, że za chwilę Samotna Gwiazda pozbawi ją życia.

Jaguar nie mógł strzelać. Jego strzał rozluźniłby palce wroga i strzała utkwiliby w sercu Shóamin. Nie mógł zasłonić jej sobą, bo był jeszcze za daleko. Miał tylko jedną możliwość – wystrzelić broń z rąk wroga. Gdy zamierzał uczynić to, z ziemi niespodziewanie poderwał się nasz starszy brat i nim Pawnee zdążył puścić cięciwę, wielki czarownik i brat ludu Moose osłonił Shóamin. Jaguar widział, jak czerwona strzała ugrzęzła w jego piersi. Zabił więc Samotną Gwiazdę, a następnie tych dwu, którzy poprzednio walczyli z naszym bratem. Mohawk wysłuchał słów jego pożegnania.

Na chwilę przerwał, po czym dokończył z żalem. – Jaguar wie, że czerwona strzała pozbawiła życia mądrego i dzielnego wojownika. Wie, że w sercu tego wojownika mieszkały miłość i szacunek dla ludu Moose, dla jego wszystkich braci, że Shóamin posiadała jego serce tak jak córka posiada serce ojca i matki. Wojownik z radością wystawił swoje serce na cios czerwonej strzały i z radością oddał swoje życie za życie Shóamin. Pamięć o nim będzie mieszkała w sercu Jaguara.

Święta fajka pokoju obeszła krąg siedzących. Mężczyźni wolno opuszczali wigwam wodza. Jako jeden z ostatnich wyszedł Mohawk. Przeciął wolno plac wioski i stromą ścieżką podążył w kierunku wzgórza, gdzie ubiegłej nocy złożono zwłoki Krzywego Roga.

W milczeniu stał długo nad niewielkim wzgórkem usypanym z kamieni. Zza widnokregu wysunęła się pełna twarz księżyca i poczęła wznosić się w górę.

Młodzieniec obrócił twarz na południe, ku krainie, z której pochodził Samotna Gwiazda. Nie czuł do niego nienawiści. Gdy przypomniał sobie teraz to, co wódz Pawnee opowiadał białym, daleko w kraju Dakotów, o kłopotach i troskach swego ludu, o nadziei, jaką lud ten wiązał z wysłaniem posła do Porannej Gwiazdy, zrozumiał, że również Pawnee nie czuł nienawiści do Shóamin ani do jej przyjaciół. Serce jego pragnęło jedynie spełnić wolę bogów domagających się krwi płynącej z serca młodej niewinnej dziewczyny. Gwiazda Poranna musiała być złym bogiem – pomyślał i raz jeszcze spojrzął na widniejący u jego stóp stos kamieni.

Myśli młodzieńca powędrowały szlakiem przeszłości złożonego w grobie wojownika. Czy Wielki Duch przyjmie jego ofiarę, czy przebaczy złe czyny, jakie popełnił w młodości, czy pozwoli mu wejść do swej wiecznie zielonej krainy, gdzie nie istniały ani śmierć, ani głód, choroby i inne nieszczęścia? Nie był pewien, ale wiedział, że Wielki Duch zgodził się przyjąć ofiarę z życia wojownika, darowując w zamian życie Shóamin.

Ostatni raz spojrzął na grób i w zadumie podążył do wioski. Kupkę popiołu w miejscu, gdzie stał wigwam Krzywego Roga okrywały strącone północnym wiatrem liście. Młodzieniec wiedział, że liście te mają kolor czerwony, kolor będący symbolem pokoju i obecności na tym miejscu samego Wielkiego Ducha.

Zakończenie

W wigwamie Kamiennego Tomahawka Szary Niedźwiedź po raz nie wiadomo który opowiadał o upolowaniu Złocistego Orła w krainie Dakotów.

Ojciec patrzył z dumą na syna, który opuszczał kilka Księżyców temu wioskę jako młodzieniec, wracał teraz do niej jako mężczyzna i wojownik. Otaczał go szacunek i podziw, a u wielu dorosłych nawet coś na kształt zazdrości. Kamienny Tomahawk był dumny. O Szarym Niedźwiedziu nie mówił już nikt Sasay'ga. Tamto imię poszło w zapomnienie i nawet Shóamin, która poprzednio pokpiwała sobie z brata, odnosiła się teraz do niego z należnym szacunkiem.

Serce Kamiennego Tomahawka przepełniało zadowolenie. Najstarszy syn, a zarazem jedyny mężczyzna w wiosce, który miał prawo nosić pazury i kły szarego niedźwiedzia. Patrzył więc na syna inaczej niż poprzednio. Nie był pewien, czy sam, mimo że nie bał się nigdy, potrafiłby pokonać to zwierzę, o którym krążyło tyle strasznych opowieści.

Toteż z uwagą, a jednocześnie z nieskrywanym zaciekawieniem, słuchał właśnie słów syna, gdy nagle, niezbyt daleko od zasłony zakrywającej wejście do wigwamu, rozległ się groźny pomruk jakiegoś zwierza.

Szary Niedźwiedź na moment zawiesił głos. Kamienny Tomahawk chwilę wsłuchiwał się w głuche, dochodzące z zewnątrz dźwięki. Krótkim spojrzeniem przemknął po pociemniałych policzkach Shóamin i odwracając od niej głowę, z leciutkim uśmiechem powiedział:

– Niech syn opowie jeszcze raz, tylko ze wszystkimi szczegółami, to ciekawe polowanie na orla oraz całą chytrą rozmowę, jaką przeprowadził wtedy z wodzem Pawnee, by go oszukać. Ale niech Szary Niedźwiedź się nie spieszy. Kamienny Tomahawk ma dużo czasu, a chciałby poznać dobrze wszystkie przeżycia syna i jego przygody.

Obaj mężczyźni pograżyli się w rozmowie.

Shóamin znając ojca wiedziała, że rozmowa ta zajmie im bardzo dużo czasu. Widząc, że nie zamierzają zwracać na nią najmniejszej uwagi, wysunęła się bezszelestnie na zewnątrz.

O kilka kroków od wejścia, oparty plecami o wysokie drzewo, stał Jaguar.

Szli wolno w stronę rzeki nie rozmawiając. Od czasu powrotu do wioski młodzieniec po raz pierwszy spotykał się z dziewczyną i po raz pierwszy na spotkanie wywoływał ją w taki właśnie sposób.

Tuż przy brzegu zatrzymał się i wzniosł dłoń do góry.

– Gdy Jaguar wiele Księżyców temu przybył do wioski Moose i ujrzał swą gwiazdę, Shóamin powiedziała mu, że gdy wróci ze świętą fajką pokoju, chciałaby wspólnie z nim popatrzeć na blask tej gwiazdy. Czy od tego czasu nie zmieniła zdania? Czy właśnie dziś mogą popatrzeć na gwiazdę razem?

Dziewczyna pochyliła głowę. Oparła swą skroń na ramieniu młodzieńca i powiedziała cicho:

– Shóamin nie zmieniła swego zdania. Zawsze z radością będzie patrzeć na gwiazdę stojąc u boku Jaguara.

Młodzieniec obrócił głowę i miast w jedną, wpatrywał się długo w dwie złote gwiazdy zatopione w jego oczach...

Jeszcze tej samej nocy Jaguar złożył okazały stos podarków przed wigwamem Kamiennego Tomahawka. Były tam koce i kołdry, ciepłe koszule i kociołki do gotowania

strawy, różne materiały na odzież dla kobiet, nici i igły, a także ostrza do noży i toporów, żelazne groty do strzał, dwie długie strzelby, dużo prochu i ołowiu na kule. Na samym szczycie stosu znalazło się kanu wrogów oraz pióropusz Samotnej Gwiazdy i jego wojenna tarcza.

Były to bardzo bogate podarki. Tak bogatych w wiosce Moose nie złożył jeszcze nigdy żaden młodzieniec przed wigwamem dziewczyny, którą pragnął posadzić przy własnym ognisku.

Rankiem żony Kamiennego Tomahawka wniosły podarki do wigwamu na znak, że rodzice Shóamin wyrażają zgodę, by od tej pory ich córka pilnowała ogniska Jaguara, gotowała mu strawę, szyła odzież i pięknie barwionymi kolcami jeżozwierza zdobiła jego mokasyny.

Nim słońce przemierzyło pierwszą połowę dnia, Shóamin, z błyszczącymi radością oczyma, w gronie kilkunastu przyjaciółek biegła do lasu po długie mocne żerdzie i brzozową korę potrzebne do budowy nowego wigwamu.

Obwoływacz wioski, a roli tej tym razem podjął się sam Ostry Nóż, trzykrotnie okrążył obszerny, plac obwieszczając wszystkim donośnym głosem, że z woli Wielkiego Ducha w wiosce Łosi zapłonie wkrótce nowe rodzinne ognisko, które rozniecą: syn dalekiego męznego narodu Mohawków i przybrana córka Kamiennego Tomahawka.

Szary Niedźwiedź słuchający z nieskrywaną radością tych słów i rozumiejący, że już nie będzie musiał rozstawać się ze swym przyjacielem, jakby dla wzmocnienia i przypieczętowania zapowiedzi obwoływacza, spojrzał z błyskiem na siedzącego obok Jaguara i wypowiedział uroczyście tylko jedno słowo: – Howgh!